

Miłość nie prosi
o pozwolenie,
by wkroczyć
do twojego życia.
Zbrodnia również...

Autorka

Maria Ulatowska
Jacek Skowroński

INTRYGA
w najlepszym
wydaniu!

Prószyński i S-ka

Autorka

Maria Ulatowska
Jacek Skowroński

Prószyński i S-ka

Wielbicielkom JANUSZA

Opisałam tę historię tak, jak ją zapamiętałam, a to, czego nie wiedziałam lub nie mogłam się dowiedzieć od policjantów, po prostu dopowiedziałam, zdając się na wyobraźnię i życiowe doświadczenia. Bez zwracania uwagi na ścisłe trzymanie się faktów. Wolno mi, w końcu piszę powieść. Dotyczy to zwłaszcza prowadzącego śledztwo nadkomisarza i jego przyjaciółki, gdyż nie o wszystko zdążyłam ich zapytać; w niektóre sprawy dotyczące ich życia osobistego nawet nie chciałam wnikać.

Moi znajomi, bliźsi i dalsi, są ważnymi postaciami, ale co dokładnie robili w tej historii, tego do końca sama nie wiem. Myślę jednak, że zbliżyłam się do prawdy tak, jak to tylko było możliwe.

A raczej – jak tylko autorka potrafi.

Piszę więc, lecz końca jeszcze nie znam. Dopisze go samo życie lub... sprawca.

Rozdział 1

Imię
Nazwisko
Twój e-mail
Hasło
Powtórz hasło
Płeć
Data urodzenia
Zarejestruj

KLIK

Stoliki w kawiarence internetowej były tak wąskie, że przy poruszeniach myszą należało uważać, by nie potrącić kubka z kawą. Nie szkodzi, brak komfortu to niewielka cena za anonimowość, której nie mógł zapewnić domowy komputer. Ustawione pod ścianą automaty do gry wypełniały pomieszczenie wibrującymi w powietrzu melodyjkami, znacznie rzadziej rozlegał się dźwięk wypadających z nich żetonów.

Jedna z osób nie odrywała wzroku od ekranu z założonym właśnie profilem na Facebooku. Podobno jeśli kogoś nie ma na FB, to nie istnieje. Znak czasów, z którym nie warto walczyć, lepiej go wykorzystać. Jeśli się potrafi. Po rejestracji ukazało się mnóstwo rubryk z danymi osobistymi, do wypełnienia według uznania, było nawet pole na numer telefonu. Wielu użytkowników wpisuje go automatycznie, nawet nie zwracając uwagi na opcję zatajenia pewnych informacji o sobie. Ale gość kawiarenki zwracał uwagę na wszystko.

Płeć? Może być męska. Imię i nazwisko? Hmm... Maks Baron. Zdjęcie do profilu? Internauta wyszukał w sieci fotografię przedstawiającą okno z niewyraźną postacią za szybą, która zamieniła się w ikonkę obok profilu Maksa Barona. Od tej pory tak będzie o sobie myśleć i ukazywać się innym użytkownikom.

Zaczął buszować po Facebooku, z początku czytając wszystko jak leci. Jezus, jakież głupoty ludzie tu wpisują: „Moje dziecko już nie nosi pieluchy, jestem dumna”, „U mnie dzisiaj pierogi na kolację – proszę, popatrzcie, tak wyglądają”, „To zdjęcie mojej Perełki, prawda, że śliczna?”, „Odpowiedz na pytanie...”, „Szukamy domu dla tego pięknego kota”, „Posłuchajcie tej piosenki”, ble, ble, ble. Czy oni nie mają normalnych znajomych, z którymi mogliby usiąść przy kawie, muszą trąbić wszem wobec o bzdetach?! Korciło go, żeby im odpowiedzieć tak, jak na to zasługiwali, ale się powstrzymał. Nie po to zdecydował się na stworzenie całkiem nowej osobowości, którą będzie można skasować, wymazać, unicestwić jednym kliknięciem.

Zarejestrował się w tym durnym miejscu wyłącznie dla jednej osoby. Znalazł ją prędko. Po wpisaniu imienia i nazwiska ukazała się długa lista, ale ona była prawie na samej górze, podała nawet prawdziwe zdjęcie. Niewiele mówisz o sobie, pomyślał gość kawiarenki, nic dziwnego, jako święcąca triumfy pisarka musisz ochraniać własną prywatność. Ale ja wiem o tobie więcej niż te tłumy pochlebców raczące cię płaskimi komplementami, łaszące się bezwstydnie, jakby naprawdę wierzyli, że zapamiętasz choć jednego z nich. Ale jesteś grzeczna, każdemu starasz się zostawić choć słówko, pokazać, że przeczytałaś jego żenujący wpis.

Niektórzy pewnie wcale nie czytali twoich książek, po prostu pochlebia im, że mają znaną osobę wśród znajomych.

Maks Baron zajrzał na profile paru osób szczególnie często komentujących wypowiedzi autorki. Były to głównie kobiety, widać mężczyźni są oszczędniejsi w wyrażaniu opinii. A może dyskusowanie o literaturze uważają za nieelicujące z ich samczą godnością? Jakkolwiek by było, kobiety okazywały się znacznie bardziej wylewne, nie tylko w wypowiedziach, lecz także przy umieszczaniu osobistych informacji o sobie. Telefony, informacje o dzieciach i miejscach pracy, ulubione kafejki. Łatwo was znaleźć, gdyby komuś bardzo zależało.

Maks Baron wrócił do profilu autorki, najechał kursorem na przycisk prywatnej wiadomości, ale go nie wcisnął. To by było przedwczesne, zamiast się zbliżyć, tylko by ją spłoszył.

Zaczął czytać informacje o jej wieczorach autorskich, planowanych wyjazdach i wrażeniach ze spotkań, klikając od czasu do czasu „lubię to”. Wreszcie zdecydował się na własny wpis: „Dziękuję za to, co było. Za każdą niezapomnianą chwilę. I za to, co jeszcze przed nami, o czym wiemy tylko jedno. Że stać się musi”.

Jeszcze przez moment wpatrywał się w ekran. To było dziwne uczucie, nieznane dotąd – wcielić się w stworzoną na poczekaniu postać, nadając jej wybraną płęć i osobowość, zagrać kogoś, kim się w istocie nie było, kogo nikt nie rozpozna w realnym świecie. Fascynujące i wciągające. Zaraz się wyloguje, odejdzie od stolika i wsiąknie w anonimowy tłumek na zewnątrz. Nawet obsługa nie zapamięta jednego z wielu tego wieczoru gości.

Już miał zgasić ekran, gdy raptem pod wpisem Maksa Barona wyskoczyła odpowiedź: „Bardzo dziękuję. Ale czy my się znamy...?”.

KLIK

Rozdział 2

Przyniosłam sobie z kuchni kawę i usiadłam przed komputerem. Kubek z kawą ostrożnie ustawiłam na porcelanowej podkładce, umieszczonej na szafce przytulonej do biurka. Tej klawiatury już nie zaleję, obiecałam sobie, pamiętając, co się stało, gdy po raz pierwszy naciśnięcie klawisza Enter spowodowało wysłanie w eter mojej debiutanckiej książki. W eter, czyli do wszystkich wydawców, których adresy mejlowe udało mi się wtedy wyszukać.

Westchnęłam, przypominając sobie uczucie, jakie towarzyszyło mi przy wpisywaniu swojego nazwiska – Justyna Sobolewska – nad tytułem książki: *Wojenna miłość*. Miałam trzydzieści dwa lata i pewność, że przede mną świat. Pomimo tego, co się stało w moim życiu ściśle prywatnym. Wtedy, pewnego majowego dnia, dwa lata temu, usiadłam przy komputerze i rozpoczęłam nowe życie. Pisałam kilka miesięcy. Wydawało mi się, że nigdy nie skończę, miałam więcej upadków niż wzlotów. Nie podobało mi się to, co napisałam, więc poprawiałam, a gdy poprawiałam, okazywało się, że poprzednia wersja była lepsza, więc poprawiałam znowu. Ale wreszcie skończyłam, ogólnie zadowolona. Uznałam książkę – no cóż – za świetną. Historia miłosna dziejąca się podczas drugiej wojny światowej.

Dobrze znałam te czasy – z opowieści rodzinnych, lektur i filmów. Historia zawsze mnie pasjonowała, a czasy drugiej wojny światowej chyba najbardziej. Ileż tam było namiętności, tragizmu, okrucieństwa i okropności. Ale przecież i wesołe momenty się zdarzały, ludzie byli tylko ludźmi, chcieli się śmiać także w trudnych czasach. Taka więc była ta moja pierwsza powieść. Tragiczna, gdzieniegdzie z lżejszymi elementami. Opowieść o ludziach żyjących w trudnych czasach.

Gdy wysłałam treść elektronicznie już do wszystkich, w geście triumfu wyrzuciłam ręce do góry, potrącając kubek z kawą. Zalałam całą klawiaturę, a że pisałam wtedy na laptopie, udało mi się unieruchomić cały sprzęt. Na szczęście mój zaprzyjaźniony fachowiec dał sobie z tym radę, ale oddał mi komputer z pouczeniem, żebym raczej piła i jadła w innym miejscu, najlepiej w ogóle w innym pokoju.

Od tamtej pory więc wszystkie kubki, szklanki i talerzyki, które MUSZĘ mieć przy sobie, gdy piszę, stoją nie na biurku – lecz na stoliku obok.

Popijając kawę, tak głęboko zatopiłam się we wspomnieniach, że teraźniejszość na chwilę przestała istnieć.

– Tak tkwisz przed tym komputerem, że można by cię ukraść wraz z całym mieszkaniem i w ogóle byś tego nie zauważyła – usłyszałam raptem i aż podskoczyłam, o mały włos nie upuszczając kubka z kawą. Rany boskie...

– Cholera jasna, zawału dostanę! – wrzasnęłam ze złością, patrząc na byłego męża, który zmaterializował się za moimi plecami. – Jak tu wlałeś i czego chcesz? – spytałam wściekła jak wszyscy diabli.

– No przecież to też moje mieszkanie i mam klucze, zapomniałaś? – odparł słodko Janusz, uśmiechając się zjadliwie.

Nie chciało mi się po raz kolejny wszczynać dyskusji o prawach własności do mieszkania i tak dalej, wyciągnęłam więc tylko rękę.

– Oddaj te klucze – zażądałam. – Mów, o co chodzi, i wynoś się. Zajęta jestem, chyba widzisz.

Były mąż tymczasem podszedł do komputera i ze zdziwieniem patrzył na komentarze o próbach związanych z wydawaniem książek. Komentarze te przed chwilą sobie otworzyłam, wspominając całą historię swojego debiutu i planując napisanie powieści, której bohaterką będzie młoda pisarka.

– Co ty czytasz w tym komputerze? Wszystko jak leci, z nudów, tak? Lepiej posprzątałabyś mieszkanie, spójrz, ile tu kurzu. – Przetarł palcem regał z książkami. Istotnie, kurz był.

– Mój kurz, nie twoja sprawa... – zaczęłam, zaraz jednak się zmitygowałam. Nie dam się sprowokować. Nie dam się wciągnąć w żadne dyskusje. Muszę tylko odzyskać klucze albo jutro zmienię zamki. Tak, to lepszy pomysł, bo jak znam Janusza, mogę podejrzewać, że dorobił sobie jeszcze jedną parę kluczy – te odda, a jutro przyjdzie znowu. – Czego chcesz?

– spytałam raz jeszcze.

– Wiesz, czego chcę. Chcę odzyskać swój obraz. – Mój mąż się skrzywił. Mój były mąż. – Widzę, że gdzieś go schowałaś, bo na ścianie nie wisi. A może już sprzedałaś?

– spytał z obawą.

– Obraz nie jest twój. Doskonale wiesz, że Marek podarował go mnie, na moje imieniny. A schowałam go, bo przypuszczałam, że tu przyleziesz i po prostu go ukradniesz. Nie wpadło ci do głowy, żeby tak zrobić? Żeby tu przyjść pod moją nieobecność?

Splószone spojrzenie Janusza uzmysłowiło mi, że właśnie tak zrobił. Był w mieszkaniu pod moją nieobecność, ale obraz schowałam wcześniej. Na szczęście w porę wpadłam na ten pomysł. Nie schowałam go oczywiście w mieszkaniu, bo nawet nie byłoby go tu gdzie schować. Dałam go do przechowania Małgoście, na co Janusz może i wpadnie, lecz nic mu po tym.

Obraz, stanowiący przedmiot sporu, rzeczywiście był moją własnością, ale jego twórcą był przyjaciel Janusza i pewnie dlatego Janusz uważał, że obraz po prostu musi być jego. Autorem obrazu był Marek Cygler, przyjaciel męża z lat studenckich, świadek na naszym ślubie, deklarujący się następnie jako przyjaciel obojga. Justyny i Janusza Zamorskich. Rzecz w tym, że już nie jestem Zamorska. Po rozwodzie wróciłam do panińskiego nazwiska. A na odwrocie obrazu jest dedykacja: „Moim kochanym Zamorskim”, choć zgodnie z intencją Marka, który to właśnie mnie podarował ten obraz na imieniny, powinno być: „Mojej kochanej Zamorskiej”. Lub po prostu, i tak byłoby najlepiej: „Justynie” („kochanej” mógłby sobie darować).

To właśnie mu wytknęłam. „Nie daje się jednej osobie prezentu zadedykowanego dla dwóch osób” – skomentowałam żartobliwie, oglądając obraz zaraz po jego otrzymaniu. „Wy dwoje to jak jedna osoba, więc Zamorskim czy Zamorskiej – to wszystko jedno – roześmiał się autor dzieła. – A pomyślałem sobie, wpisując dedykację, że jeśli napiszę «Zamorskim», obejmie ona jeszcze wasze dziecko lub dzieci. I te dzieci będą miały po was w spadku arcydzieło bardzo sławnego twórcy, a spadek będzie ogromny, jako że dzieła sławnych twórców stają się bardzo cenne”.

Przepowiednia co do dzieci, czy nawet jednego dziecka, się nie spełniła. Natomiast autor dzieła istotnie stał się – może jeszcze nie sławny, jednakże już dość znany. Znany coraz bardziej, popularny coraz bardziej i jego obrazy rosły w cenę. Wystawiał, sprzedawał i robił się modny.

Nic więc dziwnego, że Janusz chciał mieć ten obraz.

– To z naszego wspólnego dobytku małżeńskiego rzecz najcenniejsza – argumentował. – Zostawiłem ci mieszkanie z całym wyposażeniem, ale chcę tylko tę jedną rzecz – obraz Marka – upierał się.

Nie chciał słyszeć, że mieszkanie stanowiło moją własność przedmałżeńską, a jego wyposażenie, z całym szacunkiem, było warte dwukrotnie mniej niż samochód (nabyty

w czasie trwania małżeństwa), który bez żadnej dyskusji zabrał mój eks.

Może nawet i oddałabym Januszowi ten obraz, specjalnie mi na tym arcydziele nie zależało, może nawet wolałabym się go pozbyć, bo budził pewne wspomnienia, o których chętnie bym zapomniała, ale – widząc determinację męża (byłego męża) – po prostu się zaparłam. Chciałam chociaż w ten sposób zrobić mu na złość, i już. Moja najserdeczniejsza przyjaciółka, Małgorzata Słodka, trochę wydziwiała i kręciła nosem.

– To jest obraz? – kpiła. – To jakiś bohomaz, po co ci takie coś? Kicz, i tyle – marudziła.

– Słodziczku, nie wydziwiaj, nie oddam obrazu Zamorskiemu, i już.

Gośka spojrzała na mnie spođe łba. Wiedziała, że się rozzłości o tego „słodziczka”. To nazwisko było jej zmorą, od dziecka musiała znosić różne przezwiska.

– Naprawdę, żebym chociaż miała słodkie życie – jęczała. – Ale przecież dostaję same kopniaki. Zmienię to głupie nazwisko – odgrażała się, jednak do tej pory tego nie zrobiła.

– Wyjdiesz za mąż, to będzie po problemie – tłumaczyłam jej. – I daj już spokój, naprawdę są gorsze nazwiska.

– Jasne, łatwo tak mówić komuś, kto się nazywa Sobolewska – odpowiadała przygnębionym głosem i na tym zazwyczaj kończyły się takie dyskusje. – Za tego „słodziczka” powinnam wyrzucić cię z domu, razem z tym malarskim arcydziełem!

Uff, myślałam, że bardziej mi się oberwie. Ale cóż, przyjaźń zobowiązuje, więc w obliczu argumentu, że to Januszowi na złość, Gośka ustąpiła i powiesiła malowidło w swoim mieszkaniu. W przedpokoju, dość ciemnym. Obraz jednak było widać. Artysta namalował nadmorski pejzaż, fale, kawałek pustej plaży i niewyraźną kobiecą postać na wydmach. Po niebie przemykały pierzaste obłoki, a między nimi przebłyskiwało słońce. Nad postacią kobiecą fruwał jakiś ptak, najprawdopodobniej mewa.

Tylko ja i Marek wiedzieliśmy, kim jest owa tajemnicza kobieta na obrazie. Do tej pory jednak pozostawało to naszą tajemnicą.

Bohomazem obraz nie był, z pewnością. Jednak jakimś wielkim dziełem sztuki chyba też nie. Przedmiotem sporu – owszem.

– No cóż – powiedziałam – widzisz, że obrazu tu nie ma. Może go sprzedałam, może komuś podarowałam, może zaniiosłam do sejfów w banku. Jest mój i mogłam z nim zrobić, co chcę. A ty oddawaj klucze i wynoś się. Więcej mi tu nie przyłaż, bo cię nie wpuszczę. I daj mi wreszcie święty spokój. Czy ta twoja dziumdzia już ci się znudziła, że nie masz nic lepszego do roboty jak nękanie byłej żony?

„Dziumdzia”, powód rozwodu, była, jak mi się wówczas wydawało, koleżanką z pracy Janusza i jego najnowszą miłością. Dość prędko dowiedziałam się o zdradzie męża, Janusz kilka razy późno wrócił z pracy, jakoś dziwnie pachniał, był roztargniony, nieobecny, nie miał ochoty na seks. A gdy przypadkiem, korzystając z komputera małżonka, odkryłam korespondencję między nim a „Kochaniem”, jak do tej „dziumdzi” pisał, wszystko stało się jasne. Komputer pozostawiłam włączony na stronie męzowskiej poczty, a przy nim położyłam kartkę: „Nie słyszałaś o hasle zabezpieczającym pocztę?”. Obok postawiłam dwie walizki z ubraniami małżonka; na kartce widniało także: „Nawet się nie waż wejść do sypialni, a rano ma już tu cię nie być”.

Nie miałam pojęcia, że „Kochanie” i „dziumdzia” to dwie osoby.

Co nie zmieniało istoty rzeczy...

Janusz ze złością rzucił klucze na szafkę w przedpokoju, z zapowiedzią, że jeszcze się zobaczymy, a jeśli nie oddam obrazu, spotkamy się w sądzie.

Pomyślałam, że oszalał, i gdy tylko za tym moim byłym mężem zamknęły się drzwi, szybko wyszukałam w gazecie pana z ogłoszenia i umówiłam się na następny dzień. Wkrótce przestałam się martwić, bo zamki zostały zmienione, a wszystkie komplety kluczy były w rękach właścicielki mieszkania. Jedynej właścicielki.

Rozdział 3

Weronika Malicka była studenką miłością Janusza. Byli ze sobą od początku studiów. Na trzecim roku Janusz znalazł się przed życiową szansą, ciotka – starsza siostra mamy – zaprosiła go do siebie, do Nowego Jorku. Pojechał, planując pobyt wakacyjny, został pięć lat. Wrócił, gdy ciotka zmarła, a mama umierała na raka i chciał być przy niej chociaż w tych ostatnich chwilach. Nawet nie próbował odnaleźć Weroniki, bo całkowicie o niej zapomniał. W Nowym Jorku miał kilka dziewczyn, z jedną omal się nie ożenił. Wrócił jednak do kraju, poznał Justynę, pobrali się i byli szczęśliwi. Ale po pewnym czasie wszystko zaczęło iść nie tak. Po sukcesach pierwszych książek podróżniczych i reportaży z Nowego Jorku dla Janusza nastał czas posuchy. Praca w redakcji nie dawała mu zadowolenia, nie trafił się żaden sponsor, nie mógł marzyć o żadnym atrakcyjnym wyjeździe.

Właściwie źle powiedziane, marzyć to mógł. I marzył. O Alasce. Ale do tej pory nie stało się nic, co mogłoby przybliżyć realizację tego marzenia. I nie można powiedzieć, żeby Janusz się o to starał. Cóż, niestety bez rezultatu.

A dzisiaj... Zamorski siedział podekscytowany w restauracji jednego z warszawskich hoteli, dobrej i wychwalanej. Czekał na kogoś, kto być może sprawi, że tematem następnej książki będzie Alaska. Tym kimś była bardzo ważna osoba z Orlenu, firmy, która z pewnością mogła sfinansować wyjazd na Alaskę i objąć patronatem nową książkę.

Szkopuł tylko w tym, że umówiona godzina spotkania minęła – trzydzieści minut temu – a tej bardzo ważnej osoby widać nie było. Janusz już miał zadzwonić do rzecznika prasowego Orlenu, gdy sam usłyszał dzwonek telefonu. Ktoś tam, po drugiej stronie słuchawki, bardzo grzecznie przeprosił, wyjaśniając, że niestety firma musi na razie zrezygnować z przedsięwzięcia.

– Jak tylko coś się zmieni, natychmiast odezwiemy się do pana.

No nie, jak w kinie: Niech pan nie dzwoni, to my do pana zadzwonimy, pomyślał wkurzony na maksa Zamorski i skinął na kelnera. Zamówił jakieś danie, specjalność szefa kuchni, oraz duże piwo. Najwyżej zostawi samochód na parkingu, do domu ma stąd świetne połączenie komunikacją miejską. Wypił jedno piwo, potem drugie i trzecie. Siedział i rozżalał się nad sobą. Ktoś tam w górze przestał się nim opiekować. Najpierw porąbało mu się życie zawodowe, potem zaczęło się kielbasić małżeństwo. I Alaska się oddala, do jasnej, nieprzemakalnej cholery.

– Janusz? Zamorski? – Powiódł wzrokiem w poszukiwaniu głosu wypowiadającego jego dane personalne i poznał właścicielkę od pierwszego spojrzenia.

– Werka! Chodź, siadaj tu, możesz? Skąd się wzięłaś?

Malicka chętnie przysiadła przy stole, dołączając się do konsumpcji piwa. Ona też miała za sobą pewien smutek, służbowy. Coś, co się jej należało, ominęło ją, niestety, i dostało się komuś innemu. Wpadła do restauracji, bo pracowała tu jej przyjaciółka, której chciała się zwierzyć. Niestety, dziewczyna miała dziś ranną zmianę, teraz więc już jej nie było. Spotkała Zamorskiego, po tylu latach... Tak więc siedzieli oboje, użalając się nad sobą i wspólnie zalewając robaka. Wreszcie doszły do głosu stare wspomnienia, obojgu przypomniała się dawna fascynacja – a że restauracja była w hotelu, łatwo przyszło przenieść się piętro wyżej.

Weronika miała Januszowi coś do powiedzenia, postanowiła, że zrobi to następnym razem. Następnego razu jednak nie było, bo stało się coś, co wywróciło życie Janusza do góry

nogami. A życie jej samej...

Rozdział 4

A było to tak:

– Panie Januszu, telefon. – Sekretarka naczelnego wsadziła głowę do pokoju Zamorskiego. – Podobno jakaś bardzo ważna sprawa.

– U pani, telefon do mnie? – zdziwił się Janusz, ale wyplątał się z za biurka i wszedł do sekretariatu.

Przez chwilę słuchał głosu w słuchawce.

– Zaraz będę. – Wybiegł, nie wyjaśniając niczego zaciekawionej pani Gabrysi i nie reagując na pytania, dokąd idzie, kiedy wróci i co ona, w razie czego, ma powiedzieć szefowi.

Wpatrywał się w twarz dziewczyny, którą widział teraz pierwszy raz w życiu, a którą powinien znać jak własną. Od dawna. Od zawsze, jej „zawsze”.

– Nie wpatruj się tak we mnie – poprosiła. – Tato.

Drgnął.

– A może nie chcesz, żebym do ciebie mówiła „tato”? Może będę po prostu mówiła ci po imieniu?

– Jak chcesz, kochanie. – Zamorski cały czas nie mógł przyjść do siebie.

– Obydwoje jesteście nieco rozkojarzeni. – Dziewczyna wzięła do ręki papierową chusteczkę, ale nie płakała, ścisnęła ją tylko w rękę, jakby musiała czegoś się trzymać, a tylko to było w pobliżu.

Rozkojarzeni? Telefon ze szpitala po prostu go ogłuszył.

– Pan Janusz Zamorski?

– Zamorski, słucham.

– Stanisława Dębska. Siostra oddziałowa z oddziału chirurgii na Wołoskiej. Proszę przyjechać do nas jak najprędzej. Córka miała wypadek. Już jest po operacji, stan stabilny, ale pewnie chciałby pan ją zobaczyć.

– To jakaś pomyłka. – Chciał odłożyć słuchawkę, ale coś (ktoś?) mu kazało tego nie robić. – Ja nie mam córki – powiedział jeszcze, ale siostra Dębska zdawała się w ogóle go nie słuchać.

– Sala dwieście dwanaście, przy wejściu na oddział proszę się powołać na rozmowę ze mną. Jestem w szpitalu do czternastej, parę spraw wymaga pańskiej obecności – usłyszał jeszcze i połączenie zostało zakończone.

– No dobrze, zaraz będę – powiedział do głuchej już słuchawki i nie myśląc w ogóle o niczym poza tą koniecznością natychmiastowego przybycia do szpitala, wszedł do samochodu i zaczął się przepychać przez zatłoczone Jerozolimskie w stronę alei Niepodległości.

Córka? Wypadek, operacja? O co chodzi, święty Boże? To jakieś totalne nieporozumienie. Przecież on nie ma żadnej córki. No chyba... Czuł, że przez telefon tego nie wyjaśni. Ale kategorię imperatyw w głosie siostry Dębskiej zmusił Janusza do natychmiastowego działania. Poruszał się jak automat zaprogramowany na wykonanie

zadania: przyjechać na chirurgię, na Wołoską. Nieważne, że nie wiedział, o jaką operację chodzi. Nieważne, że w ogóle nie wiedział, o kogo chodzi. Córka??? Kazano mu przyjechać, więc jechał. Potem, jak już wszystko się wyjaśniło i wiedział dokładnie, co się stało, pomyślał, że kierował nim chyba jakiś palec boży. Nie dyskutował, nie wypytywał – i choć nic nie rozumiał – zrobił, o co go proszono. A właściwie co mu kazano.

A sprawa nie była taka skomplikowana. Weronika Malicka jechała z córką do Galerii Mokotów. Za tydzień był ten wspaniały dzień, uroczystość z okazji udanej obrony pracy magisterskiej Agnieszki. Obydwie potrzebowały nowych ciuchów. Sukienka, buty, torebka, apaszka i wszystko, co tylko jeszcze się przyda. Weronika właśnie dostała w firmie, w której pracowała, nagrodę jubileuszową za dwadzieścia pięć lat pracy. Nie była to jakaś oszałamiająca kwota, ale na ciuchy i dodatki miała wystarczyć. Jechały więc sobie Wołoską, podśpiewując razem z Radiem Złote Przeboje. Gdy włączyła się reklama, Weronika spojrzała w bok, sięgając ręką w stronę radia, chcąc wyszukać inną stację. Nie zdążyła, bowiem w mgnieniu oka zmieniło się światło i w bok jej auta wbiło się o wiele większe auto, którego kierowca założył, że Citroen Malickiej zahamuje przed skrzyżowaniem.

Weronika zmarła dwadzieścia minut po zabraniu jej do szpitala, Agnieszka była nieprzytomna, lekarze podjęli decyzję o natychmiastowej operacji. Przeszukano rzeczy obu kobiet, by odszukać jakiś kontakt, należało przecież powiadomić rodzinę o tym, co się stało. No i taki drobiazg, potrzebne były dokumenty potwierdzające prawo do leczenia w ramach NFZ. Takie małe druczki RMUA na przykład. W dokumentach Agnieszki Malickiej nie znaleziono niczego, co ułatwiłoby zadanie. Natomiast za okładką dowodu osobistego Weroniki Malickiej tkwiła kartka, z której wynikało, że w razie wypadku należy powiadomić Agnieszkę Malicką (adres, telefon). Ale na szczęście była tam jeszcze jedna informacja: „w przypadku niemożliwości powiadomienia Agnieszki Malickiej, mojej córki, w sprawie nadzwyczajnie pilnej należy powiadomić jej ojca, Janusza Zamorskiego (telefon do pracy)”.

Proste, prawda?

Tylko że on nie miał pojęcia o tym, że ma córkę. Weronika – nawet gdyby chciała – nie mogła go o tym powiadomić, bo kontakt urwał się trzy miesiące od wyjazdu Janusza. Ciotka i Janusz wraz z nią zmienili adres, a Zamorski nie czuł już potrzeby komunikowania się z Weroniką. Był oszołomiony nowym życiem, nowymi znajomościami, nowymi perspektywami.

A Werka postanowiła, że urodzi dziecko i da sobie radę sama. Zresztą i tak nie miała nikogo do pomocy. Rodzice od dawna nie żyli, rodzeństwa nie było. Przyjaciółek za dużo jakoś też nie. Zresztą lubiła samotność i naprawdę doskonale sobie poradziła. Córka stała się światelkiem jej życia, a gdy dorosła, została jej najbliższą przyjaciółką. Agnieszka miała oczywiście swoje życie, swoich kolegów, chłopaka, studia, perspektywy. Ale matka była jej najlepszą powiernicą, stały się prawie nierozłączne. Prawie. Mieszkały na Wolskiej, niedaleko cmentarza prawosławnego. W dwupokojowym mieszkaniu urządziły się całkiem wygodnie, każda miała swój kącik, z tym że pokój matki był także wspólną jadalnią, salonem, kącikiem do pogaduszek i czytelnią. Agnieszka w swoim pokoju miała tylko miejsce do pracy i tapczan do spania. Kiedy się nie uczyła – i nie spała – przesiadywały obydwie w większym pokoju i bardzo lubiły te wspólne chwile.

Gdy Agnieszka miała osiem lat i jej pytania o tatę zrobiły się natarczywe, Weronika wytłumaczyła córeczce, że tatuś mieszka w Stanach Zjednoczonych (choć wtedy już Janusz był od kilku lat w Polsce). Wyciągnęła atlas, pokazała dziewczynce ten obcy, wielki kraj,

opowiedziała trochę o jego historii. Dziecko słuchało z otwartą buzią i przestało pytać o tatusia. Raz zapytała tylko, czy jej tata kiedyś wróci do Polski. Weronika odpowiedziała wymijająco. Ale śledziła losy Janusza, który po powrocie z USA napisał cykl artykułów o tym kraju, potem zaś, po paru latach, książkę o Nowym Jorku. A jeszcze wcześniej inne książki, podróżnicze. Weronika czytała wszystkie, nie kupowała ich jednak, nie chciała mieć w domu niczego z nazwiskiem Zamorski. Córka po pewnym czasie zupełnie przestała interesować się ojcem, zaakceptowała to, że są tylko we dwie na świecie.

Ojciec Agnieszki był na tyle znaną postacią, że od czasu do czasu ukazywały się z nim wywiady lub artykuły o nim. Z jednego z takich wywiadów Weronika dowiedziała się, gdzie pracuje Zamorski, zdobyła numer telefonu do sekretariatu jego firmy i skrupulatnie uzupełniła wpis na kartce przechowywanej za okładką dowodu osobistego. Cyganka wywróżyła jej, że zginie w wypadku samochodowym, w którym będzie także ranna jej córka. Malicka bezgranicznie wierzyła takim wróżbom – i okazało się, że słusznie.

Spotkawszy Janusza przypadkiem, po tylu latach – a owo spotkanie skończyło się w hotelowym łóżku – Weronika rozkoszowała się świadomością, że ma oto w zanadrzu coś, co zwałiby z nóg tego jej studenckiego idola. Już, już miała mu oznajmić wielką nowinę... Albo i nie, zastanowiła się po minucie. Zdecydowała, że powie mu o córce w niedalekiej przyszłości, może przy następnym spotkaniu, bo święcie w takie wierzyła. Na razie chciała się nacieszyć chwilą.

O cygańskiej przepowiedni kompletnie zapomniała – a okazało się, że niesłusznie.

Rozdział 5

Zamorski, skoro już dotarła do niego wiadomość, że jest ojcem, pokochał córkę bezgranicznie. Usiłował odrobić te stracone lata, kiedy jego dziecko ojca nie miało.

Gdyby ktoś go zapytał, dlaczego właściwie nie powiedział żonie o tym, co się właśnie wydarzyło w jego życiu, nie umiałby odpowiedzieć. Może dlatego, że w owym czasie trochę odchodzili od siebie – on, zniechęcony monotonią życia, ona – zniechęcona brakiem dobrego kontaktu z mężem. Poza tym wydawało mu się, że ta nowa córka jest tylko jego, i na razie nie chciał się nią z nikim dzielić. Chyba w ogóle nie myślał, tylko czuł i przeżywał.

Gdy Justyna przypadkowo znalazła w jego komputerze mejl do Agnieszki, nie sądził, że pomyślała, że ma kochankę. Fakt, zdradził ją, tamten jedyny raz – wtedy, w tym pieprzonym hotelu. Ale, jak to mężczyzna, nie uznał owej zdrady za sprzeniewierzenie. No co, miał zmartwienie, upił się tymi kilkoma (wieloma!) piwami i napatoczyła się Weronika. Zdarzyło się, owszem, ale przecież to nie było nic ważnego. Próbował wyjaśnić całą tę sytuację Justynie, żonie, miłości jego życia.

– Zrozum, to było tylko fizyczne. Zbliżenie fizyczne. Nic więcej – rozpoczął, lecz i tak widział, że źle mu idzie. – Nie było w tym zdrady jako takiej, przecież wiesz, że Kocham tylko Ciebie (cholera, i Agnieszkę, pomyślał, ale przecież teraz nie uraczy Justyny opowieścią o córce). Nie odszedłem od Ciebie uczuciowo, w ogóle nie myślałem o tym, co się wtedy działo, ot, stało się, jakbym – no, nie wiem – poszedł do dentysty albo kupił kapelusz, albo... – Urwał, bo żony już nie było w pokoju. – W dodatku to się stało już dawno. – Pokręcił głową, rozmyślając nad bezsensownością zarówno tej rozmowy, jak i całej sprawy. I raptem uprzytomnił sobie, że – jak ostatni kretyn – sam się przed żoną wygadał o tym hotelowym epizodzie. Gdyby tak poszedł w zaparte...

– Masz się wynieść z mojego życia! – wrzasnęła Justyna przed wyjściem. – Idź sobie kupować te kapelusze gdzie indziej. Do dentysty, dobre sobie... – usłyszał jeszcze. – Ja jestem dentystką, zapomniałeś?

Następnego dnia znowu próbował porozmawiać, przekonać ją, że przecież nic się nie stało, że jeden epizod nie może przekreślać całego życia. Nie mógł już teraz wyjaśniać, że „Kochaniem” jest córka – bo jak miał żonie, na Boga, opowiedzieć teraz o tej swojej córce?

Nie potrafił, nie dał sobie z tym rady, postanowił przeczekać. Nie wiedział, że Justyna nie odpuści, bo tak mocno ją zranił, iż uznała, że jedyną formą odpłaty jest tylko i wyłącznie rozwód.

Rozwód orzeczono po kilku miesiącach, Janusz wyprowadził się następnego dnia po komputerowym odkryciu Justyny. Nawet długo nie dyskutowali.

– Ja biorę samochód, tobie zostawiam resztę. – Taki był podział majątku, ustalony przez pana Zamorskiego, a pani Zamorska, wkrótce z powrotem Sobolewska, tylko machnęła ręką.

O obraz Janusz zaczął się upominać miesiąc po rozwodzie. Dlaczego akurat wtedy, Justynie nie chciało się teraz dociekać.

Rozdział 6

Jakimś przedziwnym trafem Janusz zniknął z mojego życia. Wtedy ze złością rzucił klucze na szafkę w przedpokoju, z zapowiedzią, że jeszcze się zobaczymy, a jeśli nie oddam obrazu, spotkamy się w sądzie. No cóż, wezwałam ślusarza i postanowiłam się nie martwić.

Przestał się naprzykrzać, jak gdyby wiedział, że zmieniłam zamki. A może wiedział? No jasne, na pewno. Prawdopodobnie przyszedł, kiedy byłam w pracy, i przekonał się, że klucze już nie pasują. Nie dzwonił, bo nie chciał mi dawać satysfakcji.

W tej chwili jednak było mi wszystko jedno, co robi czy zrobi mój były mąż. Zajmowałam się ostatecznym szlifem kolejnej książki, przypominając sobie, jak to było dwa lata temu. W chwili – mojej wielkiej chwili triumfu – gdy na początku października dwa tysiące dziesiątego roku zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, mówi Dorota Kwiatkowska z wydawnictwa Czas Czytania. Jestem odpowiedzialna za dział polskiej książki w naszym wydawnictwie i pragnę poinformować panią, że chcielibyśmy wydać *Wojenną miłość*. Mam nadzieję, że sprawa jest jeszcze aktualna i że pani nie podpisała jeszcze z nikim umowy.

Nogi ugięły się pode mną. Jechałam wówczas tramwajem, wracałam od Małgorzaty. Nastrój miałam taki sobie, bo Małgośka poznała właśnie kolejnego mężczyznę swojego życia i – jak sama mówiła – promieniała szczęściem. Najnormalniej w świecie jej zazdrościłam. Ale to, co usłyszałam przez telefon, przebijało wszystko. Mężczyzna życia? A cóż to takiego? I komu on potrzebny? Wydawnictwo Czas Czytania chce wydać moją książkę. O matko, matko, matko!

– Dzień dobry – odpowiedziałam grzecznie. – Cieszę się z tego, co usłyszałam. Dobrze, że dziś pani zadzwoniła, bo właśnie na jutro jestem umówiona w pewnym wydawnictwie, wybaczy pani, ale nie powiem, o które chodzi. Złożyli mi ofertę wydania mojej książki, ale jeszcze do niczego się nie zobowiązałam. – Byłam bardzo dumna z siebie, że w mgnieniu oka wymyśliłam coś takiego. Uznałam, że dobrze będzie podwyższyć poprzeczkę, a druga oferta (może jeszcze wymyślę trzecią) z pewnością wzmocni moją pozycję przetargową. – Ale przyznam szczerze, że gdybym miała wybierać, wybrałabym Czas Czytania, bo to moje ulubione wydawnictwo. No chyba że państwo zaproponują mi znacznie gorsze warunki. Proszę pani – dodałam w natchnieniu – właśnie jadę tramwajem i za chwilę muszę wysiąść. Czy możemy się umówić na rozmowę jutro, w godzinach porannych?

Pani z Czasu Czytania przystała na propozycję i zaproponowała spotkanie o godzinie dziesiątej w siedzibie wydawnictwa.

Spotkanie zaowocowało podpisaniem umowy.

– Wie pani – przypominałam sobie, co wtedy powiedziała pani Dorota. – Na ogół nie podpisujemy umów w takim tempie, ale wyznam szczerze, że ta książka bardzo się nam wpasowała w nową serię, którą zamierzamy wydawać w przyszłym roku. *Miłość i wojna. Sześćdziesiąt sześć lat po*. Tak nietypowo, sześćdziesiąt sześć lat po zakończeniu wojny, bo szóstka to magiczna cyfra, a dwie szóstki tym bardziej. Mamy już przygotowane dwie pozycje, ale rozpocząć tę serię chcielibyśmy pani książką, z uwagi na jej przekrojowość. Stąd więc pośpiech przy podpisywaniu umowy. Oczywiście jeżeli pani zaakceptuje nasze warunki. Proszę spokojnie przejrzeć umowę, a ja pójdę zorganizować dla nas jakąś kawę, bo jeszcze trochę mamy do omówienia.

I wyszła z pokoju, zostawiając mnie z umową i długopisem. Próbowałam czytać te wszystkie punkty i paragrafy, ale litery migają mi w oczach i nic nie rozumiałam. Widziałam tylko: „... między Justyną Sobolewską, zwaną dalej Autorem...” i już więcej widzieć nie potrzebowałam. Wynagrodzenie, nakład, warunki... A cóż to kogo obchodzi? Czas czytania chce wydać moją książkę, i to już za trzy miesiące. A ja jestem „Autorem”. Czyż może być coś piękniejszego?

Gdy pani Dorota wróciła, niosąc tacę z dwiema filiżankami kawy, udawałam, że odwracam właśnie ostatnią stronę umowy.

– No cóż – powiedziałam. – Prawdę mówiąc, tamto wydawnictwo oferuje mi nieco lepsze warunki finansowe, ale przyznałam się już pani, że mam słabość do Czasu Czytania. No i mam nadzieję na dobrą promocję książki, tym bardziej że to właśnie ona ma otwierać nowy cykl. A więc podpisuję umowę i liczę na dobrą współpracę.

Wyszłam z bólem głowy, oszołomiona i zaopatrzona w niezbędne informacje. Że powinnam jeszcze dopisać taki i taki wątek, że niedługo zgłosi się redaktorka i wszystko omówimy, potem będzie korekta, potem tekst trafi do mnie raz jeszcze, a po ostatecznej akceptacji zmian redakcyjnych to... i tamto... i wtedy już nie pamiętałam co.

Kiedy dotarłam do domu, już w stu procentach czułam się autorką. Otworzyłam butelkę wina i opilałam swój sukces sama ze sobą, bo za bardzo nie miałam z kim. Goście w ogóle nie mówiłam, że coś piszę, bo nie chciałam zapeszyć ani też najeść się wstydu, gdyby nic z tej pisaniny nie wyszło. Wiedziałam, że pochwalić się zawsze zdążę.

Tak więc obudziłam się wtedy jako przyszła sławna pisarka. Miałam już w głowie zarys dalszego ciągu *Wojennej miłości*. Będzie to *Powojenna zawierucha*, opis kilku lat życia bohaterów w trudnych latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

„Dom stał i to było najważniejsze. Ważne było też to, że udało się jakoś wydzielić, wyodrębnić, wyizolować te ich dwa pokoje...”

Tak, to będzie początek drugiej części – siedziałam przy komputerze, szczęśliwa, że to sobota i że przede mną całe dwa dni, które będę mogła poświęcić na pisanie. A pomyśleć, że jeszcze tak niedawno nie cierpiałam weekendów, bo wtedy samotność była najdotkliwsza.

Odstawiłam na stolik kieliszek wina. Otworzyłam je, wspominając te moje pierwsze pisarskie chwile; po bezowocnym wpatrywaniu się w ekran komputera, na którym migał kursor po wyrazach „Rozdział czwarty”. Robiłam taką swoją wewnętrzną redakcję przed wypuszczeniem do wydawnictwa czwartej powieści. Powieść trzecia ukazała się w lutym.

Rozdział 7

Krzysztof Wolański szedł Mazowiecką, powłócząc nogami. Był piątkowy wieczór, a on nie miał żadnych planów, nie tylko na ten wieczór, ale też na cały weekend. Dzisiejszy wykład Marka Cyglera, malarza cieszącego się coraz większą popularnością, wywołał nawrót uczuć, o których Krzysztof najchętniej chciałby zapomnieć. I, cholera, nie mógł. Wielbił Cyglera jako artystę, malarz stanowił też obiekt jego pożądania. Krzysztof Wolański był gejem, niestety, jak sam dodawał. Niestety, bo w naszym kraju homofobia miała się świetnie i jeśli ktoś się ośmielił wyznać swoje preferencje seksualne, był skreślony w całym otoczeniu, nawet przez tych, którzy twierdzili, że nie mają nic przeciwko homoseksualistom. Twierdzili tak, żeby czuć się w porządku, zachowywali się jednak tak, jak oczekiwało tego od nich otoczenie. Czyli... no właśnie.

Krzysztof ukrywał więc, prawie przed całym swoim otoczeniem, że niespecjalnie lubi dziewczyny. Ba, zmuszał się nawet dość często do kontaktów z kobietami, również seksualnych – i choć nie przynosiły mu specjalnej przyjemności, potrafił jednak dać sobie z tym radę.

Na Cyglera patrzył łakomym okiem od czasów studenckich. Wprawdzie nie studiowali razem – Marek był na ASP, a Krzysztof studiował farmację na AM – znali się jednak, widując się, jak prawie wszyscy studenci, w Hybrydach, Riwierze, Medyku, STS-ie i innych miejscach, odwiedzanych przez warszawskich żaków. Miłość owa – czy nadzieja na miłość – była, niestety, platoniczna, Cygler był typowym – jak najbardziej typowym – straightem, czyli samcem heteroseksualnym. Dziewczyny biły się o niego, i to dosłownie, a on przebierał i wybierał jak w ulęgałkach. Mężczyźni nie interesowali go zupełnie, chyba nawet kolegów nie miał zbyt wielu; po prostu na rodzaj męski nie było w jego życiu miejsca i czasu.

Para młodych ludzi, idących przed Wolańskim, skręciła raptownie w prawo. Krzysztof powędrował za nimi wzrokiem i spostrzegł, że stoi przed jednym z najmodniejszych ostatnio miejsc w stolicy. Klub Nocny Marek mieścił się w stylowym, historycznym budynku, jakich kilka można znaleźć na Mazowieckiej. Zadzwońło mu w głowie: „...są tacy też – na Mazowieckiej...”. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, z czego to cytat i skąd mu przyszedł do głowy, ale bardzo prędko odtworzył sobie dalszy ciąg: „A Inge? Inge miała w sobie jakiś smak niemiecki...” – i już wiedział, że to *Inge Bartsch* Gałczyńskiego. Krzysztof dużo słyszał o Nocnym Marku, lecz nie miał jeszcze okazji sprawdzić, czy dobra opinia, jaką się cieszy ten lokal, jest zasłużona, czy nie. Poza tym spodobała mu się nazwa klubu – jako dodatek do wspomnień o spotkaniach z Cyglerem. Bo spotykali się wiele razy w gronie wspólnych znajomych. Czasami te męskie posiedzenia trwały do białego rana. Wolański zawsze pozostawał tak długo, jak długo w towarzystwie był Cygler, wiele razy starał się wychodzić razem z malarzem, ten jednak zawsze jakoś się urywał i nigdy nawet najmniejszym słowem nie dał poznać, czy właściwie odczytuje starania Krzysztofa. Co zresztą było bez znaczenia wobec całkowitej obojętności, jaką artysta prezentował w stosunku do płci męskiej.

Pod wpływem impulsu, a może nawet pod wpływem nazwy klubu, Wolański postanowił, że wejdzie do środka. Szczęśliwie były wolne miejsca i udało mu się nawet zająć niezłe stanowisko przy barze. Obejrzał dokładnie wnętrze; całość lokalu utrzymana była w kolorach jesieni, z przewagą brązu, beżu i złota. Sporo przytulnych stolików, otoczonych wygodnymi kanapami, wydawało się zapewniać zarówno intymność, jak i dobry kontakt z otoczeniem, wedle życzenia. Było kilka wyodrębnionych łóż, odsłoniętych od strony sali, w tej chwili pustych. Muzyka bębniła bardzo głośno, światła migąły po parkiecie. Niewiele osób tańczyło, w tej chwili życie skupiało się przy dwóch barach. Przy tym na prawo siedział Krzysztof. Obok niego były jeszcze dwa wolne stołki, na które po chwili wtoczył się jakiś grubas, dosłownie zajmując obydwa. Wolański popijał tequilę i popatrywał smętnie dookoła. Raptem drgnął, gdy w jednej z łóż dostrzegł znajomą postać. Z niedowierzaniem przetarł oczy... tak, to jego idol, Marek Cygler.

– Witam, mistrzu. – Stał przed malarzem ze szklaneczką swojego trunku w ręku.
– Mogę się przysiąść czy czekasz na kogoś?

Cygler spojrzał na niego bez błysku rozpoznania w oczach.

– Krzysztof Wolański, nie pamiętasz mnie? – Z niepewnym uśmiechem wpaśował się w ławę stojącą naprzeciwko Marka i uniósł w górę szklaneczkę z tequilą. – *Santé!*

– Wolański, Wolański... – mamrotał pod nosem malarz, niezbyt wyraźnie i z niejakim trudem. – Krzychu! – rozpromienił się po chwili, a Krzysztofowi było obojętne, czy poznał go naprawdę, czy po prostu tylko powtórzył usłyszane przed chwilą imię.

Zaczęli rozmowę, w zasadzie o niczym, z tym że Wolański celowo pytał co chwila o którąś z wystaw tamtego. Cygler miał ich w Warszawie wiele, był popularny i galerie wiedziały, co robią, zapraszając właśnie tego artystę, a nie innego. Markowi ten temat rozmowy wyraźnie pasował, ale po kolejnej kolejce – malarz, jak to malarz, pił absynt – raptem zdecydował się opowiedzieć coś innego.

– I, cholera, cholerrra, mówię ci, wszystkie baby to suki, no mówię ci. – Wychylił trunek jednym haustem. – Jedna tylko była prawdziwą kobietą, mmmówię ci. – Zaciął się lekko i zamilkł, patrząc gdzieś w dal. – Kochałem ją w takiej pięknej scenerii, wydarłem serce z piersi i namalowałem nim obraz. A ona się wypięęła... – Zamilkł i spojrzał na swego towarzysza, jakby zadziwiony, kto on zacytował i skąd się wziął. Po chwili machnął ręką i po opróżnieniu kolejnej porcji absyntu z kieliszka kontynuował: – Justyna Sobolewska, autorka, psia jej mać. Nie, nie, wróć, nie krytykuję jej. Pisz świetne książki, czytałem wszystkie, bo ją kocham. Ale ona mnie nie chce, maszysz pojęcie? – zasyczał ze złością. – Choć to dawno było... – Zamyślił się, spoglądając pustym wzrokiem gdzieś w przestrzeń. – Woli tego swojego głupkowatego męża i chociaż się rozwiodła, wiem, że kocha go nadal. Płakała mi w mankiet. A ja ją tylko pocieszałem. Dobra, niech sobie dalej pisze, niech leczy ludziom zęby i tęskni do byłego męża. Ja wszystko przetrwam...

Krzysztof wysłuchał całej tej opowieści, klepiąc Marka po plecach i przyjacielsko obejmując go za ramiona. Poznał nazwisko kobiety, która nie chciała Cyglera – nie chce Cyglera – to aż niewiarygodne! Najpierw ucieszył się, że może malarz, zniechęcony do kobiet, zwróci się w stronę drugiej płci, po chwili jednak uznał, że tak się nie stało. Ogarnął go gniew, podsycany tequilą, na tę bezmyślną babę, która odrzuciła jego idola. Zakotował sobie starannie jej nazwisko. Justyna Sobolewska. Zapamięta je, z pewnością. Leczy ludziom zęby? Świetnie, to istotna informacja. Zrobiła przykrość Markowi, muszę ją koniecznie poznać, pomyślał.

Po co mu taka znajomość, na razie się nie zastanawiał, cóż, nie był trzeźwy, i tyle.

Wolański nie wierzył własnym oczom – jednak ten Internet naprawdę się przydaje – oto reklama: „Gabinet dentystyczny «Ząb w koronie», najlepsi fachowcy” – i lista nazwisk, z godzinami przyjęć. Wśród zatrudnionych: Justyna Sobolewska.

– Dzień dobry. – Zadzwoił tam natychmiast. – Chciałem się zapisać do doktor Sobolewskiej. A czy to ta sama osoba, która napisała taką świetną książkę, *Wojenna miłość*? Czytam i jestem pod wrażeniem.

– Tak – rozchichotała się kobieta odbierająca telefon. – No, skoro pan jest wielbicielem naszej sławnej autorki, to zapiszę pana na specjalną wizytę zaraz po przyjaciółce pani doktor. Proszę przyjść w środę, o osiemnastej trzydzieści. Może być?

Mogło być, oczywiście.

Choć Wolański o poznaniu pani Sobolewskiej zdecydował po pijaku, ten osobliwy pomysł nie przeminął i w dalszym ciągu chciał przynajmniej ujrzeć Tę, Która Wzgardziła Cyglerem.

A najpierw obejrzy sobie tę jej przyjaciółkę.

Krzysztof zjawił się pod przychodnią już o osiemnastej. Stał, obserwując wejście. Raptem drgnął, gdy z drzwi wyszła dość młoda kobieta, nawet ładna i zgrabna. Szybko ruszyła w stronę parkingu. Wolański ruszył truchtem w jej stronę i udając zagapienie, wpadł na nią, o mało jej nie przewracając. Tak właśnie się poznali – Małgorzata Słodka i nowy mężczyzna jej życia, Krzysztof Wolański.

A pani doktor miała puste okienko w swoim harmonogramie przyjęć, gdyż nowy pacjent nie przyszedł.

Krzysztof postanowił rozpracować Sobolewską, a najlepszym źródłem informacji z pewnością byłaby jej przyjaciółka. Po tym „przypadkowym” spotkaniu na razie odpuścił Małgorzacie, wystarczyło mu, że pojechał za nią i dowiedział się, gdzie mieszka. To było bardzo łatwe. Po tym, jak na niego patrzyła pod tą przychodnią, miał pewność, że przy drugim spotkaniu – też „przypadkowym” oczywiście – tym chętniej da się namówić na trzecie, już nieprzypadkowe. Nie musiał jednak pozorować drugiego przypadkowego spotkania, gdyż doszło do niego rzeczywiście przypadkiem. Przyjaciółka Sobolewskiej przyszła, strasznie zasmarkana, do apteki, w której pracował.

Rozdział 8

Maks Baron przez kilka dni nie zaglądał do Internetu. Nie przyszło mu to łatwo, lecz musiał być konsekwentny w swoich postanowieniach, inaczej gra, którą rozpoczął, wymknęłaby się spod kontroli. Zasiał w jej umyśle ziarno niepokoju i ciekawości, nawet jeśli dobrze sobie tego nie uświadamiała. Ale umiała czytać między wierszami, była przecież pisarką. Zapamiętał, o jakiej porze zwykle pojawiała się na Facebooku. Gdy zaszedł do kawiarenki internetowej, innej niż poprzednio, miał niemal pewność, że zastanie ją w sieci. Zalogował się na swój profil i wybrał ikonkę prywatnej wiadomości.

KLIK

„Chciałbym opowiedzieć ci pewną historię. Jeśli masz czas, może przyda ci się do książki”.

Była tam. Niemal natychmiast pojawiła się informacja, że użytkownik pisze odpowiedź. Ale okienko tak długo pozostawało puste, jakby tylko wstawiła kursor i nie mogła się zdecydować, co odpowiedzieć.

„Bardzo mi miło... Ale czy my się znamy?”

Dlatego go zapamiętała, poprzedni wpis nie dawał jej spokoju.

„I tak, i nie. Któż może powiedzieć, że poznał drugiego człowieka na wylot? Nawet sami siebie do końca nie znamy”.

„Wiesz, co miałam na myśli” – odpisała po jeszcze dłuższej pauzie.

„Tak. Myślę, że tak”. – Nie pozostawiając jej czasu na pytanie, cóż owo „tak” mało oznaczać, dopisał: „To historia dziecka, opowiadana jego własnymi słowami, której nikt nigdy nie miał poznać”.

„Twoja historia...?”

Tym razem on wstawił kursor w pole odpowiedzi, lecz nie odpisał. Zaintrygował ją, będzie czekała, wyobrażając sobie jego emocje, starając się dociec przyczyny nagłego zamilknięcia.

„Dlaczego właśnie mnie chcesz wyjawić tę historię?” – pierwsza przerwała milczenie.

„Bo ufam, że zrobisz z niej właściwy użytek”.

„Więc wyślij mi ją mejlem, adres znajdziesz na moim profilu”.

„Nie mogę, ona nie jest zapisana elektronicznie. Musiałbym wszystko przepisywać...”

Natychmiast wyczuła, dokąd zmierza rozmowa, i odpisała podobnie jak na wszystkie prośby o osobiste spotkanie:

„Zapraszam na swój wieczór autorski, jeśli masz czas. To już dzisiaj”.

„Niestety, dziś jestem umówiony”.

„Szczерze żałuję, że nie będę mogła Cię poznać”.

Trwał chwilę z palcami zawieszonymi nad klawiaturą.

KLIK

Rozdział 9

Starsza pani zdjęła swojemu ulubieńcowi obrozę wraz ze smyczą.

- Teraz pies grzecznie zostanie w domu, a pani pójdzie się ukulturalniać
- powiedziała, odwieszając uprząż na kolek w przedpokoju.

Misiek spojrzął na nią z wyrzutem, odwrócił się tyłem i szczerknął demonstracyjnie. Dobrze rozumiał słowa: „grzecznie zostanie w domu”. Przecież zawsze był grzeczny. Nawet na długo się nie obrażał. Może i chciałby, ale zawsze, ilekroć usłyszał klucz w zamku, cały stawał się roztańczoną, rozmerdaną radością. Misiek, pies o mało oryginalnym imieniu, w istocie był mało oryginalny. Ot, zwykły kudłaty kundelek, niezbyt duży, o czarnym umaszczeniu. Byłby podobny do pudła, gdyby miał dłuższe nogi. Ale jego pani kochała go takiego, jaki był.

Tego dnia pani Danuta wybrała się do biblioteki na spotkanie z autorką. Zawsze chodziła na takie imprezy, bo były to nieliczne atrakcje, jakie jeszcze trafiały jej się w życiu. I nie uszczuplały jej skromnego budżetu.

Przez obowiązkowy spacer z psem spóźniła się trochę, na szczęście zauważyła puste krzesło w drugim rzędzie. Nie należała do osób lubiących rzucać się w oczy, a kiedy siadała, zdawało jej się, że wszyscy obserwują ją z wyrzutem. Autorka opowiadała o swoich książkach, trochę o treści, trochę o tym, jak powstawały. A gdy zaczęła mówić o pomysły na najnowszą powieść, niespodziewanie wywiązała się dyskusja o zabarwieniu światopoglądowym. Jedna z czytelniczek zarzuciła wprost autorce, że jest apologetką nieetycznych zachowań, bo w jej książkach jest i aborcja, i miłość pozamałżeńska, i rozwody. A to nie uchodzi!

- Pani może nie wie, jak takie książki wpływają na umysł, zwłaszcza młodego człowieka. Czyta o takich zachowaniach i myśli, że teraz i jemu wszystko wolno – mówiła z zapalem owa kobieta, wcale nie tak bardzo wiekowa, ale widać bardzo konserwatywna.

Autorka próbowała coś odpowiedzieć, ale po kilku słowach zaśmiała się i odparła, że życie jest właśnie takie jak w wielu książkach, a umysł młodego człowieka raczej kształtują inne wzorce.

- Młodzieży brakuje autorytetów! – Tamta nie zamierzała odpuścić. – Bo gdzie mają je znaleźć?

- Młodzież raczej nie sięga po moje książki.

- Zdziwiłaby się pani, oni właśnie sięgają po takie pozycje! – Rozmówczyni jadownicie podkreśliła ostatnie słowa.

W odpowiedzi autorka westchnęła głęboko, lecz uważny obserwator mógł dostrzec, jak zadrgały jej kąciki ust. Pani Danuta stwierdziła z satysfakcją, że pisarka nie przejęła się szczególnie napaścią.

Nie wiadomo, czy to właśnie przez tę dyskusję, czy z uwagi na osobowość autorki, po spotkaniu utworzyła się kolejka czytelników pragnących uzyskać autograf. Sprzedały się prawie wszystkie książki. Pani Danuta trochę biła się z myślami: – kupić – nie kupić? Była emerytką i nie miała zbyt dużo pieniędzy. Ale przypomniała sobie, że przecież niedługo będą jej urodziny, postanowiła więc zrobić sobie prezent. A co tam, pomyślała. Najwyżej kilka razy zjem biały ser zamiast wędliny. I po chwili zaśmiała się z tego pomysłu, przypominając sobie ceny białego sera. Wcale nie niższe od cen wędliny.

A, jakoś będzie, beztrudno machnęła ręką i ustawiła się w kolejkę po książkę. Po chwili,

ściskając w garści cenne trofeum, wyszła z biblioteki, kierując się w stronę domu.

Wolno wstukała kod domofonu, ostatnio coraz częściej zdarzały jej się pomyłki. Najchętniej obarczyłaby winą to urządzenie, bez którego obywała się przez większość życia, jednak prawda była inna. Zwykle zapominała zabrać okulary do czytania, a jeśli nawet miała je ze sobą, nie chciało jej się tracić czasu na wyciągnięcie szkieł z torebki.

Tym razem domofon zaterkotał już za pierwszym razem, pani Danuta weszła na klatkę schodową i po omacku zaczęła szukać włącznika światła na ścianie. Wiedziała, że Misiak waruje pod drzwiami w oczekiwaniu pieszczot i spaceru, pies serduszko już wie, że pani wraca. Dłużej niż zwykle nie mogła znaleźć przycisku, może dlatego, że podświadomie coś ją zaniepokoiło. Przez całą drogę z biblioteki słyszała za sobą kroki. Nawet miała ochotę obejrzeć się raz i drugi, lecz tylko zbeształa się w myślach. Nie mieszka przecież na odludziu, cóż w tym dziwnego, że ktoś wraca w podobnym kierunku? Ale niepokój nie minął. Z tego wszystkiego zapomniała przytrzymać drzwi, za moment zamknęła się z trzaskiem, który gotów wywabić na klatkę tę zołzę z parteru. Gdzie ten przycisk? I czemu nie słyhać trzasku...

Usłyszała dźwięk przypominający wyskakiwanie korka od szampana, nagle uderzenie między łopatkami pchnęło ją na schody, aż straciła równowagę i upadła. Nie rozumiała, co się dzieje, nie czuła bólu. Krew z rozciętego o stopień czoła płynęła po twarzy ciepłą strugą. W ostatnim przeblysku gasnącej świadomości pomyślała o Miśku.

Szeroko otwarte oczy staruszki ogarnęła ciemność. Morderca położył obok bezwładnego ciała wykonaną z papieru łódeczkę. Schował pod kurtkę pistolet z tłumikiem i wyszedł z domu. Zamykające się drzwi trzasnęły głośno.

Piętro wyżej pies serce biło dla swojej pani, która zaraz przyjdzie, wygłaszcze i zabierze na spacer. Spóźnia się, ale to nic, słyszał przecież, że już idzie...

Rozdział 10

Po każdym wieczorze autorskim następuje moment, który najbardziej lubię, a którego, paradoksalnie, zawsze się obawiam. Wpisywanie dedykacji. Bo nigdy nie wiem, co pisać. Każdy pewnie chciałby otrzymać coś oryginalnego, niepowtarzalnego. Więc staram się mocno, choć nikt nie wie, jakie to trudne. Czasami ludzie w ogóle nie patrzą na wpisane zdanie, ciesząc się samym autografem. Niektórzy starają się wciągnąć mnie w rozmowę, inni tylko dziękują.

Tamtego dnia, chyba po raz pierwszy, oprócz zwykłej tremy poczułam coś jeszcze. Jakiś niemożliwy do sprecyzowania niepokój. Czasem, gdy przytrafi nam się coś złego, wracamy myślami do chwil poprzedzających nieszczęście, próbując doszukać się znaków, które bagatelizowaliśmy. I zazwyczaj je dostrzegamy, zapominając, że to my sami nadajemy im znaczenie, tylko po to, by nasz świat wyglądał bardziej racjonalnie.

Podpisywałam kolejną książkę, gdy zupełnie niespodziewanie odniosłam wrażenie, jakby ktoś wypowiedział moje imię. Pełnym wyrzutu i skargi głosem, który powinnam znać... Zrobiło mi się zimno. Szybko podniosłam głowę – obok mnie stała miła starsza pani, która aż drgnęła, zdziwiona moim nagłym ruchem. Nie, ona na pewno nic nie mówiła. Z tyłu stały dwie rozgadane dość korpulentne niewiasty, wyglądające na czyjeś dobrotliwe ciotki. One też nie, z pewnością. Dalej zobaczyłam kobietę z mniej więcej dwunastoletnią dziewczynką, a za nimi jeszcze jakąś młodą czytelniczkę, tak po trzydziestce. Nikogo znajomego.

Wróciłam do wpisywania dedykacji.

I nic złego się nie wydarzyło...

Choć niepokój we mnie jednak pozostał.

Rozdział 11

Ewelina Zaczeska wstała i podniosła ręce do góry, rozprostowując plecy. Tkwiła przed komputerem kilka godzin, usiłując poskładać wszystkie elementy. Wreszcie dotarła do celu, tak przynajmniej jej się wydało. Cóż, wiadomo przecież, że w jej pracy nic nie jest jednoznaczne i oczywiste. Ale dlatego tak bardzo się starała. I dlatego tak bardzo lubiła to, co robi.

Ewelina przeszło dziesięć lat temu skończyła psychologię, a potem zdobyła specjalizację z psychologii sądowej. Pracowała w jednym z warszawskich zakładów penitencjarnych, gdzie jej głównym zadaniem była ocena zasadności zwolnienia warunkowego. Często też zlecano jej określenie poczytalności sprawcy, czasami korzystano z jej doświadczenia przy badaniu różnych śladów, na przykład przy samobójstwach, bądź też proszono o opinię przy niektórych sprawach karnych.

Była po prostu psychologiem sądowym i pasjonowała ją ta praca. Choć czasem sama łapała się na myśli, że ktoś, kto tak bardzo schrzanił własne życie, jest jak najmniej powołany do oceniania innych. Jednak był to jej wybór, świadomy i bolesny, ale jej. Po prostu w porę wycofała się ze związku, który okazał się... nie, nawet nie pomyłką. Zrobiła to, uświadomiwszy sobie, że jej mężczyzna jest naprawdę wspaniałym człowiekiem, ale ma tylko jedną wadę. I to zupełnie przez siebie niezawinioną.

Nie jest tamtym.

I, niestety, żaden kolejny nie był tamtym. Mimo że tak bardzo chciała, żeby...

Zrobiła kilka skłonów, wypila łyk zimnej już kawy i ponownie usiadła przy komputerze. Właśnie kończyła opracowywać profil psychologiczny seryjnego zabójcy. Policja wyrwała sobie włosy z głowy, gdyż od roku ginęły młode kobiety, a wszystkie zabójstwa miały jedną cechę wspólną – na ciele ofiary zawsze leżał święty obrazek. Za każdym razem inny. Ofiar było już pięć, każda zginęła w innym miejscu Warszawy, każda pochodziła z innego środowiska, pracowała w innym zawodzie (jedna nie pracowała w ogóle), wiek żadnej z nich nie przekraczał czterdziestu lat.

Ewelina przez kilka dni wertowała policyjne teczki, gromadziła dane, wyszukiwała podobieństwa. I dzisiaj wreszcie skończyła.

Przeczytała to, co napisała, poprawiła gdzieś tam jakiś błąd literowy i, ogólnie zadowolona z rezultatu, wydrukowała kilka kartek.

– Piotrze – odezwała się w słuchawkę. – Właśnie skończyłam. Jutro mogę ci to podrzucić, będę obok Pałacu Mostowskich. Jeśli cię nie zastanę, zostawię w zaklejonej kopercie w dyżurce.

Nawet nie musiała tego mówić, przyzwyczaiła się już, że z nadkomisarzem Zawadą nie można normalnie się umówić, nawet późnym wieczorem. Ewelina dziwiła się – naprawdę się dziwiła, mimo swojego zawodu – jak wytrzymuje to Elżbieta, żona Piotra. Tym bardziej że mieli dziecko. Teraz pewnie było łatwiej, bo dorosła córka studiowała w Gdańsku. Zaczeska знаła Piotra już kilkanaście lat i wiedziała, że w jego małżeństwie różnie się układało. Jednak Elżbieta dawała sobie radę z wieczną nieobecnością męża i jakoś wszystko przetrwało. Nie tak jak u niej. Widać tamta od początku wiedziała, na co się decyduje.

– Nie, Piotrze, dzisiaj nie mogę – odpowiedziała na propozycję natychmiastowego spotkania. – Koleżanka jest kierowniczką biblioteki, zaprosiła mnie na czyjś wieczór autorski. Jeśli nie wyjdę natychmiast, spóźnię się, a wiesz, że tego nie lubię.

Nadkomisarz Zawada wiedział. Ewelina była wręcz obsesyjnie punktualna, dokładna, rzetelna i obowiązkowa. Jeśli komuś coś obiecała – nie zdarzyło się chyba nigdy, żeby nie dotrzymała obietnicy.

– Trudno. Wytrzymam do jutra. Choć wiesz, że ta sprawa leży mi na sercu i gryzie w duszę.

– Do jutra niech cię jeszcze pogryzie. Ale pamiętaj – Zaczeka zmieniła ton – że to, co przygotowałam, to jedynie domysły. Zarys postaci sprawcy na podstawie dość skąpych materiałów.

– Jasne. – Nadkomisarz usłyszał w jej głosie cień wyrzutu. Ale dostała wszystko, czym sami dysponowali. – Jutro najprawdopodobniej będę cały dzień w pałacu, więc czekam na ciebie. Zadzwon jak zawsze.

Ewelina schowała plik kartek do tekturowej teczki. Praca profilerki sprawiała jej mniejszą satysfakcję, niż się tego spodziewała, gdyż zazwyczaj włączano ją do sprawy zbyt późno, musiała opierać się wyłącznie na policyjnych dokumentach i zdjęciach z miejsc zbrodni. Odnosiła wrażenie, że śledczy odwołują się do jej spostrzeżeń, kiedy zawodzą tradycyjne metody, trochę na zasadzie podkładki, że niczego nie zaniedbali. Czułaby się dużo pewniej w swoich sądach, gdyby od samego początku mogła uczestniczyć w śledztwie, gdyby asystowała przy wizjach lokalnych i niektórych przesłuchaniach.

Postanowiła pogadać o tym z Piotrem.

Rozdział 12

Niezależnie od tego, co się w moim życiu wydarzyło później, lubiłam wracać myślami do momentu, w którym poznałam przyszłego męża.

A było to tak:

– Czy to miejsce jest wolne? – Podniosłam oczy znad książki. W drzwiach przedziału stał facet, którego – gdybym pisała romans – określiłabym: „mroczny jak sam grzech”. Czarne smoliste włosy. Czarne oczy, otoczone fantastycznymi rzęsami (po co facetowi takie rzęsy, pomyślałam z żalem). Szczupła, wysportowana sylwetka, wzrost – no, z pewnością wysoki.

– Tak, wolne, proszę. – Wykonałam ręką jakiś nieokreślony ruch i uśmiechnęłam się zachęcająco.

– Pani do Gdańska? – spytał i bez wysiłku umieścił na górnej półce plecak, ważący tak na oko z pięćdziesiąt kilogramów. – Bo ja tak. Wracam do domu. Z dalekiego świata.

Podniosłam lekko brwi, okazując zdziwienie.

– Wracam z Nowego Jorku, po pięcioletnim pobycie. A wracam przez Warszawę, bo właśnie podpisywałem tam umowę na książkę. Ale, przepraszam, już opowiadam pani swój życiorys, a nie przedstawiłem się – Janusz Zamorski. – Wyciągnął rękę i mocno uściśnił mi dłoń.

– Justyna Sobolewska – odrzekłam cicho i dodałam po chwili: – Tak, do Gdańska. A właściwie do Gdyni. Jadę do przyjaciółki ze studiów. Grażyna, ta moja przyjaciółka, mieszka w Orłowie. Wynajmowałyśmy we trzy, bo jeszcze z Pauliną, pokój na warszawskim Mokotowie. Bo chociaż byłam warszawianką, wolałam mieszkać z koleżankami niż z własną rodziną. Ale co też ja panu opowiadam. – Zawstydziałam się po chwili i policzki zapiekły mnie z zakłopotania.

– Słucham z zainteresowaniem. Ludzkie losy bardzo mnie interesują. Nie słyszała pani, że podpisałem umowę na książkę? – zaśmiał się mój rozmówca. – A tak naprawdę to proszę się nie obawiać. Nie opiszę pani w żadnej swojej powieści. Owszem, piszę książki, ale nie beletrystyczne.

– Janusz Zamorski? – dotarło do mnie. – To pan napisał *Borneo i co tam zobaczyłem* oraz *Madagaskar – czwarta wyspa*?

– Ooo... – autentycznie zdziwił się pan Zamorski. – Pani to czytała?

– Co „ooo”? – zezłościłam się nie na żarty. – Owszem, jestem blondynką, ale proszę sobie wyobrazić, że czytam książki. I to nie tylko romanse. Choć romanse też – dodałam – i bardzo je lubię. Ale lubię także mnóstwo innych gatunków książek. Między innymi geograficzno-podróżnicze. Szczególnie o takich egzotycznych dla mnie miejscach.

I tak właśnie się poznaliśmy – Justyna i Janusz.

Przed wyjściem z pociągu wymieniliśmy się numerami telefonów.

– Zadzwoń – zapewnił mnie Janusz. – Niedługo.

Zobaczmy, pomyślałam sceptycznie. Coś ty, bracie, za przystojny jesteś. I jak dla mnie – za wielki. Nie pod względem wzrostu, choć tego też mu nie brakowało, rozmyślałam dalej, czekając na Grażynę, która przed chwilą uprzedziła mnie przez telefon, że się spóźni, bo są straszne korki. Znany pisarz, podróżnik, pięć lat w Nowym Jorku, podpisana umowa w Warszawie, oj – no same plusy. I pewnie kolejka dziewczyn jak stąd do Katowic.

– Grażka! – Byłam autentycznie wściekła. – Czy ty choć raz w życiu gdzieś się nie spóźniłaś? Czy tak trudno przewidzieć, że mogą być korki? Stoję tu głodna i sponiewierana tą całą podróżą pociągiem – wściekałam się, telefonując do przyjaciółki, której jeszcze nie było, choć od przyjazdu pociągu minęło już pół godziny.

Ale właśnie w tej chwili ujrzałam ją, jak przyciskała jedną ręką telefon komórkowy do ucha, a drugą wymachiwała entuzjastycznie.

– Justyśka! – Wrzask było słycać i w słuchawce, i w całej okolicy. Skończyłam połączenie i zamiast zrobić awanturę Grażynie, rzuciłam jej się na szyję. Nie widziałyśmy się... ile? – Zbyt długo, z pewnością.

A następnego dnia zadzwonił Janusz i znowu się nie nagadałyśmy. Cała byłam dla przystojnego pana Zamorskiego. Pobraliśmy się cztery miesiące później. Grażyna została świadkiem – ślub urządziliśmy w Gdańsku, wesele w Sopocie.

*

Nasze małżeństwo było bardzo udane. Początkowo.

Janusz nie miał w Trójmieście własnego mieszkania, bo w zasadzie do tej pory nie było mu potrzebne. Jeździł po świecie, a kiedy wracał do Polski, mieszkał po prostu w mieszkaniu rodziców, w Gdańsku. Ja natomiast miałam mieszkanie, nie w Trójmieście, rzecz jasna, ale w Warszawie – obecnie już tylko moje. Jestem jedynaczką, więc po śmierci mamy (tata nie żył od dziesięciu lat) nie było problemu z przepisaniem prawa własności tych sześćdziesięciu pięciu metrów na mnie.

Janusz wprowadził się po prostu ze swoimi garniturami z Nowego Jorku i od razu zaanektował najmniejszy pokój, przerabiając go na swoje miejsce pracy. Biurko, dwie szafki, jakiś regał i – na wszelki wypadek – pojedynczy tapczan. W centralnym miejscu komputer z całym oprzyrządowaniem (monitor, klawiatura, myszka, drukarka ze skanerem oraz kilometry przeróżnych kabli). W szufladzie jednej z szafek czekał w gotowości także laptop, przecież Janusz nie mógł się nigdzie ruszyć bez komputera.

– Wiesz, że dość często będę wyjeżdżał? – na wpół spytał, na wpół obwieścił jeszcze przed ślubem. – Czasami na dłużej – uprzedził.

A ja byłam tak zakochana, że to oświadczenie w ogóle do mnie nie dotarło. Mało ważne, że będzie wyjeżdżał, cóż, to jego pasja i praca zarazem. Może czasem weźmie mnie ze sobą. A jeśli nie, trudno, będę czekać w domu. Za to jakże przyjemne będą jego powroty...

Ja codziennie chodziłam do tej swojej spółdzielni dentystycznej, borowałam zęby, leczyłam kanały, robiłam wypełnienia, zwykła rzemieślnicza robota stomatologiczna. Nudna jak flaki z olejem. Tyle że dawała zarobek na życie. Nawet nie taki mały.

Czekanie na Janusza na ogół trwało dłużej niż czas, który spędzaliśmy razem. Mimo to byłam szczęśliwa. I wydawało mi się, że on też. Wracał z tych swoich podróży, zasiadał przy biurku i pisał. Teraz już nie były to książki, pisał reportaże, relacje, artykuły. Książka o Nowym Jorku wyszła i stała się przebojem wydawniczym, jak wszystkie poprzednie reportaże Zamorskiego. Ale minął już rok i nowej książki... nie było.

Od pewnego czasu Janusz pracował w redakcji czasopisma podróżniczego, przesiadywał tam niejednokrotnie do wieczora, a jak wracał do domu, więcej czasu spędzał przy komputerze niż z mną.

– Wiesz, duszę się – powiedział któregoś dnia. – Już mi niedobrze od tych artykułików, które trzaskam właściwie dla pieniędzy. Muszę wyjechać gdzieś dalej, na dłużej, w jakieś ciekawe miejsce. Czas na następną książkę.

– Na dłużej? – Tylko to do mnie dotarło. – A co z dzieckiem?

– Z jakim dzieckiem? – nie zrozumiał.
– No właśnie tym, którego nie ma – zaczęłam mu wyjaśniać. – Tym, które planowaliśmy. Które podobno chcemy mieć. A przynajmniej chcieliśmy. Skąd ono ma się wziąć, skoro ciebie ciągle nie ma?

Wtedy Janusz popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Miałam wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć i ugryzł się mocno w język.

– Co? – spytałam. Ale on tylko machnął ręką i odwróciwszy się do komputera, zaczął stukać w klawiaturę.

Potem zaczął coraz później wracać do domu, unikał mnie i kochaliśmy się coraz rzadziej, aż wreszcie odkryłam „dziumdzię”. Cóż, nie takie miało być nasze małżeństwo, skoro jednak tak się stało, trudno. A w rezultacie zaczęło mi się wydawać, że bardziej jestem wściekła, bo mój małżonek wybrał inną, niż zraniona faktem, że to zrobił.

– I wiesz – opowiadałam Małgorzacie podczas jednego z naszych wspólnych obiadów, na który zaciągnęła mnie siłą, obiecując opowieść o nowym mężczyźnie swego życia.
– Teraz widzę, że ta zdrada Janusza właściwie dobrze mi zrobiła. Przecież gdyby on w dalszym ciągu był ze mną, nigdy bym nie napisała książki. A popatrz, już trzecia wyszła. Czwartą skończyłam. Nie dosyć, że mam przez to zapewnioną terapię porozwodową, to jeszcze kasa na konto mi kapie.

– Co ci z tej kasy? – prychnęła przyjaciółka. – Na nic nie wydajesz, bo albo nie masz ochoty, albo nie masz czasu. Licznik ci bije, dzieci zero, mężczyzn zero...

– Za to jedna dobra, szczerza przyjaciółka – odcięłam się rozzłoszczona. – Taka, co to na duchu podtrzyma i wsparcie zapewni...

– Moje wsparcie masz zawsze – odparła Małgośka. – A że mobilizuję cię do życia, to tylko powinnaś być mi wdzięczna. To znaczy próbuję cię zmobilizować – poprawiła się.

– Tylko nie za dobrze mi to wychodzi. Zaraz, zaraz, czwarta książka? Justyna! – Małgorzata była w autentycznym szoku. – Teraz dopiero mi mówisz? Czwarta książka? No, nie mogę, małpa jesteś, ot co! I nawet nie mogę się cieszyć, że cierpisz, bo nie chcą ci wydać którejsz książki? Ani znieawidzić cię już tylko za to, że w ogóle coś napisałaś? Mówisz mi dopiero teraz, żebym po prostu pękła z zazdrości, że nie tylko piszesz, ale jeszcze masz świetnego wydawcę i już piszesz czwartą...

– Już napisałam czwartą – wpadłam jej w słowo, ale Gosia ciągnęła w natchnieniu:
– A twoje książki będą we wszystkich księgarniach na całym świecie i w ogóle nie będzie można spokojnie iść ulicą, bo wszędzie plakaty, zdjęcia na wystawach, banery, foldery, bajery...

– No już dobrze, dobrze – przerwałam jej. – Widzę, że się cieszysz. A ucieszysz się jeszcze bardziej, kiedy wręczę ci egzemplarz autorski.

W książce widniała dedykacja: „Małgosi, mojej najlepszej przyjaciółce. Za całą jej miłość, przyjaźń i wsparcie”. Chciałam, żeby to była niespodzianka, więc o dedykacji oczywiście na razie nie wspomniałam.

– A kiedy to będzie? – spytała oszołomiona.

– Niedługo, w lutym. Może nawet w styczniu.

Dopiero teraz rzuciła się na mnie z radosnym piskiem, ściskając i obcałowując ze wszystkich stron.

– Matko święta! Moja przyjaciółka wielką pisarką! Zaraz powiem Krzysztofowi...

– Już łapała za telefon, ale szybko wyjęłam go jej z rąk.

– Żadnych telefonów, pamiętasz? Tak się umówiliśmy. A teraz siadaj i opowiadaj

o tym swoim nowym mężczyźnie.

Rozdział 13

Najnowszą książkę pisało mi się bardzo dobrze. Bohaterowie jakby sami wiedzieli, co mają robić, a klawiatura sama wiedziała, co pisać. Sto tysięcy znaków, dwieście, trzysta, pięćset osiemdziesiąt cztery. Koniec. Uff, teraz – klik – i książka już u pani Doroty. Swoją drogą, cóż to za cudowny wynalazek ten Internet. I pomyśleć, że kiedyś pisarze musieli pisać ołówkiem w zeszyte (no dobrze, piórem bądź długopisem), a potem wysyłać te swoje dzieła w grubych kopertach.

Wczoraj otrzymałam pocztą elektroniczną okładkę nowej książki. Oczywiście była piękna, zresztą jak wszystkie moje okładki. Miałam więc dobry humor, mimo że to Małgorzata znowu poznała nowego mężczyznę.

Wybrałam numer przyjaciółki.

– Gosia, jak sprawy? Najnowszy mężczyzna życia, rozumiem, ale ja też istnieję, zapomniałaś? Muszę się z tobą spotkać, ty do mnie czy ja do ciebie? – spytałam.

– No... tego... wiesz, dzisiaj nie mogę – usłyszałam w odpowiedzi.

– Gocha? – pisnęłam rozzłoszczona. – To kiedy możesz? Bo zaczynam się lekko wkurzać.

W rezultacie umówiliśmy się na następny dzień.

– To przyjdź do mnie, bo na pewno wtedy ten twój mężczyzna nam nie przeszkodzi – zarządziłam. – A telefon wyłączysz po przekroczeniu progu mojego mieszkania

– zapowiedziałam stanowczo.

Ale Gośka zmieniła moje plany – zapraszała do siebie, najnowszego mężczyznę miałam poznać osobiście. Termin naszego spotkania nie został jednak sprecyzowany, musiałyśmy (to znaczy ja musiałam!!!) dostosować się do Krzysztofa. Już zaczynałam go nie lubić...

Rozdział 14

Ewelina Zaczeska z ciężkim westchnieniem usiadła na krześle. Zdążyła w ostatniej chwili. Taksówkarz kłął pod nosem, ale raczej dla dodania sobie fasonu podczas lawirowania zatłoczonymi ulicami. Nagrodziła go machnięciem ręki, kiedy dość opieszale zabrał się do wydawania reszty, i w ciągu paru minut dotarła do biblioteki przycupniętej na tyłach pawilonów handlowych. Rozejrzała się dookoła. Sala była wypełniona, na krzesłach siedziały w większości kobiety, ale było też kilku panów. Jeden, dwa, osiem, dwanaście, liczyła Ewelina. Czternastu. No proszę, zdumiała się, okazuje się, że mężczyźni też czytają. A statystyki twierdzą, że osiemdziesiąt procent czytających to kobiety. Nie chciało jej się obliczać, ale nie wydawało jej się, że kobiet jest pięć razy więcej. Bo skoro tych czternastu mężczyzn miałyby stanowić dwadzieścia procent, to w sali powinno być...

– Dzień dobry państwu. Witamy wszystkich czytelników, którzy przybyli na spotkanie z naszą autorką. I witamy przede wszystkim autorkę. Pragnę przedstawić państwu Justynę Sobolewską...

...jakieś siedemdziesiąt osób – mózg sam zakończył obliczenia matematyczne. Ewelina, zamiast skupić uwagę na autorce, próbowała teraz policzyć wszystkie osoby siedzące w bibliotece.

– Niech się pani przestanie wiercić – fuknął na nią ktoś z tyłu. – To nie kawiarnia!

Ewelina, obejrzawszy się, napotkała karcące spojrzenie starszej korpulentnej kobiety w granatowej garsonce i białej bluzce. Ale się wyelegantowała, jak na przyjęcie komunijne, pomyślała złośliwie pani psycholog. Po czym uprzejmie powiedziała, że bardzo przeprasza i już nie będzie.

Jej znajoma bibliotekarka, pomimo wyraźnej tremy, całkiem udanie poprowadziła spotkanie. Pytania były dowcipne i na temat, odpowiedzi autorki – trzeba przyznać – także. W trakcie dyskusji doszło do drobnego incydentu, jedna z czytelniczek zapytała, na kim wzorowała się autorka, pisząc te swoje książki o czasach wojennych, bo przecież to niemożliwe, żeby kobieta umiała tak opisać wojnę.

– Ależ proszę pani! – Z krzesła poderwała się korpulentna niewiasta w garsonce. – Nazywam się Janina Olejacek – przedstawiła się niepotrzebnie, jakby dla dodania wagi własnym słowom. – Jak pani w ogóle może twierdzić, że kobieta czegoś nie umie? A już w odniesieniu do naszej wspaniałej pisarki to doprawdy oburzające. Pani Sobolewska z pewnością nawet trzecią wojnę światową potrafiłaby opisać w sposób doskonały!

– Wolałabym nie – zaśmiała się autorka. – Bo patrząc, co się dzieje z naszym współczesnym światem, na durnowatych polityków i kompletnie pozbawionych wyobraźni przywódców, jeszcze bym wykrakała...

– Bo to kobiety powinny rządzić światem. – Pani w Granatowej Garsonce kiwnęła energicznie głową i usiadła.

Ewelina w zasadzie się z nią zgadzała. Tyle że większość kobiet była zbyt zajęta borykaniem się z codziennością, by brać się do rządzenia. A nieliczne, którym się to udało, coś chyba jednak traciły...

– Pragnę podziękować państwu za wszystkie uwagi i tak liczne przybycie. – Autorka wyglądała na autentycznie wzruszoną. – Proszę mi jeszcze pozwolić, że korzystając z okazji,

zaproszę wszystkich państwa do Siedlec na rozpoczynający się niebawem Festiwal Literatury Kobiecej. Wbrew trochę szumnej nazwie to całkiem kameralna impreza, w trakcie której będzie mnóstwo okazji do osobistych spotkań i rozmów; przewidziany jest nawet bankiet dla gości. Zapewniam państwa, że warto, jednym z patronów imprezy jest hotel Janusz, który oferuje gościom festiwalu specjalne zniżki.

Ewelina pomyślała, że nawet chętnie by się tam wybrała. O ile żadne zobowiązania zawodowe nie staną na przeszkodzie.

Rozdział 15

Pani Janina Olejaczek odłożyła na stolik książkę, kupioną poprzedniego dnia na wieczorze z autorką, zdjęła okulary i wyjrzała przez okno. Pod drzewem, po drugiej stronie ulicy, stała jakaś postać. Niby niezbyt daleko, dla pani Janiny jednak była zamazaną plamą. Szklą leżącą na stoliku służyły jej do czytania, a te do dali... Zaraz, gdzie te przekłete okulary? Zawsze kładła je w miejscu, z którego brała te do czytania. Ale skąd je dzisiaj wzięła? A, tak, z kuchni. Pani Janina podreptała więc do kuchni i rzeczywiście, jej szklą „do chodzenia”, jak je nazywała, leżały na blacie szafki. Wsadziła je na nos i raptem wszystko zrobiło się wyraźniejsze. Niestety, gdy doszła do okna, pod drzewem już nikt nie stał.

– Niby dlaczego miałby stać? – powiedziała do siebie pani Olejaczek. – I w zasadzie z jakiej racji mnie to w ogóle obchodzi?

Ale coś ją swędziało między łopatkami. Działo się tak zawsze, kiedy coś było nie porządku. Gdy na przykład obgadywały ją koleżanki w pracy. Tyle że do pracy już nie chodziła, od czterech lat. Nie ma jak emerytura, rozmarzyła się pani Janeczka i z powrotem powędrowała do kuchni. Stała przy kuchennej szafce i rozejrzała się skonsternowana, nie bardzo wiedząc, po co tam przyszła. Aha, po okulary! Powiodła wzrokiem dookoła. Okularów nigdzie nie było. No i gdzie one są? – zdenerwowała się. Powędrowała ręką do czoła i wymacała zgubę.

– Oj, Janka, Janka, źle z tobą – głośno skomentowała sytuację i otworzyła lodówkę. Skoro już jest w tej kuchni, zje sobie coś dobrego.

W lodówce, starannie owinięty foliową torebką – żeby nie wysechł – leżał przepyszny sernik z wiśniami, firmowy wypiek cukierniopiekarni, znajdującej się na parterze bloku, w którym mieszkała pani Janina. Czasami, gdy otworzyła okno, zapach świeżego pieczywa docierał na to jej drugie piętro i wówczas pani Janka po prostu nie mogła się opanować i natychmiast szła na dół. Często nawet w kapciach. Sprzedawczynie z cukierni już ją znały i na jej widok, bez pytania, wkładały do papierowej torby dwie świeżuteńkie, jeszcze ciepłe bułki i ćwiartkę chleba z kminkiem. Ale wczoraj oprócz standardowych zakupów pani Janina kupiła sporą porcję sernika. Uwielbiała go i nie mogła się pohamować – mimo że waga, na której stawiała sumiennie każdego ranka, mówiła jej, że raczej słodczyce należałoby sobie darować, bo niedługo nie zmieści się w tę swoją, noszoną na specjalne okazje, granatową garsonkę. A, co tam – klóciła się z wagą jej właścicielka – to już wszystkiego w życiu mam sobie odmawiać? Właśnie że będę jeść sernik i świeże pieczywo! – buntowała się w duchu i obwieszczała to głośno wszystkim meblom w mieszkaniu.

Nałożyła więc sobie porcję słodkości na talerz i wróciła do pokoju. Ktoś znowu stał pod drzewem. Przyglądała się temu ktosiowi i mimo że miała na nosie swoje okulary do chodzenia, nie mogła rozróżnić płci. „Ktoś” był w spodniach i szarej kurtce, na głowę naciągnął kaptur. Pani Janina poczuła ciarki na plecach.

– Czego? – znów odezwała się na głos. Starła się walczyć z tym nawykiem, bo sama nie znosiła gadających do siebie staruszek, ale w chwilach zdenerwowania czuła się pewniej, gdy słyszała swój głos. – Co cię obchodzi, ty głupia, jakiś stojak obok drzewa? Stoi, to stoi, i już.

Usiadła w fotelu, włączyła telewizor i zaczęła jeść sernik. Ale natrętne myśli nie chciały zniknąć. Może to jakiś zboczeniec? Tkwi tam i obserwuje wracające ze szkoły dzieciaki. Tyle

się teraz słyszy o pedofilach. O nie, nie będzie tu spokojnie siedzieć i patrzeć, jak coś takiego wyprawia się pod jej oknem!

Pani Janina wyszła z mieszkania, schowała klucze do torebki i podreptała w dół po schodach. Na pierwszym piętrze zaczęła mieć wątpliwości, czy aby na pewno zamknęła drzwi wejściowe. Więc dla uspokojenia wdrapała się z powrotem na swoje drugie piętro i nacisnęła klamkę.

Ta cała gimnastyka kosztowała ją trochę sił i czasu. Postąła chwilę pod drzwiami, zastanawiając się, czy nie robi z siebie idiotki. Do czego to podobne tak się przejmować byle drobiazgiem, jeszcze trochę, a zacnie spędzać całe dni przed judaszem. Co to z człowieka robi samotność, gdyby miała choć pieska, byłoby do kogo się odezwać. Lecz skoro się już ubrała, pójdzie sobie do parku, może spotka kogoś znajomego? Pan Leszek lubi wychodzić o tej porze ze swoim labradorem. A na to miejsce pod drzewem można przy okazji zerknąć, ot tak, dla spokoju sumienia.

Nie musiała przechodzić przez ulicę, by się przekonać, że niepotrzebnie wyolbrzymiała nic nieznaczący incydent. Ktoś sobie chwilę postął, ale już poszedł, i tyle. Może go nogi rozboleły albo wpatrywał się w okno ukochanej, która znalazła sobie innego. Nie jej sprawa.

Ulubiona ławka pani Janiny była wolna. Nic dziwnego, o tej porze starsi są w pracy, a młodzież w szkołach. Może pan Leszek pojawi się niedługo? W ciągu kwadransa minęła ją tylko młoda kobieta z wózkiem i chłopak na rowerze. Ruda wiewiórka zeskoczyła z drzewa i na moment zastygła, spoglądając w kierunku pani Janiny. Jakaś ty ładna, szkoda, że nie pomyślałam, żeby wziąć choć jednego orzeszka, może pan Leszek nie zapomni...

Za jej plecami coś trzasnęło jak złamana gałąź. Ujrzała porażający błysk, jakby cały świat nagle zapłonął i natychmiast zgasł niczym zdmuchnięta świeca. Okulary upadły na ziemię.

Morderca schował pistolet i położył na ławce łódeczkę z papieru.

Spłoszona wiewiórka czmychnęła do dziupli. Po chwili wystawiła łepkę, węsząc podejrzliwie. U końca parkowej alejki pojawił się mężczyzna z labradorem na smyczy. Pan Leszek zwykle przychodził wcześniej, lecz tego dnia zajrzał po drodze na osiedlowy bazar. Kupił orzechy laskowe dla parkowych wiewiórek.

Obiecał to pani Janinie!!

Rozdział 16

Maks Baron nie lubił nocy. Wraz z nią nadciągały wspomnienia, uporczywe i żywe, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj.

...Dziecko miało pięć lat. Nie wiedziało, czy to dużo, czy mało, po prostu tyle, ile paluszków u jednej rączki. Okutane po nos szalikiem jechało zatłoczonym, zgrzytającym tramwajem, ludzi było zbyt dużo, a oszronione okna znajdowały się zbyt wysoko, by widziało cokolwiek poza grubymi ubraniami dorosłych. Ale było bezpieczne, bo jechało z mamą. W nocy rozboleł je brzusek i trudno mu było oddychać. Mama przykładała coś ciepłego i masowała, tylko że brzusek nie przestawał boleć. Dlatego jechali gdzieś, słowa „szpital” i „doktor” brzmiały znajomo, choć trudno im było nadać realne kształty.

– *Czy tam będą inne dzieci?*

– *Będą, rybko.*

– *A zabawki?*

– *Mamusia przywiezie ci zabawki, jeśli będzie trzeba, ale może nie... – Poczulo, że mama unosi się wraz z nim, poprawia mu szalik i naciąga głębiej wełnianą czapkę. – Już jesteście, jeszcze kawaleczek podejziemy.*

Wszystkie domy były do siebie podobne. Dziecko patrzyło pod nogi, kiedy szli zaśnieżonym chodnikiem. W świetle latarni wielkie białe płatki tańczyły przed nosem jak unoszone wiatrem piórka z poduszki. Kilka schodków, skrzypiąca przy każdym kroku podłoga. Mama z kimś rozmawiała, potem zdjęła mu paltko, usiadła i wzięła Dziecko na kolana. Było ciepłutko, zewsząd dochodziły trudne do rozpoznania odgłosy. I dziwnie pachniało, nie tak jak w domu albo w przedszkolu. Mama kołysała lekko, powieki same się zamykały.

– *...nie wolno lekceważyć. Rozbierzemy małego śpioszka i zbadamy. – Strasznie wielki pan w białym fartuchu wskazał długą kozetkę w rogu nieprzytulnie wyglądającego pokoju.*

W tym wieku wszystko wydaje się ogromne.

Pan przykładał coś zimnego z przodu i z tyłu, spytał, gdzie boli. Potem zaczął naciskać brzusek, aż zabolalo mocniej niż dotąd.

– *Proszę pani, to wyrostek. Dam pani skierowanie do szpitala... – Dalej padły jakieś niezrozumiałe słowa. – Oni się nim zajmą, u nas jest tylko oddział zakaźny.*

Kiedy mama je ubierała, pan mówił coś jeszcze, w ogóle obydwójce dużo mówili. Dziecku spodobało się słowo „wyrostek”, było jakieś takie niegroźne i nawet trochę wesołe. To musiało być coś bardzo malutkiego, nawet mniejszego niż on, tyciego, tyciego jak najmniejszy paluszek u nogi. Albo jak pchelka. Albo pasikonik! Nie wiedziało, jak naprawdę wyglądają pasikoniki, które tak często pojawiały się w opowiadanych przez mamę bajkach. Wyobrażało je sobie jako maleńkie koniki ze skrzydełkami, przysiadające na kwiatkach. Bardzo pragnęło zobaczyć kiedyś pasikonika, a mama obiecała, że mu pokaże!

Ubieranie się nie jest takie zabawne, jak zdejmowanie z siebie wszystkiego. Ale w paltku i czapce na głowie było ciepło, można było zamknąć oczy i bawić się ze skrzydlatymi pasikonikami. A potem zasnąć w bezpiecznych ramionach mamy.

– *...wyrostek? No to zbadamy naszego zucha. – Te słowa brzmiały znajomo.*

Wypowiadał je duży pan, ale nie ten sam, co poprzednio. – Czy to dziewczynka?

To dziwne pytanie padało już wiele razy i mama zawsze odpowiadała na nie ze spokojem. A przecież dorośli powinni wiedzieć takie rzeczy. Pani w przedszkolu nigdy o to nie pytała. Ani ciocie i wujkowie. Tylko obcy ludzie.

Dziecko było śpiące i bardzo chore. Ale nie cierpiało, nie bało się nawet, bo przecież nie miało się czego bać. Nikt nie krzyczał na nie, tylko ten pan znów przykladał coś zimnego i uciskał brzuszek. Ale nie mocno. Potem przyszedł drugi pan i wszystko się powtórzyło. Lampy na suficie przykuwały uwagę, były podłużne i brzęczały usypiająco jak wielka pszczoła.

– Jaki tam wyrostek, powariowali tam wszyscy?! To obustronne zapalenie płuc. Szczęście, że pani nie czekała do rana...

Pan mówił podniesionym głosem, jakby miał o coś pretensje, Dziecko jednak wiedziało, że to nie do niego. Mama coś odpowiedziała, ale nie przysłuchiwało się rozmowie dorosłych. Oni zawsze tak dużo mówili, a potem i tak kazali już iść spać albo obiecywali, że się pobawią, jeśli zje do końca lane kluski. Czasem nawet dotrzymywali słowa, tego jednak nigdy nie można było być pewnym. Jakby dorośli wcale nie lubili się bawić. Może dlatego, że nie mieli zabawek...

– ...zostanie tutaj, podamy antybiotyki... – Pani w czymś białym na głowie przyniosła spraną piżamkę w niebieskie paski. – ...stan zbyt ciężki na transport, położymy razem z naszymi... – Miało już na sobie piżamkę, mama wzięła je na ręce i dokądś poszli. – Kilka tygodni, jeśli nie będzie powikłań... – nowa sala, łóżko dużo większe od tego w domu, na suficie te dziwnie brzęczące lampy – ...nie, rodzina nie może odwiedzać chorych, takie są przepisy...

Dziecku chciało się pić, ale wszyscy gdzieś sobie poszli. Patrzyło na drzwi. Mama zaraz przyjdzie i opowie bajkę. Może tę o brzydkim kaczątku? Albo o dziewczynce z zapalkami. Tylko żeby się nie pomyliła, bo chociaż nie umiało jeszcze liczyć, to zawsze skądś wiedziało, ile ma być tych zapalek, zanim dziewczynka pójdzie do swojej mamy w niebie...

Rano pani w czymś białym na głowie przyniosła nocniki i wszystkie dzieci zrobiły co trzeba. Potem było śniadanie. Inne niż w domu. I nikt nie pilnował, czy się zjadło do końca. Przez cały dzień prawie nic się nie działo, tylko raz, po tym, jak pani włożyła każdemu pod pachę termometr (w domu też mieli jeden, mama najpierw machała nim w powietrzu, a potem wkładała pod pachę), przyszli panowie, badali każde z dzieci, jedne dłużej, inne krócej, i pisali coś na tabliczkach umieszczonych w nogach łóżek.

Dziecko prędko poznało panujące zwyczaje. Kiedy w sali byli dorośli, należało leżeć cicho, rozmawiać i bawić się można było dopiero, gdy wyszli. Pielęgniarki – prędko przyswoiło sobie nowe słowo – dawały im buteleczki po zastrzykach. Zupełnie nienaruszone, płyn ze środka wyciągały w niemal czarodziejski sposób, przebijając igłą strzykawki gumowy korek. Można się było nimi bawić dosłownie we wszystko: w żołnierzy, w sklep, a nawet w dom. Na łóżku obok leżał Maryś. Dziwne imię dla chłopca, lecz Dziecko nie myślało o tym w taki sposób. Widocznie dorośli tak go nazwali, więc to musiało być właściwe, oni nie robią niczego głupiego. Maryś miał najwięcej buteleczek, bo dostawał najwięcej zastrzyków. Ale najfajniejsza zabawa była wtedy, gdy ktoś stłukł termometr. W samym jego czubku był uwięziony srebrny płyn przypominający metalowe krople, który starsze dzieci nazywały rtęcią. I te kropelki wcale nie wsiąkały w pościel, a jeśli popychało się je ku sobie, łączyły się w coraz większe i większe kulki. Wszyscy chcieli wiedzieć, jak wielką kroplę można z nich zrobić. Niestety, nikt nie odważył się stłuc naraz wszystkich termometrów. Zwłaszcza że pielęgniarki bardzo się gniewały i ostrzegały, jaka z tej rtęci okropna trucizna.

Mijały dni. Gdy otwierały się drzwi, Dziecko zawsze podnosiło głowę, w nadziei, że wreszcie mama przyszła. Ale zawsze był to ktoś inny. Nie spytało nikogo, dlaczego mama nie

wraca. Przecież kiedy następnym razem drzwi się otworzą, to na pewno już będzie ona... Była, na pewno była blisko, może tuż za ścianą, bo od czasu do czasu pani w białym czepku zjawiała się o nietypowej porze, bez strzykawki czy termometru, za to z jakąś zabawką w ręku. Zaraz drugiego dnia przyniosła zakładane na palce kukielki Jacka i Agatki z dobranocki. Dziecko opuściło głowę, kiedy nie zobaczyło mamy, lecz po chwili usłyszało swoje imię. To prezent od niej. I niedługo przyjdzie...

Wypatrywało też zmroku za oknem. Pomalowane na białą szyby nie pozwalały wyjrzeć na zewnątrz, dało się tylko odróżnić dzień od nocy. Wtedy zjawiała się pielęgniarka, sprawdzała nocniki, poprawiała komuś koldrę i gasiła światło. Trzeba było leżeć cicho, bo pielęgniarki niekiedy jeszcze zaglądały i gniewały się, jeśli wszyscy nie spali. W końcu kroki na korytarzu cichły i w sali rozlegały się szepty. Maryś był najmłodszy, ale najdłużej przebywał w szpitalu i poznał go od strony niedostępnej innym małym pacjentom. Nie bawił się chętnie z innymi, nie dostawał prezentów z domu. Ale miał swoją tajemnicę.

– Chodź – powiedział kiedyś.

Cicho otworzył drzwi i wyjrzał w półmrok korytarza.

Minęli stoliki z metalowymi nóżkami i rzadko rozstawione krzesła, a potem dotarli do szerokich schodów. Kiedy wspinali się po nich, Dziecko wychyliło głowę nad sięgającą mu niemal do szyi poręczą. Nie mogło być bardzo wysoko, lecz Dziecku się wydawało, że spogląda w przepaść bez dna.

W niszy na półpiętrze znajdowało się strasznie wysokie okno. Nie zamalowano go farbą. Wdrapali się na gruby, drewniany parapet, skąd mogli obserwować oświetloną latarniami ulicę. Widok wydawał się jakiś nierealny, sunące bezgłośnie samochody i przechodnie w zimowych ubraniach pojawiali się zupełnie niespodziewanie, na chwile odmierzane biciem serduszka, by na zawsze zniknąć gdzieś w głębi ulicy.

– To moja mamusia. – Maryś z rozpromienioną buzią pokazał panią w zielonym płaszczu.

Pani nie uniosła głowy, nawet nie zwolniła kroku, a potem zniknęła jak wszyscy inni. Chłopcu to nie przeszkadzało, po chwili znów pokazywał swoją mamusię, tylko inaczej ubraną.

Co noc powtarzali swój stały rytuał; siadali na parapecie i wypatrywali mamy. Zawsze się pojawiała, czasem wiele razy przechodziła zaśnieżonym chodnikiem, ale nigdy nie spojrzała w górę. Przecież nie wiedziała, że oni tam siedzą i machają do niej z okna. Ale kiedyś zauważy, wejdzie do środka, znajdzie swoje dziecko i przytuli...

W szufladzie szafki przy łóżku znaleźli schronienie Jacek i Agatka. Wszystkie dzieci miały swoje szafki z ukochanymi zabawkami. Prócz Marysia. Bo buteleczki po zastrzykach były fajne, ale każdy wiedział, że to nie są prawdziwe zabawki.

Prawdziwe zabawki dostaje się od mamy.

Powoli, niemal niezauważalnie, wracało zdrowie i siły. Czasem pielęgniarka stawała w drzwiach i wypowiadała jakieś imię. Jeśli trzymała w ręku dziecięce ubranie, to znaczyło, że któryś mały pacjent za chwilę opuści salę i nigdy więcej go nie zobaczą. A jeśli jej dłonie były puste, szło się z nią do gabinetu, gdzie pobierali krew z palca albo robili coś innego. Pobieranie krwi prawie nie bolało, kłuli cienką rurką czubek paluszka i w rurce wędrowała do góry czerwona nitka, podobnie jak w termometrze. Potem pielęgniarka odprowadzała pod drzwi sali.

Dziecko weszło do środka i natychmiast zauważyło Marysia pochylonego nad otwartą szufladę jego szafki. Podeszło cicho, chłopiec obejrzał się przez ramię, zasunął szufladę i wrócił na łóżko. Zaczął bawić się swoimi buteleczkami po zastrzykach. Dziecko ujęło metalową gałkę i pociągnęło.

Główki Jacka i Agatki były pocięte nożem. Nieporozcinane do końca, mocno jednak uszkodzone.

Nic się nie zmieniło, zupełnie nic. Nadal wymykali się nocą na parapet, udając, że to, co się stało, jest nieważne, blahe, jakby w ogóle się nie wydarzyło. A szuflady lepiej więcej nie odsuwać. Mamie byłoby smutno, gdyby zobaczyła...

Tamten dzień wyglądał dokładnie tak samo jak każdy poprzedni. Dziecko składało lódeczki z papieru, nauczyło się tego w szpitalu. To było łatwe, jeśli miało się dużą kartkę, jednak im mniejsza, tym trudniej było manipulować niewprawnymi paluszkami. Ale te najmniejsze lódeczki wyglądały najpiękniej. Pan Maluśkiewicz pływał w skorupce orzecha, a w takiej żaglówce mógłby...

Skrzypnęły drzwi. Nim padło imię, Dziecko poznało swoją czapkę i palto. To było zbyt niespodziewane, nawet zbyt zwyczajne, żeby wywołać jakieś emocje. Pielęgniarka po prostu zawołała je, i już. Ale rozumiało, co to znaczy. Popatrzyło na odwróconego do ściany Marysia. Inne dzieci nie były ważne, dostawały zabawki, wymieniały się nimi, ale częściej chowały je głęboko przed resztą małych pacjentów. Mama Marysia nigdy nie przysłała najdrobniejszego prezentu.

Pielęgniarka czekała na korytarzu. Dziecko wyszeptało Marysiowi do ucha:

– Zamknij oczy, otwórz usta. – Padło tak dobrze znane wszystkim maluchom hasło.
– Jak połkniesz, będzie nagroda.

Prędko przelało zawartość ukrytej w rączce buteleczki po lekarstwach do otwartej buzi. Bawili się w to już nie raz, kiedy trzeba było połknąć paskudne tabletki. Zawsze działało.

Od wielu dni przy każdej okazji Dziecko zabierało termometry, a potem stłukło je w łazience, bo już znało do niej drogę i tylko w nocy korzystało z nocnika. Srebrne kropelki rtęci łatwo dawały się zgarnąć do buteleczki po tabletkach.

Dziecko zatrzymało się jeszcze na chwilę w progu. Maryś uśmiechnął się i pomachał samymi paluszkami...

Maks Baron spał lub śnił na jawie. W jego śnie była rzeczywistość – tyle że dawna.

Rozdział 17

Wysiadającej z pociągu dziewczynie siedlecki dworzec, z wąskimi peronami i garstką znudzonych oczekiwaniem podróżnych, wydał się niemal żywcem przeniesiony z jej rodzinnej miejscowości. Popatrzyła na dworcowy zegar i po chwili wahania spytała mężczyznę w kolejarskim mundurze o hotel Janusz. Z podniszczonym plecakiem i w dżinsach z wyciętymi dziurami na wysokości kolan wyglądała jak licealistka wracająca z pielgrzymki. Kolejarz, ze źle skrywanym zdziwieniem, że stać ją na nocleg w hotelu, starał się opisać drogę, sugerując na koniec, że taksówką wyjdzie niedrogo, a przynajmniej się nie pogubi. Bąknęła coś niewyraźnie, zarzuciła plecak na ramię i ruszyła w kierunku budynków dworca. Jej marzeniem było zostać pisarką, więc kiedy zauważyła na Facebooku informację o Festiwalu Literatury Kobiecej, nic nie mogło jej powstrzymać przed przyjazdem. Oprócz braku pieniędzy. Na bilety i skromną przekąskę w drodze wydebiła nieco kasy od rodziców, jednak na nocleg w hotelu raczej by się nie zgodzili, więc nawet nie próbowała ich naciągać. Kupując bilet powrotny na wieczór, myślni była już na spotkaniu, zastanawiała się, czy te wszystkie autorki na żywo okażą się równie sympatyczne, jak na Facebooku. Tam nawiązała pierwsze literackie kontakty, dostała się nawet do grupy, gdzie poznała sporo pisarzy i miłośników książek. Dziś pierwszy raz będzie miała okazję wymienić z niektórymi uścisk ręki.

Zapamiętane z grubsza wskazówki kolejarza wiodły ją – a przynajmniej miała taką nadzieję – we właściwym kierunku. Raz i drugi spytała o drogę; dotarcie do hotelu Janusz nie zajęło jej więcej niż pół godziny. Weszła do holu i długą chwilę spędziła przed plakatem z informacjami o imprezie. Przewidziano sporo atrakcji w różnych częściach miasta. Ją jednak najbardziej interesowało spotkanie z poznanymi w Internecie autorkami. A skoro tak, musiała zaczekać do popołudnia, kiedy zjedzą się w hotelowej restauracji na coś w rodzaju bankietu. To nie był oficjalny punkt programu, ale przecież same ją zaprosiły.

Przy recepcji kręciło się parę osób, lecz żadna nie wydawała jej się znajoma ze zdjęć z Facebooka. Nie bardzo wiedziała, co zrobić z czasem, posiedziała więc trochę na sofie w holu, przeglądając ostrożnie, tak żeby nie zniszczyć grzbietu, książkę autorki, od której dedykację najbardziej pragnęła zdobyć. Wreszcie pomyślała, że chyba wygląda trochę dziwnie, siedząc tak, jakby czekała na spóźniającego się amanta, postanowiła więc pospacerować po okolicy.

Po paru minutach ulica przywiodła ją do parku. Super, idealne miejsce, jeśli się dysponuje nadmiarem czasu, a nie chce się tracić pieniędzy w kawiarniach. Usiadła na ławce ustawionej przy brzegu niewielkiego stawu i obserwowała dzikie kaczki, poszukujące jedzenia wśród lilii wodnych. Książkę ostrożnie włożyła do plecaka.

– Przepraszam...

Dziewczyna drgnęła i odwróciła głowę w stronę alejki.

– Tak?

– Ja bardzo przepraszam, że tak zagaduję, ale nie jestem stąd. Szukam hotelu Janusz, w którym, wie pani, będzie spotkanie z tą znaną pisarką, Justyną Sobolewską.

– Aha. – Uniosła domyślnie brwi i zaczęła trajkotać jak katarynka: – Ja też przyjechałam specjalnie na to spotkanie. Znamy się trochę, ale co tam taka znajomość internetowa. Dowiedziałam się w ostatniej chwili, bo byłam na obozie w górach. Ledwie wyskrobałam trochę pieniędzy na bilety, bałam się, że zabraknie na książkę. Pójdziemy razem,

ja już tam byłam, to niedaleko.

- Znam ją dość dobrze. Czasem się widzimy i piszemy do siebie.
- O kurczę. Pewnie dostaje tysiące listów od czytelników i nawet ich nie czyta?
- Nie, nie tak wiele... O, małe kacuszki. Nakarmimy je?
- No jasne!

Podbiegła do brzegu, starając się przywołać bliżej żółtobrazowe kuleczki. Kacza mama zwołała swe stadko głośnym kwaknięciem, lecz nie spieszyła się z podpływaniem, nie widząc na wodzie niczego do jedzenia.

Dziewczyna poczuła, że coś dotknęło jej pleców, i chciała odwrócić głowę. Nie zdążyła. Usłyszała głuchy dźwięk, podobny do huku pękającej papierowej torebki. Zatoczyła się i upadła na ziemię, zaciskając dłonie na kępkach trawy. Po chwili znieruchomiała.

Morderca przeciągnął bezwładne ciało, oparł je o pień płaczącej wierzby, położył obok plecak dziewczyny. Wyglądała, jakby odpoczywała. Minie trochę czasu, zanim ktoś zwróci na nią uwagę. Wyjął z jej plecaka nowiutką książkę, wydarł kartkę, z której złożył łódeczkę i puścił na wodę. Małe kacuszki zebrały się wokół dziwnego przedmiotu, skubiąc go leciutko.

Wieczorny bankiet w hotelu Janusz udał się znakomicie. Autorki i goście festiwalowi bardzo szybko stali się zintegrowaną grupą; przy dobrym winie i przekąskach nikomu nie było spieszo opuszczać imprezy.

Morderca krążył wokół hotelu, od czasu do czasu zaglądając przez panoramiczne okna do restauracji. Był cierpliwy, czekał na odpowiedni moment. Za każdym razem bardziej ryzykował, lecz nie chciał i nie mógł przestać. I wiedział, że to nie koniec.

Ktoś wznosił toast, rozległy się słyszalne aż na zewnątrz brawa i wielogłosowe nawoływania. Justyna Sobolewska, wraz z całym towarzystwem, gośćmi i roześmianymi przyjaciółkami, przeszła na koniec sali i ustawiła się w półkolu do pamiątkowego zdjęcia. Błysnęły flesze.

Teraz.

Morderca wszedł do restauracji, spokojnym krokiem dotarł do upatrzonego stolika. Nie słuchał dobiegających od strony zaimprovizowanej sceny słów przerywanych oklaskami. Po chwili wymknął się, nie zwracając niczyjej uwagi.

Kiedy Justyna wróciła do stolika, znalazła na swoim krześle książkę. Własną, zupełnie nową. Pewnie ktoś zostawił do podpisu i zaraz się zgłosi. Machinalnie przekartkowała powieść, w której tkwił niczym zakładka papierowy okręcik. Wykonany z wyrwanej ze środka kartki. Zacisnęła zęby. Głupi żart, niech no tylko zgłosi się do niej właściciel!

Ale czuła, że nikt się nie zgłosi.

Następnego dnia, zaraz po wschodzie słońca, do parku wszedł jeden z sokolników. Jego pupil wzbіл się w niebo, wykonując swoje zadanie, czyli strasząc i przeganiając gawrony, a mężczyzna patrzył za nim w górę, w jasne niebo, podziwiając piękną sylwetkę ptaka. I raptem...

Oparta o pień wierzby dziewczyna z daleka wyglądała, jakby spała. Przeczyła temu nienaturalnie przechylona na bok głowa i szeroko otwarte oczy.

Rozdział 18

Ewelina Zaczeka obserwowała miasto z tylnego siedzenia taksówki. Z Pałacu Mostowskich mogła wrócić tramwajem do siebie, na Wilczą, to raptem kilka przystanków, ale lubiła sprawiać sobie drobne przyjemności, łamiące choć trochę monotonię wieczornych powrotów do domu. W którym nikt na nią nie czekał.

Kolorowe neony, twarze na ogromnych billboardach i rozświetlone witryny sklepów zlewały się w całość, na pozór nie pozostawiając śladu w pamięci. Jako psycholog wiedziała, że jest inaczej, przekazy podprogowe działają tym skuteczniej, im mniej świadomie są odbierane. Zapadają wtedy głębiej i zostają na dłużej. I znacznie trudniej się przed nimi bronić, bo racjonalna część umysłu nawet nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia. Jednak Ewelina nie myślała o tym teraz, nie słuchała utyskiwań taksówkarza rozwodzącego się nad utrudnieniami w ruchu spowodowanymi budową nowej linii metra i niekończącymi się remontami ulic. Z mieszaniną ciekawości i obawy położyła dłoń na damskiej aktówce wypchanej dokumentami. Rano musiały z powrotem znaleźć się na biurku nadkomisarza Piotra Zawady.

Powierzając je osobie z zewnątrz, łamał surowe przepisy, lecz nigdy nie odmawiał, gdy go o to poprosiła. Wiedział, że Ewelina nienawidzi atmosfery komendy, nieustannie dzwoniących telefonów i drzwi trzaskających tak regularnie, jakby pracownicy mieli w regulaminie zakaz ich cichego zamykania. Wielu z nich znała z widzenia, nie powinna czuć się obco wśród stróżów prawa, ale tutaj najbardziej ważna była ranga. Zaczeka zawsze mogła liczyć na uprzejmość, czasem na pomieszany z nieufnością szacunek, gdy jej wnioski okazywały się zbieżne z ustaleniami śledztwa. Lecz śledczy nie traktowali jej jako równorzędnego partnera – może dlatego, że była kobietą? Z wyjątkiem Piotra, który nawet jej błędy przyjmował jako coś naturalnego, twierdząc, że i ślepe uliczki zbliżają do celu, bo zmuszają nas do cofnięcia się o parę kroków i spojrzenia na sprawcę z nowej perspektywy.

Ilekoć było to potrzebne, dostawała w komendzie ciasną klitkę z biurkiem i komputerem, w której zapach papierosów zdawał się przenikać wszystko niczym środek dezynfekcyjny. Nie pomagało otwieranie okna; kiedyś nawet spryskała pomieszczenie odświeżaczem powietrza, lecz osiągnęła tylko tyle, że zapach w pokoiku zaczął przypominać odór dworcowej poczekalni. Nie potrafiła tam osiągnąć niezbędnego skupienia, nawet nocą gmach komendy żył własnym życiem, jakby funkcjonariusze nie odróżniali pór dnia, snując się niczym koty po swym rewirze. Tyle że nie słysząc miauczenia.

Ewelina miała własny sposób przygotowywania profilu sprawcy przestępstwa, polegający na wcieleniu się w jego psychikę tak mocno, jak to tylko możliwe. Balansowała często na skraju rozdwojenia jaźni, przesiąkając cudzymi emocjami jak opętani hodujący w sobie demona. Nijak się to nie miało do wpajanych na studiach zasad profesjonalizmu i niezbędnego dystansu do „obiektów” badań, lecz ona intuicyjnie czuła, że właśnie takie podejście przynosi najlepsze rezultaty. Czasem płaciła za to powracającymi nocnymi koszmarami, częściej bezsennością. Nie raz obiecywała sobie, że skończy z tym definitywnie, gdyż powroty do normalności stawały się coraz trudniejsze. I dłuższe. Ale nigdy nie dotrzymała słowa.

Zaczynała od drobiazgów, ledwie uchwytnych rysów charakteru, dających się wyczytać ze śladów pozostawionych na miejscu zbrodni. Lub ich braku, co też było znamienne, gdyż oznaczało najczęściej, że będzie miała do czynienia z kimś, kogo mija się na ulicy bez najmniejszych podejrzeń, kto może mieć normalną pracę i rodzinę, a jego drugie ja potrafi

drobiazgowo zaplanować, a potem wykonać zbrodniczy plan. I wrócić do pospolitego życia, póki głęboko skrywane żądze znów nie zaczną się domagać zaspokojenia. Ewelina zawsze potrzebowała na początek jakiegoś punktu zaczepienia. Zależnie od okoliczności mogły to być cechy fizyczne, wyodrębnione przez techników w laboratorium, z pozostawionych mikrośladów, odcisków butów czy choćby niedopałków. A gdy te były zbyt skąpe, skupiała się na ofiarach. Tego, kim były, ich nawykach, płci, wieku. Bo tak jak pewni ludzie wciąż popełniają podobne błędy przy ocenie partnerów, angażując się w związki bez perspektyw, podobnie potencjalne ofiary przyciągają określony typ prześladowców.

Jednak do zagłębienia się w cudze myśli, wcielenia się w pogmatwaną osobowość zbrodniarza, tak obcą jej własnej naturze, potrzebowała spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Tylko u siebie w domu, wśród znajomych sprzętów i odgłosów, miała odwagę posunąć się dalej, niż nakazywał rozsądek, wierząc, że zdąży uczynić krok w tył, nim demony zdołają zawładnąć jej umysłem i ciałem.

Nadkomisarz znał ją na tyle dobrze i ufał jej do tego stopnia, że pozwalał, żeby zabierała akta spraw ze zdjęciami ofiar i miejsc, w których zginęły. Ale tylko na noc, by nie dowiedzieli się o tym przełożeni. Nigdy nie spytał, czy kopiowała sobie niektóre dokumenty, żeby w razie potrzeby mieć je pod ręką. Dobrze, że nie spytał, bo nie lubiła kłamać. Przynajmniej nie jemu.

Kierowca zatrzymał się obok pięciopiętrowej kamienicy na Wilczej. Zauważyła, że włączone wycieraczki zbierały z szyby rzadkie krople wody. Taksówkarz oczywiście nie miał drobnych na wydanie reszty i kiedy szukała w portmonetce bilonu, uprzytomniła sobie, że jej parasolka została w gabinecie Zawady. Jeszcze gotów pomyśleć, że to tak specjalnie... Wiedział, gdzie ona mieszka, więc mogła sądzić, że jak Piotr skończy służbę, to wpadnie na Wilczą po drodze. Nie wypadaloby nie zaprosić go na herbatę... Boże, co jej przychodzi do głowy, akurat teraz?! Piotr najwyżej zadzwoni albo w ogóle nie będzie sobie zawracał głowy takim drobiazgiem.

Przytulne wnętrze kawiarenki, której właścicielki nadały intrygującą nazwę: Cafe Pineska, przyciągało wzrok. Ewelina niemal czuła aromat herbaty z goździkami i plasterkiem czerwonego grapefruita. Do tego jakiś wymyślny deser. Trzy siostry – właścicielki same tak o sobie mówiły – były niezmordowane w komponowaniu nowych atrakcji dla podniebienia. Jakże miło byłoby zagłębić się w fotelu pod ścianą zastawioną otwartymi regałami z książkami. Zostać aż do zamknięcia, a potem wrócić do domu i pójść spać, nie zastanawiając się, jak by to było, gdyby ktoś czekał na nią z kolacją.

Ale dziś nie mogła sobie pozwolić na leniwy wieczór, na oszukiwanie samej siebie, że tak jej dobrze i niczego więcej nie pragnie. Zapowiadała się długa, bezsenna noc.

Ewelina wstukała automatycznie kod domofonu i nawet nie sprawdzając, czy winda wielkości ulicznej tojtojki stoi na parterze, weszła na schody. Rzadko korzystała z windy – nie znosiła jej ciasnoty i nagłego zatrzymywania się ze zgrzytem, który słychać było w całej kamienicy. W mieszkaniu przypomniała sobie, że nie sprawdziła skrzynki na listy, zawahała się więc z ręką opartą na klamce, ale w końcu zdecydowanym ruchem przesunęła zasuwę i założyła łańcuch. Nie czuła głodu, jednak rozsądek podpowiadał jej, że powinna coś zjeść. Z rozterką popatrzyła na resztki wędzonej makreli w lodówce, wzruszyła ramionami i zajrzała do szafki pod oknem. Błaznane pudełko maślanych ciasteczek było prawie nienaruszone, jakby czekało na tę właśnie okazję. Nalała wody do przedpotopowego ekspresu, odmierzyła porcję kawy na cały dzbanek i zamknęła się w łazience. Gorący prysznic powoli splukiwał przywleczone z zewnątrz zapachy.

Minęła druga w nocy. Ewelina siedziała w szlafroku na dywanie, krąg światła

ze stojącej lampy dotykał jej kolan. Patrzyła na fotografie trzech kobiet. Tylko trzech, choć zdjęć było kilkanaście. Na jednych widniały same twarze z otwartymi oczyma, zastygłe w wyrazie jakiejś niehumanitarnej obojętności figur woskowych. Inne ukazywały ofiary na miejscu zbrodni, w pozycjach, w jakich je znaleziono, podobne do porzuconych sklepowych manekinów. Z akt sprawy wiedziała, że dwóch pierwszych zabójstw początkowo nie łączono ze sobą, ktoś tam przeoczył fakt, że morderstw dokonano z tej samej broni, na co wskazywały badania balistyczne. No i były jeszcze te papierowe łódeczki znalezione przy zwłokach. Zawiodły procedury albo ludzie, prędzej to drugie. Dopiero ostatnia ofiara – młoda dziewczyna znaleziona w parku – naprowadziła śledczych na właściwy trop. Porównano bruzdy na pociskach i stało się jasne, że te sprawy należy połączyć. Policjanci zaczęli szukać wspólnego dla wszystkich zbrodni motywu, odtwarzać poczynania denatów w dniach poprzedzających zabójstwa, sprawdzać kontakty ofiar, nawyki i kręgi znajomych. Z pozoru nic nie pasowało, ani wiek tych kobiet, ani ich miejsce zamieszkania, nic też nie wskazywało, by się kiedykolwiek spotkały. Zanosilo się na długie i żmudne śledztwo, lecz gdyby było inaczej, nie skorzystano by przecież z usług profilerów. W dodatku okoliczności wskazywały, że sprawca nie zamierza poprzestać na dotychczasowych dokonaniach.

Mieli do czynienia z seryjnym mordercą.

Ewelina układała zdjęcia w kręgu światła jak puzzle. Najpierw same twarze, potem sylwetki w coraz większych zbliżeniach. Momentami te kobiety wydawały jej się znajome, szczególnie druga ofiara. Była niemal pewna, że gdzieś ją spotkała, widziała przelotnie przy jakiejś mało ważnej okazji. Jednak pośmiertne zdjęcia z policyjnych kartotek zmieniają ludzkie rysy, ta kobieta mogła być tylko do kogoś podobna. Cóż, prędzej lub później powinna sobie przypomnieć.

To zresztą mało istotne, codziennie mija się tylu ludzi. Poruszyła bezgłośnie ustami i przymknęła powieki. Twarze nie zniknęły, stały się wręcz żywsze, jakby zrzuciły trupie maski. Mówcie do mnie, powiedzcie, czym zawiniłyście, czemu byliście tak nieostrożni. Albo tak łatwowierne. Kobiety bywają zbyt łatwowierne, pewnie dlatego nie ma wśród ofiar mężczyzny. I nie będzie... Nie, to nie tak, prawda? Nie skrzywdził was bardziej, nie upokarzał i nie kaleczył, czerpiąc satysfakcję z waszego bólu. Bo nie o to chodziło; po prostu miałyście zniknąć z tego świata, przestać mówić, oddychać i myśleć. Wybrał was spośród wielu podobnych istot, może spotykał się z wami, rozmawiał, badał, lecz nie próbował zbliżyć się naprawdę. Nie chciał was lepiej poznać i zrozumieć, wystarczyło mu tylko poczucie władzy, możliwość wydawania wyroków. Jemu albo... jej. Osądzić i skazać, któż z nas tego nie robi? Nieustannie oceniamy innych po pozorach, budujemy gmachy oskarżeń na szczątkach informacji, przypisujemy innym wymyślone winy – tylko po to, by usprawiedliwić własne. Najtrudniej przyjąć do wiadomości, że tylko krok dzieli nas od szaleństwa, jakaś trauma z dzieciństwa, niezagojona rana, która się jątrzy i nie chce zagoić. Wystarczy wtedy kamyczek, ziarnko piasku poruszające następne. Sumienie usprawiedliwi wszystko, ponieważ to właśnie potrafi najlepiej. A kiedy ktoś jest przekonany o własnym geniuszu i bezkarności, nic go już nie powstrzyma.

Dlaczego pistolet z tłumikiem? To broń zawodowców. Albo tchórzy. Seryjni mordercy rzadko ją wybierają. Chyba że to nie ofiary były prawdziwym celem...

Posuwasz się za daleko, uznała Ewelina i wstała, rozcierając zdrętwiałe kolana. Zgasila lampę, po omacku podeszła do biurka i włączyła komputer. Dysk wystartował z cichym buczeniem. Zbliżała się czwarta w nocy, niedługo zacznie świtać. Ewelina położyła palce na klawiaturze, litery pojawiały się na ekranie, układały w słowa i zdania. Gdzieś między wierszami kryła się postać, którą starała się zrozumieć i wydobyć na światło dzienne. Przez

całą noc szła jej tropem, widziała tylko cień, lecz wierzyła, że jest coraz bliżej. Zarazem bała się, że podejdzie zbyt blisko.

Skończyła pracę, kiedy za oknem było już całkiem jasno. Przez uchylone okno coraz odważniej wdierały się odgłosy miasta, pomieszane z miarowym stukaniem. W pierwszej chwili pomyślała, że zaczął padać grad, ale to tylko gołąb przysiadł na chwilę i przechadzał się po blaszanym parapecie. Telefon zadzwonił, gdy drukarka wypluwała ostatnie strony. Ewelina poznała numer Piotra; miała nadzieję, że nie dzwoni w sprawie tej głupiej parasolki.

– Halo?

– Przepraszam, że tak wcześnie, nie obudziłem cię?

– Teraz to i tak bez znaczenia – powiedziała, tłumiąc ziewnięcie. Podeszła do okna i odsunęła firankę. – Stało się coś?

– Nie, niezupełnie... – Urwał, jakby nad czymś się zastanawiał. Albo po prostu czekał, aż minie go ktoś, kto mógłby usłyszeć ich rozmowę. Odgłosy w tle sugerowały, że Zawada jest na ulicy. – Podeszłem za chwilę radiowóz, chłopaki podrzucą cię do komendy. Chyba że masz coś pilnego w planach?

Za chwilę?! Ogarnęła obronnym ruchem rozchylone połę szlafroka i popatrzyła na swoje bose stopy. W lustro nie musiała spoglądać, by sobie wyobrazić, jak wygląda po nieprzespanej nocy.

– Czekaj! – prawie krzyknęła w obawie, że Piotr uzna sprawę za załatwioną i się rozłączy. – Niech któryś wejdzie i zapuka. Dam mu dokumenty, a sama przyjadę później. Obiecałam komuś...

– Cholera, szkoda... – Rozczarowanie w jego głosie sprawiło jej nieoczekiwaną przyjemność, którą stłumiły natychmiast dalsze słowa: – Słuchaj, to ważne, są nowe ustalenia. Dobrze by było, żebyś je poznała, ewentualnie uzupełniła swoje wnioski. Potem będę na naradzie u starego, chciałbym mu pokazać w miarę kompletny materiał i ruszam w teren. Możemy się minąć, naprawdę nie dasz rady?

– Czekaj... – powtórzyła, starając się zebrać myśli. – Będę za kwadrans na dole, niech poczekają.

– Świetnie. Zaparzę kawy, zamkniemy się u mnie, o tej porze nikt nie powinien nam przeszkadzać.

Schowała wydruki do cienkiej tekturowej teczki z tasiemkami i podreptała do łazienki. Nie przypisywała dwuznacznego podtekstu ostatnim słowom, zbyt dobrze знаła Piotra, toteż była pewna, że to nie w jego stylu. No i nawet nie zająknął się o parasolce.

Rozdział 19

Nadkomisarz Zawada palił papierosa, stojąc przed otwartym oknem swojego gabinetu w Pałacu Mostowskich. O ile można było nazwać gabinetem ciasne pomieszczenie z dwoma biurkami, regałem i pomalowanym na zielono sejfem wielkości szafy. Grube kraty w oknie przypominały, gdzie jest, wydawało mu się czasem, że obserwuje świat zewnętrzny jakby zza fenickiego lustra, które nie pozwala nikomu zajrzeć do środka. Iluzja przyskała, gdy rozdzwaniały się telefony. Tyle dobrego, że przez zatłoczoną o każdej porze ulicę Andersa miał widok na Ogród Krasińskich.

Lubił przebywać w komendzie poza ustalonymi godzinami pracy, co było raczej normą niż wyjątkiem. Żona dawno się z tym pogodziła, nie pamiętał już, kiedy ostatni raz czekała na niego z kolacją. Odkąd córka wyjechała na studia, mijali się zwykle w biegu, zostawiając sobie przyklejone do lodówki karteczki z niepotrzebnymi informacjami. Dni wolne coraz częściej przeciekały im przez palce w wymuszonych próbach nawiązania zwykłych relacji. Kończyło się tym, że śledząc bezmyślnie kolejny odcinek serialu, którym nawet sami aktorzy wydawali się znudzeni, Zawada niczym wybawienia oczekiwał telefonu z jakimś pilnym wezwaniem. Obydwoje oddychali wtedy z ulgą, bo wszystko wracało do normalności i mogli zająć się własnymi sprawami. Elżbieta miała swój krąg znajomych, Piotr nawet ich wszystkich nie kojarzył, ale akceptował taki stan rzeczy. Nigdy nie pytał, gdzie była, kiedy wracała późno w stroju, którego wcześniej na niej nie widział. Albo nie wracała wcale. Ot, pewnie grill u koleżanki za miastem i nocleg. Nic mu do tego. Czasami łapał się na myśli, że wszystko stałoby się łatwiejsze, gdyby naprawdę w coś się zaangażowała. Pogodziłby się z faktem, że jego żona chce od życia więcej, niż on potrafi jej zaoferować. Spróbowałby o nią powalczyć, jak na mężczyznę przystało, udowodnić coś jej i sobie. A gdyby się nie udało... to i tak wszystko byłoby prostsze.

Jako policjant lubił klarowne sytuacje.

Zgasił papierosa i zaraz zapalił następnego. Szósta rano to nie najlepsza pora na snucie takich rozważań. Ani żadna inna.

Drzwi otworzyły się bez pukania i dyżurny wprowadził Ewelinę. Komisarz natychmiast przypomniał sobie, że miał zaparzyć kawę. W ekspresie na małej szafce w rogu była jeszcze woda; wyciągając z szuflady biurka nową pełną torebkę, zagadnął:

– Wybacz, że cię sprowadziłem z taką eskortą, ale cholernie zależało mi na spotkaniu.
– Zaczekał, aż dyżurny zamknie za sobą drzwi, i dokończył: – Za dwie godziny narada. Stary domaga się wyników, tylko patrzeć, jak media zwietrzą sensację. A wtedy pismaki zaczną snuć własne teorie, zarzucać policji bierność i niekompetencję. Gadające głowy w telewizji będą bredzić na temat stanu państwa, w którym seryjni mordercy mogą sobie chodzić spokojnie po ulicach. Muszę pokazać staremu coś konkretnego. Albo przynajmniej nie dać poznać, że błądzimy ciągle we mgle.

– Po mnie nie spodziewaj się za wiele. – Ewelina starała się nie pokazać po sobie, jak bardzo zabrakło jej z jego strony zwykłego „dzień dobry”. Wyjęła z aktówki dokumenty i położyła na biurku. Wskazała palcem cienką tekturową teczkę. – Sporządziłam profil psychologiczny sprawcy, lecz siłą rzeczy jest bardzo ubogi. Sam wiesz, na czym musiałam się oprzeć, więc na tym etapie to prawie wróżenie z fusów. Choć pewne wnioski można już

wysnuć.

Nadkomisarz zgasił w popielniczce na wpół wypalonego papierosa.

– Właśnie wróciłem z terenu, przesłuchiwałem rodziców tej dziewczyny znalezionej tydzień temu w siedleckim parku.

– W nocy ich przesłuchiwałeś?! Oni bardziej potrzebują psychologa niż...

– Niż gliniarza, który nie potrafi uszanować żałoby?

Ewelina wytrzymała jego spojrzenie. Zauważyła cienie pod oczyma i wczorajszy zarost, nadający jego twarzy wyraz szorstkości. Pomyślała, że po niej też musi być widać nieprzespaną noc. Ale kobiecie łatwiej ukryć zmęczenie pod makijażem i warstwą pudru. Już otwierała usta, żeby powiedzieć coś łagodzącego sytuację, lecz Piotr ją ubiegł:

– Byłem u ich późnym wieczorem. I źle się wyraziłem, nie chodziło o formalne przesłuchanie. Ja też mam córkę.

– Przepraszam.

– Daj spokój. – Zawada nalewał kawy do filiżanek. Nie odwracając się, spytał: – Będą następne ofiary?

Spodziewała się tego pytania. Piotr był zbyt doświadczony, by samemu nie udzielić sobie odpowiedzi. Pragnął się tylko upewnić i wysłać sygnał, że wierzy jej opiniom. Może też liczył w głębi duszy, że dostrzegła coś, co oni przeoczyli w plataninie raportów i śladów z miejsc zbrodni.

– Trzeba to brać pod uwagę – stwierdziła ostrożnie i natychmiast zbesztła się w myślach za brak zdecydowania. – Dokonując pierwszego morderstwa, przekroczył pewną granicę. Nawet psychopaci nie wiedzą, do czego są zdolni, póki nie spróbują. Potrafią latami prowadzić na pozór normalne życie, aż jakiś czynnik wyzwoli emocje na tyle silne, że sprawcy nie są w stanie ich opanować. Potem już jest łatwiej, stany euforyczne związane z planowaniem i dokonywaniem zbrodni zapadają tak głęboko w pamięć, że morderca pragnie ich nieustannie doświadczać.

– Jak narkoman.

– Trafne porównanie. Tyle że narkoman nie potrafi tak doskonale ukryć swego uzależnienia, więc otaczający go ludzie bardzo prędko dostrzegają, co się z nim dzieje, i wyciągają prawidłowe wnioski. Natomiast psychopaci bywają wyjątkowo trudni do rozszyfrowania nawet dla specjalistów.

– Wiem. Wiem aż za dobrze. – Stukał rytmicznie palcami w leżącą na biurku teczkę z wynikami jej nocnej pracy. Wciąż jednak nie zaglądał do środka.

Ewelina odnosiła nieodparte wrażenie, że Piotr celowo prowadzi tę ogólnikową dyskusję, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma przed sobą właściwego partnera. Ale to nie było w jego stylu, nie ściągałby jej przecież bladym świtem do komendy tylko po to, żeby napić się kawy i snuć akademickie rozważania.

– Będzie więc zabijał nadal. – To nie było pytanie. Zabrzmiało jak fraza bez szczególnej intonacji, powtarzana dla lepszego zapamiętania. Albo jak tytuł powieści, który sam w sobie mówi niewiele, lecz prędko zmienia się w samospełniającą przepowiednię.

– Tak, on zabije znów. Albo ona.

– Ona? – Nadkomisarz uświadomił sobie nagle, że choć brał pod uwagę wszystkie możliwości, to właściwie cały czas myślał o mordercy jako o mężczyźnie. I nawet w takiej formie opisywano sprawcę w raportach. – Powiedz mi, czy natrafiłaś na coś wskazującego jego płeć? To może być bardzo istotne, bo na pewnym etapie śledztwa w sprawie seryjnych zabójców najlepszą metodą jest prowokacja na wytypowanym terenie. I często bywa to jedyny sposób, by zdobyć niezbity dowód.

– Masz na myśli podstawionych wywiadowców, odpowiednio ucharakteryzowanych na idealną ofiarę?

– Otóż to. Dlatego płeć zabójcy ma kluczowe znaczenie. Przeciw mężczyźnie wysłała się kobiety i odwrotnie. A nasze wszystkie ofiary są płci pięknej.

– Na razie.

– Na razie... – Wyjął papierosa, lecz go nie zapalał. Kiedy obrócił go w palcach, dał się słyszeć delikatny szelest kruszonego tytoniu. – Nie ułatwiasz mi zadania.

– Nie potrafię kreować faktów. Chyba lepsze są niejasności i kilka prawidłowo postawionych pytań niż zgrabna teoria na glinianych nogach?

Nadkomisarz podszedł do okna i zapatrzył się w ruch uliczny. Odwrócony tyłem zapytał:

– Ewelina, kim według ciebie jest ten człowiek?

– Najpierw może przeczytaj mój raport. – Przypomniała sobie, że Piotr napomknął coś o nowych faktach. Dlaczego więc tak uparcie ją sonduje, zamiast przedstawić nowiny, mogące uzupełnić obraz?

– Opowiedz mi o nim własnymi słowami jak o kimś spotkanym dawno, ale dobrze znanym. Kogo mam wypatrywać w kręgu potencjalnych podejrzanych, jak go rozpoznać, czego spodziewać się po kimś takim?

Wiedziała, że nie chodzi o szczegółowy opis fizyczny, tu pole do popisu mieli policyjni fachowcy, którzy z odcisków stóp, włosa, nitki z ubrania, kąta, pod jakim padł strzał, umieli podać więcej parametrów sprawcy, niżby sobie mogli wyobrażać laicy. Piotr pragnął poznać wnętrze poszukiwanego, drogi, jakimi wędrowały jego myśli, motywację chorego umysłu, któremu jakiś niemożliwy do stłumienia imperatyw każe osądzać innych.

Na korytarzu rozległy się głośne kroki. Ich stukot był rytmiczny i drażniący, jakby sąsiad postanowił w niedzielny poranek nadrobić zaległości, wbijając gwoździe w ścianę. Nie zmieniły rytmu pod ich pokojem, a po chwili zaczęły cichnąć.

Ewelina napiła się kawy, która zdążyła już wystygnąć.

– On nie jest w pełni zdrow psychicznie, ale dla sądu będzie to mieć drugorzędne znaczenie, jeśli biegli wykażą poczytalność w chwili popełniania przestępstw. Oraz możliwość oceny skutków własnych czynów.

– Ale dla nas ma to znaczenie. – Zawada usiadł na parapecie i zapalił papierosa.

– Jak on odbiera innych ludzi i świat, w którym żyje? Dzieli ich na jakieś kategorie według własnych osądów, jakichś wyniesionych z dzieciństwa doświadczeń? Mści się czy pragnie dowieść swej boskiej władzy?

– Próbujesz wejść w jego buty, Piotrze, ale nie uda ci się, jeśli będziesz go traktował jak obiekt kliniczny, sprawdzisz w podręczniku pasujące objawy, przypiszesz im określone zaburzenia o ładnych łacińskich nazwach, wrzucisz wszystko w komputer i poprosisz o wynik. Otrzymasz setki pasujących z grubsza odpowiedzi, ale prawie na pewno nie będzie tam tego właściwego obiektu. Bo jego nie ma w waszych bazach danych. Narodził się kilka tygodni temu.

– Wiem o tym, ale trzeba sprawdzić. I masz rację, chcę wejść w jego buty, wypatrywać ofiar jego oczyma, szukając tej jednej, której mógłbym wymierzyć karę. Albo nagrodę.

– Nagrodę? Tak, to również bywa motywem psychopatów. Ale nagrodą, w ich pojęciu, jest coś zupełnie innego niż w pojęciu ofiary.

– Dlatego interesuje mnie jego wnętrze. Bódźce odbiera jak każdy z nas, lecz obraz świata i reszty ludzi wykoślawia się w jego umyśle. Alkoholik zawsze rozpozna innego

alkoholika, nawet gdy tamten jest „suchy”. Wychwytuje pozornie nieznaczące drobiazgi w jego zachowaniu, bo wie, na co zwracać uwagę.

– Chcesz pojąć, jak to jest mieć rodzinę i dzieci, chodzić do pracy i pozornie niczym się nie wyróżniać, będąc naprawdę kimś diametralnie innym, kto z niewiarygodną cierpliwością tłumi instynkty i jak pajak w rozpiętej sieci czeka na ofiarę. Albo typuje ofiarę po długiej obserwacji, prowadząc coś w rodzaju gry wstępnej wiodącej do ostatecznego spełnienia. Utożsamić się z kimś takim wbrew pozorom nie jest trudno. Ile razy dopadało cię poczucie, że ktoś jest zbędny na tym świecie? Mniejsza o motywy, ale parę osób byś znalazł?

– Znalazłoby się... – Chwilę grzebał w pamięci, zmrużywszy lekko powieki. Ktoś z boku mógłby pomyśleć, że przypomina sobie kobiety, z którymi łączyło go coś więcej niż niezobowiązująca randka.

– Ale nie zrobiłeś niczego, by pofolgować instynktom.

– Nie, nie w tych wypadkach. – Nie wspomniał, jak kilkakrotnie bliski był osobistego wymierzenia sprawiedliwości paru łachudrom, wobec których organa ścigania okazały się bezsilne. Zastraszone ofiary wołały trwać w zagrożeniu i znosić codzienną udrękę, bo nie umiały się przemóc i zaufać policji. Gliniarzy krępowały procedury, a kiedy nadchodziła informacja, że znękana ofiara popełniła samobójstwo, zamykano sprawę z powodu nieudowodnienia udziału osób trzecich.

Ewelina usiadła obok Piotra na parapecie.

– Nie posunąłeś się poza wyobrażenie sobie, jak by to było wspaniale mieć władzę i w poczuciu bezkarności zrobić z niej użytek. Oczywiście dobry użytek. Tyle że nasz sprawca we własnym najgłębszym przekonaniu również robi rzeczy właściwe i dobre.

– A jeśli właśnie pragnie czynić zło, bo sprawia mu przyjemność widok strachu w oczach ofiar, chłonie ich cierpienie, czuje się potem silniejszy i doznaje fizycznej rozkoszy?

– Nie zgwałcił ani nie okaleczył żadnej z ofiar. Pozbawił je życia z zaskoczenia jak idącego po ścianie pajaka. Wyeliminował wszystkie te osoby, ponieważ burzyły jego obraz świata albo zabicie ich było środkiem do osiągnięcia jakiegoś celu, którego jeszcze nie znamy. Pamiętaj, że użył pistoletu z tłumikiem, a to świadczy, że nie podnieca go cierpienie ofiary. Co nie oznacza, że nie zacznie szukać mocniejszych wrażeń. Przekroczył już jedną barierę; gdy satysfakcja zacznie maleć, zdecyduje się podnieść poprzeczkę.

– Jednak na razie ważny jest dla niego fakt odebrania komuś życia, a nie sposób. Dlatego nie wykluczasz kobiety?

– Tak. Ale kobiety rzadko stają się seryjnymi mordercami, jeśli nie mają głębszego motywu albo bardzo daleko posuniętej psychozy.

– Wydaje mi się, że łatwiej od psychopaty można zrozumieć pospolitego wariata i zbrodnicę. Wiadomo, do czego dąży, można przewidzieć, co zrobi następnym razem.

– Nie używasz terminów naukowych, ale przynajmniej nie wrzucasz wszystkich do jednego worka. – Ewelina zlustrowała wzrokiem pokój, ale nigdzie nie dostrzegła swojej parasolki. – Więc trzymajmy się psychopaty, to określenie jest najbliższe dla obiektu naszego zainteresowania.

Piotr pokiwał głową, wziął głęboki oddech i wyrecytował:

– Jest na pozór zwyczajnym człowiekiem, inteligentnym i sympatycznym.

Szczegółowo planuje swoje działania, niczego nie pozostawiając przypadkowi. Uważa się też za bystrzejszego od policji. A wpada dlatego, że nie potrafi przestać zabijać, czerpiąc coraz większą satysfakcję z kolejnych sukcesów. Czasem umyślnie zostawia jakiś znak rozpoznawczy, żeby nam zagrać na nosie i zasygnalizować, że to on rozdaje karty. To niby proste schematy zachowań, nic odbiegającego od normy. A mimo to nie potrafię wejść do jego umysłu, jakby

dostępu broniły niemożliwe do złamania hasła. Co może być takim hasłem, katalizatorem? Przeżyta w dzieciństwie trauma, wypadek, zdrada...?

– Piotrze, wciskanie danego człowieka w podręcznikowe definicje i przywieszanie mu metek z cechami charakteru niczego ci teraz nie da. Pobawisz się w to później, kiedy założysz mu kajdanki.

– Mam go więc traktować jak każdego innego?

– Nie w tym rzecz. Póki nie zdobyłeś nic namacalnego, pomoże ci, gdy spróbujesz zrozumieć, jak tacy ludzie odbierają świat i bliźnich. Kluczem jest empatia, choć to pojęcie o wielu odcieniach znaczeniowych.

– Czyli jemu, czy też jej, brakuje empatii?

– To nie takie proste, znów chciałbyś jasnego podziału na czarne i białe. Prosiłeś, żebym opowiedziała ci własnymi słowami o tym człowieku. – Ewelina zsunęła się z parapetu i zaczęła spacerować po pokoju. – Dobrze. Ty, Piotrek, jesteś w miarę zwyczajnym facetem, z podobnymi wadami i zaletami jak większość z nas. Odbierasz świat i ludzi, jakbyś jechał letniego dnia przez miasto samochodem z otwartymi szybami. Zwracasz uwagę, by nie zająchać nikomu drogi, bo po co robić kłopot komuś i sobie. Przyglądasz się zmianom, psioczysz na remonty dróg. Widzisz przy drodze babinę sprzedającą truskawki, zatrzymujesz się i kupujesz lubiankę, jeśli akurat masz apetyt albo pragniesz sprawić przyjemność żonie. Zwalniasz, widząc przy pasach kobietę z dzieckiem, uśmiechasz się, bo jest całkiem ładna. Kawalek dalej przy szosie stoi prosty drewniany krzyż i kilka zapalonych lampek. Błyska ci w głowie refleksja nad ulotnością życia i cierpieniem bliskich ofiary tak bezsensownego wypadku.

– Chyba rozumiem. A psychopata taranuje matkę z dzieckiem....

– Nie. Nic podobnego. Tu właśnie leży różnica między postrzeganiem takiego kogoś przez społeczeństwo a prawdziwym wizerunkiem psychopaty. Matkę z dzieckiem przejedzie szaleniec, wariat, jak byś go określił, zwykle na prochach. Psychopata tego nie robi, bo nie pragnie szaleć po mieście, uśmiercając kogo popadnie. – Wzięła z biurka filiżankę z resztką kawy, lecz nie usiadła. – Psychopata obserwuje świat i ludzi, jakby jechał po zmroku przez miasto. Ciemnym samochodem bez świateł. Nie da się dostrzec twarzy kierowcy, dla niego ludzie na chodniku przypominają cienie, mają tyle życia i emocji, co manekiny sklepowe. Są identyczni, oddaleni, w żaden sposób nie umieliby pojąć jego duszy, skoro sami jej nie posiadają. To mechaniczne lalki, idealnie naśladujące żywe istoty. Można się z nimi związać, pracować, mieć dzieci. Ale istota umiejąca dostrzec więcej, myśląca szerszymi kategoriami, naznaczona przez opatrność, skazana jest na wieczną samotność pośród nich. A kiedy pojawia się niepewność, czy aby ten świat został tak urządzony wyłącznie dla niej, przychodzi czas próby. To może nigdy się nie wydarzyć, potrzebny jest swoisty katalizator określonych emocji. Niepewność rodzi konieczność potwierdzenia własnej doskonałości, kwestionowanej w dzieciństwie przez rówieśników, a w dorosłym życiu przez otoczenie. Wtedy wystarczy jakiś jeden impuls, złe słowo, wrażenie, że ludzie knują za jego plecami. Ofiara psychopaty jest i zarazem nie jest przypadkowa. Musi jedynie uosabiać zespół cech, które czynią ją nie do zniesienia. To może być nawet projekcja kogoś, kto dawno temu wywołał jakieś traumatyczne doznanie, na osobę spotkaną obecnie. Wszyscy tak mamy, nie lubimy jakiegoś typu osobowości czy urody albo nawet imienia, bo kojarzy się z kimś, kto zrobił nam krzywdę lub upokorzył bezkarnie.

– Ale staramy się tego nie okazywać, a często po pewnym czasie uprzedzenia mijają.

– Dlatego mieścimy się w przedziale ludzi stosunkowo normalnych.

– Z tego, co powiedziałaś, wynika, że ludzie powinni być przymusowo poddawani

badaniom psychiatrycznym – powiedział pół żartem, pół serio nadkomisarz.

Ewelina jednak nie doszukała się w jego oczach wesołych błysków. Wróciła na swoje krzesło za biurkiem i popatrzyła na stos dokumentów.

– Wspomniałeś przez telefon, że są nowe ustalenia...?

– Co? A tak, rzeczywiście. – Przetarł twarz dłońmi i uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Wybacz, powinienem być od tego zacząć, ale pewnie to skrzywienie zawodowe każe mi kluczyć i traktować każdego jak potencjalne źródło przecieków.

– O, to nawet ciekawy pomysł, mogłabym dorobić sobie reportażami z gabinetu pewnego gliniarza. – Ewelina uniosła brwi, udając, że głęboko się zastanawia. – Tabloidy nieźle płacą i zdaje się, że nie wymagają nawet szczególnej rzetelności od informatorów.

Piotr nie podjął wątku. Napił się kawy, zapalił następnego papierosa i znowu stanął przy otwartym oknie. Nigdy nie prosiła, żeby przy niej nie palił, w ogóle nie cierpiała dyktować ludziom, jak mają się zachowywać w jej obecności. Ale myśl, że to z jej powodu starał się nie zadymiać pokoju, sprawiła Ewelinie przyjemność. Mężczyźni rzadko zwracają uwagę na takie sprawy, najwyżej spytają, czy mogą zapalić, oczekując grzecznego potwierdzenia, a zaprzeczenie traktują jako wręcz osobistą zniewagę.

– Zabójstwo tej dziewczyny w parku nie dawało mi spokoju – zaczął bez wstępów. – Śledztwo trafiło do nas dwa dni temu, kiedy badania balistyczne potwierdziły, że użyto tej samej broni. Różniła się zdecydowanie wiekiem od dwóch pierwszych ofiar, więc trzeba było poszukać jakiegoś elementu, który ją z nimi łączył.

Ewelina doskonale rozumiała, co Piotr miał na myśli. Skoro odpadało tło seksualne zbrodni, sprawa mogła się okazać tym trudniejsza, najważniejsze w tym momencie było odgadnięcie motywów postępowania sprawcy.

– W protokole przesłuchań rodziców była sucha informacja, że jechała na jakąś imprezę literacką, gdzie pragnęła dostać autograf pewnej pisarki. To nie musiało mieć znaczenia, ale mogło. Żeby nie tracić czasu, pojechałem do nich. To nie była łatwa rozmowa, sama wiesz... Powiedzieli mi, że to się zdarzyło pierwszy raz, dziewczyna nie miała zwyczaju biegać na spotkania z autorami, w ogóle rzadko wyjeżdżała gdzieś dalej i raczej nie sama. Ale dzieci dorastają, pozostawia im się coraz więcej swobody. Czytałaś akta, odtworzyliśmy poczynania ofiar w dniach poprzedzających morderstwa o tyle dokładnie, o ile się dało. Nie ma informacji, żeby któraś z tych dwóch starszych kobiet była na podobnym spotkaniu, jednak po prostu nikt mógł o tym nie wiedzieć.

– Wspomniałeś, że coś nie dawało ci spokoju? Czemu się uczepliłeś tych spotkań?

Piotr wyrzucił papierosa przez okno i usiadł za biurkiem. Spojrzał Ewelinie w oczy i oznajmił z nutą chlapiącego triumfu:

– Byłem przy oględzinach mieszkania drugiej z zabitych kobiet. Miała w domu kolekcję powieści tej samej autorki. Jedną z autografem! Posłałem wywiadowcę, żeby sprawdził, czy w mieszkaniu pierwszej ofiary znajdziemy coś podobnego.

Ruchem prestidigitatora wyciągającego królika z cylindra wydobył z szuflady biurka książkę.

Ewelina poczuła, jak jej serce zaczyna bić szybciej, a żołądek zaciska się gwałtownie. Piotr nie miał pojęcia, że ona też była na tym spotkaniu...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju weszła znana jej z widzenia policjantka w cywilnych ciuchach.

– Piotrek, dobrze, że już jesteś! Mamy zwłoki w Lasku Bródnowskim, starsza kobieta bez dokumentów. Jedziemy tam na polecenie komendanta.

Zawada zastygł z nią wpół uniesioną do ust filiżanką kawy. Podkomisarz Katarzyna

Karwowska, zwana przez najbliższych współpracowników Katuszą, wyglądała, jakby dopiero co wyszła z salonu piękności. Szczupła, zgrabna, rudowłosa. Przyglądającej się jej dyskretnie Ewelinie nie umknął brak obrączki na palcu.

Piotr z głośnym brzękiem odstawił filiżankę na spodek.

– Kto znalazł ciało?

– Był anonimowy telefon na numer alarmowy, dyżurny posłał tam patrol. Na razie nie ustalono numeru, z którego dzwoniono, ale może się uda.

– Zabita z broni palnej?

– Nie, uduszona.

– No to czemu kazał mi tam...

– Bo nie miał kogo posłać. – Policjantka skinęła głową Ewelinie, jakby dopiero teraz ją dostrzegła. – I dlatego, że go o to poprosiłam. Chyba wolisz to od nasiadówki u starego?

– Kurwa! – Nadkomisarz wyraził dosadnie swoje uczucia, tonem dalekim od radosnego. Rzucił Ewelinie przepaszające spojrzenie i wyjął z sejfów kaburę z bronią. – Będziemy w kontakcie, zadzwonię.

– Może pojedę z wami, powinnam ci streścić swoje wnioski.

– Niestety nie mamy miejsca w radiowozie, musimy zabrać technika, a komendant nie da nam dwóch samochodów. – W głosie policjantki próżno byłoby szukać żalu. Już pędzej cię drwiny pomieszanej z satysfakcją. – No, zbieraj się, Piotruś.

Rozdział 20

Dopiero po opuszczeniu Pałacu Mostowskich Ewelina zorientowała się, że znów zapomniała parasolki. Wyjęła telefon, jednak natychmiast schowała go z powrotem. Przecież nie będzie zawracać mu głowy taką błażostką. Podreptała parę kroków, zatrzymała się i popatrzyła w rozterce na szare gmaszysko z kratami w oknach na parterze. Przypomniała sobie drwinę w głosie policjantki, zacisnęła zęby i zdecydowanym krokiem wróciła do wejścia. Dyżurny akurat rozmawiał przez telefon, znał ją z widzenia, więc kiedy rzuciła krótko: „nadkomisarz”, machnął tylko dłonią. Szła długim korytarzem, zastanawiając się, co ona najlepszego wyprawia. Zawada już na pewno pojechał, pocałuje klamkę i tyle. A jeśli go jeszcze zastanie, gotów pomyśleć...

Zatrzymała się przed drzwiami gabinetu i zapukała, najpierw delikatnie, potem mocniej. Brak odpowiedzi sprawił jej nieokreśloną ulgę, przynajmniej nie zrobi z siebie idiotki. Zza rogu korytarza wyszło parę osób, Ewelina bezwiednie nacisnęła klamkę, a drzwi otworzyły się, ukazując puste wnętrze. Weszła do środka, bardziej żeby usunąć się tamtym z drogi niż z zamiarem odnalezienia swej zguby. Czemu nie zamknął gabinetu na klucz, takie tu panowały zwyczaje? Niemożliwe, prędzej to wywołane zmęczeniem roztargnienie. Lecz skoro już była w środku, może poszukać tej głupiej parasolki.

Znalazła ją w szafce pod biurkiem, gdzie tkwiła obok nienapoczętej butelki wódki i kasetki z czerwonym krzyżem. Pomyślała, że pewnie w środku jest zestaw kieliszków. Piotr nie przeginał z alkoholem, przynajmniej nie znała go od tej strony, ale widać lubił być przygotowany na każdą okazję, na przykład na pomyślnie zakończenie skomplikowanego śledztwa. Lub na jakąś spektakularną porażkę. Nie jej sprawa, w końcu mężczyźni mają prawo czasem sobie pofolgować. Kobiety też.

Odsunęła szufladę biurka. Bezwiednie, nie zastanawiając się, czego tam szuka. Mimo że była psychologiem, niekiedy nie potrafiła zrozumieć własnego postępowania. A raczej nieświadomie unikała analizowania siebie samej i bliskich znajomych, wychodząc z założenia, że zawodowych nawyków nie należy przenosić na sferę prywatną. Ideały nie istnieją, trzeba akceptować innych takimi, jacy są. Siebie czasem najtrudniej, zwłaszcza jeśli się jest specjalistą od grzebania w ludzkiej psychice. Nie bez przyczyny odsetek samobójstw wśród psychologów i psychiatrów jest większy niż w innych grupach zawodowych.

Na stercie papierów w szufladzie leżał wydruk pozwu o rozwód. Przeczytała nagłówek, u dołu strony widniał niedokończony podpis Piotra. Wpisał tylko imię, jak gdyby pragnął dać sobie jeszcze szansę na zmianę decyzji. Albo komuś...

Przez niedomknięte drzwi usłyszała zbliżające się kroki. Z płonącymi policzkami zasunęła szufladę. Odezwała się jej komórka, była pewna, że dzwonek słyhać w całej komendzie. Telefon wibrował w kieszeni niczym schwyty w pułapkę szerszeń, kroki zwolniły, by po zdającej się nie mieć końca chwili zacząć się oddalać.

Wychodząc z gabinetu, Ewelina czuła się jak ktoś, kto stąpa po cienkim lodzie, który w każdej chwili może się zapaść pod jej stopami.

Rozdział 21

Posterunkowy prowadził ich przez rzadki las pachnący igliwem i żywicą. Zawada słuchał delikatnego trzasku gałązek pod stopami, starając się delektować darowaną przez los chwilą wytchnienia. Zdecydowanie wolał pracę w terenie od wypełniania niekończących się stosów dokumentów i często spóźniał się z raportami, bo rutynowe zajęcia napełniały go wręcz fizyczną odrazą. Pewnie dlatego przełożeni nie rozpieszczali go awansami i nagrodami, a Piotr nie nadskakiwał szefostwu na każdym kroku, wychodząc z założenia, że lepsza odrobina niezależności niż wchodzenie w układy i ustawianie się w pierwszym szeregu. Jednakże miał wyniki, więc tolerowano jego chodzenie własnymi drogami i na wiele poczynań patrzono przez palce. Niestety dokumenty do wypełnienia nie znikwały w magiczny sposób, przez co musiał zostawać po godzinach, zaniedbując dom i rodzinę. Tylko że dom jest miejscem, do którego powinno się wracać z radością, tęsknić do czekającego tam ciepła i spokoju. Piotr zdawał sobie sprawę, że coraz chłodniejsze relacje z Elżbietą to głównie jego wina. Przeoczył moment, kiedy ich ścieżki zaczęły się rozchodzić. Sygnały ostrzegawcze przyszły za późno. Albo żadne z nich nie dostrzegło ich w porę...

– Coś się tak zamyślił, zakochany jesteś? – Katarzyna pociągnęła go za rękaw marynarki. – Przyznaj się, kim jest ta szczęśliwa?

– A co, aż tak widać? – odparł kpiąco, choć w głębi duszy poczuł dziwny niepokój. Technik policyjny i fotograf zostali z tyłu, dyskutowali o czymś, gestykulując zawzięcie. Szukając po kieszeniach papierosów, dodał: – Katusza, wiesz, że to jest pomysł? Mały skok w bok jeszcze nikomu nie zaszkodził.

– Jesteśmy w lesie... – odrzekła kokieteryjnym tonem.

– Ale nie sami.

– Kochany... – Odrzuciła z czoła kosmyk włosów i pokazała mu język. – Miałam na myśli, że tu się nie pali, szanowny panie.

– Cóż za praworządność. – Znalazł wreszcie paczkę papierosów, wyciągnął jednego, ale go nie zapalał. – Zapamiętam na przyszłość, żeby z panią nie łamać przepisów. W każdym razie... bez pani zgody.

Już szykowałą ciętą ripostę, kiedy posterunkowy, który wyprzedził ich o kilkanaście kroków, odwrócił głowę, wskazując rzednące drzewa.

– To tam, panie komisarzu.

Zbliżając się do miejsca zbrodni, Zawada starał się wyrzucić z umysłu zbędny balast. Doświadczenie nauczyło go cenić pierwsze wrażenia, łapać ulotne sygnały zmysłów, zacierające się potem błyskawicznie w rutynowej krzątaniu ekipy śledczej. Pożałował, że nie ma z nimi Eweliny, ona najlepiej umiała czytać niematerialne ślady i w jakiś nieodgadniony sposób dostrajała się do częstotliwości, na której pracował umysł sprawcy.

Piotr nie wierzył w zjawiska paranormalne, parokrotnie jednak był bliski zmiany poglądów, obserwując, jak konstruowała portrety psychologiczne. Nie pytał jej o to, lecz często miał wrażenie, że bardziej polegała na intuicji niż materialnych przesłankach. Co zresztą nie kłóciło się zbytnio z jego racjonalnym światopoglądem, gdyż sam nie uważał psychologii za naukę ścisłą. W jego odczuciu ta dziedzina opierała się głównie na empatii i umiejętności zrozumienia drugiego człowieka. A on nie mógł sobie pozwolić w pracy na nadmierną empatię, zacierającą ostre granice między dobrem a złem. Sprawcy najcięższych przestępstw,

w przeważającej większości, nie zaliczają się do ludzi psychicznie zdrowych. Piotr potrzebował jasnych kryteriów, żeby samemu nie zwariować, nie budzić się w nocy z obezwładniającym przekonaniem, że nie zawsze stoi po właściwej stronie, bo nie wszyscy zasługują na potępienie i karę wynikającą z suchych paragrafów prawa. Byłoby łatwiej, gdyby w naszych sądach o winie lub jej braku decydowała ława przysięgłych. Nawet jeśli myliłaby się niekiedy w ocenach, to sumienie i osobiste poczucie sprawiedliwości miałyby pierwszeństwo nad bezdusznymi kodeksami. Piotr zdawał sobie sprawę, że jest to myślenie życzeniowe, wiedział przecież, że pomyłki są niejako z definicji wpisane w każdy system prawny, lecz prywatnie wołał, aby istniał margines pozwalający na przykład wypuścić ofiarę gwałtu, która nie znajdując pomocy w machinie wymiaru sprawiedliwości, sama dokonała zemsty.

Obniżający się nieznacznie teren prowadził do polany pełnej śladów po rozpalanych na dziko ogniskach. Szkło z rozbitych butelek i pety porzucane wokół zaimprovizowanej ławki ze spróchniałych desek świadczyły, że miejscowe lumpy urządzały tam sobie libacje. Z zarośli wystawały nogi w uwalanych błotem spodniach; podniszczone pantofle na płaskim obcasie zsunęły się ze stóp i gdyby nie leżały obok ciała, można by było odnieść wrażenie, że ktoś porzucił je w lesie. Funkcjonariusze pobliskiego posterunku zabezpieczyli pobieżnie teren, chroniąc go przed ewentualnymi gapiami, czekając na przyjazd ekipy z komendy stołecznej.

Zawada zatrzymał się w miejscu, z którego mógł ogarnąć wzrokiem polanę i odchodzące od niej ścieżki. Nie wyglądały na uczęszczane, grzybiarze nie mieli tam czego szukać, więc ta kobieta albo przyszła w towarzystwie amatorów tanich trunków, albo mogła zbierać puszki po piwie. Dobrze widoczne bruzdy na ziemi wskazywały, że sprawca przeciągnął zwłoki w kierunku krzaków, lecz porzucił je, nie ukrywając dostatecznie. Mógł się kogoś przestraszyć lub spanikować, kiedy dotarło do niego, co zrobił. Ofiara raczej nie miała przy sobie grubszej gotówki, jednak to nie uchroniło jej przed niebezpieczeństwem.

Podkomisarz rozmawiała z pilnującymi terenu policjantami, technik czekał z walizką w ręku, aż fotograf zakończy swoje czynności. Najpilniejszą teraz rzeczą było ściągnięcie funkcjonariusza z psem tropiącym. Jeśli pies podejmie ślad, sprawa mogła się okazać banalnie prosta. Zawada wyjął telefon i zaczął wciskać klawisze, kiedy aparat zawibrował, sygnalizując połączenie. Poznał numer Elżbiety.

– Halo, no co tam? – rzucił pogodnym tonem, nastawiony na prędkie uporanie się z jakimiś niecierpiącymi zwłoki duperelami.

– Boże, jak dobrze, że odebrałeś! – Rozpacz w głosie żony pozbawiła go złudzeń, że chodzi o cieknącą pralkę. – Magda zaginęła. Słuchaj, zrób coś, jedź do Gdańska, musisz ją znaleźć!

Piotr zacisnął dłoń na telefonie, aż pobieleły mu kostki palców. Ze słuchawki dochodził świszczący oddech; czekał, nie zadając pytań, bo bał się tego, co może usłyszeć. Nie wiedział, kiedy wyjął papierosa i zapalił. Haust dymu pomógł mu zebrać myśli.

– Elżbieta, uspokój się, proszę. Powiedz, co się stało?

– Ona... – urwała. Niemal widział zapłakaną twarz żony, starającej się jakoś opanować. Złe przecucie zmroziło mu wnętrzości. – Magda nie wróciła z jakiejś imprezy. Dzwoniła policja z Gdańska, a zaraz potem jej koleżanka z akademika. Początkowo nie podejrzewała nic złego, bo jak mówi, to już się zdarzało. Ma kogoś, chłopaka, więc mogła...

– Jak długo jej nie ma?

– Minął ponad tydzień...

– Co?! – wrzasnął, zwracając uwagę ekipy, ale była to ostatnia rzecz, jaką się w tej chwili przejmował. – I ona dopiero teraz dzwoni, czy oni tam wszyscy powariowali?

– Nie podejrzewała... Magda podobno nocowała czasem u niego, nawet przez parę dni. Tylko mówi, że on był jakiś dziwny i bała się go nawet. Ta koleżanka, nie Magda. Nie chciała jej wydać, ale jak przestała przychodzić na zajęcia i odbierać telefon...

- Kiedy i gdzie zgłosiła zaginięcie?
- Wczoraj, w dziekanacie i na policji.
- Daj mi jej numer.

Notując cyfry, spostrzegł, że jego koleżanka zbliża się z pytającym wyrazem twarzy. Odwrócił się i odszedł kilka kroków.

– Piotr, zrobisz coś? – zabrzmiało w słuchawce. Elżbieta nie zapomniała, że jest żoną policjanta.

Oczekiwała pocieszenia i słów otuchy, powiedział więc głosem tak spokojnym, na jaki go było stać:

– Najpierw porozmawiam z jej współlokatorką i z komendą w Gdańsku, a jeśli będzie trzeba, pojedę do nich.

– Pojadę z tobą, muszę!

– To nie jest najlepszy pomysł. – Przez moment szukał najważniejszych argumentów. Nie chciał mówić głośno, że tak naprawdę brak mu pomysłów. A ona tylko by przeszkadzała, gdyby przyszło mu działać bez oglądania się na przepisy. Bo czasem inne metody zawodziły.

– Słuchaj, Magda może wrócić do domu albo przysłać jakąś wiadomość. Powinnaś wtedy być na miejscu.

– Nie... – odparła bez tchu, lecz prawie natychmiast się zmitygowała. – Masz rację. Dobrze, zostanę, tylko bądź ze mną w kontakcie. Dzwonź, jak tylko będziesz coś wiedział. Obiecay mi to.

– Zadzwoń, nie martw się. – Nie potrafił zdobyć się na nic więcej, poza tym wyświechtanym zwrotem, powtarzanym automatycznie, gdy nic lepszego nie przychodzi do głowy.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Piotrek, stało się coś?

– Tak. – Spalony do filtra papieros sparzył mu palce. Zgasił go pod podeszwą i zapalił następnego. Katarzyna Karwowska nie skomentowała takiego rozsiewania zbędnych śladów na miejscu zbrodni. – Cholera, chyba tak.

– Powiesz czy to tajemnica? – Popatrzyła mu prosto w oczy, a potem przeniosła wzrok na krzątającą się w milczeniu ekipę śledczą. – Coś w domu?

– Moja córka studiuje w Gdańsku. Zaginęła tydzień temu albo nawet więcej, ale dowiadujemy się dzisiaj, bo jakaś idiotka myślała, że oddaje jej przysługę, kryjąc głupi wyskok!

– Tydzień to i mało, i dużo – powiedziała ostrożnie Katusza.

– Magda nie wycięłaby takiego numeru, to do niej zupełnie niepodobne.

Jego rozmówczyni z trudem powstrzymała się od uwagi, że zawsze jest ten pierwszy raz. Zamiast tego spytała:

– Była z kimś? Ta koleżanka powinna wiedzieć...

– Właśnie! – Zawada nie dał jej dokończyć myśli. Złapał telefon i wstukał zapisany numer, myląc się przy tym dwukrotnie.

Usłyszał kilka długich sygnałów, a następnie prośbę o nagranie wiadomości. Zawahał się, wreszcie wcisnął czerwoną słuchawkę. „Dziwny” chłopak Magdy był w tym momencie jedynym punktem zaczepienia. Współlokatorka córki powinna sporo o nim wiedzieć, jednak może nie zechcieć wyjawić wszystkiego. Zwłaszcza policji.

Powinien ją odszukać i zadać parę pytań w cztery oczy.

– Kaśka, poradysz tu sobie. Dzwon do komendy, niech ci przyślą psa, od dwóch dni nie padało, powinien podjąć trop.

– A ty? Co zamierzasz zrobić?

– Musisz pytać?

Wzruszyła ramionami i zagryzła wargi. Pomyślała, że niewielu zna mężczyzn, którym wczorajszy zarost i potargane przez wiatr szpakowate włosy tylko dodają uroku. Piwne oczy Piotra, zwykle pogodne, niekiedy ironicznie przymrużone, teraz utkwione były w punkcie odległym o lata świetlne. Mogła tylko próbować sobie wyobrazić, co dzieje się w jego głowie, jak sprawy jeszcze przed godziną ważne tracą jakiegokolwiek znaczenie. Teraz był ojcem i tylko to się liczyło. Jego świat chwiał się w posadach, a zawsze najtrudniej jest się pogodzić z tym, że tak naprawdę niewiele od nas zależy. Bo po prostu mogło już być za późno.

– Komendant cię nie puści. Masz na tapecie sprawę seryjnego zabójcy, nie przekaże jej nikomu, bo ktoś niewprowadzony w szczegóły będzie dreptał w miejscu. A jeśli dojdzie do kolejnej zbrodni, wszystko spadnie na ciebie. Zostaniesz kozłem ofiarnym. – Doskonale wiedziała jednak, że to go nie powstrzyma.

Nadkomisarz otworzył usta, ale nie powiedział ani słowa. Odetchnął głęboko i po przyjacielsku poklepał ją w ramię.

– Katusza... Życz mi szczęścia.

Nie zostawił jej czasu na spełnienie prośby. Po minucie już tylko szarawa smużka dymu z papierosa unosiła się nad ścieżką, którą tu dotarli. Podkomisarz Katarzyna Karwowska schyliła się, podniosła z ziemi dwa niedopałki i schowała do kieszeni. Sięgnęła po telefon.

Rozdział 22

Zawada wyskoczył z taksówki przed Pałacem Mostowskich i w paru susach pokonał niskie schodki.

– Panie komisarzu, komendant chce pana widzieć. Natychmiast. – Dyżurny był jednym z nielicznych umundurowanych funkcjonariuszy w komendzie. Uniósł trzymaną w rękę słuchawkę. – I kazał się powiadomić, kiedy tylko pan wróci.

– Już idę.

Szlag by to trafił, stary już wie? Skąd, u diabła?! A może przypomniał sobie o planowanej naradzie? Nie, szef nie zapominał o takich rzeczach. To zresztą bez znaczenia, Piotr sam miał zamiar ominąć drogę służbową i iść prosto do gabinetu nadinspektora Siewierskiego, by poprosić o urlop. A właściwie postawić przełożonego przed faktem dokonanym, bo naczelnik jego wydziału był zakutym służbistą i żadne argumenty dotyczące rodziny do niego nie docierały. Zawada mógł sobie nieźle zaszkodzić takim zachowaniem, ale to go akurat najmniej obchodziło. Od zaginięcia córki minęło zbyt wiele czasu, żeby tracić go więcej.

Zajrzał na chwilę do swojego pokoju, odbył dwie rozmowy przez telefon, przeczytał leżącą na biurku notatkę służbową, zabrał dokumenty właśnie prowadzonej sprawy i pomaszzerował długim korytarzem, machinalnie odpowiadając po drodze na pozdrowienia mijanych kolegów.

Sekretarka komendanta pisała coś na komputerze. Posłała mu obojętne spojrzenie, odhaczyła coś w notatniku i skinęła głową. Wszystko w całkowitym milczeniu. Nadkomisarz stanął przed wyciszonymi pikowaną skórą drzwiami gabinetu. Nie dało się w nie zapukać, anonsując przybycie, co samo w sobie odbierało pewność siebie i wymuszało punktualność. Piotr zawsze przypuszczał, że o to właśnie chodziło, by już od progu wchodzący poczuł się niepewnie. Zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę.

– Siadaj. – Siewierski nie dał mu się nawet zameldować; pochylony nad papierami, sprawiał wrażenie całkowicie nimi zaprzątniętego.

Prostopadle do masywnego biurka komendanta znajdował się stół z niewygodnymi krzesłami o prostych oparciach. Pod ścianą tkwiła w towarzystwie rozłożystej palmy skórzana sofa i fotele, ale Zawada nigdy nie miał okazji tam siedzieć. Za niska ranga. Odsunąwszy jedno z krzeseł, rzucił na blat teczki z dokumentami. Upadły z głośnym plaśnięciem i rozjechały się niczym trącona talia kart.

– Panie inspektorze...

– Powiedziałem siadaj.

Piotr wykonał polecenie i utkwiał wzrok w obrazie na ścianie za biurkiem szefa policji. Malowidło przedstawiało którąś z historycznych bitew morskich. Na spowitym kłębam dymu żaglowcu toczyła się walka na szable, drągi i co komu wpadło w ręce. Trudno było odróżnić atakujących od obrońców. Do burty statku przywarł okręt nieprzyjaciela, dokonujący abordażu. Marszczona pianistymi grzywaczami woda kołysała ciałami marynarzy, którzy wypadli ze statku. Jeśli byli tylko ranni i mieli szczęście, zostaną wyłowieni przez którąś ze stron. Chyba że pierwsze nadpłyną zwabione smakiem krwi rekiny.

– Wojny napoleońskie to ostatnie zbrojne potyczki ludzkości, w których żołnierze

wiedzieli, o co walczą i kto naprawdę wywołał konflikt. Potem przejęli sznurki politycy i dotąd pociągają za nie z ukrycia. – Głos komendanta brzmiał, jakby szef mówił do siebie. – Ja też jestem traktowany jak polityk, bo stanowisko otrzymałem z nominacji ministra obecnego rządu. I wraz z nim odejdę na zasłużoną emeryturę.

Nadkomisarz nie miał pojęcia, czemu miało służyć to oświadczenie, więc się nie odzywał, choć siedział jak na rozżarzonych węglach. Jeśli przełożony chciał w ten sposób stworzyć bardziej swobodną atmosferę, to mu się nie udało. Komendant musiał zauważyć kurczowo zaciśnięte dłonie i grymas na twarzy podwładnego, bo prędko przeszedł do rzeczy:

– Zreferuj mi najważniejsze punkty sprawy. I wnioski.

– W ciągu kilku tygodni dokonano trzech zabójstw z tej samej broni małokalibrowej. Ofiary to kobiety, dwie starsze, jedna młoda. Powiązano je z pewnym opóźnieniem, gdyż badania balistyczne były wykonywane w różnych ośrodkach. Jest kilka teorii, które sprawdzamy na bieżąco, ale wczoraj wypłynął fakt, prawdopodobnie kluczowy dla ustalenia motywu zbrodni. Właśnie otrzymałem notatkę służbową od wywiadowców z terenu, że dwie pierwsze ofiary kilka dni przed śmiercią brały udział w spotkaniu autorskim pisarki Justyny Sobolewskiej. A trzecia była w drodze na podobne spotkanie.

– Co w związku z tym zamierzasz?

– Panie komendancie, śledztwo wkroczyło w fazę, w której należy objąć ścisłą inwigilację tę autorkę, jej spotkania i osoby tam bywające.

Siewierski bez słowa skinął głową.

– I jeszcze jedna sprawa. – Piotr umilkł, zbierając myśli. Miał na podorędziu jakąś bajeczkę, lecz baczne spojrzenie starego uświadomiło mu, że albo zagra w otwarte karty, albo będzie mógł szukać pracy jako stróż na parkingu. No i Siewierski bez przyczyny nie kazałby mu się meldować samemu. – Tydzień temu zaginęła moja córka.

– Wiem o tym.

Zawada włożył dłonie pod stół i mocno zaciśnął pięści. Katusza! Cholerna modliszka, która już zdążyła się nauczyć podlizywania górze. Przy najbliższej okazji sam na sam...

– Tak, zadzwoniła do mnie – odezwał się zza masywnego biurka komendant, jakby czytał w jego myślach. – Dlatego siedzisz tu sam, bez naczelnika wydziału. Na twoim miejscu bym jej podziękował.

– Tak... rozumiem. – Piotr wziął głęboki oddech. – Poproszę o oddelegowanie do komendy rejonowej w Gdańsku. Pomogę im, rozejrzę się na miejscu. Nikt mnie nie zna, więc mogę zrobić wywiad i dotrzeć tam, gdzie nie wpuszczą miejscowego policjanta.

– Nie.

– Ale...

– Nie dostaniesz delegacji! – Na konsoli przed komendantem zamigotała czerwona lampka. Wcisnął jakiś guzik i światelko zgasło. Siewierski wstał i zaczął spacerować po gabinecie. – Jestem z nimi w stałym kontakcie, mają mnie na bieżąco informować o postępach. Tam są doskonali fachowcy, nadałem sprawie priorytet, zresztą po tym głośnym zaginięciu dziewczyny na Wybrzeżu wszystkie podobne sprawy traktuje się nadzwyczaj poważnie. Tamci mają swoje dojścia i wywiadowców w terenie, ty byś im tylko przeszkadzał. Rozumiesz?

Zawada utkwił wzrok w kryształowej popielniczce stojącej na środku stołu. Miał ochotę złapać ją i z całej siły cisnąć w okno, żeby rozbić wiszące w powietrzu napięcie na tysiąc kawałków. Stary mówił rozsądnie i miał całkowitą rację. Ale to i tak niczego nie zmieniało.

Wyjął papierosa i zapalił, nie pytając o pozwolenie. W kieszeni zawibrowała komórka; nie patrząc na numer, wcisnął czerwoną słuchawkę. Zaciągnął się głęboko dymem.

– Chciałbym złożyć rezygnację ze skutkiem natychmiastowym.
– Nie pierdol mi tu głupot, synku! Jaką rezygnację? – Siewierski zatrzymał się po drugiej stronie stołu. – Służysz w policji czy może coś mi się pomyliło?! Sam cię wypieprzę na zbity pysk, jak będziesz mi tu przychodził z takimi skamleniami.
Piotr z trudem powstrzymał się od uwagi, że to nie on przyszedł, tylko został wezwany.
– Znam regulamin, ale...
– Zamknij się, teraz ja mówię!
Nadkomisarz zacisnął usta i przez chwilę obserwował siwą smużkę dymu wędrującą w stronę komendanta. Podjął już decyzję, reszta była bez znaczenia.
Siewierski odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko.
– Daj mi papierosa.
Przyglądał się przez chwilę bibułce, a potem zapalił i zakrztusił się pierwszym haustem dymu.

– Cholera, minęło już pół roku, jak rzuciłem to gówno, a zawsze zdarzy się coś takiego, że znów człowieka najdzie. – Zaciągnął się raz i drugi, tym razem obeszło się bez kaszlu.
– Wiesz, że miałem syna?

Nie oczekiwał odpowiedzi, zacisnął usta, pozwalając sobie na chwilę szczerości. Przed Zawadą siedział stary człowiek, niewiarygodnie zmęczony, który niczego już nie oczekiwał od życia, bo na wszystko było teraz o całe życie za późno. Pragnął tylko spokoju, lecz i to nie było mu dane. Szeregowcy czasem dezertują, dowódcy strzelają sobie w łeb. Albo znikają bez śladu.

– Mój syn też miał na imię Piotr... – Na sekundę uniósł wzrok. – Zresztą to bez znaczenia. Ja robiłem karierę, jego wychowywało podwórko. To były inne czasy, nikt się nie chwalił, że ma ojca milicjanta. Z jednej strony przywileje, z drugiej nieustanne poczucie wyobcowania. Postrzegano nas jako bezwolne narzędzie władzy, zresztą całkiem słusznie. Do milicji szło się, żeby mieć dobrą robotę i poczucie władzy. Trochę jak dzisiaj do seminarium duchownego. Na zewnątrz mundur czy sutanna, a po godzinach robisz, co chcesz, bo tamci na górze nie dadzą cię skrzywdzić. Jakby coś, zamiotą pod dywan, a ciebie przeniosą służbowo na jeszcze cieplejszą posadkę, gdzie będziesz zupełnie anonimowy.

Piotr nie przerywał, nie próbował się wtrącić. Czas uciekał, a on liczył w myślach upływające minuty niczym skaczące przez płot owce, kiedy nie można w żaden sposób zasnąć. I wiedział, że nie zaśnie, choćby liczył do rana. Zapalił następnego papierosa, zastanawiając się mimowolnie, co robiłoby się w takich chwilach z rękoma, gdyby ludzie nie odkryli tytoniu. Jedni przesuwaliby koraliki różańca, a inni pewnie zapełnialiby kartki bazgrołami.

– Nie pamiętam, nie potrafię uzmysłowić sobie tego momentu, kiedy straciłem go z oczu. Nie w sensie dosłownym. Widywaliśmy się prawie codziennie, tylko coraz krócej rozmawialiśmy, co wtedy wydawało mi się naturalne. Chłopak miał swoje sprawy, pojawiły się dziewczyny, szkoła, nastolatki nie cierpią wtrącania się, więc się nie wtrącałem. Ojciec jest najwyższym autorytetem, póki zna odpowiedzi na wszystkie pytania, pokaże, jak zastrugać patyk, rozpalić ognisko, albo strzeli gola chłopakom na podwórku. Ale dzieciak dorasta, widzi, jak stary chowa pistolet do sejfu, wożą go służbowym samochodem, kiedy rodziców kumpli nie stać na malucha. Podśłucha czasem rozmowę, która nie była przeznaczona dla jego uszu. I zaczyna rozumieć, że ojciec jest figurą, ale nie graczem. Zawsze ktoś wyżej decyduje o ruchach na szachownicy. A kiedy stary wysupła trochę czasu na umoralniające pogawędki, rów między nimi staje się coraz głębszy. Bo dzieci, małe czy dorosłe, nie potrzebują naszych dobrych rad. One pragną popełniać własne błędy, na próbę i po prostu dlatego, że chcą szukać własnej drogi. Mogłem mu załatwić przyjęcie na studia, ale odmówił. Zabrakło mu punktów, jak

dziwnie by to dziś zabrzmiało, za pochodzenie. Wtedy ten, kto nie studiował, szedł do wojska na dwa lata. Jeden telefon wystarczył i załatwiłem mu służbę zastępczą w jednostce na Gołędzinowie. Nie zgłosił się, podarł kartę powołania. Żandarmeria znalazła go po paru miesiącach w towarzystwie podobnych mu niebieskich ptaków, twierdzących, że walczą z ustrojem. Znów po cichu pociągnąłem za sznurki i zamiast do sądu trafił z czystymi papierami do normalnej jednostki wojskowej. Odwiedziłem go po cywilnemu, żeby, jak to oni mówią, nie narobić mu obciachu. No i opamiętał się wreszcie, przemyślał parę spraw. Przybiliśmy sztamę, ja nie będę próbował kierować jego życiem, on będzie traktował mnie jak zwyczajnego ojca, z którym można o wszystkim pogadać, bo sam był kiedyś młody. Pisał mi potem, że na przepustce poznał dziewczynę. Kapitalnie się rozumieją, ona przychodzi codziennie w takie jedno miejsce pod murem jednostki, a kiedy on pełni nocną wartę, to nawet wpuszcza ją na teren... Mają już swoje plany, kiedy odbębni wojsko. Nie pytałem jakiego, w końcu każdy był kiedyś młody.

Słowa komendanta docierały do Zawady jak zza szyby, słuchał, a jednocześnie myślał o córce. Ich drogi nigdy nie rozeszły się tak dalece, by trzeba było coś naprawiać. Z żoną bardziej, ale miłość do dziecka intuicyjnie narzucała mu sposób postępowania. Matka była od spraw intymnych, a on od podawania ręki, kiedy Magda tego potrzebowała, i dawania poczucia akceptacji. Nigdy nie przestał być dla niej autorytetem. Pewnie dlatego, że nie wahał się wypowiadać własnego zdania, choćby o wyjeździe córki na studia do innego miasta, lecz w przeciwieństwie do Elżbiety nie robił z tego problemu. Zresztą Magda nigdy nie zrobiła niczego głupiego. Ale od tygodnia nie daje znaku życia. A na pewno by dała, gdyby tylko mogła...

Rozległ się dzwonek na konsoli. Siewierski wyciągnął rękę przez stół i wyłączył jakiś przycisk. Sygnał umilkł. Komendant wyciągnął z paczki następnego papierosa, ale nie zapalał.

– Nie dotrzymałem danego chłopakowi słowa. Sprawdziłem tę jego dziewczynę. Dyskretnie jak tylko się dało. Miała paskudną opinię, milicja co rusz wyciągała ją pijaną z podejrzanych lokali. Była dwukrotnie w ciąży, obydwie usunięte. Siedem lat starsza od mojego syna. Na zdjęciach prezentowała się całkiem przyzwoicie, umiała o sobie zadbać.

– Siewierski wykruszył do popielniczki cały tytoń z papierosa i teraz przyglądał mu się, jakby zdziwiony własnymi poczynaniami. – Nasłałem na nią chłopaków w mundurach. Mieli jej dać ostrą nauczkę, czyli zlać pałami po gołej dupie i zapowiedzieć, żeby przestała nabierać pewnego żołnierza. Jemu załatwiłem przeniesienie do innej jednostki. A ona była w ciąży. Nie wiedziałem o tym, pewnie nikt prócz niej nie wiedział. Poroniła.

– To było jego dziecko?

– Tak. Chyba tak...

Zawada nie chciał słuchać dalej. Pragnął wyjść i zająć się własnymi sprawami. Tylko że ta rozmowa, a właściwie monolog, do czegoś zmierzała. Stary chciał mu coś powiedzieć, ale nie bezpośrednio. Albo znalazł sobie powiernika. Lepszy byłby ksiądz, tylko że tacy jak on do kościoła zagląдают najwyżej z okazji pogrzebu. W dodatku opowiadał mu o epizodzie z przeszłości, ale gdyby ta historia ujrzała światło dzienne, definitywnie złamałaby mu dalszą karierę.

– Po miesiącu pobrał ostrą amunicję i stanął na warcie. Nad ranem strzelił sobie w głowę. W kieszeni miał kartkę z jednym tylko zdaniem: „Mogłeś mi powiedzieć”. Noszę ją ze sobą, jednak nigdy nie wyjmuję, nie czytam. Nie wiem do końca, co miał na myśli. Nie potrafiłem tego chłopca zrozumieć. Bo on... – zamilkł na moment, jakby zapomniał słów i próbował wydobyć je z zakamarków pamięci – nie był moim synem. Adoptowaliśmy go z żoną, kiedy stało się jasne, że nie możemy mieć własnych dzieci. Nie powiedzieliśmy mu

o tym nigdy, uznając, że tak będzie lepiej, niech ma prawdziwy dom i rodziców, a nie zastanawia się, jacy byli albo są ci prawdziwi. Dziś tego żałuję, może gdybyśmy się odważyli, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale tego już się nie dowiem.

– Panie inspektorze... – Piotr zapalił, czekając na reakcję przełożonego. Tamten przyglądał mu się uważnie, na jego twarz powoli wracała maska człowieka całkowicie panującego nad wszystkim. Piotr uniósł się z krzesła. – Pojadę na Wybrzeże szukać córki. Z pańskim pozwoleniem lub bez. Gdyby cokolwiek się stało, a ja bym tutaj siedział beczynnie...

– Siadaj. – Komendant nie podniósł głosu, ale powracający autorytet zrobił swoje. Polecenie zostało wykonane.

Siewierski usiadł za biurkiem, momentalnie przywracając zachwianą hierarchię. Podsunął w stronę Zawady czystą kartkę.

– Napisz podanie o urlop bezpłatny motywowany ważnymi względami rodzinnymi. Od dziś do... zostaw puste miejsce. Wpisz ciężką chorobę żony i konieczność opieki. Zaświadczenie dostarczysz później, chyba sobie z tym poradzisz?

– Ale żona jest właściwie zdrowa, nie licząc załamania nerwowego.

– Wezwałem cię do zreferowania sprawy wielokrotnego zabójcy, tylko tyle, o niczym innym nie rozmawialiśmy. Poprosiłeś o urlop z powodu złego stanu zdrowia żony. Jeśli coś nawywijasz, będzie to oznaczało okłamanie przełożonego i zawieszenie w czynnościach służbowych. Albo wydalenie ze służby z wszelkimi konsekwencjami. – Podniósł głos. – Czy wyrażam się jasno?

– Tak, zrozumiałem.

Prędko napisał kilka zdań na kartce z nagłówkiem komendy stołecznej, wstawił datę i złożył podpis.

– Panie komendancie, chciałbym się odmeldować.

Siewierski podniósł słuchawkę i powiedział coś cicho.

– Oddaj broń, legitymację i klucze od swojego gabinetu.

– Ale legitymacją wolno mi się posługiwać w szczególnych przypadkach nawet na urlopie.

– Nie tym razem. – Stanowczy głos szefa nie dopuszczał żadnej dyskusji. Siewierski dodał ciszej, jakby obawiał się podsłuchu: – Sam nie wiesz, co ci strzeli do łba, kiedy ją znajdziesz...

Nie dokończył, nie musiał. Obydwaj wiedzieli, że jeśli coś się stało, Zawada nie uzna sprawy za zakończoną i nie przekaze reszty wymiarowi sprawiedliwości. Są sytuacje, w których jedynym sędzią jest sumienie. Domagające się zemsty, choćby rachunek, jaki przyjdzie za to zapłacić, był niemożliwy do spłacenia przez resztę życia. Zwłaszcza w więziennej celi.

Kabura z pistoletem spoczęła na blacie biurka, obok reszta rzeczy łączących Piotra z komendą i jego zawodem. Komisarz był zdany wyłącznie na siebie.

W gabinecie pojawił się dyżurny. Zawada odmeldował się regulaminowo. Siewierski skinął głową. Nie życzył mu powodzenia.

Wychodząc z gmachu, poczuł się dziwnie bezbronny i zagubiony. Broń i legitymacja policyjna przez lata kształtowały to, jak sam siebie postrzegał i był odbierany przez innych. Teraz stał się jednym z wielu anonimowych przechodniów, popychanym w metrze, ignorowanym w knajpce na dworcu, gdzie po kupieniu biletu do Gdańska przysiadł, by zebrać myśli i stworzyć sobie jakiś plan działania. Ale głównie by zabić czas nad kawą. Pierwszy ruch był oczywisty – znajdzie w akademiku współlokatorkę córki i wyciągnie z niej wszystko.

Nawet to, czego mogła nie chcieć powiedzieć miejscowej policji. Z poczucia lojalności wobec Magdy czy też z innych powodów.

Wsiadając do pociągu, czuł, jak zrywa nici łączące go z tu i teraz. Trudno będzie je na powrót związać, a nawet może się to okazać niemożliwe. Siewierski dał mu to jasno do zrozumienia. I to najbardziej niepokoiło Piotra. Dotąd postępował po prostu tak, jak powinien postępować ojciec, poczuł strach i robił z igły widły, jednak było to naturalne. Teraz naprawdę zaczął się bać o Magdę. Jak jeszcze nigdy w życiu. Komendant stołecznej policji z racji stanowiska wiedział o wielu zaginięciach, dzwonił przed spotkaniem na Wybrzeże, żeby z pierwszej ręki poznać stan sprawy. Gdyby Siewierski spodziewał się banalnego, jak w większości podobnych wypadków, rozwiązania i powrotu skruszonej latorośli, która po prostu zabalowała sobie przez parę dni, zachowałby się inaczej. A szef, wiedząc, że nie zatrzyma Piotra na miejscu, odebrał mu wszelkie uprawnienia, kazał podpisać świstek i odciął się od jakiegokolwiek wiedzy o poczynaniach podwładnego. Zawada nie potrafił rozstrzygnąć, czy zachowanie starego oznaczało danie mu wolnej ręki do działań, jakie uzna za stosowne, czy odwrócenie się plecami. Ale cokolwiek by o tym myślał, przeczuwał kłopoty.

A Piotr nauczył się ufać przecuciom.

Pociąg, jak to w dzień powszedni, nie był przepelniony. Komisarz znalazł sobie miejsce przy oknie i sprawdził nieodebrane połączenia w telefonie, łudząc się jeszcze, że znajdzie wiadomość od żony o odnalezieniu się Magdy. Mniejsza o wyjaśnienia, przyjmie każde i zwyczajnie wysiądzie na następnej stacji. Lub zrobi sobie wagary w Trójmieście, połazi po Monciaku, napije się piwa, spędzi noc lub dwie w jakimś tanim pokoiku do wynajęcia. Wszystkie wielkie i małe sprawy pozostaną daleko, wmiesza się w tłum turystów, przejmując ich beztróskę i wiarę, że czas na chwilę stanął w miejscu. Gdy spojrział na wyświetlacz, niemal czuł piasek plaży pod bosymi stopami.

Kiedy był u komendanta, dzwoniła Ewelina. Tylko ona. Zawahał się, sam nie wiedząc czemu, i z westchnieniem wybrał jej numer.

– Cześć, nie mogłem odebrać. Byłem na naradzie u starego – wyjaśnił na przywitanie, nie całkiem zgodnie z prawdą. Jedno z wielu codziennych, wypowiedzianych automatycznie kłamstewek, które nie mają większego znaczenia, bo i tak w minimalnym stopniu dotyczą rozmówcy. – Co tam u ciebie? Wymyśliłaś może coś nowego?

– Niezupełnie. Nie, nie o to chodzi. – Głos Eweliny brzmiał niewyraźnie, momentami zanikał, przerywały go trzaski. – Nie przekazałam ci wszystkich wniosków, bo przeszkodziła ta policjantka. Nie chciałam przy niej, bo nie wiem, czy życzyłbyś sobie tego.

– Nie mamy tajemnic, Katusza jest wprowadzona w sprawę. Może nawet lepiej, żebyś przedstawiła jej swoje ustalenia. Zrób to, wyślę ci jej numer.

Ewelina wspinała się po schodach do mieszkania. Mimo słabego połączenia nie uszedł jej uwagi dobiegający ze słuchawki miarowy stukot kół pociągu. Wolałaby porozmawiać z Piotrem w cztery oczy, bo obecność na spotkaniu z Justyną Sobolewską oraz nieodparte wrażenie, że zna jedną z ofiar, sprawiły, że poczuła się włączona w śledztwo i przestała być jedynie zatrudnionym z zewnątrz konsultantem.

– Słyszę, że jedziesz pociągiem. Co się dzieje, Piotrze?

– Jadę do Gdańska – oznajmił lakonicznie.

– Służbowo? – spytała zdziwiona, że nie dostał samochodu z kierowcą.

– Nie, półoficjalnie. – Znów automatycznie wypowiedziane kłamstwo z niewielką domieszką prawdy. – To nie dotyczy sprawy, którą prowadzę. A raczej prowadziłem.

– Prowadziłeś? Jak to rozumieć? – Piotr nie odpowiadał, może nie dosłyszał pytania.

– Halo, jesteś tam?

– Nic takiego, wziąłem urlop, żeby przyjrzeć się pewnemu śledztwu na Wybrzeżu. To, co powiedział, nie trzymało się kupy. Ewelina z łatwością zorientowała się, że nadkomisarz nie chce jej wyjaśnić wszystkiego.

Podjęła decyzję.

– Rozumiem, Piotrek, że dostałeś tajne zadanie i pewnie rozmawiając ze mną, już łamiesz zasady. – Nie dała mu czasu na odpowiedź. Włożyła klucz w zamek u drzwi i przekreśliła. – To może poczekać do twojego powrotu, mam trochę innych zobowiązań do nadgonienia, daj znać, kiedy wrócisz i przejmiesz znów sprawę. Okej?

– Widzisz, to nie takie proste. Nie wiadomo, czy wrócę... do sprawy.

Pociąg wjechał w tunel. Połączenie urwało się, nim Ewelina mogła usłyszeć ostatnie dwa słowa. Lecz usłyszała poprzednie.

Weszła do przedpokoju i oparła się plecami o drzwi.

Wyciągnęła pusty los na loterii. Po jakimś czasie kupi następny. I jeszcze jeden...

Rozdział 23

Nie pamiętam, czy już mówiłam, że uwielbiam biblioteki. Nie chodzi mi tylko o spotkania autorskie, choć te, oczywiście, też bardzo lubię – ale to już na pewno powiedziałam. Chodzi mi o bibliotekę jako taką. Ten specyficzny klimat, trochę wszechobecnego kurzu i zapachu z nutą czegoś w rodzaju stęchlizny. Czy to tylko zapach książek? Czy może jeszcze woń czytelników, wśród których przeważają ludzie starsi. Zapach starzyzny – o, tak – ale nie jest to zapach niemiły, przynajmniej dla mnie. Dla mnie to zapach doświadczenia, zdobytej wiedzy, mądrości.

Najbardziej lubię biblioteki z wieloletnią tradycją; te nowoczesne, skomputeryzowane i lśniące do mnie nie przemawiają. Chrom, nikiel, regały na kółkach i wirtualne rejestry czytelników, o nie. Chociaż jedno tam lubię – listy czytelników oczekujących na moje książki. Długie, długiaste listy i ciągle dopisujący się nowi.

– Pani Krystyno (Barbaro, Adelo, Katarzyno...), kiedy wreszcie będzie moja kolej? Czekałam już drugi miesiąc. – Uwielbiam podsłuchiwać takie rozmowy.

Tak, podsłuchiwać, bo do bibliotek chodzę często. Wszędzie, gdziekolwiek jestem. I staram się nikomu nie rzucać w oczy, ale najczęściej – właśnie w tych starych bibliotekach – nie ma tłumu, a bibliotekarki z miejsca wyłapują nieznaną twarz.

– Zapraszamy nową czytelniczkę – mówią, uśmiechając się do mnie. A po moich wyjaśnieniach padają różne słowa. Na ogół miłe i sympatyczne. – O, nasza najbardziej poczytna autorka – przypochlebiają się i proszą o wspólne zdjęcie, na co zawsze się zgadzam, nawet jeśli nie do końca jestem zadowolona ze swojego wyglądu. Sama też potem wykorzystuję te zdjęcia na mojej stronie autorskiej, ku obopólnemu zadowoleniu.

Dzisiaj zdarzyło się coś dziwnego.

Weszłam do jednej z bibliotek na Pradze, przy Zamienieckiej. W starej kamienicy, wejście z bramy, ale dobrze oznakowane, piękne dębowe drzwi ze stalowym kratowaniem. W środku pachniało pięknie, wcale nie starzyzną, ale... cynamonem.

– Proszę, witamy... – Zza biurka stojącego na wprost wejścia podniosła się korpulentna pani i aż podskoczyła na mój widok. – Ach, co za zaszczyt, któż to zawitał w nasze progi! Prosimy, prosimy, akurat jemy szarlotkę, bo to moje urodziny. I nie spodziewałam się, że taki gość do nas przyjdzie.

Po czym pani bibliotekarka, uśmiechając się miło, pokazała mi tylną okładkę mojej najnowszej książki, gdzie było dość wyraźne zdjęcie. Na tyle, że okazałam się rozpoznawalna.

– Właśnie kataloguję nowe nabytki i dokładnie w chwili gdy pani weszła, oglądałam okładkę tej nowej książki. To najnowsza, prawda?

Prawda, najnowsza, miło mi się zrobiło. Zostałam poczęstowana szarlotką i kawą, niespodziewanie dobrą, z włoskiego ekspresu. Niestety, nie było czytelników, ale może i lepiej, bo świetnie nam się gadało. Panie bibliotekarki (dwie) pracowały tutaj całe wieki. Jedna dwadzieścia dwa lata, druga osiemnaście. Naprawdę, poczułam szacunek i podziw. Wiem, jak jest wynagradzana praca bibliotekarek.

– Ale robimy to, co kochamy – przekonywały mnie obie. – I możemy sobie czytać na dyżurze – zaśmiała się ta starsza. – Niech pani powie, w jakiej pracy mogłybyśmy to robić?

Wpisałam dedykacje do książek, zaakceptowałam zaproszenie na wieczór autorski

(za śmiesznie małą kwotę, ale czasami czuję swoje posłannictwo) i poprosiłam, by pozwolono mi pobuszować po półkach. Z przyjemnością odnajdowałam tam perełki, zapomniane w innych bibliotekach. Książki z kanonu literatury wielkiej, prawie nieobecnej już wśród zalewu dzisiejszego blichtru, mieniącego się „sensownymi tworamami słownymi”, jak określała literaturę pani profesor Stefania Skwarczyńska, a będące w istocie miernymi wypocinami, sprzedawanymi nie wiadomo dlaczego. I raptem, w najodleglejszym kącie, w takim załomie ściany (wiadomo, stara budowla, nietypowa architektonicznie), wypatrzyłam najprawdziwszy kufer z czasów Stevensona, a raczej z jego *Wyspy Skarbów*.

– Pani Różo! – Tak, jedna z bibliotekarek, postać z legendy, na dodatek miała na imię Róża. – A cóż to za cudo? I skąd tu się wzięło? A co jest w środku?

– Z zaciekawienia dostałam wypieków.

Okazało się, że do biblioteki była też przypisana piwnica, w której naprawdę można było znaleźć skarby, choćby takie jak ten kufer. Z deseczek, z żeliwnymi okuciami, obity skórą, bardzo już poprzecieraną, ale jeszcze całą. Panie pozwoliły mi zajrzeć do środka, informując jednocześnie, że nic ciekawego tam nie ma, sprawdzały przecież. Przytargały go z piwnicy, bo zamierzały urządzić jakąś wystawę i ten kufer bardzo im się przydał. Wystawa się odbyła, jej czas minął, a kufra nikomu nie chciało się znosić do piwnicy. Stał więc sobie w kącie. I mrugał do mnie – naprawdę. Nie mogłam mu się oprzeć. Podniosłam wieko i zmarszczyłam lekko nos, bo zaleciało mi ze środka stęchlizną. Wewnątrz były jakieś rupiecie, stare zabawki, żołnierzyki, a także dwie kukiełki główki – Jacek i Agatka – dziwnie okręcone drutem. Klocki, stara kolejka, ale bez torów. Kilka książek i kilka zeszytów. Oczywiście najpierw wzięłam do ręki książki. Okazało się, że to dziecięca klasyka, Brzechwa, Tuwim, Andersen. I kilka zeszytowych wydań Karola Maya i Zane’a Greya. Te ostatnie przekartkowałam z rozczuleniem, sama kupowałam je w antykwariatach, gdyż kocham opowieści o kowbojach i Indianach.

Zobaczyłam jeszcze kilka zeszytów, chyba szkolnych. Z ciekawości otworzyłam jeden. Nie wyglądał jak zeszyt do jakiegoś przedmiotu, choć początkowo myślałam, że to wypracowania z polskiego. Ale nie, to chyba był jakiś pamiętnik. Dokonany dziecięcym piśmem zapis jakichś przeżyć, widać godnych uwiecznienia, skoro autor je zanotował.

Przejrzałam zeszyty w kufrze. Były jeszcze dwa zapisane tym dziecięcym piśmem. Wyżebrałam je od pań bibliotekarek, obiecując zwrócić po przeczytaniu. Widocznie nie miały pojęcia, co w nich jest, bo odrzekły ze śmiechem, że mogę sobie zabrać – i zatrzymać – całą zawartość kufra.

Wzięłam więc jeszcze zeszytowe wydanie Zane’a Greya, z sentymentu.

Aha – i muszę dodać coś jeszcze – pod zeszytami leżały papierowe wycinanki, składane laleczki, pajacyki, kontury samochodów. Wstrząsnęło mną, że te zabawki zrobione były z kartek jakichś książek. Jedna, którą z ciekawości rozprostowałam, pochodziła z *Księżniczki na ziarnku grochu*. Tekst: „O, bardzo źle – powiedziała księżniczka – całą noc oka nie mogłam zmrużyć...” – nie mógł pochodzić z innej bajki.

Kto pozwolił dziecku na niszczenie książek? Bardzo chciałabym poznać historię tego kufra, jednak panie bibliotekarki nie miały pojęcia, skąd się wziął w piwnicy. Tę historię – gdybym chciała – musiałabym wymyślić sama, od początku do końca.

Rozdział 24

Ewelina zaparzyła dzbanek mocnej kawy – ta w komendzie, mimo starań Piotra, smakowała jak przefiltrowana przez starą skarpetę. Następną godzinę spędziła przed komputerem, porządkując zeskanowane w nocy dokumenty, które komisarz pozwolił jej zabrać. Łamał tym samym surowe przepisy, ona zaś poszła o krok dalej. W razie wykrycia on miałby nieporównywalnie większe kłopoty, ukryła więc pliki głęboko w folderach o zupełnie oderwanych nazwach, zaczerpniętych z jej dziedziny, i zabezpieczyła hasłem. Nikt nie miał szansy natknąć się na nie przypadkiem. Co innego fachowiec, bystry informatyk dobrałby się do wszystkiego w kwadrans, lecz na to nie było sposobu. Ale prawdopodobieństwo sprawdzenia jej komputera przez śledczych wydawało się raczej nikłe.

Może zadzwonić do Piotra? Nie, jeszcze nie teraz. I tak przekroczyła granicę, zaglądając do szuflady jego biurka. Nie on pierwszy i nie ostatni znalazł się na życiowym zakręcie. Przypadkiem dowiedziała się więcej niż powinna, jednak trudno jej było uwierzyć, że z jakichś prywatnych powodów porzucił śledztwo, uciekał przed problemami niczym zagubiony nastolatek. Działo się z nim coś dziwnego, właściwie nie wyjaśnił niczego przez telefon, najwyraźniej nie mógł.

Albo nie chciał.

Dopiła kawę i przygotowała się do wyjścia. Jej plan działania na razie zawierał tylko jeden punkt. Zamierzała odwiedzić koleżankę bibliotekarkę, która zorganizowała tamto pamiętne spotkanie z Justyną Sobolewską. Przypomnieć sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach, pozwolić mówić przedmiotom i wnętrzu. Cofnąć się w czasie i przyjrzeć się ceniom ludzi obecnych na wieczorze autorskim.

Nie wzięła taksówki, uznawszy to za zbędny luksus, na który mogła sobie pozwolić tylko od czasu do czasu. W tramwaju parę osób czytało książki, przecząc powszechnym narzekaniom, że czytelnictwo w naszym kraju umiera, skutecznie wypierane przez lekkostrawną sieckę wszechobecną w mediach. Ewelina nie miała określonego stosunku do tych lamentów, walkę z nowymi trendami w szeroko pojętej kulturze uważała za przegraną w przedbiegach już w szkole podstawowej, gdzie dzieciaki zmuszano do „przerabiania” literatury, zamiast pozwolić im na własne opinie i gusta. Ale tak było zawsze, część ludzi potrafiła oprzeć się dyktaturze programu nauczania i sami znajdowali sobie niszę kulturalną dopasowaną do własnego poziomu wrażliwości. Inni spłycali swoje potrzeby, ograniczając się do telewizyjnych tasiemców, dających ledwie namiastkę wiedzy o świecie i relacjach międzyludzkich. Widać tego właśnie potrzebowali.

Wysiadła przystanek wcześniej, żeby kupić w cukierni parę ciastek, dzięki czemu wizyta nabierze luźniejszego, bardziej towarzyskiego charakteru. Nie zamierzała obarczać przyjaciółki nadmiarem wiedzy, która mogłaby wywołać u tamtej bezsenność. Wystarczyło, że jej samej przyjdzie w najbliższym czasie liczyć przed snem stada owiec.

– O, Ewelina, fajnie, że wpadłaś! – Jolanta Zięba przywitała ją z entuzjazmem.
– Ludzie schodzą się dopiero po pracy, teraz pustki i nuda. Ile można ścierać kurz z półek? Co tam masz? Chodź, zrobimy sobie kawę, jakby ktoś przyszedł, dziewczyny sobie poradzą.

Szepnęła coś na ucho siedzącej za stołem kobiecie w grubych okularach i pociągnęła Ewelinę za sobą na zaplecze.

– Joluś, ale dla mnie herbata. Kawę piję od rana, a właściwie od wczorajszego

wieczoru.

– A cóż to, imprezka z rozbieraną randką? – Koleżanka zachichotała i wzniosła oczy ku sufitowi, a jej mina miała wyrażać podziw. – Dasz mi jego telefon?

– Nie ma problemu, tylko widzisz, on jest bardzo zajęty, zapisy na trzy miesiące do przodu.

– Jak lekarz specjalista w przychodni. – Jola wyjęła talerzyki, rozpakowała ciastka i włączyła elektryczny czajnik. – A prywatnie ten twój amant pewnie ma krótsze terminy?

– Prywatnie to on jest policjantem. Wiesz, że współpracuję ze śledczymi przy tworzeniu portretów psychologicznych sprawców przestępstw. – Ewelina postanowiła dyskretnie sprowadzić pogaduchę na pożądane tory. – Wszystkie zlecenia są zawsze na wczoraj, więc zarywanie nocy to już u mnie norma.

– Sadysta! Sam dosypia w ciepłym łóżeczku, a kobieta odważa za niego całą robotę. I gdzie tu równouprawienie?

– Po prawdzie to nie całą, jedynie pomocniczą. Charakterystyki sprawców mogą coś dać, ale wcale nie muszą. Oni za to weszą w terenie, zbierają ślady i często nadstawiają karku, kiedy osaczony przestępca ma już niewiele do stracenia.

– Zazdroszczę ci, nawet bardzo. – Jolanta dziabnęła widelczykiem kawałek sernika wiedeńskiego. – Obracasz się w ciekawym towarzystwie i ciągle robisz coś nowego. A co mnie tu może spotkać niecodziennego? Znam na pamięć wszystkich czytelników, łącznie z imionami dzieci i wnuków. Czasem robię za powierniczkę, wysłuchuję historii chorób i rodzinnych nieszczęść. To jeszcze ujdzie, ale kiedy zaczyna się politykowanie, mam ochotę dosłownie zacząć wyć. A przecież przychodzą tu ludzie spragnieni kontaktu z literaturą, którzy powinni umieć zachować dystans do pewnych spraw. Po piętnastu latach pracy w bibliotece czuję się jak automat do wydawania książek. Zajęcie ciekawe jak malowanie w kółko tej samej ściany.

– No, nie przesadzaj. Zdobyłaś trochę funduszy od gminy i rozruszałaś placówkę. Spotkania autorskie u ciebie cieszą się sporym powodzeniem.

– To prawda... – Przyjaciółka dziabnęła sernik na talerzyku w równe kawałki. – Była u mnie policja.

– Jak to? – Ewelina udała zaskoczenie. – Czego chcieli?

– Wypytywali, wyobraź sobie, o ten wieczór z Justyną Sobolewską. Chcieli poznać dane wszystkich gości, kto gdzie siedział, z kim rozmawiał i czy podchodził do autorki. Jak mam to pamiętać?!

– Byłam na tym wieczorze...

– Co? A, prawda. – Jola dalej bawiła się kawałkami sernika, teraz starając się zbić je w jedną całość. – Powiedzieli tylko, że ktoś spośród gości może być niebezpiecznym przestępcą, i zabronili mi mówić o tej sprawie. Nawet pani Sobolewskiej. Sami się nią zajmą. Ciekawe, co rozumieją przez „zająć się” kimś?

– Mnie powiedziałaś o wszystkim, ptaszynko.

– Tobie? Przecież właściwie jesteś jedną z nich... Zresztą musiałam komuś powiedzieć, inaczej bym zwariowała! Co ja mam teraz myśleć? Może jakiś zboczeniec czatuje już na mnie i kiedy skończę pracę, będzie mnie śledził, a w odpowiednim momencie...

– Jolka, przestań! Tu na pewno nie chodzi o ciebie. – Ewelina z trudem powstrzymała się przed dokładniejszymi wyjaśnieniami. Koleżanka nie należała do specjalnie dyskretnych, wieści rozeszłyby się błyskawicznie, a to nie ułatwiłoby pracy policji. – Gdybyś była obiektem zainteresowania jakiegoś czuba, powiedzieliby ci o tym i pilnowali twojej cennej osoby dzień i noc.

– Pewnie masz rację. – Koleżanka wyglądała na nieco zawiedzioną. – Ale czuję się nie w porządku wobec pani Justyny. Zgodziła się na ten wieczór autorski, aczkolwiek dopiero po przypominającym telefonie, sama załatwiła książki, w ogóle była uroczą i nie okazała cienia zniecierpliwienia, kiedy niektórzy pytali po dziesięć razy o pierdoły. Powinnam jej powiedzieć, że była tu policja.

– Wiesz co, mam lepszy pomysł. – Ewelina postanowiła wykorzystać okazję. – Daj mi jej adres, sama do niej pójde. Jestem w kontakcie z oficerem prowadzącym sprawę, nie będzie robił problemów. Wspomnę jej przy okazji, że bardzo się martwisz. To najlepsze wyjście.

– Ty wiedziałaś od początku, że coś tu się dzieje? Dlatego wtedy przysłałaś? – Przyjaciółka nie próbowała ukryć wyrzutu w głosie. – A może to oni cię przysłali?

– Jola, jak możesz tak myśleć! Zapoznaję się z tonami akt, ale nie pracuję w terenie. Nie miałam pojęcia, że była tu policja, dopiero jak o tym powiedziałaś, zaczęło mi świtać, że to ma związek ze sprawą, do której mnie zaangażowali. – Uznała, że drobne kłamstwo jest całkiem uzasadnione. Jej koleżanka nie grzeszyła dyskrecją.

– Wybacz, po tym wszystkim nie jestem sobą.

– Wiem, nikt by nie był. – Uspokajającym gestem położyła rękę na dłoni Joli. – Kiedy to się skończy, umówimy się na babski wieczór przy lampce wina i opowiem ci o tej sprawie, ile będę mogła. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Albo lepiej przy całej butelce. U mnie, żeby nikt nie przeszkadzał.

– To rozumiem! – Jolanta wyciągnęła skądś notes i zaczęła kartkować. – Zaraz, zaraz, gdzie ja ją mam... O! Czekaj, zapiszę ci. Może zadzwonię najpierw do pani Justyny i uprzedzę, że przyjdiesz?

– Nie, nie zwracaj jej głowy, musiałabyś wspomnieć, że policja z tobą rozmawiała. Ja to załatwię taktowniej...

– Uważasz, że brak mi taktu?!

– Jolka, nie zaczynaj od nowa. Po prostu ani ty, ani ja nie chcemy niepokoić tej twojej autorki więcej niż trzeba. Pisarze to ludzie przewrażliwieni, chyba nie chcesz psuć sobie z nią układów? A ja jestem psychologiem i umiem rozmawiać z ludźmi.

Koleżanka przyjęła ten argument z ulgą, głównie dlatego, że pozostawał w zgodzie z zaleceniami policji, jednocześnie uwalniając ją od moralnych rozterek. Sernik zaczął wreszcie znikać z jej talerzyka. Widać było wyraźnie, że nic tak nie poprawia apetytu, jak spokojne sumienie.

– Ale, ale, czekaj! – Jolanta złapała Ewelinę za rękaw, żeby przyjaciółka nie uciekła, póki nie usłyszy tego, co jej się właśnie przypominało. – Byłam wczoraj na wernisazu Marka Cyglera. Tego znanego malarza, znasz go chyba. Wszyscy go znają. Te jego obrazy, mówię ci, przepiękne. Ale co tam obrazy! On sam jest przepiękny. No, mówię ci, doskonały egzemplarz samca.

– Wystawa Cyglera?

– Tak. I było mnóstwo ludzi, między innymi Janusz Zamorski, były mąż pani Justyny. On podobno jest przyjacielem tego malarza.

– Widzę, że znasz sporo towarzyskich ploteczek. – Ewelina bawiła się wydłubywaniem rodzynek z sernika. – A co cię pognęło akurat na wernisaz malarstwa?

– Wyobraź sobie, dostałam zaproszenie od pani Justyny na tym wieczorku! Oni są przyjaciółmi, sama nie mogła pójść, a nie chciała, żeby się zmarnowało. Zaraz, a może ona nie poszła właśnie ze względu na byłego męża...? No, nieważne, nie moja sprawa. – Jola zrobiła minę będącą w jej mniemaniu odzwierciedleniem dyskrecji i dodała, zniżając głos: – Na wystawę Cyglera Zamorski przyszedł z jakąś młodą dziewczyną, bardzo ładną... A Cygler

cały czas miał u boku tę znaną aktorkę. Tę, co gra główną rolę w serialu w Polsce. Cholera, jak ona się nazywa, uciekło mi jej nazwisko, może ty pamiętasz?

– Nie oglądam seriali.

Bibliotekarka zauważyła nagłą zmianę wyrazu twarzy przyjaciółki.

– Co ci jest, Ewelina? Powiedziałam coś nie tak?

– Nie, nie, wybacz, ostatnio trochę mi dokucza żołądek.

– Chcesz coś? – Jolanta uniosła się z krzesła. – Mamy chyba jakieś krople.

– Nie szukaj, Joluś, zaraz samo przejdzie. Będę lecieć, mam sporo zaległej roboty w domu.

Ewelina pożegnała się z przyjaciółką, która zaczęła sprzątać po ich małej biesiadzie. Sama nie miała pojęcia, czemu się nie przyznała do znajomości z Markiem Cyglerem. Może dlatego, że nie była to znajomość, o której plotkuje się przy kawce. Starła się o wszystkim zapomnieć i prawie jej się udało... Prawie.

Dość! Nie przysła tu po to, żeby przywoływać wspomnienia. Chciała udowodnić Piotrowi, że ma w niej partnerkę, a może i kogoś więcej. I zrobi to!

Zagłębiła się między regały z książkami, pragnąc przywołać w pamięci niedawne spotkanie autorskie, ujrzeć obecne na nim osoby. Twarz ofiary przypomniła sobie łatwo, ale musiała jeszcze być ta druga. Jak ją rozpoznać, wyłowić z tłumu? Wszyscy czasem grają, udając innych, niż są w rzeczywistości, lecz psychopaci umieją przywdziewać maski tak perfekcyjnie dobrane, że mogą zwieść nawet najbliższych. Ewelina latami uczyła się zagłądać do chorych umysłów, czytać z twarzy i gestów, oddzielać fałszywe przekazy od prawdy, żeby dotrzeć do najgłębiej skrytego ja. Aby zerwać komuś maskę, trzeba go mieć przed sobą na wyciągnięcie ręki.

Przeszła do czytelnicy i usiadła przy stoliku, mniej więcej w miejscu, gdzie wtedy stało jej krzesło. Przymknęła powieki, cofając się pamięcią do tamtego wieczoru. Ujrzała rzędy ludzkich głów zwróconych w stronę autorki. Najlepiej pamiętała sąsiadów, nikt jednak nie zwrócił jej szczególnej uwagi. W trakcie spotkania doszło jeszcze parę osób, kilka też wyszło wcześniej. Pod koniec pochwyciła czyjś wzrok... nie, raczej zwróciła uwagę na postać ukrytą w cieniu korytarza zaraz obok wejścia w rogu sali. Ów ktoś stał tam przez cały czas? Ewelina nie była pewna, lecz nie mogła pozbyć się wrażenia, że zarejestrowany w podświadomości obraz jest ważny. Nie widziała twarzy, lecz sylwetka chyba jej kogoś przypominała.

Na stoliku leżała wyrwana z zeszytu kartka. Ewelina złożyła ją na pół, zagięła do środka rogi. Składania papierowych łódeczek nauczyła się chyba jeszcze w przedszkolu. A może to mama ją nauczyła? Zabawa była pasjonująca, jednak, jak każda pasja w tym wieku, prędko minęła zastąpiona czymś innym. Dziś nie była pewna dawno zapomnianej umiejętności, ale teraz się okazało, że palce zapamiętały kolejne czynności. Kartka, składana wzdłuż nieistniejących linii, prędko nabierała kształtów, po chwili pozostało już tylko rozgiąć burty. Okręcik nie chciał stać prosto, natychmiast przechylał się na jeden z boków.

Tamten ktoś musiał się kryć specjalnie, ale dlaczego tak robił? Wątpliwe, by go ktoś zapamiętał, chyba że był komuś na sali dobrze znany...

Potrząsnęła głową zniechęcona. Niejeden raz zdarzało jej się dostrzec na ulicy znajomego, a gdy podchodziła bliżej, okazywało się, że to tylko ktoś podobny. I to nawet nie ludzako. A tamten tajemniczy gość nie dotrwał do końca spotkania, widać nie należał do wielbicieli książek Justyny Sobolewskiej. A może jednak wszedł i usiadł gdzieś z tyłu? Zaraz... skup się. Kiedy autorka opowiadała o siedleckim festiwalu literatury, w drzwiach pojawiły się pomocnice kierowniczkę z kwiatami, a wtedy zagadnięta o coś postać przesunęła się trochę, ukazując na chwilę twarz.

Ewelina tak gwałtownie wstała od stolika, że omal nie przewróciła krzesła. Wyjęła telefon i odszukała w pamięci numer. Lecz nie wcisnęła zielonej słuchawki. To nie był dobry moment, jeszcze nie. On ją wyśmiejże albo zignoruje.

Najpierw upewni się, że przywołana z pamięci migawka nie jest urojeniem, koszmarnym figlem podświadomości, która nie odróżnia snu od jawy.

Zmięła w dłoni papierową łódeczkę i wyszła z biblioteki.

Na ulicy wspomnienie zbladło i zbliżając się do domu, nie była już pewna, czy nie ściga złudzenia...

Rozdział 25

Nadkomisarz Zawada przespał niemal całą drogę do Gdańska. W czasie wieloletniej służby w policji przekonał się, że bezsennych nocy nie da się nadrobić za jednym zamachem, ale trzeba łapać okazje do odpoczynku, choćby do krótkiej drzemki, ponieważ nawarstwiające się zmęczenie wywołuje błędy. Można nie zdawać sobie z tego sprawy, podobnie jak po paru głębszych, i uważać swoje zachowanie za całkiem normalne, lecz zmęczone zmysły wypaczały obraz rzeczywistości. Działając pod presją, odpowiadał nie tylko za siebie, ale też za ludzi, którymi dowodził, niewłaściwa ocena sytuacji mogła kosztować życie. Nieraz przyszło mu spędzać długie godziny w warunkach dalekich od komfortowych, nauczył się więc zasypiać prawie na zawołanie i budzić po określonym z góry czasie, tuż przedtem, nim zabrzączał ustawiony w telefonie budzik.

Trójmiasto przywitało go spiekotą i zapachem spalin. Wyciągnął telefon, żeby połączyć się z koleżanką Magdy, lecz tylko musnął palcami klawisze, nie wybierając numeru. Odezwały się gliniarskie nawyki zalecające ostrożność i działanie z zaskoczenia. Ludzi, którzy mogą mieć coś do ukrycia, lepiej nie uprzedzać o wizycie. Zwykła sztuczka obliczona na pozbawienie pewności siebie potrafi zdziałać cuda, o ile rozmówca nie jest bandziorem idącym z założenia w zaparte. Nadkomisarz schował telefon i poszedł na peron kolejki podmiejskiej. Kupił w automacie bilet. Żona podała mu adres akademika i numer pokoju. Nie musiał kupować planu miasta ani pytać o drogę. Miał tu tylu krewnych ze strony matki, że na Wybrzeżu czuł się jak w domu. Wczesne dzieciństwo spędził w Oliwie, w przedwojennej kamienicy przy ulicy Kaprów, z prawdziwymi węglowymi piecami w pokojach i kuchnią z fajerkami. Potem rodzice przenieśli się do Warszawy, skąd pochodził ojciec Piotra. Matka całe życie żałowała tego kroku, choć po latach spędzonych w stolicy twierdziła, że nie wróciłaby już w rodzinne strony. Starzy znajomi powykruszali się na różne sposoby, jej najbliżsi odeszli na zawsze, a czasu nie da się cofnąć. Lepiej więc zostać tam, gdzie mieszkały jej dzieci i wnuki.

Wysiadł we Wrzeszczu, kupił w kiosku paczkę czerwonych marlboro i ruszył pieszo w stronę ulicy Traugutta. Czekał go dłuższy spacer, zamierzał po drodze coś zjeść i uporządkować myśli. Ale tak naprawdę starał się odwlec moment konfrontacji, chwytając się niczym nieuzasadnionej nadziei, że zniknięcie córki ma zupełnie banalne wyjaśnienie i Magda może już wrócić do domu albo do akademika, tylko nikt nie zdążył go o tym powiadomić. Tak przecież bywa w ponad dziewięćdziesięciu procentach przypadków, czemu więc teraz miałoby być inaczej? Żona zaraziła go swoją paniką i trudno mieć o to pretensję, ale on powinien myśleć racjonalnie. Tyle że było coś jeszcze, o czym Elżbieta nie wiedziała. Komendant stołecznej policji zachował się tak, jakby spisał go z góry na straty, odcinając się całkowicie od poczynań podwładnego. Nie chciał brać odpowiedzialności za wykraczające poza regulamin działania Piotra, to zrozumiałe, chronił własny tyłek, ale obowiązuje przecież jakaś zawodowa solidarność. Może po telefonie do Gdańska stary uznał, że rutynowe śledztwo policji utknęło w martwym punkcie i tylko wolny strzelec, omijając procedury, ma szansę dotrzeć głębiej? Dał mu wolną rękę, ale nie udzielił wsparcia. W razie afery wyprze się wszystkiego, zostawiając Piotra na pożarcie sępom. I nie przekazał mu żadnej wskazówki, co zapewne oznaczało, że tutejsi funkcjonariusze na nic nie trafili.

W ogródku przy budzie z rożnem Piotr zjadł kurczaka i frytki. Popił piwem, czego nigdy by nie uczynił na służbie. Jednak w czasie spotkania z przyjaciółką Magdy zamierzał

zachowywać się nie jak oficer policji, lecz jak strapiony ojciec. Przynajmniej do pewnego czasu, w zależności od tego, w jaki sposób potoczy się rozmowa. Zapalił papierosa i wyszedł z knajpianego ogródka, zostawiając obok rachunku niewielki napiwek. Stadko wróbli, korzystając z chwilowej nieobecności kelnerki, obsiadło stolik, klóćąc się zawzięcie o resztki frytek.

Dziesięciopiętrowy akademik różnił się od podobnego bloku mieszkaniowego brakiem balkonów i oknami, w których na ogół brakowało firanek i roślin na parapetach. Podobnie prezentują się hotele robotnicze i koszary. Dopiero zaglądając do pokoi, można dostrzec różnice, choć i to nie zawsze. Późnopopołudniowa pora sprawiła, że wracający z zajęć studenci mijali się z kolegami mającymi już pomysł na spędzenie reszty dnia w plenerze lub w bardziej wyszukanim miejscu. Piotr, nienagabywany przez nikogo, przeszedł obok recepcji, do której ustawił się rozgadany ogonek pobierających i oddających klucze.

Wysiadł z windy na siódmym piętrze i ruszył długim korytarzem, szukając drzwi z numerem siedemset szesnaście. Zauważył, że żadne z nich nie miały judasza, czasem za framugę wetknięta była kartka, informująca zapewne o miejscu pobytu gospodarza lub godzinie powrotu. Minął minimalistycznie urządzonej kuchnię, gdzie jakaś istota w szlafroku, o trudnej do określenia płci, mieszała coś widelcem w ustawionej na gazie patelni. Najprostszym skojarzeniem była jajecznica, przeczył temu jednak zapach. Nadkomisarz mógłby przysiąc, że poczuł fetor starego tłuszczu i niepranych tygodniami skarpet, wszystko z jakąś kwaśną nutą. Widać do przyrządzenia chińszczyzny też potrzeba talentu. Oraz odpowiednich składników. Chętnie zapaliłby papierosa, ale powstrzymały go porozwieszane tu i ówdzie na ścianach ostrzeżenia o całkowitym zakazie palenia. Miał nadzieję, że dotyczyły tylko korytarza. Zapukał do właściwych drzwi; ze środka dobiegł nieokreślony pomruk, wyartykułowany wysokim głosem, Piotr nacisnął więc klamkę.

Siedząca na łóżku pod oknem dziewczyna malowała paznokcie u nóg, obok niej leżała otwarta książka z jakimiś wykresami. Buteleczka z lakierem zakołysała się niebezpiecznie, kiedy mieszkanka pokoju uniosła głowę i wlepiała zdziwione spojrzenie w gościa. Miała na sobie dzinsy z dziurą na kolanie i bluzkę z długim rękawem w kolorze morza.

– Przepraszam, szukam Magdy – powiedział najzwyczajniej, jak umiał, pilnie przypatrując się jej reakcji.

Buteleczka się przewróciła, dziewczyna złapała ją w ostatniej chwili, ratując pościel przed zalaniem lakierem. Zamknęła książkę i razem z lakierem odłożyła na parapet. Nagłym ruchem odwróciła się w stronę Piotra, jasne włosy zafalowały wokół jej ramion.

– A kim pan jest? – W pytaniu nie było zaczepki, raczej zmęczenie i obawa, że znów będzie zmuszona odpowiadać na niekończące się pytania.

Okno było zamknięte, dzięki czemu nie docierały tu odgłosy ulicy ani upalne powietrze. Betonowe ściany utrzymywały temperaturę odrobinę niższą niż na zewnątrz.

– Jestem jej ojcem.

Wskazała mu ręką niski fotel pod ścianą, przy którym stała ława z pustym, glinianym wazonikiem. Spuściła wzrok na świeżo pomalowane paznokcie u stóp. Zawada usiadł i zaczął się bawić paczką papierosów. Dziewczyna bez słowa wyjęła z szafki spodeczek i mu podała. Zapalając papierosa, pomyślał, że zaraz zapyta go o dokumenty. Nie zrobiła jednak tego.

– Poznaję pana, Magda pokazywała mi zdjęcia z domu... – Zamilkła i zacisnęła usta, jakby powiedziała coś niestosownego. I zaraz dodała: – Mówiła, że jej ojciec jest policjantem. Czulaam, że pan przyjdzie. Nawet myślałam, że wcześniej, z tamtymi...

– Pani Karolino – przypomniał sobie jej imię – nie jestem tu służbowo. Pracuję w Warszawie, niewiele mógłbym pomóc tutejszym funkcjonariuszom. Nie znam terenu ani

środowisk przestępczych. Ale musiałem przyjechać, bo bardzo chciałem z panią porozmawiać, spróbować zrozumieć, co się stało.

– Chciałby pan zobaczyć jej rzeczy?

– Tak, też. Ale najbardziej chciałbym dowiedzieć się czegoś o Magdzie. Z kim się spotykała, jak spędzała wolny czas, gdzie bywała. – Zawada złapał się na tym, że mówi o córce w czasie przeszłym. – Proszę, niech mi pani opowie o wszystkim, nawet jeśli to miało być trudne czy bolesne.

– Nie wiem, od czego zacząć...

– Miała kogoś? Chłopaka?

– Tutaj głupio by było nie mieć. Okazji tyle, że można wybierać i przebierać jak w ulęgawkach. – Nieobecny uśmiech na chwilę zagościł na jej twarzy i zgasł, zanim wspomnienie nabrało realnych kształtów. – Trzeba mieć kogoś na pokaz, inaczej wolnej dziewczynie nie dawałoby spokoju, a tak wiadomo, że zajęta, i lepiej się nie przystawiać. Magda miała jednego, ale prędko z nim zerwała, bo... za dużo sobie pozwalał. Potem poznała innego. Nie stąd, to znaczy nie był studentem.

Zawada zauważył, że Karolina zaczęła jakby ostrożniej dobierać słowa.

– Kim on jest, jak go znaleźć?

– Nie wiem, nie przedstawiła mi go. Nawet nie wiem, jak ma na imię. Widziałam go może dwa razy z okna, jak przyszedł po nią pod akademik, ale nie wchodził do środka.

– Wtedy kiedy ostatni raz ją widziałaś – przeszedł bezwiednie na ty – była z nim umówiona?

– Naprawdę nie wiem. Wróciłam z wykładów, a jej już nie było.

– Moja żona wspomniała mi, że jak z tobą rozmawiała, powiedziałaś, że był jakiś dziwny. Że trochę się go obawiałaś?

– Nie pamiętam, żebym tak mówiła. – Powiedziała to odrobinę głośniejszym głosem niż dotychczas. Skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła w stronę drzwi. – Nie znałam go przecież...

Na korytarzu panowała cisza, Zawada jednak wiedział, że podświadomie wykonywane gesty nie kłamią. Dziewczyna była niespokojna i z jakichś powodów czuła się zagrożona.

– Jak on wygląda?

– Zwyczajnie. – Wzruszyła ramionami i wyrecytowała bez zastanowienia: – Wysoki, dobrze zbudowany. Blondyn, dość krótkie włosy. Nieźle ubrany, ale bez ekstrawagancji. Nie nosił kolczyków ani niczego w tym stylu.

Nadkomisarz milczał, zaciągając się głęboko. Ona już mówiła to wszystko policji, wykonali portret pamięciowy, ale i tak go nie znaleźli. Czy wiedziała coś więcej? Pewnie tak. Dziewczyny mieszkające w jednym pokoju zwierzają się sobie, uwielbiają pogaduszki przy zgaszonym świetle, przyjaciółka jest powierniczką sekretów, jakich nie zdradzi się nawet matce. Karolina była przygotowana na niekończące się pytania, prośby i błagania załamanej ojca. Tylko nie na milczenie.

Podeszła do szafy i uchyliła drzwi z lustrem.

– Proszę, tu są rzeczy Magdy, może pan przejrzeć. – Nie dodała, że policjanci już to zrobili, i to niezwykle skrupulatnie. – Jest jeszcze walizka i plecak.

Zapalił następnego papierosa. Mijały minuty, coraz dłuższe. Karolina przesiadła się na fotel obok. Mimo że siwy dym snuł się po pokoju niczym osiadająca mgła, nie otworzyła okna. A Piotr milczał uparcie. Rozważał to, co przed chwilą usłyszał. Ta dziewczyna powiedziała mu więcej, niż zamierzała. Podała zbyt dokładny rysopis, a przecież podobno widziała tego mężczyznę tylko przelotnie z okna siódmego piętra. I było coś jeszcze.

Jego córka nie zносиła blondynów.

Coś zmieniło się w atmosferze ciasnego pokoju, wyczuli to obydwój. Karolina bez pytania sięgnęła po leżącą na ławie paczkę czerwonych marlboro, wyciągnęła jednego i zapaliła go zapalniczką Piotra.

– Nie palisz na co dzień, prawda?

– Co...? – Spojrzała na trzymanego papierosa. – Czasem zapalę. Na jakiejś imprezie przy piwie albo...

Zawada wyciągnął rękę nad ławą i chwycił dziewczynę za nadgarstek.

– I gasisz sobie szlugi na rękach?!

Szarpnęła się i krzyknęła, jednak nie puścił jej ręki. Po wewnętrznej stronie, tuż powyżej nadgarstka, widniał ropiejący ślad oparzenia wielkości jednogroszówki. Umiał rozpoznać ranę, jaka zostaje po zgaszonym na gołej skórze papierosie. I wiedział, jak potwornie musiało boleć takie oparzenie. Podwinął dziewczynie rękaw bluzki powyżej łokcia. Kolejne rany wyglądały identycznie i wszystkie były bardzo świeże.

Karolina wyrwała rękę i uciekła na łóżko. Oddychając spazmatycznie, przyciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę. Piotr podniósł z dywanu jej papierosa i zgasił na spodeczku. Wyjrzał na korytarz, cofnął się, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Uchylił lekko okno, a potem usiadł na swoim miejscu. Jego papieros tlił się ciągle.

– Chcę, żebyś o czymś wiedziała – powiedział cicho, pragnąc zwrócić jej uwagę.

– Nasz rozmowa nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Nie jestem na służbie, nikt nie ma pojęcia, że tu przyszedłem. – Zaciągnął się głęboko. – Jak on się nazywa?

W pokoju obok ktoś włączył muzykę. Nie na tyle głośno, by dało się rozróżnić słowa wokalisty, słychać było jedynie rytm i dudnienie basów. Dziewczyna poruszyła ustami.

– Adrian. Tak się przedstawiał.

Czekał, ale nie dodała nic więcej.

– Czym się zajmuje? – Rzucił Karolinie na pościel paczkę marlboro. – Narkotyki?

– Miał zawsze przy sobie trochę tego. Prochy albo coś do palenia.

Wyciągnęła z paczki papierosa i rozejrzała się za zapalniczką. Piotr udał, że tego nie widzi, spoglądał w okno. Uniosła się z łóżka i wróciła na fotel po drugiej stronie ławy. Zapaliła.

– Rozprowadzał w akademiku?

– Nie, chyba nie. Przynajmniej nie osobiście.

– Opowiedz mi o nim.

Palila w milczeniu, wpatrzona w swoje bosa stopy. Nie ponaglał jej. Wiedział z doświadczenia, że ci, którzy mają coś na sumieniu, pragną się komuś zwierzyć, wyrzucić to z siebie, mając nadzieję, że sprawi im to ulgę. Łudzą się, że wtedy łatwiej będzie im nieść ten ciężar. Albo czyjś osąd uczyni poczucie winy mniej dotkliwym.

– To ja go poznałam pierwsza na dyskotecy w medyku... – mówiła jakby do siebie, niczym ktoś, kto czuje się tak strasznie samotny, że pragnie słuchać choćby własnego głosu.

– Zwróciłam na niego uwagę, kiedy impreza już się dobrze rozkręciła. Nie należał do żadnego towarzystwa, stał z boku, nie widziałam, żeby tańczył czy z kimś rozmawiał. Ale wpadał w oko. Miał markowe ciuchy, nie żaden chłam z lumpeksu, i nie wrywał nachalnie lasek, które przesadziły z drinkami, więc mogły być łatwiejsze. Pomyślałam nawet, że może woli chłopaków... Pewnie dlatego zaczęłam go obserwować. Ale takie typy są raczej zniewieściałe, wymuskane jakieś, czuje się tę inność. Byłam z Magdą i paroma kumplami, tak jakoś wyszło, że trochę się poprzytykaliśmy, więc zaczęłam Adriana. Nawet nie żeby na poważnie, po prostu mała demonstracja niezależności. Zabrał mnie do dobrego lokalu, a nad ranem odwiózł taryfą do akademika. I nic więcej. Żadnej sugestii, jakichś ukrytych między wierszami komunikatów,

że ma ochotę upomnieć się o rewanż. A ja... miałam ochotę. Bo był inny, jakiś dumny i niedostępny. Rozmawialiśmy pół nocy, jednak właściwie nic o sobie nie powiedział. Poprosił o mój numer telefonu, ale własnego mi nie zostawił.

Z korytarza dał się słyszeć narastający gwar, zakończony pukaniem do drzwi. Koło ratunkowe, z którego mogła skorzystać i Piotr nic by na to nie poradził. Musiała jej przemknąć taka myśl; dziewczyna drgnęła nagle całym ciałem i zacisnęła palce na poręczach fotela. Popatrzyła na Zawadę z niemym pytaniem w oczach: Ty i tak wrócisz, prawda? Skinął powoli głową.

Pukanie powtórzyło się, ktoś nacisnął kłamekę, a po chwili głosy z korytarza zaczęły się oddalać.

– Zadzwoił po tygodniu – wróciła do przerwanej opowieści. – Włożyłam najlepszą sukienkę, od biedy pasującą na wieczór. Znów droga restauracja z orkiestrą cygańską i całe morze szampana. Zapytałam w końcu, czym się zajmuje, bardziej żeby sprowadzić rozmowę na grunt prywatny i wy badać, czy ma wobec mnie jakieś plany. Czy traktuje mnie tylko, bo ja wiem, jak znajomą, z którą można się czasem pokazać. Tonem, jakim opowiada się o mało interesującej pracy, wyjaśnił, że obraca się w sferach biznesu i sztuki. Organizuje to i tamto ludziom, którzy dobrze płacą i zależy im na najdalej posuniętej dyskrecji. Kiedy spytałam, czy chodzi o narkotyki, skrzywił się z niesmakiem. Powiedział, że okazjonalnie i po przyjacielsku może coś załatwić, ale nie bierze za to pieniędzy. Biznesmeni, politycy i artyści mają swoje potrzeby, z którymi nie mogą się afiszować publicznie. A wiele kobiet na poziomie ledwie wiąże koniec z końcem i nie miałoby nic przeciwko zyskaniu dobrze ustawionego... przyjaciela. Nie musiał mówić reszty, znam sporo studentek, które z dnia na dzień stać na lepsze ciuchy i wyprawdzkę z akademika. Rozumiesz?

Ona też zwróciła się do niego per ty, jakby po tym, co usłyszał, przestał być obcym człowiekiem.

- Ale ty się nie wyprowadziłaś.
- Widocznie nie byłam wystarczająco pracowita! – Spojrzała mu zaczepnie w oczy.
- Początkowo to nie było łatwe, godzinami zdrapywałam z siebie pod prysznicem zapach obcego faceta. Ale i nie było takie znów koszmarnie. Dobrze jedzenie, najlepsze pokoje hotelowe i forsa dyskretnie wsunięta do torebki. Nawet nie trzeba było sprawdzać. Zasady proste
- żadnych numerów na boku i połowa kasy dla Adriana.
- Którą z nich złamałaś?
- A co to za różnica? – Zapadał powoli zmrok, lecz żadnemu z nich nie przyszło do głowy zapalić stojącej na ławie lampki z wypłowiałym abażurem. – Przyjechałam z miejsciny, gdzie się wszyscy znają, a jak usiadłam na ławce obok chłopaka, to matka wiedziała, zanim doszłam do domu. Po prostu uciekłam stamtąd, tutaj było tyle wolności, że nawet nie chciało się z niej korzystać. To, co zaproponował Adrian, nikogo nie bulwersowało. Traktowałam to jako pracę i możliwość bycia z nim czasami. To drugie było ważniejsze, ale nie musisz mi wierzyć ani starać się zrozumieć. Tyle że byłam jedną z wielu i po jakimś czasie mu się znudziłam. Mogłam pracować dalej, jednak do drogich lokali i apartamentów zabierał inne.
- Magdę. – To nie było pytanie, Zawada prawie nieświadomie wymówił imię córki.
- Tak. Widział nas razem, przysiadł się kiedyś i...

Nie musiała kończyć.

- Tydzień temu wyszła z nim?
- Naprawdę nie wiem, nie było mnie wtedy w akademiku. Nie wróciła na noc, ale to normalne, czasem i dwie noce się pracowało, jeśli było warto, a klient nie przejawiał jakichś fanaberii. Zaniepokoiłam się dopiero po czterech dniach.

– Zadzwoiłaś do niego?

– Nie mogłam, miał zastrzeżony numer i żadnej z nas go nie podał. Poczekalam jeszcze, a w końcu skontaktowałam się z dziekanatem. Nic nie wiedzieli, więc wczoraj poszłam na policję zgłosić zaginięcie. I zadzwoniłam do pana żony, żeby uprzedzić...

– Ale policji podałaś fałszywy rysopis i zataiłaś imię faceta. – Zawada pomyślał o poparzonej ręce dziewczyny. – Odwiedził cię wcześniej.

– Niezupełnie. Było późno, policja przyjęła zgłoszenie, zanotowali trochę ogólnych informacji i powiedzieli, że sprawdzą szpitale i miejsca, gdzie można przenocować. Kazali przyjść następnego dnia na przesłuchanie. Adrian zjawił się, kiedy brałam prysznic. Nie był sam. Któryś trzymał drzwi, wyciągnęli mnie z kabiny, zatkali usta i on kazał mi trzymać głowę na kłódkę. Oświadczył, że nic nie wie o Magdzie, nie miał z nią kontaktu, ale gliny narobią mu kłopotów, jeśli zaczną wokół niego węszyć. Powiedział mi, co mam zeznawać, i zagroził, że wróci, jeśli padnie o jedno słowo za dużo. A wtedy pożałuję, że się urodziłam. Bałam się strasznie, płakałam i obiecałam wszystko, co chciał.

– A potem dostałaś wycisk, żebyś wiedziała, że mówił poważnie.

– Przypalali mnie papierosami, a on tylko się przyglądał... – Ukryła twarz w dłoniach.

– Kazał to robić swoim ludziom. I nie tylko na przedramionach... Bałam się o Magdę, ale nie miałam odwagi powiedzieć wszystkiego policji. Zostawili mnie na podłodze, ale zanim wyszli, Adrian zrobił kilka zdjęć. Jedno dostałam SMS-em. Możesz zobaczyć.

Wyjęła z kieszeni komórkę w różowej obudowie i położyła na stole. Widać uznała, że skoro powiedziała aż tyle, zniesie następne upokorzenie. Poczucie winy było o niebo gorsze od wstydu.

Zawada nie uczynił żadnego ruchu.

– Zapamiętałaś tych, którzy z nim byli? Poznałabyś któregoś?

– Może, nie jestem pewna, nie przyglądałam się. Kiedy mi to robili, pragnęłam tylko, żeby mnie zostawili i nie sprawiali już bólu.

– Powinnaś to zgłosić i złożyć szczegółowe zeznania. Zrobisz to? – spytał, niemal pewny jej odpowiedzi.

– Nie, skoro milczałam do tej pory... – Uciekła spojrzeniem w ciemny kąt pokoju.

– Co im możecie zrobić, wyprą się wszystkiego. A potem do mnie wrócą.

– Masz dowód – wskazał jej różowy telefon – tego się nie wyprą.

– Nie znasz ich. Powiedzą, że tak mnie zastali, a ja nie mam świadków.

Zawada westchnął. Oto najlepszy obraz zaufania społeczeństwa do pracy stróżów prawa. W dużej mierze zasłużony, sam wiedział o tym najlepiej. Policja pragnie być skuteczna, lecz ręce wiążą jej procedury i przepisy, którymi nie przejmuje się druga strona. W rezultacie złoczyńcy miewają większe prawa od swoich ofiar. A gdy ofiara bierze sprawiedliwość we własne ręce, od początku znajduje się na straconej pozycji, bo ma przeciwko sobie nie tylko bandytów, lecz i tych, którzy z założenia powinni stać po jej stronie.

– Wiesz, kim jestem. Dla mnie liczy się tylko Magda, wszystko, czego się dowiedziałem, zostanie między nami. – Pochylił się i spojrzał poważnie w jej podkrążone oczy. – Powiedz mi, jak mogę go znaleźć, a więcej go nie zobaczysz. Obiecuję.

– Nie wiem...

– Zastanów się – wszedł jej w słowo. – Zastanów się spokojnie, gdzie bywał, z kim go widywałaś, czy jeździł samochodem? Może masz jakiś należący do niego przedmiot. Dokąd cię zabierał i gdzie spędzaliście noc?

– Myślałam o tym już wcześniej, kiedy byliśmy razem. Każdy by chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia, więc bawiłam się w domysły. Ale to nie takie proste. Nie było stałego

miejsca, poruszaliśmy się taksówkami, najczęściej po Sopotcie. Adrian nie robił wokół siebie szumu, nie starał się być duszą towarzystwa. Zresztą nigdy nie pokazał się ze swoimi znajomymi.

– Opisz mi go. Na razie wiem tylko, że... na pewno nie jest blondynem.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie, ale twarz Zawady wyrażała jedynie spokojną zachętę.

Powiedziała z zastanowieniem:

– Ma krótkie, ciemne włosy i śniadą cerę. Trochę wyższy od ciebie. Lubi czarne skórzane kurtki, ale nie jakiś bajer, bez suwaków i napisów na plecach.

Niewiele to dawało. Z takimi informacjami mógł szukać faceta tygodniami albo minąć go na ulicy, nie podejrzewając, jak był blisko. To na nic.

– Pomożesz mi? – spytał, nie patrząc w jej stronę.

– Jak?

– Zbliża się wieczór. To dobra pora, żeby gdzieś pójść. Spacer po moło, kolacja w dobrym lokalu. Powiedzmy, że przyjechałem z daleka, a ty oprowadzasz mnie po Sopotcie, pokazujesz miejsca, które najbardziej lubisz. I takie, gdzie może się dziać coś ciekawego, gdzie bywają artyści, politycy i... luksusowe prostytutki.

– To chyba nie jest dobry pomysł.

– A masz lepszy?

Przez chwilę sądził, że dziewczyna każe mu się odpieprzyć, zostawić ją samą z jej problemami i poczuciem winy. Nie mógł przekonać Karoliny ani zmusić jej na siłę do współpracy.

Argumenty Adriana były o wiele silniejsze.

Wydeła usta, ni to w grymasie zwątpienia, ni to namysłu. Niespodziewanie palnęła dłonią o kolano. Widać było, że podjęła decyzję.

– Chcesz go odszukać? – Zmierzyła go uważnym, trochę drwiącym spojrzeniem. I nie do końca neutralnym. Żadnej kobiecie nie jest obojętne, jak prezentuje się mężczyzna, z którym się pokazuje. – To chyba niemożliwe w mieście z dziesiątkami knajp i tysiącami turystów.

– Wiem.

– To się nie uda.

– Pewnie nie.

– I co wtedy zrobisz?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

Zagryzła usta, uciekając gdzieś myślami. Bezwiednie dotknęła śladu po oparzeniu i syknęła cicho. Podeszła do okna i wyjrzała w gęstniejącą szarówkę.

– Muszę się przebrać – powiedziała, nie odwracając się.

– Zaczekam na zewnątrz. – Schował do kieszeni papierosa i telefon dziewczyny.

W progu dogoniły go jej słowa:

– Jednak nie ufasz mi? Boisz się, że go uprzedzę?

– Potraktuj to jako skrzywienie zawodowe. – Czuł, że zabrzmiało to zbyt szorstko.

Pragnął dodać coś jeszcze, pokazać, że nie chciał jej dotknąć. Nie przyszło mu do głowy żadne zgrabne kłamstwo, więc pozostało powiedzieć prawdę: – Jeśli nie zejdziesz, rozmyślisz się i zwiejesz, przynajmniej będę miał twój telefon. Może on zadzwoni. Albo Magda.

– Nie martw się, nie zwieję. Już nie miałabym dokąd.

Zjechał windą, znalazł wolną ławkę przed akademikiem. Wyświetlił w komórce Karoliny odebrane połączenia, a następnie wybierane numery. Ostatni raz starała się połączyć z jego córką trzy godziny temu. Popatrzył w wiadomości. Otworzył SMS-a z zastrzeżonego

numeru ze zdjęciem Karoliny leżącej na łazienkowej posadzce. Żeby się ostatecznie przekonać, czy powiedziała mu prawdę, ale nie tylko dlatego. Wyglądała żałośnie, naga, z zalepiającymi twarz strakami mokrych włosów, nawet nie próbowała się zasłonić, bo pewnie myślała wyłącznie o tym, by ów koszmar wreszcie dobiegł końca. Zdawało mu się, że słyszy wulgarne docinki i rechot zapitych gardel. Zmusił się, by uważnie obejrzeć zdjęcie, mając nadzieję, że zauważy jakiś szczegół, upuszczony przedmiot czy fragment postaci któregoś z mężczyzn. Ale widział tylko bezbronną dziewczynę zdaną na łaskę oprawców. Wykasował wiadomość ze zdjęciem.

Czemu nie zrobiła tego sama? Przecież to pierwsza rzecz, jaka powinna jej przyjść do głowy, naturalny, zupełnie automatyczny odruch. Zwłaszcza że nie zamierzała zgłaszać policji zawiadomienia o przestępstwie.

Tknięty jakąś myślą, Zawada odszukał w komórce foldery ze zdjęciami. Było ich całkiem sporo, jakieś dziewczęce postaci w grupkach na plaży i w akademiku, trochę ujęć Starego Miasta wypełnionego kolorowymi straganami i gośćmi Jarmarku Dominikańskiego. Ale żadnego mężczyzny przypominającego Adriana. No tak, tego typu dranie raczej unikają fotografowania się. Traktował ją jak pożyteczną rzecz, był ujmujący i oddany, póki dawała się wykorzystać. Wierzyła w niego? Kobiety patrzą na mężczyzn przez pryzmat swoich marzeń i nadziei. Do czasu, aż opadną łuski z oczu, choć często łudzą się, że potrafią ich zmienić, bo uczucie nie zna słowa „niemożliwe”. Ale nawet różowe okulary, przecierane zbyt często, tracą swoje właściwości i w końcu pokazują prawdziwy obraz. Tylko trzeba chcieć go dojrzeć, a z tym bywa najtrudniej. Niektórym nigdy się to nie udaje, wierzą do końca, nawet gdy już nie pozostaje nic prócz tej szalonej wiary...

Piotr uniósł głowę i zaczął liczyć piętra. W wielu pokojach paliło się już światło. Kiedy doszedł do siódmego, zawibrowała jego komórka. Nie odrywając wzroku od okien akademika, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Halo? – To chyba będzie to okno... Nie, jej pokój był dalej, prawie na końcu korytarza... Co ona powiedziała? Że nie miałyby dokąd uciec... – Słucham?

– Dobrze, że odebrałeś! Boże, tak się martwiłam, ale na szczęście już po wszystkim. Ja wiedziałam, że nie mogło się stać nic złego, ale i tak będę musiała iść do lekarza. – Głos żony momentalnie przywrócił Piotra do rzeczywistości. Elżbieta miała irytujący zwyczaj przekazywania wszystkiego jednocześnie, mieszała sprawy istotne z całkiem obojętnymi dla rozmówcy. – Gdzie jesteś? Musisz natychmiast wrócić i z nią porozmawiać!

– Elżbieta, uspokój się, przecież jestem w Trójmieście. – Seria przerywanych piknięć w aparacie oznaczała wyczerpywanie się baterii. Kiedy ją ładował? Cholera jasna! – Co to znaczy, że już po wszystkim?

– Co? Więc pojechałeś?

Całą siłą woli zmusił się, by nad sobą zapanować. Najspokojniej jak umiał, zapytał:

– Magda wróciła? Jest w domu?

– Tak. Teraz śpi. Była, wyobraź sobie, u koleżanki w Malborku. Tak przynajmniej mówi. Nie zdziwiłabym się, gdyby ta koleżanka miała na imię na przykład Zenon czy jakoś tak. Mam nadzieję, że nie zrobiła niczego głupiego... – Urwała wymownie. Piotr bez trudu wyobraził sobie powody zaniepokojenia żony. – Powiedziała, że rzuca studia. A właściwie że nie wróci na tę uczelnię, bo to była jedna wielka pomyłka. Przecież szło jej doskonale i taka była szczęśliwa, że mieszka w Gdańsku. Rozumiesz coś z tego?

Rozumiał.

Od godziny rozumiał aż za dobrze, że jego córka nie jest już dzieckiem, które robi wszystko, by zadowolić rodziców. A kiedy człowiek uświadamia sobie, że ma własne życie i może je ułożyć po swojemu, pragnie natychmiast skorzystać z tej wolności, puścić matczyną

spódnicę i sprawdzić, co się kryje za zakrętem. I dalej, tam gdzie do tej pory nie wolno mu było chodzić samemu. Nie dopuszcza myśli, że nie zdoła zawrócić we właściwym momencie, bo nawet nie potrafi rozpoznać tego momentu. Z czasem może się tego nauczyć, lecz życie prowokuje do wciąż nowych błędów. Zawada przez lata służby widział zbyt wiele lęku w oczach rodziców, dla których był posłańcem przynoszącym złe wieści, żeby nie odcisnęło to piętna na jego psychice. Kiedy usłyszał od przyjaciółki Magdy prawdę, ani na sekundę nie przestał uważać, że jego córka miała prawo do własnych wyborów i pomyłek. Nie oceniał, nie zwątpił w nią, tylko poczuł obezwładniający strach, że nie będzie miał szansy jej tego powiedzieć. Sam przed sobą nie przyznawał się do utraty nadziei, tłumił lęk, który porażał wszystkie nerwy niczym wolno działająca trucizna. Próbował coś robić, działać racjonalnie, łudząc się, że jeszcze nie wszystko stracone, wypierając z umysłu najgorsze przecucia. I nagle znów wszystko się zmieniło, jak to w życiu. Magda odnalazła się cała i zdrowa. Swoje przeszła, ale w jej wieku prędko się zapomina, czas jest najlepszym lekarzem. Samodzielnie poradziła sobie z najgorszym. Przecinając wszystkie nici łączące ją z Adrianem, podjęła decyzję najlepszą z możliwych. Sprawy, przynajmniej tutaj, wyglądały na załatwione.

Ale Piotr tak nie uważał.

Elżbieta ciągle mówiła, najwyraźniej odczuwając potrzebę odreagowania dotychczasowej niepewności i obaw. Wreszcie zorientowała się, że jej monolog pozostaje bez odzewu.

– Słuchasz mnie? Jesteś tam?

– Tak, słucham. Masz rację – powiedział, nawet nie bardzo zdając sobie sprawę, czego owa racja dotyczy. – Muszę kończyć, bo zaraz siądzie mi bateria. Jak wrócę, wspólnie coś wymyślimy.

– A co tu wymyślać, trzeba przemówić jej do rozumu! – padła zdecydowana deklaracja. Jak każdej matce, najtrudniej było jej się pogodzić ze zniknięciem pokładanych w latorośli nadziei. – Wszystko spada na mnie, a ciebie jak zwykle nie ma.

Mruknął coś ugodowo, gdyż polemika z Elżbietą, zwłaszcza w obecnym stanie psychicznym jego żony, mijała się z celem. Nim bateria w telefonie padła do końca, zdążył poprosić jeszcze Elżbietę, żeby do jego powrotu nie wciągała Magdy w żadne zasadnicze rozmowy. Trzeba zostawić córce nieco czasu na samodzielne przemyślenie pewnych rzeczy. On też go potrzebował. Bardzo potrzebował.

Rozdział 26

Ewelina dzwoniła do Piotra już kilka razy. W odpowiedzi ciągle słyszała ten sam bezduszny komunikat, że abonent jest czasowo niedostępny albo nie może odebrać połączenia. Wolałaby, żeby to pierwsze było prawdą, bo drugie mogło oznaczać, że nie tyle nie może, ile nie chce rozmawiać.

Telefon zniekształca głos, w dodatku ich ostatnia rozmowa pełna była zakłóceń na linii, jednak Ewelina wyczuwała napięcie przebijające się przez nienaturalny spokój Piotra. Żadnego żartu, żadnego przemyconego niby mimochodem niuansu słownego, który można odebrać jako nienatarczywą zaczepkę podobną do neutralnego cmoknięcia na pożegnanie.

Wpadła na coś, czego ani nie mogła, ani nie potrafiła zignorować. Pomógł przypadkowy splot okoliczności, zdarzający się jedynie w prawdziwym życiu. Najlepiej byłoby prześlizgnąć się obok wydarzeń, sporządzić profil przestępcy i na tym poprzestać. Tyle że tym razem rola postronnego obserwatora już nie wchodziła w grę.

Po wyjściu z biblioteki pojechała prosto do domu. Chciała poukładać sobie wszystko w głowie, zmierzyć się z problemem i w bezpiecznym zaciszu swoich czterech ścian nabrać nieco dystansu, upewniając się, że sama nie wariuje. Że nie przychodzi jej płacić ceny za grzebanie w wykolejonych umysłach, które za wszelką cenę usiłowała zrozumieć.

Zaparzyła dzbanek kawy i usiadła w fotelu przed wyłączonym telewizorem. Włączyła tylko stojącą lampę, jej ciepły, stonowany blask działał kojąco. Panująca w mieszkaniu cisza uspokajała, pozwalając myślom wędrować ku nieodwiedzanym dawno miejscom i ludziom. Ewelina rzadko sobie na to pozwalała, częściej tłumaczyła sobie, że samotność jest wyborem, którego dokonała, i dobrze jej z nią, i nie pragnie żadnych zmian. Bo wpuszczając kogoś do swojego życia, często daje się więcej, niż otrzymuje w zamian...

Dźwięk dolatujący od strony drzwi wejściowych zabrzmiał, jakby ktoś nacisnął klamkę.

Ewelina poderwała się i pobiegła do przedpokoju. Sprawdziła zasuwę, przekręciła klucz w zamku i dopiero wtedy popatrzyła przez judasza. Niczego nie dostrzegła, klatka schodowa tonęła w mroku. Pewnie jakiś zawiany sąsiad, zdarzało się to już parokrotnie. Albo drobny złodziejaszek, czyhający na okazję. Pożałowała, że nie założyła sobie łańcucha, choć dotąd uważała to za rozwiązanie niepraktyczne i jakieś takie wręcz piętujące. Że niby odgradza się od świata, uchylając czasem drzwi na parę centymetrów niczym jakaś histeryczka albo stara panna? Zresztą palicho innych, ale miała obawy, że wkrótce sama zaczęłaby tak siebie postrzegać. Teraz jednak, w obecnym stanie jej nerwów, łańcuch by się przydał, najwyżej wisiałby sobie luzem. Inaczej będzie drżała przy każdym szmerze czy dzwonku.

Dość! – nakazała sobie w duchu. Nikt nie sforsuje zamków, w ogóle nikomu nie przyjdzie to do głowy, nie popadaj w paranoję, kobieto! Rób swoje, najlepszym lekarstwem na stres i niepewność jest działanie. A jeśli on zauważył ją wtedy w bibliotece? Mogła czekać. Albo wyjść mu naprzeciw...

Jeszcze przez chwilę biła się z myślami, wreszcie sięgnęła po telefon i wstukała numer otrzymany od koleżanki.

– Tak, słucham? – Nieco zmęczony głos Justyny Sobolewskiej odezwał się po pierwszym sygnale.

Ewelina poszukała wzrokiem cyfrowego wyświetlacza na tunerze telewizyjnym. Prawie dwudziesta.

– Dobry wieczór, nazywam się Ewelina Zaczeska. Przepraszam, że dzwonię o takiej porze, ale to ważna sprawa związana ze śledztwem... – Zająknęła się, uzmysłowivszy sobie, że jeśli policja jeszcze z nią się nie kontaktowała, ta kobieta może być zupełnie nieświadoma toczących się wokół niej zdarzeń.

– Z jakim śledztwem? Nie rozumiem, kim pani jest?

– Ja... No właśnie, to nie jest rozmowa na telefon. Proszę pani, rozumiem, jak to dziwnie brzmi, ale proszę pozwolić mi wytłumaczyć. Nie zawracałabym pani głowy, gdyby sprawa nie była poważna. Otóż współpracuję z policją przy pewnym śledztwie, które, jak sędzę, może mieć związek z pani osobą... – Ewelina znów urwała na moment, starając się znaleźć najważniejsze słowa. – Nie chodzi mi o to, że jest pani w coś wmieszana, tylko...

– Czy pani może wyrażać się jaśniej? – W głosie jej rozmówczyni słychać było chłód i nieufność. – Pani czegoś ode mnie chce czy stroi sobie żarty?

– W żadnym wypadku, proszę mi wierzyć! Nie jestem naciągaczką czy kimś w tym stylu. Po prostu przez telefon nie mogę zdradzić pewnych szczegółów. Może pani spytać o mnie...

– Chwileczkę – przerwała jej pisarka, a jednocześnie w tle rozległ się kilkakrotny dźwięk dzwonnka. – Proszę zaczekać, ktoś się dobija do drzwi.

Ewelina usłyszała stuknięcie, gdy aparat został odłożony na jakiś mebel. Potem rozległ się stukot kroków i szcęknięcie zamka. Głos przybyłego trudno było zrozumieć, za to słowa jej rozmówczyni brzmiały całkiem wyraźnie:

– Policja? A w jakiej sprawie?

Odpowiedź zapewne nie zadowoliła autorki bestsellerów, bo zapytała:

– Mogę zobaczyć legitymację?

Nastąpiła chwila ciszy, po której znów rozległ się głos Justyny Sobolewskiej:

– Podkomisarz Katarzyna Karwowska? Proszę do środka, zaraz porozmawiamy, tylko skończę...

Ewelina przerwała połączenie.

Była na siebie zła. Zamiast roztkliwiać nad sobą, należało natychmiast zadzwonić i umówić się z tą kobietą. A teraz nie mogła nic zrobić, musiała czekać do powrotu Piotra, gdyż rozmowa telefoniczna przebiegła nadzwyczaj niefortunnie. Niepotrzebnie napomknęła o śledztwie, wystarczyło przedstawić się jako znajoma organizatorki wieczoru autorskiego i poprosić o spotkanie w jakimś dogodnym terminie i miejscu. Nawet skorzystać z pośrednictwa Jolki, miałyby dzięki temu znakomitą rekomendację i nie trzeba by było przełamywać lodów. A teraz została potraktowana co najmniej jak wścibska dziennikarka, szukająca sensacji na artykuł do brukowca, a może nawet Sobolewska wzięła ją za szantażystkę? Pięknie, pani psycholog, no wprost wspaniale! Nie ma to, jak zostawić piorunujące pierwsze wrażenie. Jedyna nadzieja w tym, że wizyta policji tak namiesza autorce w głowie, że Sobolewska zapomni o dziwnym telefonie.

Podreptała do kuchni i zajrzała do lodówki. Wzięła trochę żółtego sera, anchois z puszki i napoczętą butelkę wina, którą dostała w prezencie od jednego z podopiecznych w podzięce za wystawienie dobrej opinii. Najzupełniej zasłużonej. Podłączyła telefon do ładowarki i z westchnieniem zagłębiła się w fotelu. Sprawy duże i małe mogły sobie poczekać do następnego dnia, może wtedy nabiorą właściwego wymiaru. Dobrze wiedziała, że to tylko pobożne życzenia, lecz mijający dzień i tak wiele ją kosztował.

Ewelina odszukała kanał przyrodniczy. Akurat nadawali odcinek o surykatkach, który oglądała już parę razy, ale nie szkodzi. Nie miała ochoty skupiać się na niczym, chciała po prostu, by znajome obrazy na szklanym ekranie odegnały poczucie osamotnienia. Wyciszyła

maksymalnie fonię i przymknęła powieki...

Obudziła się w łóżku, przykryta kołdrą po czubek nosa. Przez dłuższą chwilę usiłowała sobie przypomnieć, kiedy się położyła, skoro ostatnim wspomnieniem była sjesta przed telewizorem, ale nie umiała. Jakby to była jakaś niezwykle istotna sprawa, a ona nie miała większych problemów. Mimo wszystko nie czuła się uspokojona, póki nie zajrzała do pokoju, gdzie zobaczyła zgaszony telewizor i pusty talerz na stoliku obok fotela. Sprawdziła jeszcze zasuwę u drzwi wejściowych, wzruszyła ramionami i zamknęła się w łazience.

Rozdział 27

Latarnie w alejce przed gdańskim akademikiem rozmieszczone były zbyt rzadko, rozjaśniały jedynie teren w bliskim otoczeniu, reszta pozostawała w lekkim półmroku. Piotr palił papierosa, obserwując mijających go zagadanych, zaabsorbowanych własnymi sprawami młodych ludzi.

Przechodzące postacie przypominały trochę modeli na wybiegu; doskonale widoczne w kręgu światła, wychodząc z niego, ztracały kontury, odprowadzane przez własne wydłużające się cienie. Zawada nie potrafił tego dobrze określić, lecz coś go niepokoiło w atmosferze miejsca. Jakby tutejszy spokój był tylko pozorny niczym iluzja stworzona wyłącznie dla zmylenia widza.

Może najlepsze, co mógł zrobić, to po prostu odejść, zostawiając sprawy ich naturalnemu biegowi? Wrócić we własne koleiny, czasem uciążliwe, ale przynajmniej dobrze znane. Potem zadzwoni do tutejszej komendy i przekaże informacje, które pewnie i tak są im znane i z którymi niewiele będą mogli zrobić. Nie ma dowodów – nie ma przestępstwa. Wszystko, czym dysponują, to mętne poszlaki i niechęć do współpracy omotanych i zastraszonych przez Adriana kobiet.

Znów odszukał okno na siódmym piętrze. Było ciemne, Karolina pewnie już wyszła. Miał ostatni moment, żeby się wycofać, właściwie uciec z miejsca, w którym był obcy. Rozważał tę myśl jak kwestię czysto akademicką, żeby zająć czymś umysł. Bo jednak coś jej obiecał i mimo że Magda się odnalazła, dla niego sprawa nie była załatwiona. Szansa na wytropienie drania, który posunął się o krok za daleko, dowodząc tym samym braku skrupułów i choćby namiastki sumienia, była praktycznie żadna. Ale jeśli nie spróbuje, kolejnej szansy w ogóle nie dostanie. A jeśli jednak go znajdzie?

Wtedy porozmawiają sobie w cztery oczy.

Nie zauważył nigdzie kosza na śmieci, więc z pewnym wewnętrznym dyskomfortem rzucił peta na chodnik i przydeptał. Wkładając w usta następnego papierosa, uniósł wzrok. Firanka w szeroko otwartym oknie ciemnego pokoju Karoliny poruszyła się nagle. Trochę zbyt energicznie, by zrobił to wiatr. Przyszło mu do głowy, że dziewczyna sprawdza, czy on na pewno czeka, toteż uniósł rękę i pomachał w kierunku okna. Kiedy zaciągał się papierosem, firanki przestały się poruszać, pokój rozjaśnił się na kilka chwil, jakby ktoś otworzył drzwi, wpuszczając światło z korytarza, i zaraz je zamknął.

Więc dopiero teraz wyszła, zdecydowawszy się wybrać z nim na nocne poszukiwanie atrakcji. Oboje zdawali sobie sprawę, że mają marne szanse na dokonanie czegoś więcej, czegoś, co przywróciłoby jej duszy spokój i pozwoliłoby bez reszty skupić się na przyszłości. Przynajmniej nad ranem pożegnają się w poczuciu, że zamiast bezsennej nocy, wypełnionej nasłuchiwaniami kroków z korytarza i sprawdzaniem co jakiś czas, czy drzwi są dobrze zamknięte, wyszli naprzeciw wyzwaniu. Zostawi jej numer telefonu. W razie kolejnych problemów będzie miała do kogo się zwrócić. Bez oficjalnych zgłoszeń i spisywania zeznań.

Firanka na siódmym piętrze wyrzuciła się tak mocno, że Piotr miał wrażenie, że słyszy trzask odrywanych od karnisza żabek. Zamarł z uniesionym papierosem, przestał oddychać, czuł tylko, że to nie ma prawa dziać się tu i teraz, że jeśli zaciśnie do bólu pięści i zamknie oczy, wszystko wróci do rzeczywistości, a przeznaczenie przetasuje karty i rozda je na nowo. Lecz nie zamknął oczu. Czas zwolnił, jak wtedy, gdy samolot podchodzi

do lądowania tak majestatycznie, że wydaje się, iż można by go prześcignąć na rowerze. I choć zbliża się naprawdę szybko, widać najdrobniejsze detale jego konstrukcji, a nawet twarze pilotów przez szybę kabiny.

Owinięta firanką postać przewinęła się przez parapet i runęła w dół. Spadała w absolutnej, upiornej ciszy, ciągnąc za sobą rozwiewający się coraz mocniej, wiotki materiał. Prócz Piotra nikt niczego nie zauważył. On jeden wiedział, co za chwilę nastąpi.

Potworne uderzenie zmieniło ludzką istotę w bezwładny kształt wypełniony żyjącymi jeszcze tkankami. Będą umierać powoli, ale serce nie zabije już nigdy.

Nie podbiegł pierwszy do gromadzących się gapiów. Siedział z zaciśniętymi pięściami i ustami zagryzionymi do krwi. W kieszeni zawibrowała mu komórka. Nie jego. Chwilę czekał, aż ów ktoś się wyłączy. Zapalił machinalnie papierosa, zaciągnął się raz i drugi, rzucił na chodnik niedopalonego peta i przydeptał. Krok za krokiem zbliżał się powoli do miejsca wypadku, w jakimś beznadziejnym pragnieniu pozbycia się poczucia winy, łudząc się, że to nie Karolina. To i tak niewiele by zmieniło, każdy człowiek jest czymś dzieckiem, każda śmierć jest dla tych, co zostali, niewyobrażalnym nieszczęściem. A samobójstwo zawsze pociąga za sobą więcej ofiar; bliscy, nie mogąc się pogodzić ze stratą, uparcie szukają winnych. Albo obwiniają siebie. Niewielu potrafi sobie z tym poradzić.

Ale Zawada widział sygnały, których nie powinien zignorować. Niepokoiły go, lecz nie zdołał nadać im właściwego znaczenia. Nie zauważył momentu, w którym podjęła decyzję, bo nie był pewien jednego: ile dla Karoliny znaczył jeszcze Adrian. Złożyła fałszywe zeznania, nie zamierzała ich zmienić. Zachowała zdjęcie, nie żeby móc szantażować oprawcę, ale by mieć coś, czym go skłoni do rozmowy, do przeprosin, kiedy pokaże, jak bardzo umie się dla niego poświęcić. Czemu niektóre kobiety wciąż popełniają te same omyłki, po raz kolejny wychodzą za drani, którzy poza zaczepnym uśmiechem i łobuzerskim czarem nie oferują im niczego więcej? Bo tamci potrafią manipulować uczuciem, zonglować zapewnieniami o przywiązaniu i snuć szalone marzenia. A pozory tak trudno oddzielić od prawdziwych motywów. Zakochana kobieta zawsze wierzy, że zdoła zmienić swojego mężczyznę, że uczucie pokona wszelkie trudności. Ucieka od prawdy, póki ma nadzieję. A czasem dłużej...

Znów zawibrowała komórka Karoliny i wyłączyła się po kilku sygnałach.

Zawada wszedł między gapiów, ktoś klęczał przy zakrwawionym ciele, zachowując się jak lekarz, inni szeptali do siebie, nie chcąc profanować miejsca wypadku głośnymi komentarzami.

Tak, to była ona. Dziewczyna, z którą kilka chwil temu rozmawiał pierwszy i ostatni raz w życiu. Mogła tu leżeć Magda lub jakakolwiek inna, która zawiniła jedynie tym, że spotkała na swej drodze niewłaściwego mężczyznę. Piotr czuł, że jest jej coś winien. I nie miało znaczenia, że ona już się o nic nie upomni.

Upadła na brzuch, w pobliżu latarni. Rozrzucone nienaturalnie kończyny sprawiały wrażenie celowo powykręcanych przez jakiegoś sadystę. Miała na sobie granatową wieczorową sukienkę z prostymi rękawami zakrywającymi ślady poparzeń. Wizytowe pantofle, które zsunęły się jej ze stóp, wyglądały na całkiem nowe. Obok leżała mała czerwona torebka. Rozpływająca się wokół głowy czerwona plama kontrastowała z blond włosami rozsypanymi na boki.

Zawada wyjął telefon w różowej obudowie. Dzwoniono z zastrzeżonego numeru.

Cofnął się z rzucanego przez latarnię kręgu żółtawego światła. Obserwując zbiegowisko i wejście do akademika, zapalił czerwonego marlboro. Musiał pomyśleć.

Pozwoliła mu zabrać telefon. Potem szykowała się do wyjścia, włożyła najlepszą sukienkę i pantofle. Jeśli pod wpływem impulsu wywołanego jego wizytą i przypuszczeniem,

że z jej winy Magdzie coś się stało, postanowiła zakończyć wszystko, skacząc z okna, raczej by się nie przebierała. Choć mogła potraktować wieczorowy strój jako demonstrację. Nie dla niego, dla kogoś innego, kto ją taką widywał, komu zawdzięczała takie luksusy. To nawet prawdopodobne. Ale miała przy sobie torebkę, a nie myśli się o czymś takim, planując samobójstwo. Gdy obserwował jej okno, pokój pojaśniał na chwilę. A przecież nie miała powodu, by otwierać drzwi, prędzej zamknęłyby je na klucz. Chyba że ktoś by zapukał...

W oddali wibrował sygnał karetki pogotowia, narastając z sekundy na sekundę. Wieści rozeszły się prędko, w oknach pojawiało się coraz więcej głów, z budynku wysypywali się studenci, niektórzy prawie biegli w tę stronę, inni zatrzymywali się dalej, dołączając do grupek znajomych. Z akademika wyszedł szczupły, dość wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce. Zawada nie widział go dokładnie z tej odległości, zwrócił jednak uwagę na zachowanie tamtego. Mężczyzna postąpił chwilę na szczycie niskich schodów, nie próbując się zbliżyć do tłumu ani zagadnąć nikogo o to, co się wydarzyło. Ogarnął spojrzeniem całe zamieszanie; podjeżdżała tam właśnie karetka w asyście policyjnego radiowozu. Facet zerknął na boki, zbiegł ze schodów i spokojnym krokiem zaczął oddalać się w przeciwnym kierunku.

Piotr ruszył za nim.

Nie żywił złudzeń, że dopisało mu niewiarygodne szczęście i właśnie namierzył mitycznego Adriana. Wielu młodych ludzi ubiera się podobnie, ten zaś mógł mieć tysiąc zwykłych powodów, by nie mieszać się z ciekawskimi na miejscu wypadku. Zawada po prostu nie miał tu już nic do roboty, zwłaszcza jeśli nie zamierzał się dekonspirować przed funkcjonariuszami, żeby jak najprędzej wrócić do domu. Jego zeznania mogły pomóc w ustaleniu motywów samobójstwa, lecz na ich wysłanie będzie czas w Warszawie. Jednak ten mężczyzna pasował do opisu, poszedł więc za nim, kierując się trochę instynktem gliniarza, a trochę pchany niejasnymi, według niego, okolicznościami śmierci przyjaciółki jego córki.

Mało ruchliwa, słabo oświetlona ulica wiodła w stronę stacji kolejki miejskiej. Po drodze mężczyzna w skórzanej kurtce nie obejrzał się ani razu. Piotr nieustannie skracał dystans, obawiając się, że śledzony wsiądzie do zaparkowanego gdzieś dalej samochodu i definitywnie zniknie mu z oczu. Kiedy dzieliło ich ledwie kilkanaście kroków, nadkomisarz zawołał niezbyt głośno:

– Adrian!

Tamten obrócił głowę, zmierzył go uważnym spojrzeniem i przeniósł wzrok na ulicę.

Nie wyrzekł słowa, ale też nie odchodził. Patrzył obojętnie na Zawadę, jakby czekał na ciąg dalszy.

– Mam dla pana wiadomość od Magdy... – W twarzy nieznajomego nie zaszła najmniejsza zmiana. – A Karolina prosiła, żebym coś panu oddał.

– Pan chyba mnie z kimś pomylił. – Jego głos brzmiał zimno i stanowczo.

Ulicą nadjeżdżała z wolna taksówka; Piotr zaczekał, aż samochód ich minie.

– Możliwe. – Wyciągnął telefon w różowej obudowie. – Tu są bardzo ciekawe zdjęcia. Nie tylko jej... Dla kogoś zainteresowanego powinny być wiele warte.

– Skąd pan to ma?

– Jeśli nie rozmawiam z Adrianem, to raczej bez znaczenia, prawda?

– Kim pan jest?

– Czasem lepiej nie wiedzieć zbyt wiele. Mam coś do zaoferowania Adrianowi za rozsądną cenę. Ale tylko jemu.

– Niektórzy tak mnie nazywają.

– Nie można było od razu? – Skrzywił się i z politowaniem pokręcił głową.

– Dobra, dosyć zabawy w kotka i myszkę. Niepotrzebnie dałeś swojej dziwce wycisk, mogła

wychłapać wszystko glinom. Potem już zupełnie spierdoliłeś sprawę, wysyłając jej to zdjęcie. Chłopaki nie umieją trzymać gąb na kłódkę, wszystko się rozniosło. Dostałem polecenie, wiesz od kogo, żeby mieć cię na oku, żebyś nie narobił więcej bajzlu. I prawie narobiłeś. Trzeba było znaleźć telefon, zanim wypchnąłeś ją z okna. A ty zaczynasz go szukać po fakcie, wreszcie w panice dzwonisz, w nadziei, że komórka leży gdzieś w kącie i sygnał cię naprowadzi. Czyste partactwo!

Ręka mężczyzny zanurkowała pod kurtkę, trzasnęło ostrze sprężynowego noża. Piotr natychmiast zauważył, że tamten trzyma go w pozycji poziomej jak zaprawiony w ulicznych walkach zawodowiec. Amatorzy zadają ciosy z góry lub z dołu, zapominając, że najskuteczniejsze są pchnięcia.

– Gadaj, kurwa, kto ty jesteś?!

Zawada bardzo powoli, trzymając dłonie na widoku, odchylił połą marynarki i dwoma palcami wyjął paczkę papierosów. Mógł spokojnie założyć, że stojący przed nim typek nie działa samodzielnie, bo dawno zostałby skasowany przez jakąś zorganizowaną grupę przestępczą z Trójmiasta. Ale musiał zagrywać ostro, a zarazem ostrożnie, gdyż mężczyzna łatwo mógł się zorientować, że blefuje.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, szczeniaku, kogo się wyznacza do sprzątnięcia po takich łajzach? Dotąd byłeś dobry, więc postanowiono dać ci jeszcze szansę. – Zapalił i z namaszczeniem wypuścił chmurę dymu. – Ostatnią.

Niemal słyszał, jak w głowie tamtego obracają się trybiki. Ci gamonie, których wziął, by zmusić Karolinę do milczenia, zaraz po akcji poszli się nachlać i wychłapali o parę słów za dużo! Rzecz dotarła do kogoś na górze, wysłali mu więc ostrzeżenie w postaci tego pewnego siebie sukinsyna. Uratowało go, że ma pod kontrolą sporo dziewczyn, a co lepsze nie tylko sprzedają swoje wdzięki, ale też zdobywają wiele cennych informacji od „klientów”. Paru politykom i ludziom na stanowiskach przy okazji zrobiono doskonale fotki w trakcie igraszek i teraz skaczą na sznurkach, jak im się zagra. Nie ukreca się łba kurze znoszącej złote jaja, więc po nim posprzątali i dali mu wyraźny sygnał. Ma być ostrożny i chronić dupę, bo kolejnej szansy nie dostanie.

– Rozumiem... – Mężczyzna w skórzanej kurtce opuścił rękę z nożem, ale go nie schował. – Co teraz?

Zawada rzucił różowy telefon na ziemię i rozgniół go jednym uderzeniem obcasa.

– Teraz jesteś czysty. Wracaj do swoich dziewczynek i pilnuj interesu. Ja sobie złapię taryfę, mam nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy. – Trącił czubkiem buta szczątki aparatu. – I nie zapomnij znaleźć w tym szajsie karty telefonicznej. Naprawdę porobiła ciekawe zdjęcia.

Odszedł na skraj chodnika i wychylił się na ulicę. Akurat nic nie jechało.

– A jej koleżanka, ta jakaś Magda, która zaginęła? Gliny jej szukają. Nie będzie problemów, kiedy ją znajdą...?

– Nie mam z tym nic wspólnego, nie wiem, gdzie się szlaja! Ona ma swoje fochy, pewnie próbuje brać mnie na litość. Stara sztuczka, ona znika, a ja mam szaleć z niepokoju. Ładna dupcia, ale jeszcze dostatecznie nieurobiona. – Piotr kątem oka widział, jak stręczyciel chowa nóż, przykłęka na chodniku i grzebie w częściach aparatu. – Jak się znajdzie, popracuję nad nią trochę. Będzie mi jadała z ręki. A jeśli znowu spróbuje...

Ulicą przejechał motocykl, zagłuszając dalszy ciąg wypowiedzi i ciche kroki. Pochylony mężczyzna nie zauważył, kiedy rozmówca znalazł się za jego plecami. Potężne uderzenie w kark powaliło go na ziemię. Narastająca godzinami wściekłość Zawady objawiła się w niemożliwym do kontrolowania impulsie zniszczenia ludzkiego śmiecia, który największą

rozkosz czerpał z upadlania innych. Nadkomisarz bił z całej siły, na oślep. Przeciwnik był młody i sprawny, bronił się dziko jak szczur zagoniony w ślepy zaułek, lecz to nie wystarczyło, by się oprzeć atakującej furii. Cios za cios; wszelki ból został zagłuszony adrenaliną. Smak krwi w ustach zdawał się potęgować pierwotne instynkty, szczepili się niczym psy szkolone do walki, szukające gardła rywala. Obydwaj wiedzieli, że kompromis nie wchodzi w rachubę, wszystko rozstrzygnie się tu i teraz. Stawką było coś więcej niż życie jednego z nich.

Księżyc oświetlał zimnym blaskiem tę arenę walki bez zasad i widowni. Nie było sędziego, który przerwie ją w porę, ogłaszając kogoś zwycięzcą.

Wygranym miał zostać ten, który odejdzie stamtąd żywy...

Rozdział 28

Małgorzata odłożyła słuchawkę. Jutro, kurczę, jest mało czasu, pomyślała. Ale wiedziała, że musi się postarać. Jutro miało dojść do pierwszego spotkania jej najlepszej przyjaciółki, Justyny, z jej najlepszym chłopakiem, Krzysztofem. Najlepszym, najnowszym i – taką miała nadzieję – najostatniejszym. Postanowiła bowiem wyjść za niego. Wprawdzie on jeszcze o tym nie wiedział, ale nie szkodzi. Najważniejsze, że Justyna jeszcze o tym nie wiedziała. A od opinii Justyny zależało wiele, jeśli nie wszystko. Małgosia bardzo się denerwowała, planując to spotkanie. Musi upiec kaczkę, taką wyluzowaną, to ulubione danie Krzysztofa. A on, jak każdy facet, kiedy najedzony, to w dobrym humorze. Justyna też lubiła kaczkę, z tym że opinie przyjaciółki nie zależały od jej pełnego żołądka. No nic, zamartwianie się nic nie pomoże, będzie, co będzie, uznała Małgorzata i pobiegła do sklepu po kaczkę.

Wracała do domu z trzema torbami wyladowanymi zakupami. Złote Tarasy miała tak blisko, że uruchamianie samochodu byłoby bez sensu, mieszkała przy Emilii Plater, dosłownie dwa kroki obok wielkiego centrum handlowego. Nie lubiła tam chodzić i rzadko jej się to zdarzało, dziś jednak poszła, bo w złototarasińskich delikatesach można było dostać kaczkę już wyluzowaną. Bardzo to Małgoście odpowiadało, bo upiec kaczkę to pestka, ale luzować kaczkę... o, to już inna historia.

Mimo że do swojego bloku miała trzy kroki, myślała, że upuści te torby w diabły i machnie ręką na kaczkę i na wszystko. Oj, głupie my, baby, głupie, myślała ze złością, dźwigając te swoje zakupy. I nagle poczuła jakieś dreszcze na plecach. Jakby ktoś ją przesywał wzrokiem lub – bardziej dosłownie – świdrem. Pierwszy raz w życiu doświadczyła tego uczucia. Coś takiego знаła tylko z książek i zawsze ją śmieszyło, gdy czytała, że ktoś poczuł ciarki czy też wiedział, że jest obserwowany, bo swędziała go skóra na karku i takie tam... A teraz ją swędziała skóra na karku, naprawdę. Wykonała błyskawiczny obrót na pięcie, co z tymi torbami w rękach nie było łatwe, ale jakoś się udało. Niczego konkretnego jednak nie dostrzegła. W piątkowe popołudnie wokół Złotych Tarasów kłębił się tłum ludzi, przemieszczających się tam i z powrotem. Nikt nie wpatrywał się uporczywie w Małgorzatę, a jeśli nawet tak, to nie zdołała niczego dostrzec. Wzruszyła więc ramionami i pomyślała, że zmęczenie ogarnia ją całą, docierając nie tylko do swędzącej skóry na karku, ale nawet głęboko do mózgu.

Rozdział 29

Maks Baron nie znosił wizyt na Facebooku, a jednocześnie nie potrafił opanować pokusy zaglądania tam. Ludzie z nieodgadzionych dlań powodów upubliczniali najbliższe wydarzenia, od zakupu chusteczek do nosa po nawrót kataru, jak kania dżdżu oczekując komentarzy i polubień. A na stronie autorki sam miód i lukrecja, achy i ochy we wszelkich odmianach, jak gdyby wszyscy zapominali, że jest normalną kobietą, której wypada od czasu do czasu powiedzieć niebanalny komplement, a czasami bywa spragniona zwyczajnej rozmowy.

Prześledził jej wpisy. Nie publikowała żadnych prywatnych informacji, najwyżej osobiste opinie o tym, co ją poruszyło lub rozbawiło w szczególny sposób. Za to inni nie mieli takich oporów przed ujawnianiem intymności często ocierających się o sferę banału. Był pewien, że w miarę sprawnemu informatykowi dobranie się do ukrytych danych i prywatnych wiadomości użytkowników nie sprawi większej trudności niż zaopatrzonemu w komplet wytrychów złodziejowi sforsowanie zamków do mieszkania.

Maks Baron dość prędko zaczął rozpoznawać bliższych i dalszych znajomych autorki. Wiedział, skąd pochodzili i czym się zajmowali; do niektórych łatwo można by dotrzeć w realnym świecie. Były to głównie kobiety, więc stworzył sobie nowy, tym razem żeński profil na Facebooku, i nawiązał z kilkoma kontakt, zapraszając je do grona znajomych. Wydawało mu się, że najbliższą przyjaciółką autorki jest Małgorzata Słodka. Bardzo młoda, naiwna i otwarta. Widać życie nie zdążyło jeszcze nauczyć jej ostrożności.

Wszedł na stronę autorki.

KLIK

„Dzień dobry, jesteś?”

Odpowiedziała natychmiast, jakby czekała na wiadomość od niego:

„Jestem, witaj, Maksie, co porabiasz?”

Widocznie była spragniona kontaktu z fanami, skoro tak spontanicznie zareagowała na wpis osoby, o której myślała, że zna ją tylko wirtualnie. Ucieszyło go to, bo przecież chciał, żeby cała ta jej popularność zmalała do minimum.

„Będziesz się ze mnie śmiać, ale co tam, wyznam to tylko tobie, usiłuję napisać książkę. Będzie to spowiedź seryjnego zabójcy”.

„Och, to bardzo ekscytujące, ale skąd taki temat?”

Z życia, ty głupia babo, z życia – pomyślał, chichocząc, i wylogował się.

KLIK

Niech się pozastanawia.

Rozdział 30

– Królowo, kaczką była boska! – Krzysztof rozparł się na krześle, odsuwając od siebie talerz.

Królowo? O, nie, pomyślałam. Bałwan jakiś. I czego tak siedzi jak basza, zamiast...

Poderwałam się i zaczęłam zbierać talerze, natomiast pan świata i stworzenia nawet nie drgnął.

– Na deser tiramisu. – Małgosia z zadowoleniem spojrzała na podniesiony w górę kciuk Krzysztofa.

– Wiesz, słonko, co lubię. – Naprawdę aż drgnęłam, słysząc te słowa. Przyjaciółka nie zareagowała. Wyglądało nawet, że jest dumna z odniesionego sukcesu kulinarnego i nic innego jej nie obchodzi.

Po obiedzie zaczęła się rozmowa o wszystkim i niczym. Krzysztof opowiadał trochę o swojej pracy, był farmaceutą, pracował w aptece w centrum miasta.

– Tam się spotkaliśmy po raz drugi – oznajmiła Małgorzata, kładąc mu rękę na przedramieniu. Pogłodził lekko jej dłoń i powiedział, że tak zakatarzonej klientki jeszcze chyba w aptece nie widział.

– Nie mogła nic powiedzieć, bo bez przerwy wycierała nos.

– I nic nie musiałam mówić – dodała Gośka. – Pan magister sam położył na ładzie leki na przeziębienie. A następnie poprosił, żebym się pokazała po chorobie. Oświadczył, że musi sprawdzić osobiście, czy zaaplikowane przez niego medykamenty podziałały. A, wyobraź sobie, że przedtem spotkaliśmy się, też przypadkowo, przed twoją przychodnią. Właściwie to wpadliśmy na siebie. To drugie spotkanie było już tylko zrządzeniem niebios.

W duchu wzniosłam oczy ku niebu. Gośka przepadła, pomyślałam ze smutkiem.

Jednak w trakcie dalszej rozmowy okazało się, że ten nowy mężczyzna życia mojej przyjaciółki jest człowiekiem dość odczytanym i ogólnie raczej kulturalnym. Tak wyglądało.

Więc czemu jakoś, u licha, nie mogę go polubić? I nawet głupio mi się zrobiło, że nie mogę poczuć sympatii do ukochanego Małgosi. Może to tylko takie pierwsze wrażenie, tłumaczyłam sobie, niezadowolona z własnych reakcji. Przecież skoro Gośka go wybrała, musi mieć jakieś zalety, uznałam. Poza tymi, o których teraz myślę, zaśmiałam się w duchu, oczami wyobraźni widząc go w Małgosinej sypialni.

– A ten obraz to chyba jest dużo wart – usłyszałam nagle. Nie wierzyłam własnym uszom!

– Jaki obraz? – W zasadzie to naprawdę nie wiedziałam, o co chodzi. Małgosia miała sporo obrazów na ścianach, żaden jednak nie wydawał się szczególnie cenny i żaden jakoś specjalnie się nie wyróżniał.

– No, ten twój. Małga mówiła, że ten malarz robi furorę i jego obrazki idą jak ciepłe bułeczki.

Małga? Trzymajcie mnie, jęknęłam w duchu, bardziej jednak na swoją głupią – okazuje się – przyjaciółkę, która nie reagowała na żadne kretyństwo wylewające się z ust jej faceta. Skoro nawet bez mrugnięcia przelknęła tę Małgę, jest już stracona, zmartwiłam się szczerze.

– A wiesz, chyba masz rację. – Zdecydowałam się trochę zagrać mu na nosie.

– Pewnie dużo. Niedawno była aukcja w Domu Wystawowym „Impresja” na Nowym Świecie.

Wystawiono dwa obrazy Cyglera, gwasz i akwarelę i, wyobraźcie to sobie, ceny poszybowały pod sufit. Za *Plażę w Orłowie* nabywca zapłacił kwotę z czterema zerami, przed którymi stały jeszcze dwie inne cyferki. A *Koniec świata* poszedł za większą sumę. Dodatkowo powiem, że najbardziej poszukiwane są oleje Marka i, co za tym idzie, one właśnie są najdroższe.

Oczywiście zmyśliłam to wszystko. Dom Wystawowy „Impresja” istotnie był na Nowym Świecie, ale żadnej aukcji, na której licytowano by między innymi obrazy Marka Cyglera, tam nie urządzali. Przynajmniej nic mi o tym nie było wiadomo.

– A co ty tam robiłaś? – spytała Małgosia, podejrzliwie marszcząc czoło.

– Wpadłam przypadkiem na Iwonę i zaciągnęła mnie – łągałam na potęgę. Iwona była naszą wspólną koleżanką ze studiów, ale nie utrzymywałyśmy ze sobą kontaktów, więc szansa, że kłamstwo niebawem się wyda, była niewielka. – Iwona dostała ostatnio hopla na punkcie sztuki. Lata po wszystkich wystawach i aukcjach, o których tylko zdoła się dowiedzieć – zmyślałam dalej. – Ale po co my rozmawiamy o Iwonie? – spróbowałam zwekslować rozmowę na inne tory. – Słuchaj, tiramisu było świetne, kaczka też, teraz muszę trochę pobiegać, żeby to wszystko odpracować.

Od tego momentu rozmowa toczyła się spokojnie i miło. Krzysztof nawet znalazł się na tyle uprzejmie, że pochwalił moje powieści, a wygłaszane przez niego opinie świadczyły, że naprawdę przeczytał te książki. Ujął mnie, owszem, lecz generalnie nie zmieniło to mojego zdania o nim. Nie polubiłam go, i już.

– Nie polubiłaś Krzysia. – Małgorzata, telefonując następnego dnia, od razu przeszła do sedna. – Wiem, nie zaprzeczaj, powiem ci...

– Nie zamierzam zaprzeczać – wpadłam jej w słowo. – Nie polubiłam to może zbyt dużo. Za mało go jeszcze znam. Ale fakt, wielkiej sympatii we mnie nie wzbudził. Choć przystojny jest, nie powiem. I ogólnie mniamuśny, ale...

– Musi być „ale”? – Tym razem to Małgosia mi przerwała. – Nie możesz poczekać ze swoją opinią, aż go poznasz bliżej? Proszę – pisnęła, czym bardzo mnie zdziwiła, bo dotychczas faceci w życiu Gochy byli i przemijali, bez bólu, a gdy któryś mi się nie spodobał, nie było żadnego „proszę, poznaj go bliżej”, tylko „panu już dziękujemy” – i po wszystkim.

Przyjaciółka dodała jeszcze, że Krzysztof postanowił kupić moje obydwie wojenne powieści i prosił, żeby Małgosia zorganizowała następne spotkanie.

– Wyobraź sobie – podniosła głos, chyba z podekscytowania – że on chciałby mieć twoje autografy. Obydwie książki już przeczytał, pożyczył sobie od mamy. Ale mówi, że teraz, jak już poznał cię osobiście, chce mieć specjalne dedykacje w swoich własnych egzemplarzach.

– Swoich własnych? – zaśmiałam się i nie dając Małgorzacie dojść do słowa, powiedziałam, że dobrze, podpiszę mu te książki, skoro stał się fanem moich dzieł.

Potem bardzo żałowałam, że nie porozmawiałyśmy dłużej. Żałowałam, że nie powiedziałam przyjaciółce, że rzeczywiście ten jej cały Krzysztof nie tylko nie wzbudził we mnie sympatii. Wyrzucałam sobie, że szczerze jej nie wyjawiałam, że wydał mi się głupkowaty i jakoś tak ogólnie oślizgły. Nie podobały mi się te jego duże, niby szczerze oczy, które według mnie miały podstępny wyraz. Nie powiedziałam Goście tego wszystkiego, bo sama nie chciałam – wtedy – słuchać podszeptów swojej intuicji, z której jednak lekko podrwiwałam.

Rozdział 31

Jedna z moich czytelniczek powiedziała, że kocha moje książki za to, że zawsze wie, że dobrze się skończą. I chociaż poruszam trudne tematy, takie jak wojna czy okupacja, powstanie warszawskie, i chociaż w moich książkach jest śmierć, tragedia i rozpacz – lecz główni bohaterowie zawsze przetrwają i jakoś wszystko im się ułoży. Do tej pory nie wiem, czy tę opinię traktować jako komplement, czy też jako zarzut. Faktem jest, że lubię dobre zakończenia i jakoś nie mogę napisać opowieści, w której koniec byłby tragiczny czy choćby po prostu smutny. Uważam, że życie jest wystarczająco bolesne. Książka ma więc być lekarstwem na smutki tego świata i stanowić miłe odprężenie.

Czasami jednak korci mnie, żeby tym razem koniec opowieści był inny.

A może w ogóle nie powinno być końca?

Dzisiaj znowu poczułam ciarki na plecach, gdy mijałam Złote Tarasy, a właściwie nieco dalej, idąc Emilii Plater w stronę Świętokrzyskiej. Po lewej stronie, w takim pudełkowcu, znajduje się mój ulubiony sklep z herbatami. Wiedzą tam już, jaką mieszankę lubię, i gdy tylko wejdę w drzwi, miła pani pyta: „To samo?”. Kiwam potakująco głową i w czasie, w którym precyzyjnie odmierza składniki mojej mieszanki, oglądam przeróżne komplety, czajniczki, kubeczki, podstawki, serwetki. I z lubością wdycham herbaciane aromaty. Tym razem pani mnie zaskoczyła, bo zamiast – jak zawsze – spytać: „To samo?”, spojrzała na mnie jakby spłoszonym wzrokiem i wybąkała: „Czy pani jest...?”, podając moje nazwisko.

– Tak – przytaknęłam zdziwiona, zastanawiając się, skąd może mnie znać.

Nie przyszło mi do głowy, że to już cena sławy. Pani sprzedawczyni, cała splecioną, wyciągnęła spod lady *Wojenną miłość* i odwróciła książkę, podtykając mi pod oczy czwartą stronę okładki.

– Ślicznie tu pani wygląda. – Prawie dygnęła. – Od razu poznałam. Czy mogę prosić o autograf?

Oczywiście podpisałam jej książkę, wypytujac przedtem, jak jej na imię. Uśmiechnęłam się, słysząc, że nazywa się Justyna.

Ale owe ciarki poczułam na plecach dopiero po wyjściu ze sklepu herbacianego. Wrażenie było tak intensywne, jakby ktoś drapał mnie po tych plecach. Z tym że nie było to takie miłe, miziaste drapanie...

Rozdział 32

Dzień minął dość zwyczajnie, co w przypadku Eweliny oznaczało wlokące się godziny uzupełniania dokumentów, następnie wizytę w areszcie śledczym i rozmowę, w asyście strażnika, z jednym z osadzonych. Młody chłopak o pustym spojrzeniu wydawał się kompletnie obojętny na wszelkie próby zbliżenia, zdobycia szczypty zaufania. Miał już za sobą odsiadkę, która zamiast stać się nauką, tylko wykoślawiła jego postrzeganie świata. Lekcje pobierane u innych osadzonych zapadają głębiej niż starania więziennych wychowawców, często tylko pozorowane, by uczynić zadość obowiązkom. Jej zadaniem nie było jednak zmieniać tych ludzi, lecz wydawać opinię o możliwości resocjalizacji. Wydawała pozytywne osądy częściej niż powinna, gdyby miała się kierować jedynie podręcznikową wiedzą i przestudiowanymi życiorysami. Ale Ewelina uważała, że każdy zasługuje na szansę, nie wolno mu jej odbierać jedynie dlatego, że tak jest łatwiej albo nie bardzo wiadomo, jak mu pomóc. A może po części i dlatego, że sama nie musiała się potem zajmować tymi ludźmi. Podejrzewała, że prędko by jej zabrakło empatii i wiary.

Wracając do domu, zrobiła w Złoty Tarasach zakupy jedzenia na kilka dni. Lubiła atmosferę wielkich sklepów, gdzie można w nieskończoność wybierać i przebierać, i tylko kolejka do kasy sprawiała, że Ewelina chciała pokląć głośno i dosadnie. Zmęczona, ale jednocześnie zadowolona z tego, że wykonała wszystko, co sobie rano zaplanowała, dotarła późnym popołudniem na Wilczą. Nie odmówiła sobie wstąpienia do Cafe Pineska na ciastko i kawę z całą górą bitej śmietany. Niech tam idzie mi w biodra, najwyżej zapiszę się na aerobik.

Garść ulotek ze skrzynki pocztowej natychmiast wylądowała w koszu, Ewelina weszła po schodach, postawiła torbę z zakupami pod drzwiami, wsunęła klucz w zamek i obróciła.

– Ewelina.

Jeszcze nim uniosła głowę i zobaczyła go na półpiętrze, wiedziała, że Piotr wreszcie się odnalazł. I że musiało się stać coś złego.

– Co tu robisz? – zapytała, szeroko otwierając oczy na jego widok. – Co ci się stało?

Zszedł po schodach, utykając lekko. Spodnie i marynarkę miał w oplakany stan, bardziej nadawały się na śmietnik niż do pralni. Ale Ewelina naprawdę wstrząsnął widok jego rozbitych ust i otarć na twarzy.

– Wejźmy do środka, zanim mnie ktoś zobaczy. – Gdy schylił się po jej zakupy, zauważyła, że ma opuchniętą i zsiniałą na kostkach palców dłoń. – Wybacz, nie przychodziłbym do ciebie, gdybym miał lepszy pomysł. Muszę z kimś porozmawiać i...

– Chodź. – Ewelina pchnęła drzwi i weszła pierwsza. Zapaliła światło w przedpokoju.

Piotr zdjął buty i po chwili wahania rzucił pomietą, ubrudzoną ziemią marynarkę na niską ławę.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię, tylko czy najpierw mógłbym się trochę ogarnąć?

– Piotrek, wyjaśnienia mogą poczekać. Idź do łazienki, zaraz przyniosę ci jakieś ciuchy na zmianę – zaproponowała trochę na wyrost, bo raczej nie miała garderoby, w której mógłby się zmieścić ktoś jego postury.

Bez słowa podporządkował się jej poleceniu. W sypialni zajrzała do szafy i po dłuższych poszukiwaniach znalazła dres, noszony czasem w domu. Był na nią za duży,

musiała podwijać rękawy i nogawki, więc powinien jako tako pasować na Piotra. Pomyślała jeszcze, że przydałaby się jakaś bielizna, ale na to już nic nie mogła poradzić. Zdjęła z półki największy ze swoich ręczników.

Zastała go stojącego bezradnie przed lustrem. Nic dziwnego, kobieca łazienka, pełna kosmetyków w wymyślnych opakowaniach oraz plastikowych przyborów, siateczek i osobistych drobiazgów, wprawiłaby w konsternację każdego mężczyznę.

Położyła dres na koszu z bielizną, ręcznik wcisnęła Piotrowi do ręki.

– Słuchaj, Ewelina...

Czy jej się wydawało, czy przez otarcia na twarzy i dwudniowy zarost dostrzegła najprawdziwszy rumieniec? Zatkła wannę i puściła wodę.

– Zostawiam cię, masz tu wszystko, mydło i tak dalej. Zrobię coś do jedzenia i poszukam wody utlenionej, gdzie ją powinienam mieć. Zawołaj mnie, kiedy będziesz gotowy, zajmiemy się twoimi skaleczeniami.

– Nie zapytasz nawet, co się stało? Nie boisz się?

– Przecież mi wszystko opowiesz. Po to przyszedłeś, prawda? – W drzwiach łazienki odwróciła głowę. – Ja też mam ci coś do opowiedzenia.

W kuchni nastawiła wodę i zastanowiła się, co może zrobić Piotrowi do zjedzenia. Na pewno przydałby mu się porządny obiad, lecz na gotowanie nie było czasu. Po pizzę też nie zamierzała dzwonić, ale gdzie jest powiedziane, że zimne przekąski nie mogą być smaczne i sycące?

Przez kilka minut kursowała między pokojem a kuchnią, zastawiając stolik świeżo nabytymi wiktuałami. Wyjęła z szafki butelkę wina, lecz natychmiast schowała ją z powrotem. W końcu nie przyszedł na kolację przy świecach. Na koniec znalazła używaną tylko z wyjątkowych powodów popielniczkę i otworzyła okno w pokoju. Cóż, goście mają swoje prawa. A Piotr był dla niej kimś więcej niż zwyczajnym gościem.

Długo nie wychodził z łazienki i zachowywał się tam bardzo cicho. Zasnął? Gdy Ewelina podeszła na palcach pod drzwi z matową szybą, te otworzyły się niespodziewanie, o centymetry mijając jej głowę.

– Przepraszam, byłeś tak cicho... – zaczęła się tłumaczyć, ale zaraz machnęła ręką, obracając własne zakłopotanie w żart. – Prawda, miałam poszukać wody utlenionej i plastra.

– Daj spokój, nic mi nie będzie. – Przyglądził dres i nieco podciągnął kuse rękawy.

– Masz może coś do picia, tego najbardziej mi potrzeba.

– Herbata czy coś mocniejszego? – spytała, gdy na widok przygotowanej kolacji Piotr z zaskoczeniem pokręcił głową. – Piwa nie mam, niestety.

– Sam powinienem pomyśleć.

– Nadrobisz to następnym razem. – Wskazała stolik gestem oznaczającym, że ma się obsługiwać bez skrępowania. – Przyniosę wino.

Nie zaprotestował. Znalazła korkociąg w kuchennej szufladzie, pomocowała się trochę z korkiem sama, gdyż wydawało jej się, że ostentacyjne wręczanie butelki wina gościowi wyglądałoby jakoś nie na miejscu. Przynajmniej nie w tych okolicznościach, kiedy właściwie nie wiadomo, jak określić ich obecne relacje. Jakoś nie przyszło jej do głowy, że zaoferowanie mu własnej wanny i garderoby już wiele odmieniło. A najbardziej to, że przyszedł właśnie do niej.

Kiedy wróciła do pokoju z winem i kieliszkami, Piotr siedział ciągle w tej samej pozycji, nietknięte wędliny leżały na talerzyku niczym jakaś martwa natura. Bawił się paczką papierosów.

– Mogę?

– Pał, wytrzymam. Może nawet sama się poczęstuję.

Pozostawił jej słowa bez komentarza, jakby ich nawet nie dosłyszał. Nie znalazł jej grzebienia albo go nie chciał używać, widać było, że wytarł ręcznikiem mokre włosy i przyglądał je palcami. Ewelinie spodobała się nawet taka niechęć do panoszenia się w czyimś mieszkaniu. Miała alergię na ludzi traktujących każdą rzecz jak swoją własność, którzy bez żenady pakowali się z butami w czyjąś sferę prywatności, a nawet intymności.

Nie ponaglała go, mieli dużo czasu. Nalała wina, urwała kawałek kabanosa i zaczęła pogryzać.

Piotr oderwał wzrok od dywanu i potrząsnął głową jak ktoś przeganiający resztki sennych koszmarów. Zapalił, zaciągnął się i wypuścił dym w stronę otwartego okna.

– Kurczę, Ewelina, jakie to szczęście mieć kogoś takiego jak ty.

Spodziewała się wszystkiego, oprócz tak spontanicznego wyznania. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, na szczęście nie musiała nic mówić.

– Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? – Zerknął w jej stronę. Kiwnęła lekko głową.

– Daruj mi, że zostawiłem cię wtedy właściwie bez słowa wyjaśnienia. To nie było zamierzone, po prostu sam nie umiałem sobie poradzić z sytuacją. Magda zaginęła. A w tych okolicznościach można się było spodziewać najgorszego.

– Magda? – Spotkała kilkakrotnie jego córkę. I polubiła ją za otwartość wobec otoczenia. Z jakąś młodzieńczą naiwnością traktowała każdego tak, jakby znali się od zawsze. Ewelinie nagle zrobiło się zimno. – Co z nią...?

– Wszystko dobrze. Jest w domu, cała i zdrowa.

– Ale co się stało?

Przez moment Piotr sprawiał wrażenie głęboko zasłuchanego w przytłumione dźwięki z zewnątrz. Ulicą z warkotem przejechał motocykl. Jakiś pies rozszczękał się gwałtownie i umilkł równie nagle, jak zaczął, pewnie skarcony przez właściciela. O parapet zabębniły pierwsze krople letniego deszczu.

– Magda okazała się mądrzejsza ode mnie – powiedział cicho, z nutą przekąsu w głosie. – I miała znacznie więcej wyobraźni.

Opowiedział jej wszystko od momentu, w którym się rozstali. Trwało to trochę, bo nie pomijał żadnych szczegółów, pragnąc poukładać sobie tę historię i wiedząc, że nikomu innemu nie wyjawi jej do końca. Zresztą nikogo innego nie będzie obchodziło, dlaczego zachował się tak, a nie inaczej. Sam tego dobrze nie wiedział.

W trakcie relacji zaczął wreszcie jeść, powoli ubywało też wina w butelce. Ewelina przyglądała się opuchniętej dłoni i zadrapaniom na twarzy Piotra. Nie oceniała, nie starała się szukać dla niego usprawiedliwień ani układać sobie w głowie słów wsparcia. Słuchała. Bo i ona zdawała sobie sprawę, że nikt inny nie usłyszy tego wszystkiego.

– ...nie wiem, co mnie opanowało, nagle wszystko inne przestało się liczyć, pragnąłem tylko zabić tego łachudrę! Żeby już nikomu nie wyrządził krzywdy. Słowa tej dziewczyny, że nie ucieknie, bo nie ma dokąd, będą mnie prześladowały do końca życia. Ona naprawdę nie miała co z sobą zrobić, zastraszył ją całkowicie, byłem jej jedyną nadzieją na wywikłanie się z tego beznadziejnego układu. Ale zawiodłem.

– Jak możesz tak mówić?! Nie obciążaj się cudzymi grzechami!

– Nie, nie obwiniam się, nie w tym rzecz, czasu nie można cofnąć. Ale jestem policjantem. Gliną, psem gończym. Dowiedziałem się od niej rzeczy, o których nie powiedziała moim kolegom, ponieważ zwyczajnie się bała. Wyciągnąłem z niej wszystko, trochę podstępem, a trochę dzięki zaufaniu, jakim darzy się bliskich naszych przyjaciół. – Napił się wina, a potem mówił dalej z goryczą, wpatrzony w pusty kieliszek. – Podczas przesłuchań

nauczyłem się podchodzić ludzi, łączyć, zwodzić obietnicami, których ani nie mogłem, ani nie zamierzałem dotrzymać. Cel uświęca środki, wszyscy gliniarze na całym świecie tak robią. Ale nie poszedłem z tym do prowadzącego sprawę tam na miejscu, tylko postanowiłem zabawić się w samotnego szeryfa. Rozumiesz? Oni powinni to przejąć, udupić sukinsyna i dać jej ochronę.

Ewelina powstrzymała się od wytknięcia mu oczywistych niekonsekwencji. Kiedy Adrian postanowił pozbyć się dziewczyny, było już za późno na jakiegokolwiek działania prewencyjne. Mogli się nawet minąć, gdy Piotr wychodził z akademika. Nie powiedziała tego głośno, żeby pozwolić mu wyrzucić z siebie nagromadzoną frustrację połączoną z nieuniknionym poczuciem winy. Jeśli miała mu pomóc, musiała zrozumieć, gdzie utknęła drzazga, której sam nie potrafił wyjąć.

Odstawił kieliszek i powiedział, jak gdyby czytając w jej myślach:

– Typowe uzalanie się nad sobą, co?

– Tak bym tego nie nazwała. – Dolała im wina. – A co zrobiłeś potem? Twoje starcie z Adrianem odbyło się wczorajszego wieczoru, minęła cała noc i dzień.

– Zrobiłem to, od czego powinienem był zacząć. Zadzwoń z dworcowego automatu do komendy we Wrzeszczu, poproszę o połączenie z oficerem prowadzącym sprawę zaginięcia Magdy i umówię się z nim na mieście. Nie podałem personaliów, powiedziałem tylko, że mam ważne informacje. Było już późno, ale przyszedł...

– Zaraz, czekaj! – przerwała mu Ewelina, uświadomiwszy sobie przeskok w jego opowieści. Nie wiedziała, czy Piotr celowo zmienił temat, lecz chciała poznać prawdę. Nawet najgorszą. – Biliście się, i to nie na żarty, wystarczy na ciebie popatrzeć. Powiedziałeś, że chciałeś go zabić.

– Nie panowałem nad sobą. Jemu wszystko to miało ujść na sucho, nie było cienia dowodu, że ten drań wypchnął ją z okna. Dotarliby do niego, ale same poszlaki to za mało, żeby załatwić skurwysyna. Skoro Magda się znalazła, powinno mi to być obojętne, ale nie było. Miałem to zostawić i spokojnie patrzeć w oczy własnej córce, udając, że nic się nie stało?

– Piotrze...

– Myślisz, że potrafiłbym, że tak byłoby lepiej?

– A teraz jest?

Długo milczał. Ewelina zaczęła się obawiać, że straciła swoją szansę. Teraz Piotr zamknie się w sobie, a następnym etapem będzie wyparcie złych wspomnień albo szukanie usprawiedliwień.

W końcu niespodziewanie uniósł głowę i powiedział z przekonaniem:

– Tak. Teraz mi lepiej. I nie zamierzam udawać, że żałuję, choćby przyszło mi drogo za to zapłacić. – Zapalił papierosa, jakby potrzebował paru chwil na oswojenie się z tym, co właśnie wyznał. – Są takie chwile, kiedy człowiek dowiaduje się czegoś nowego o sobie. Czasem nawet dowiaduje się więcej, niżby chciał. Większość ludzi ma to szczęście, że los zbyt mocno ich nie doświadcza, nie dając ani władzy, ani możliwości decydowania o całym życiu. Szczęściarze. Ale nie żałuję. Myślisz, że to normalne?

Miała nadzieję, że stawiając takie pytanie, nie widzi w niej psychologa, tylko kogoś, komu po prostu się ufa.

– Nie pozbawiłeś go życia z zimną krwią, działając z najniższych pobudek, okrutnie i z premedytacją. Zawsze o tym pamiętaj.

– Ewelina, ja nawet nie wiem, czy rzeczywiście go zabiłem.

– Jak to? Myślałam...

– Że go masakrowałem, aż wyzionął ducha? – Zauważył na jej twarzy grymas, jakim

zazwyczaj reaguje się na coś przykrego. Sięgnął ręką po jej dłoń. – Przepraszam, gliniarze mają niewyparzone języki.

– Nie tylko oni.

Ni stąd, ni zowąd pomyślała, jak dziwnie musieliby wyglądać dla kogoś postronnego. On w przykrótkim dresie, ona ubrana niemal wizytowo, wyglądała, jakby wpadła do sąsiada z niezapowiedzianą wizytą.

– Zostawiłem go nieprzytomnego, z rozbitą głową. W tamtym momencie nie myślałem rozsądnie, byłem w szoku. Kiedy się opamiętałem, zadzwoniłem i umówiłem się z kimś z tamtejszej komendy.

– Opowiedziałeś mu wszystko?

– Mój wygląd mówił tyle, że nie warto było opowiadać jakichś bajeczek. Ewelina, wbrew powszechnej opinii, w policji nie pracują sami idioci. Prędzej czy później dodaliby dwa do dwóch, o moim wyjeździe wiedziało parę osób, no i w całą sprawę jest zamieszana moja córka. W końcu dotarliby do mnie normalną drogą i zaczęłyby się kłopoty. Utrudnianie śledztwa, ukrywanie dowodów, działanie na własną rękę, a wreszcie pobicie i nieudzielenie pomocy. To, że jestem gliną, stanowiłoby dodatkową okoliczność obciążającą. Byłbym skończony, a nawet gorzej. Nie wyobrażasz sobie, jak współwięźniowie obchodzą się z funkcjonariuszami, którzy trafili do celi.

Akurat to mogła sobie wyobrazić.

– Ale cię nie zatrzymali...?

– Spotkaliśmy się w takiej jednej knajpce z piwem i kaszanką. Powiedziałem mu, czego się dowiedziałem od Karoliny i co było później. Najpierw wyglądał, jakby mu ktoś dał w mordę, potem jakby sam chciał mi przypieprzyć. Kazał czekać, a sam wyszedł na zewnątrz i zaczął dzwonić. Widziałem go przez szybę. Gdybym umiał czytać z ruchu ust, pewnie mój repertuar przekleństw zdecydowanie by się wzbogacił. Trwało to kwadrans, może pół godziny.

– Wiedział już, że Magda się odnalazła?

– Nie, tego też się dowiedział ode mnie.

– Ale chyba takie zwykłe zaginięcie studentki, daruj, że tak to określam, jakoś ich mocno nie mobilizowało? – drażyła Ewelina. – Muszą mieć pełno podobnych wypadków i większość sama się wyjaśnia. A tu oficer śledczy po jednym anonimowym telefonie pędzi na spotkanie?

– Na Wybrzeżu było w ostatnim czasie parę tego typu spraw, jedna bardzo głośna, więc niczego nie bagatelizują. Tym bardziej że przez telefon wspomniałem o Adrianie. Przewijał im się we wcześniejszych sprawach, choć bez konkretów.

– Czyli liczył, że sprzedasz im parę informacji.

– Nie rozczarowałem go, chociaż i nie uradowałem.

– Ale skoro cię nie zatrzymali, to chyba oznacza, że Adrian...

– Nie wiem, co to oznacza. – Nie dał jej dokończyć. – Ani nawet czy jest dobrym znakiem na przyszłość.

– Nie rozumiem. – Zmarszczyła brwi, obserwując uważnie zmęczoną twarz Piotra.

– Przecież po czymś takim prowadzi się oficjalne dochodzenie, przesłuchuje świadków i dąży do wyjaśnienia przebiegu zdarzeń. Mają twoje zeznania.

– Niczego nie mają.

– Możesz wyrażać się jaśniej?

– On zatelefonował tu i tam, co oznacza, że wysłał swoich ludzi na miejsce. Wiedział już, kim jestem, a raczej za kogo się podawałem, i pewnie to sprawdził. Kiedy wrócił do tej knajpki, zamówił setkę wódki, wypił i kazał mi spierdalać.

– Co takiego?

– Powtarzam dosłownie jego słowa. I powiedział stanowczo, że nigdy się nie widzieliśmy!

– Solidarność zawodowa? – W głosie Eweliny słychać było powątpiewanie.

Piotr wstał z fotela i zaczął spacerować po pokoju. Wyglądał śmiesznie na bosaka, lecz to wrażenie zniknęło, gdy widziała jego dwudniowy zarost i poranioną twarz.

– Nazwij to, jak chcesz. Nie wiem, czy i do kogo dzwonił w Warszawie. Ale wiem coś innego. Gdyby mnie zatrzymał, nie rozmawiałbym dziś z tobą, a możliwe, że nigdy bym nie dostał tej szansy. Kolejna skaza na wizerunku policji, szum w mediach i kręcenie politycznych lodów. A tak mają w miarę pozamiatane, Adrian, żywy czy martwy, ładnie pasuje do układanki. Statystyki rosną.

– Założmy. Ale to chyba niejedyny powód.

– Prawdopodobnie masz rację. – Zatrzymał się dwa kroki przed nią. – Mógł mnie zwyczajnie zwinąć, przesłuchać i decyzje pozostawić gorze. Ale gliniarze to też ludzie, mają dzieci i potrafią odróżnić tych dobrych od drani. Nie wiem do końca, czemu się tak zachował. Może na jego miejscu sam zachowałbym się inaczej. W każdym razie nie ryzykował wiele, jest kryty, bo nikt nie wie o naszym spotkaniu.

– On jest kryty. Ty nie zostałeś w nic zamieszany, w zasadzie wszystko dobrze się skończyło. – Uniosła głowę, chcąc spojrzeć mu w oczy. – Jednak nie wróciłeś do domu. W pracy się też nie pojawiłeś. Tylko u mnie.

Uciekł wzrokiem. Tylko na chwilę, jakiej potrzeba, by sprawdzić, czy nikt postronny nie podsłuchuje rozmowy. Ale ich rozmowy nikt nie mógł podsłuchiwać. Potem usiadł na dywanie obok jej fotela, opierając o niego głowę. Do tej pory nie uświadamiała sobie do końca, jak bardzo jest zmęczony. Nie tylko fizycznie.

– Dzisiejszy dzień spędziłem w dworcowych kafejkach i poczekalni. Wyglądałem jak kloszard, ale nikt się nie czepiał, nawet dostałem od bufetowej talerz zupy. Trzeba było widzieć jej minę, kiedy zamówiłem jeszcze kawę i zapłaciłem za wszystko. – Prychnął niby ze śmiechem, lecz zaraz wrócił do poważnego tonu: – Zadzwoiłem z automatu do Magdy, ale przecież nie mogłem zbyć jej byle czym przez telefon. Wyczuła, że coś jest bardzo nie tak, wyciągnęła ze mnie, gdzie jestem, i przyjechała. Sama, na szczęście. Opowiedziałem jej wszystko. Prawie wszystko... Lepiej, żeby dowiedziała się ode mnie niż od policji czy kogoś z akademika. Zniosła to dzielnie. Chciała, żebym wrócił z nią do domu, ale jeszcze nie czułem się gotów. Nie wiem, jak to dobrze wyjaśnić... Musiałem sam coś przemyśleć i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jestem gotów do konfrontacji z rzeczywistością. Do podjęcia pracy i całej reszty...

Ewelina przypomniała sobie pozew o rozwód, który znalazła w szufladzie biurka Piotra. Ale do tego nie mogła się przyznać. Sprawy osobiste musiał sam sobie poukładać. Zresztą już zaczął i na pewno nie zrobił tego pod wpływem chwilowego impulsu.

– Nie mam pojęcia, co się wydarzy jutro, za tydzień, za miesiąc. Ta sprawa może się za mną ciągnąć i pojawić się zniecka, kiedy najmniej będę się tego spodziewał.

Ewelina zrozumiała, co pragnął jej przekazać, jak to mężczyzna, nie bardzo umiejąc ubrać emocje w słowa. Okoliczności sprawiły, że poznała sekret Piotra, a jej dom stał się chwilową przystanią dla życiowego rozbitka. On pewnie nie widział tego w taki sposób, mali chłopcy instynktownie biegną do matki, kiedy nie umieją sobie poradzić z kłopotami. Duzi niewiele się od nich różnią, tylko matkę zastępuje im ktoś inny. Nie przeszkadzało jej to. Zdawała sobie sprawę, że Piotr nie jest typem wiecznego chłopca, który nigdy nie dorośnie. Wkrótce się otrząśnie i ruszy do przodu bez spoglądania we wsteczne lustro. Ale gdy w chwili

niepewności grunt zakołysał się pod nim, przyszedł właśnie do niej. To było dla Eweliny niezwykle ważne, choć nie wiedziała, czy oznacza coś więcej niż schronienie się przed deszczem pod jej parasolką. Takich rzeczy nigdy nie jest się pewnym. Może to i lepiej.

Wyobraziła sobie, jak by to było wsunąć palce w jego włosy. Uniosła leżącą na oparciu fotela dłoń.

– Dzięki za wszystko. – Piotr obrócił głowę i w ostatniej chwili cofnęła palce. – Zrobiło się późno, pójdę już.

– Możesz zostać, nie przeszkadzasz mi – rzuciła odruchowo, jakby odpowiadając własnym myślom. Uniosł brwi, więc dla ukrycia zmieszania dodała żartobliwym tonem: – Coś tam się jeszcze znajdzie w lodówce na śniadanie.

– Naprawdę? – Kąciki ust drgnęły mu lekko. Dawny Piotr powracał szybciej, niż mogła się spodziewać. – Nie znasz moich możliwości.

– To idź do kuchni sprawdzić, jak się sprawa przedstawia. – Uniosła się z fotela. – Ja mam do zrobienia coś mniej interesującego.

Popatrzył na pozostałości wędlin.

– Jeśli w lodówce są jajka, to podejmuję się usmażenia takiej jajecznicy, że cała kamienica będzie o niej poematy układać, jak zapach się rozniesie.

– Nie wątpię. Ale wiesz co? Nie buszuj mi teraz w kuchni, włącz telewizor albo dokończ wino.

– Zostawiasz gościa samego, ładnie to tak?

– Nie na długo, obiecuję.

Zamknęła drzwi od łazienki i oparła się o nie plecami. Co ja najlepszego robię? On chciał się jedynie przed kimś otworzyć, nie potrzebował terapeuty, tylko spowiednika. Który by nie oceniał, darował sobie pocieszenia i dobre rady. Zwłaszcza dobre rady. Ulżyło mu bardzo wyraźnie, lecz miał dokąd pójść i powinien to zrobić. Ale został. Bo chciał i ona chciała...

Odetchnęła głęboko. Zauważyła, że dokładnie splukał po sobie wannę, stał nawet krople wody z posadzki. Jedynym śladem obecności gościa był wilgotny ręcznik i kłęb ciuchów na pokrywie kosza z brudną bielizną. Jutro nie będzie i tego. Zatkaną wannę i puściła wodę. Po chwili zakręciła na powrót kurki, uświadomiwszy sobie, że w łazience nie ma nawet szlafroka. To jeszcze nie ten czas, kiedy można zawołać, żeby przyniósł go jej z sypialni. O ile kiedykolwiek taki czas nadejdzie.

Uchyliła drzwi. Piotr siedział w fotelu, głowę przechylił na bok. Powieki miał przymknięte, oddychał równym rytmem. Nie włączył telewizora, w popielniczce dopalał się papieros, na którego końcu rósł długi słupek popiołu. Nic dziwnego, zeszłej nocy pewnie nie zmrużył oka. Ewelina zgasila starannie tłącego się papierosa, wyłączyła górne światło i na palcach przeszła do sypialni. Ze szlafrokiem w ręku wróciła do łazienki. Po chwili wahania wrzuciła do pralki ubranie Piotra, oprócz marynarki, i wybrała najkrótszy program. Jej drabinkowy grzejnik działał doskonale, do rana wszystko wyschnie.

Omam nie zasnęła w wannie, otulona pianą i panującą ciszą. Problemy nie przestały istnieć, jednak choć na chwilę pierzchły gdzieś na skraj podświadomości i przycupnęły tam niczym myszy w norkach. Wreszcie z westchnieniem splukała pianę, wytarła się bez pośpiechu ulubionym żółtym ręcznikiem, rzuciła go na posadzkę i deptała przez chwilę, żeby osuszyć stopy. Sięgnęła po szlafrok i zerkając w lustro, potrząsnęła głową, roztrzepując mokre końcówki włosów. Na dłoni trzymającej miękki materiał poczuła słabe łaskotanie, palcami drugiej poprawiła niesforną grzywkę. Łaskotanie przewędrowało wyżej, spojrziała na przedramię...

Serce podeszło jej do gardła, wrzasnęła przeraźliwie i w panice straciła wielkiego

pajaka, który sunął w górę po jej ręce. Zlana zimnym potem odruchowo zaczęła się otrzępywać z wyimaginowanych owadów. Od dziecka okropnie bała się tych stworów z długimi odnóżami i obrzydliwie włochatymi korpusami. To było silniejsze od niej, prześladowało ją nawet w snach. Nie zauważyła, gdzie upadł, więc za skarby świata nie dotknęłaby leżącego u jej stóp szlafroka. Cofnęła się, unosząc wysoko stopy.

– Ewelina, co się dzieje?! – Zza drzwi dobiegł pełen niepokoju głos Piotra.

– Tu jest pająk! – zawołała, patrząc pod nogi, czy kosmaty potwór nie idzie w jej stronę.

Usłyszała za plecami skrzyknięcie, obróciła się i wpadła wprost w jego ramiona.

– Gdzie on jest? – szepnął i przycisnął ją do siebie.

– Nie wiem... chodź po mnie... – Przywarła do niego mocniej, instynktownie kryjąc się przed jego wzrokiem. – Upadł na ziemię...

Nie poruszył się, nie próbował obrócić wszystkiego w żart ani udawać obojętności.

Czuła na plecach jego dłonie, słyszała przyspieszony oddech. Uświadomiła sobie, że on widzi w lustrze jej ciało, że tak nie można, nie powinien oglądać jej całkiem nagiej i zupełnie bezbronnej. Ale stało się, już nic nie mogła na to poradzić.

Czas stanął w miejscu, nie wiedziała na jak długo, lecz kiedy znów ruszył, ręce Piotra były już niżej, ustami musnął jej włosy, ucho, wreszcie policzek. Jego dłonie błędziły trochę niezgrabnie, jakby jeszcze zawstydzone, czekające na jej reakcję, na przyzwolenie. Gdzieś w środku coś zatrzepotało i nim zdążyła zebrać myśli, oddawała mu pocałunki. Dotykał jej, trochę jak niewidomy, delikatnie, a zarazem zachłannie, coraz śmieiej, coraz pewniej. Gdy poczuła, że traci oparcie pod stopami, przymknęła powieki, pragnęła, by trwało to jak najdłużej. Ale do sypialni nie było daleko, a Piotr nie pomylił drogi. I nie zostawił jej czasu na zastanawianie się, czy rankiem nie będą żalowali tego porywu namiętności, uciekając od siebie wzrokiem. Do rana mieli bardzo dużo czasu i tylko to się teraz liczyło.

Jakąś godzinę później, słuchając równego oddechu Piotra, Ewelina ciągle nie mogła zasnąć. Nie chciała teraz myśleć o konsekwencjach tego, co zaszło między nimi. Miała tylko nadzieję, że będą umieli się z tym zmierzyć jak dojrzały ludzie. Bez udawania, że nic się nie stało. Dla niej było to coś więcej niż fizyczne zbliżenie, spełnienie kaprysu, zaspokojenie niemal zapomnianej potrzeby bycia wielbioną i pożądaną. Była przekonana, że dla Piotra również, nawet jeśli się do tego nie przyzna.

Mężczyznom w ogóle trudniej przyznać się do wielu rzeczy. Wolą czekać, aż niektóre problemy rozwiążą się same.

Piotr poruszył się niespokojnie przez sen. Przytuliła się do niego i pogładziła go delikatnie po włosach. Mruknął coś niewyraźnie, odwrócił się do niej i poszukał jej ust. Jego dłonie zapomniały o nieśmiałości, Ewelina przeciągnęła się, przyjmując pieszczoty.

– Powiesz mi coś? – spytał szeptem, z jakąś nutką przekory w głosie.

– Mhmm... nie wiem, zastanowię się, proszę pana – odparła tym samym tonem.

– W łazience nie było żadnego pająka...?

Chciała wrzasnąć, że był, ale nie zdążyła, bo zamknął jej usta pocałunkiem. Potem przyszły następne i żadne pająki nie miały już znaczenia. Zасыpiając wreszcie, pomyślała tylko, że i tak by nie uwierzył.

Ale miała nadzieję, że mimo wszystko może teraz się uda...

Rozdział 33

Dzień po spędzonej u Eweliny nocy upłynął Piotrowi ospale, właściwie godziny przeciekały mu przez palce, wszystko działo się jakoś poza nim, przynajmniej tak to odczuwał. Odbierał otoczenie niby przez zmatowiałą szybę, z dystansu i bez poczucia zaangażowania.

W domu Elżbieta powitała go stosowną porcją wymówek, co nie zrobiło na nim szczególnego wrażenia. Magda prawie nie wychodziła ze swojego pokoju, lecz kiedy się pojawiała, w drodze do łazienki lub kuchni wymieniali przelotne spojrzenia. Dostrzegał w jej wzroku smutek, ale też i ten rodzaj dojrzałości, która nie ma niczego wspólnego z poddawaniem się wyrokom losu. Rozumieli się i to było teraz dla niego najważniejsze. Cieszył się, że powiedział jej prawdę, a córka to doceniła. Czuł też, że Magda dostrzega, że jego relacjom z żoną daleko do ideału. Piotr zawsze był przekonany, że dzieci rozumieją i dostrzegają dużo więcej, niż wydaje się dorosłym. A Magda nie była już dzieckiem.

Elżbiecie nie zamykały się usta, swoim zwyczajem przeskakiwała z tematu na temat, zadowolając się jego przytakiwaniem lub wtrąceniami, których nawet uważnie nie słuchała. Zawsze tak postępowała w chwilach stresu lub gdy nie potrafiła znaleźć prostego wyjścia z sytuacji. Miało to tę dobrą stronę, że nie musiał za bardzo rozwodzić się nad swoimi poczynaniami w Trójmieście. Niemożliwe do ukrycia ślady starcia z Adrianem zbył średnio wiarygodną bajeczką o zderzeniu z rozjeżdżonym rowerzystą. Nie drażyła tematu, najwyraźniej wychodząc z założenia, że skoro Magda sama wróciła, to on nie dokonał niczego godnego zainteresowania. Naprawdę zdziwiłby się, gdyby promieniała radością na jego widok, okazując mu na każdym kroku, jak bardzo jest stęskniona.

Rozumiał ją, przynajmniej się starał, toteż nawet nie próbował poruszać żadnych zasadniczych tematów, zwłaszcza że sam nie miał czystego sumienia. Ponadto od dawna sam zachowywał się jak struś z głową w piasku, przechodząc do porządku dziennego nad coraz głębszymi pęknięciami w ich związku. Swego czasu uczynił kilka prób ratowania małżeństwa, tak jak umiał i jak podpowiadał mu instynkt. Po swoim, bez włączenia się po poradniach małżeńskich, gdzie dałoby się uzyskać fachową konsultację. Wszystko się w nim buntowało, dosłownie czuł mdłości na myśl, że miałby zwierzać się kompletnie obcej osobie z osobistych, a nawet pewnie i tych intymnych, problemów.

Oczywiście na tym by się nie skończyło, nie otrzymałby żadnego cudownego środka, który przywraca uczucia z okresu narzeczeństwa. Musieliby przyjść razem, wspólnie wylewać żale i dokonywać wręcz jakiejś koszarnej wiwisekcji, która w założeniu miała działać oczyszczająco oraz stymulująco. Nie potrafił się na to zdobyć, głównie dlatego, że zwyczajnie nie wierzył w powodzenie takiej terapii. Nie był też przekonany, czy warto na trochę zaleczyć rany, zwodzić się wzajemnie, dmuchając na wystygłe węgle.

Może gdyby Elżbieta choć raz wysłała sygnał, że coś jest nie tak, że widzi to i nie potrafi sobie poradzić. Ale ona wyglądała na całkiem zadowoloną, w naturalny sposób przekierowała uczucia na dziecko, odnajdywała się w swojej roli i spełniała ją, nie wymagając od życia niczego więcej.

Piotr nie chciał się z tym pogodzić, ale też trudno mu było przyjąć do wiadomości istnienie drugiej strony medalu. Wiedział, że kobiety nie znoszą obojętności i niezwracania na nie uwagi. Choćby nie wspominały o tym słówkiem, lubią być adorowane, zaskakiwane, a przede wszystkim zauważane. Rozkwitają wtedy, ukazując wciąż nowe wcielenia, coraz

dojrzałe, lecz nie mniej pociągające. Mężczyznom zbyt często wydaje się, że raz rozpalony płomień powinien płonąć wiecznie, a w każdym razie wybuchać na sam ich widok.

Mimo całego braku wiary Piotr nie zamierzał zostawić spraw samym sobie, czekając, aż przyzwyczajenie i nuda pozbawią ich związek odrobiny namiętności. Początkowo starał się sprawiać żonie drobne przyjemności, ot tak, bez powodu. Wypad do teatru albo kolacja w lokalu z orkiestrą i butelką szampana. Tylko że Elżbieta w jakiś niepojęty sposób, poprzez drobne gesty, kilka rzuconych bez zastanowienia słów czy mowę ciała potrafiła wszystkiemu odebrać smak. Nawet nie umiał do końca sprecyzować, na czym to polegało, po prostu czuł się tak, jakby na randce z nim dziewczyna co chwilę spoglądała na zegarek, a do tańca wybierała wyłącznie szybkie melodie, przy których nie da się partnera przyciągnąć do siebie i przytulić. Wspomniła mu kilkakrotnie, że powinien znaleźć sobie jakąś rozrywkę, zająć się wędkowaniem albo zbieraniem znaczków. Pewnie należało to rozumieć jako wyraz troski o jego potrzeby i dobre samopoczucie, lecz w jej staraniach widział jedynie próbę uwolnienia się od niego. Nie tyle od fizycznej obecności, ile od myślenia o nim i nadmiernego poświęcania mu uwagi.

Podjeżdżał, że coś robi źle, trąca niewłaściwe struny, przez co melodia nie przypomina serenady wygrywanej pod balkonem ukochanej. Częściowo winna była temu praca pochłaniająca najlepsze godziny, dzwoniący zawsze nie w porę telefon i niemożność zostawienia problemów zawodowych za progiem domu. Widywali się każdego dnia, lecz bardziej przypominało to mijanie się w biegu niż bycie razem. Słyszał kiedyś, że wbrew powszechnym przekonaniom rodziny marynarzy są trwalsze od innych, gdyż regularne okresy rozłąki sprzyjają rozmyślaniu o tej drugiej osobie, wyzwalają tęsknotę i pragnienie bliskości. Wspólne chwile celebrowane wtedy bardziej, a spotkanie po miesiącach samotności wyzwala emocje podobne do tych z okresu narzeczeństwa. Można poznawać się na nowo i nie pojawia się wtedy to najgorsze, co trawi od środka, zabijając powoli związek dwojga ludzi – nuda i przyzwyczajenie.

Gdy kilka lat temu Piotr uświadomił sobie, że odkąd urodziło się dziecko, tak naprawdę nigdy nie byli sami, by mogli poświęcić sobie nawzajem całą uwagę, spróbował złamać rutynę, czepiając się nadziei na rozdmuchanie paru iskier, które jeszcze się tliły. Tygodniowy wypad nad morze tylko we dwoje miał się stać początkiem odkrywania czegoś nowego, tak to sobie wyobrażał. Magda została zawieziona na wieś do teściów, a oni zamieszkali w niekrępującym pokoiku z tarasem i widokiem na morze. Nawet „zapomniał” wziąć telefon i nie zostawił w komendzie adresu pobytu, co stanowiło już poważne naruszenie obowiązujących w jego pracy przepisów. Zaryzykował karę dyscyplinarną, a co najmniej ostrą reprymendę po powrocie, nie tylko by zapewnić im obojgu dawno nieodczuwany spokój, lecz także by samemu sobie coś udowodnić.

Że jeszcze mu zależy.

Pierwszego dnia obudził Elżbietę o świcie i zabrał ją na długi spacer pustą plażą. Udało się, przeżyli coś magicznego, jakby świat na chwilę przymknął oczy, dając im szansę zapomnieć, co jest snem, a co jawą. Zdumione mewy obserwowały z góry ich zabawę w berka z gasnącymi u brzegu falami i chlapanie się zniecka wodą. Kapali się nago, a potem nie pozwolili nawet słońcu osuszyć skóry, zbyt zajęci sobą, by przejmować się oblepiającym ich wilgotne ciała piaskiem. Statek na skraju linii horyzontu zdawał się tkwić w miejscu, jednostajny szum morza zagłuszał myśli, liczyły się tylko te chwile, tu i teraz.

Następnego dnia Elżbieta nie dała się wyciągnąć na poranny spacer. Już wieczorem uprzedziła, że nieszczęśliwie się czuje i potrzebny jej odpoczynek. Piotr miał nadzieję, że pogodny ranek wszystko odmieni, odgoni jej chandrę czy co to tam było. Ale świt wstał

pochmurny i wietrzny. Podobnie następny i kolejne. Nie przeszkadzało mu to, mógł godzinami włączyć się w foliowym deszczowcu, wypatrywać oddanych przez morze pamiątek i nabierać energii w portowych smaźalniach oraz kafejkach. Tak, mógł robić to wszystko. Mogliby nawet razem, lecz za każdym razem trudniej mu było namówić Elżbietę na spacer, na zrezygnowanie z odrobiny luksusu, jaki zapewniał dach nad głową i wygodny fotel. Pewnie dlatego tak wyszło, że za mocno skupił się na własnych potrzebach, przyjął z góry, że jeśli coś jemu sprawia przyjemność, powinno i jej.

A może dlatego, że w przeciwieństwie do niego Elżbieta nie zapomniała zabrać nad morze telefonu.

Rozdział 34

Małgorzata Słodka wracała do domu pieszo. Mogła podjechać autobusem, ale się nie spieszyła. Krzysztof nie zyskał akceptacji Justyny. Była tego pewna, choć przyjaciółka starała się nie narzucać ze swoim zdaniem. Jednak nie zdołała ukryć niechęci, a jej opinie, mimo że dość stonowane, dalekie były od entuzjazmu. Małgorzata tłumaczyła to sobie na swój sposób nadopiekuńczością i złymi wspomnieniami Justyny po własnym nieudanym związku. Z nią będzie inaczej, zresztą... do niczego jeszcze nie doszło. Krzysztof, wbrew temu, co mogła o nim sądzić Justyna, nie spieszył się z przeniesieniem ich relacji w najbardziej intymne rejony. Z jednej strony bywał zaborczy i stanowczy, z drugiej jakby niepewny i onieśmielony. Chyba właśnie to jej się u niego podobało, choć nieraz wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby kiedyś został u niej do rana...

– Przepraszam. – Młoda kobieta w eleganckim żakiecie niespodziewanie zastąpiła Małgorzacie drogę. – Proszę wybaczyć, że zaczepiam panią tak na ulicy, ale piszę reportaż o Justynie Sobolewskiej i zbieram materiały, gdzie tylko mogę. Chcę napisać też parę słów o jej przyjaciółkach. Poświęci mi pani chwilę?

Małgorzata przez chwilę zbierała myśli, przyglądając się dziennikarce. Bo kimże innym mogłaby być? Tupet tej kobiety w pierwszej chwili ją przeraził, ale gdy dotarło do niej, że chodzi o coś w rodzaju wywiadu, a jej nazwisko ukaże się w gazecie, poczuła nieznany dotąd dreszcz emocji. Może nawet zrobią jej zdjęcie?

– Dobrze, chętnie – powiedziała prędko. – Ale skąd pani wie, że jestem znajomą Justyny?

– Przecież nieznanym nie prosiłabym o wywiad – odparła tamta, tonem sugerującym, że etyka zawodowa zabrania jej zdradzania źródeł informacji. – Da się pani namówić na kawę? Niedaleko jest przyjemny lokal, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał w rozmowie.

– Jesteśmy pod moim blokiem, może pójdziemy do mnie?

– Nie chciałam się narzucać, ale jeśli nie będę przeszkadzać, to chętnie. – Dziennikarka skinęła głową i zauważyła pogodnie, przełamując do końca lody: – Ma pani piękny szal, nigdy nie widziałam takiego.

– To prezent od mojego... – Małgorzata zawahała się na sekundę, nim dokończyła – od mojego narzeczonego.

Ruszyły spacerkiem, wymieniając poglądy na temat mody. Idący w pewnej odległości za nimi mężczyzna trzymał się blisko sklepowych witryn, w każdej chwili gotów się odwrócić. Długo czekał na Małgorzatę, kryjąc się pod wiatą przystanku autobusowego, lecz wyglądało na to, że być może na próżno.

Kiedy obie kobiety zniknęły w bloku, przeszedł na drugą stronę ulicy i przystanął, dyskretnie obserwując okna. Po minucie w jednym zabłyśło światło. Powoli zapadał zmierzch, sprawdził godzinę w telefonie i znów popatrzył w okna. Zanosilo się na dłuższe czekanie.

Swoje przytulne mieszkanie Małgorzata urządziła ze smakiem, na miarę możliwości

finansowych. Skromne umeblowanie starała się ożywić starannie dobranymi drobiazgami, w rodzaju ręcznie wyszywanych poduszek i reprodukcji dzieł znanych malarzy. Kiedy wróciła z kuchni, niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami, zauważyła, że dziennikarka wpatruje się w jedyny oryginalny obraz z jej kolekcji, przedstawiający nadmorski pejzaż.

- To Marek Cygler – oświadczyła z dumą.
- Wiem, poznaję podpis.
- Dostałam go od Justyny.

Nie dodała, że to jedynie depozyt. Cóż, każdy ma prawo do odrobiny próżności.

Wracająca późnym wieczorem ze spaceru z psem sąsiadka pewnie minęłaby drzwi mieszkania Małgorzaty Słodkiej, gdyby nie dziwne zachowanie pupila. Pies szarpnął nagle smyczą i nie dawał się odciągnąć od progu. Sąsiadka spróbowała perswazji, a wtedy narastające w gardle czworonoga pomruki przerodziły się w żalosne wycie. Wtedy zauważyła, że drzwi są lekko uchylone. Zapukała ostrożnie raz i drugi. Dzwonka, z jakichś nie do końca uświadomionych przyczyn, nie miała odwagi użyć. Zapukała raz jeszcze i pchnęła drzwi. Zawołała, lecz nie usłyszała odpowiedzi, a w mieszkaniu było ciemno. Przystąpiła próg, pies nie chciał iść za nią, puściła więc smycz i zrobiła kilka niepewnych kroków. Bywała czasem u Małgorzaty, przypomniawszy sobie rozkład wnętrza. We wpadającym z klatki schodowym świetle minęła wejście do kuchni i wymacała włącznik obok futryny w pokoju.

Właścicielka mieszkania leżała na środku dywanu. Sąsiadka oparła się o ścianę na widok zsiniałych ust z wystającym językiem i nieruchomych, szeroko otwartych oczu młodej kobiety.

Małgorzata miała dłonie zaciśnięte na kolorowym szalu, jakby pragnęła go zerwać z szyi. Obok ciała, przewrócona na bok, leżała papierowa łódeczka.

Rozdział 35

Wieczorem Zawada podładował telefon, przejrzał pobieżnie kilkanaście nieprzeczytanych wiadomości i wykasował wszystkie. Potem zadzwonił do naczelnika wydziału z informacją, że może podjąć obowiązki. Przełożony nie odniósł się w żaden sposób do powodów jego nieobecności ani do dziwnych okoliczności – zwłaszcza ominięcia drogi służbowej przy załatwianiu urlopu bezpłatnego – związanych z absencją podwładnego. Jednak głos naczelnika, kiedy oznajmiał, że legitymacja Piotra będzie czekała rano u dyżurnego, brzmiał cierpko i bardzo oficjalnie.

– Panie inspektorze, komendant wezwał mnie, zanim zdążyłem się zwrócić do pana.
– Zawada czuł potrzebę usprawiedliwienia się. Jego słowa zostały przyjęte w milczeniu, więc dorzucił trochę na wyrost: – Postaram się wszystko wyjaśnić.

– Mam nadzieję. O dziewiątej zameldujesz się u mnie. – Inspektor Matysiak przerwał połączenie.

Zawada przez chwilę zbierał myśli, a potem zadzwonił do podkomisarz Karwowskiej. Odebrała po trzecim sygnale.

– Katusza, przepraszam, że o takiej porze, ale...
– O, kogo to ja słyszę? – przerwała mu kąśliwym tonem. – Coś się stało czy dzwonisz tylko, żeby mi życzyć dobrej nocy?

– To nie jest rozmowa na telefon, uwierz mi. Zresztą wiesz, co się stało, słyszałaś, że moja córka zaginęła.

– Piotrek, wybac. Zniknąłeś tak nagle i wszystko spadło na mnie. Nie dość, że w biegu przejęłam sprawę, to Matysiak jeździł po mnie jak po krawężniku za to, że go nie poinformowałam.

– Poinformowałaś komendanta... – powiedział, nim zdążył ugryźć się w język.
– Sam zadzwonił! Miałam mu wciskać, że dostałaś rozwolnienia? – Ton Katuszy daleki był od polubownego. – A teraz pretensje do garbatego, że ma dzieci proste?

– Naprawdę nie mam pretensji, źle mnie zrozumiałaś. Nie o to chodzi.

– Powiedzmy... Więc czemu zawdzięczam twój telefon?

– Naczelnik chce mnie widzieć o dziewiątej. Wiadomo, zbiorę opierdół i oby na tym się tylko skończyło. – Piotr nie silił się na subtelności. W trakcie paru lat służby Katusza zdążyła się oswoić z nieparlamentarnym językiem i sama również nie przebierała w słowach, kiedy była wkurzona. – Chciałbym wiedzieć, co się działo, kiedy mnie nie było.

– To wpadnij do mnie teraz, jestem sama... – szepnęła kuszącym głosem. Po ledwie dostrzegalnej pauzie wróciła do normalnego tonu: – Żartowałam. Będę w fabryce o siódmej, to pogadamy.

Kładąc się spać, Zawada stwierdził, że stworzone przez samych stróżów prawa określenie „fabryka” doskonale oddaje charakter ich pracy. Komenda naprawdę przypominała kombinat przemysłowy, gdzie najważniejsze jest wykonanie planu. Tyle że praca przy taśmie kończy się z dzwonkiem na fajrant i nie nadstawia się przy niej karku.

W Pałacu Mostowskich zjawił się tuż po szóstej rano. Legitymacja rzeczywiście czekała u dyżurnego, wziął klucze i powędrował do siebie. Plomba na drzwiach należała do Matysiaka, Piotr zdziwił się przelotnie, że sam naczelnik wydziału pofatygował się, by zapieczętować jego pokój. Nie musiało to oznaczać niczego niepokojącego, niemniej jednak był

to dla Piotra sygnał, aby poważnie potraktować wizytę u przełożonego. Diabli wiedzą, czego tamten dowiedział się od komendanta, lecz w policji obowiązuje ścisła hierarchia, przełożeni nie znoszą niesubordynacji, a zwłaszcza stawiania ich przed faktem dokonanym. I mają mnóstwo okazji do uświadomienia tego faktu podwładnym.

Kawa smakowała tak, jak powinna smakować o tej porze. Katusza zjawiała się punktualnie. Zmierzyła go bystrym spojrzeniem; Piotr wyglądał, a przede wszystkim czuł się, o niebo lepiej niż jeszcze ubiegłego dnia. Był ogolony, miał na sobie wyprasowaną koszulę i tylko podgojone otarcia na twarzy świadczyły, że przytrafiło mu się coś niecodziennego.

– Pan komisarz świeżutki dziś jak pączek róży – rzuciła na powitanie, kładąc na biurku dokumenty. – Poczęstujesz mnie kawą czy z miejsca zabierasz się do lektury?

– Daj spokój, zanim się przez to przegrzebię, ruski rok minie... – Machnęła ręką i nalał do dwóch filiżanek czarnego jak smoła napoju.

Katusza napiła się, z obojętną miną kontemplując widoki za oknem. Zawada doskonale rozumiał jej pełną dystansu postawę. Pozornie lekki ton wskazywał tylko, że koleżanka pozostawia mu wybór między szczerością a przejściem nad wszystkim do porządku dziennego. Doceniał to. Westchnął, zapalił papierosa i podsunął jej krzesło. Sam usiadł na skraju biurka.

– Słuchaj, zakomunikuję staremu, że nie będę przejmował sprawy. Skoro ci ją przekazał pod moją nieobecność, niech tak zostanie. Należy ci się, zwłaszcza że dostałaś po dupie nie za swoje grzechy.

– Co ty pieprzysz?! Prędeż da ją Mulakowi, niż mi zostawi. – Wykonała ruch, jakby chciała zerwać się z krzesła, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Sięgnęła po jego papierosy. – Powiem ci szczerze, jak to widzę. Matysiak jest cholernie wkurzony, że pomija się go przy podejmowaniu decyzji i nie informuje pierwszego o poczynaniach podwładnych, dał mi to odczuć. Jeśli ty się wycofasz, natychmiast odbierze mi sprawę i wykopie mnie do papierkowej roboty na kwarantannę.

Piotr rzadko widział ją z papierosem w ręku. Teraz zaciągnęła się nerwowo, zerkając kątem oka na dokumenty sprawy.

– I tak mogą mi w każdej chwili odebrać śledztwo.

– A niby czemu mieliby to robić? – Przesunęła wzrokiem po otarciach na jego twarzy. – Jest jakiś powód...?

Opowiedział jej o zajściu z Adrianem, nie pomijając drastycznych szczegółów. Doskonale zdawał sobie sprawę, że postępuje głupio, ponieważ im mniej osób wie, co zrobił, tym lepiej, lecz nie myślał rozsądnie w tej chwili. Sam się nawet dziwił, jak niewiele emocji wzbudza w nim ta relacja ze zdarzenia, które przecież mogło mieć oplakane skutki.

Podkomisarz Karwowska nawet się nie starała ukryć emocji.

– Kurwa, no debil, idiota! Wydział kontroli tylko czeka, żeby się wykazać, oni łykają takie rzeczy jak głodne pelikany. Jeśli sprawa wypłynie na światło dzienne, tak się po tobie przejadą, że trzeba cię będzie zeszkrobywać z chodnika! I nie tylko ciebie, pomyślałeś o tym?!

– Nie. Katusza, wtedy nie myślałem o niczym. – Podeszedł do otwartego okna i nie patrząc na nią, dodał: – Myślę, że zrobiłbym to jeszcze raz. Zresztą nie wiem...

– Płacz nad rozlanym mlekiem nic nie pomoże. – Najwyraźniej doszła do siebie i starała się być realistką. – Tym bardziej musisz wrócić do śledztwa! Piotrek, w ten sposób będziesz w kursie, a gdyby coś wynikło... odpukać, ale inaczej traktuje się oficera, który właśnie przymknął wielokrotnego zabójcę, niż przykutego do biurka lebiegę.

– Więc muszę pójść do naczelnika dobrze przygotowany. A najlepiej położyć mu na stół coś konkretnego. Albo coś, co sprawi, że nikt inny nie zechce nawet dotknąć tej sprawy.

– Nowe zwłoki wystarczą?

– Nie żartuj... – Zamilkł, widząc jej spojrzenie. Katusza na pewno nie żartowała.

– Kto to jest?

– Małgorzata Słodka, uduszona własnym szalikiem w swoim mieszkaniu. Bliska przyjaciółka Justyny Sobolewskiej.

Nadkomisarz rzucił okiem na zegarek i otworzył leżącą na biurku teczkę z dokumentami.

– Gdzie są wyniki autopsji i protokół z oględzin miejsca zbrodni?! A, mam. Ciekawe... – Katusza z satysfakcją obserwowała autentyczną ekscytację Piotra. – Co robiła w dniu morderstwa i wcześniejszym? Sprawdziłaś billingi telefoniczne?

– Tak, panie komisarzu, od tego zaczęłam. Kilkakrotnie dzwoniła do Sobolewskiej. Inne numery sprawdzamy. A w dniu poprzedzającym morderstwo zaprosiła autorkę do siebie na coś w rodzaju towarzyskiej kolacji, w trakcie której przedstawiła jej nowego amanta...

Rozdział 36

Ewelina czuła się, jakby w ciągu tej nocy spędzonej z Piotrem nie zmrużyła oka. Było inaczej, przysypiała na trochę i budziła się z lekkiego półsnu, uświadamiając sobie, że to naprawdę się stało, są blisko jak nigdy dotąd. A może i nigdy więcej nie będą. Wyszedł rano, a w mieszkaniu ciągle unosił się zapach smażonych jajek. I jakiś inny... może nie tyle nawet zapach, ile trudne do sprecyzowania wrażenie, ślad czyjejs niedawnej obecności. Inaczej ustawiony fotel, niedokładnie zasłonięta firanka, więcej niż zazwyczaj naczyń w zlewie. Coś, czego nie zauważyłby nikt prócz niej. Te ślady znikną prędko, utrzymają się dzień lub dwa, ale kiedy wpuszcza się kogoś do swojego życia, choćby na chwilę, na jedną noc, rysy w sercu pozostają na zawsze. Niektóre są bolesne, inne tylko czasem przypominają o sobie.

Ale później już nic nie jest takie samo.

Celowo nie snuła planów, nie zastanawiała się nad przyszłością. Coś takiego, jak myśli o wspólnej wędrówce przez życie, byłoby grubo przedwcześnie. Jak każda kobieta, Ewelina lubiła marzyć. I nie broniła się przed snuciem fantazji, malowaniem pełnych szczęścia i spełnienia pastelowych obrazków z sobą w roli głównej. Jednak nigdy nie były one ostre, z określonymi osobami i miejscami. Jako psycholog, a tym bardziej kobieta, która niejedno przeżyła, doskonale wiedziała, że nawet spełnione marzenia zawsze bardzo się różnią od wyobrażeń. Zwłaszcza te spełnione. A sytuacja Piotra nie była tak łatwa jak jej, kobiety całkowicie niezależnej, bez zobowiązań i długów wobec najbliższych. Piłka znajdowała się po drugiej stronie kortu i nie jej, Ewelinie, przyjdzie podejmować trudne decyzje. Przynajmniej nie w dającej się przewidzieć perspektywie. Była zdecydowana niczego nie przyspieszać, usurpując sobie prawo do decydowania o cudzym losie. Wierzyła, że przyszłość nie jest raz na zawsze określona i nieodwołalnie zapisana w gwiazdach, więc można ją ukształtować. Ale przyszłości dwojga ludzi nie powinno kształtować tylko jedno z nich. Wiedziała to na pewno, miała już przecież za sobą jakieś doświadczenia, wszystkie niezbyt miłe. Choć nadzieja, ta matka głupich, istnieje zawsze.

Zakrzętnęła się prędko, likwidując z grubsza niewielki bałagan w mieszkaniu, i wyszła z domu. W zasadzie nie miała żadnych spraw na mieście, jednak czuła potrzebę wyjścia na zewnątrz, do ludzi, i przekonania się jakby, że wszystko jest dokładnie na swoim miejscu. Tkwienie w czterech ścianach sprzyja niepotrzebnym rozmyśleniom o kwestiach, na które i tak nie ma się wielkiego wpływu. Po krótkim spacerze jednokierunkowymi uliczkami śródmieścia zdecydowała się na odwiedzenie Cafe Pineska. Trzy siostry powitały ją jak zawsze serdecznie, jakby wyłącznie dla niej prowadziły kawiarenkę. Zamówiła herbatę z egzotycznymi owocami, deser o trudnej do zapamiętania nazwie ledwie doniosła do stolika. Wybrała miejsce tuż przy wielkim oknie, przez które widziała przechodniów i sunące ulicą pojazdy, najczęściej taksówki. Z ustawionych na regałach pod ścianą książek wybrała coś na chybił trafił. Nie była pewna, czy ma ochotę poczytać, ale lubiła mieć na stoliku zestaw pasujący do klimatu tego miejsca. No i gdyby ktoś zapragnął nawiązać rozmowę, a ona akurat nie byłaby w nastroju, mogła wymownym gestem sięgnąć po książkę.

Nagle Ewelina drgnęła, uniosła głowę i rozejrzała się nerwowo, mając przedziwne odczucie, że jest obserwowana. Wrażenie było tak intensywne, jakby ktoś szturchnął ją niespodziewanie w ramię, chowając się natychmiast za jej plecami. Jednak nikogo takiego nie dostrzegła, gdyż po prostu nieliczni o tej porze goście, zajęci swoimi sprawami, zupełnie nie

interesowali się otoczeniem. Zerknęła przez wielkie okno na ulicę, lecz tam również nie dostrzegła niczego niepokojącego.

Wyjęła telefon i wybrała numer Piotra, lecz rozmyśliła się tuż przed uzyskaniem połączenia. Nie, to nie jest najlepszy moment do zwracania mu głowy. Wyglądałoby na... nieważne. Może jutro. Odszukała numer Sobolewskiej i wcisnęła klawisz z zieloną słuchawką. Seria długich sygnałów zakończyła się prośbą o nagranie wiadomości. Nic sensownego nie przyszło jej do głowy i przerwała połączenie.

Z filiżanką i talerzykiem podeszła do lady. Odstawiła naczynia na tacę i powiedziała do jednej z sióstr:

– Deser był rewelacyjny. Będę musiała kupić sobie wagę, bo inaczej niedługo nie zmieszczę się w swoje kiecki.

– To może coś na dokładkę? – Rozmówczyni wskazała pucharki z bakaliami zatopionymi w bitej śmietanie. – Jak szaleć, to szaleć!

– A potem przebieżka wokół Pałacu Kultury, a najlepiej po schodach na samą górę.
– Ewelina zaśmiała się i niby mimochodem rzuciła pytanie: – Macie może jakąś książkę Justyny Sobolewskiej? Podobno jest bardzo popularna, a jakoś dotąd nie miałam okazji przeczytać niczego jej autorstwa.

– Sobolewskiej? Nie, chyba nie... Momencik, sprawdzę. – Zgrabna blondyneczka za ladą przeleciała palcami po klawiaturze komputera, spoglądając w ekran. – No, miałam rację, nie mamy. Ale też słyszałam nazwisko, napiszę do wydawnictwa, czy w ramach promocji czegoś nam nie sprezentują. Jeszcze żaden wydawca nie odmówił.

– Nic dziwnego, o waszej kawiarence już głośno na mieście. Pamiętam spotkanie z naszym polarnikiem, Markiem Kamińskim, coś fantastycznego! Jak opowiadał o biegunie, to aż mróz szczypał po kościach, ale z takim mężczyzną u boku mogłabym się znaleźć na bezludnej wyspie. – Ewelina mrugnęła porozumiewawczo.

– Marek jest niezrównany. Zawsze kiedy jest w Warszawie, zagłąda choćby na kawę, nie ma w sobie odrobiny wyniosłości. Bez trudu mógłby się stać jednym z najbardziej rozchwytywanych celebrytów, ale to kompletnie nie w jego stylu.

– No, muszę lecieć. Dziękuję.

Wychodząc z kafejki, znów doznała uczucia, że ktoś ją obserwuje. On? Nie, to niemożliwe. Nawet jeśli ją widział na tym spotkaniu w bibliotece...

Nadłożyła drogi i odwiedziła punkt dorabiania kluczy, gdzie widziała kiedyś łańcuchy do drzwi. Kupiła najprostszy, lecz wyglądający dosyć solidnie, z myślą, że poprosi Piotra o zamontowanie. Przy najbliższej okazji, najlepiej jutro. Przynajmniej nie musiała silić się na wyszukiwanie powodów, by go do siebie zaprosić.

Zawada jednak zadzwonił pierwszy, nalegając na spotkanie. Nie chciał się rozwodzić przez telefon, ale wspomniał, że ma sporo nowych informacji na temat śledztwa. Ale czas naglił, powiedział, że podjedzie służbowym samochodem i zabierze ją z domu, wyjaśni wszystko po drodze.

– Po drodze? Dokąd? – Ewelina nie przepadała za niespodziankami. Przynajmniej ostatnio.

– Ewelina, niestety mamy kolejne morderstwo. Przyjaciółka Justyny Sobolewskiej, uduszona we własnym mieszkaniu. Miałaś rację, że on będzie zabijał dalej.

– Chcesz mnie zabrać na miejsce...

– Nie, umówiłem się na spotkanie z Sobolewską u niej w domu. Właściwie to poprosiłem, by zgodziła się na rozmowę również z tobą jako naszą specjalistką od portretów psychologicznych.

Ewelina usiłowała sobie przypomnieć, czy dzwoniąc do autorki, podała swoje personalia. Tak, chyba tak, ale wątpliwe, żeby zostały zapamiętane. A jeśli nawet, to jakoś to wyjaśni.

– Dobrze, Piotrze. Zadzwoń z dołu domofonem, to zejść.

Rozdział 37

– A gdzie mama? – Dziecko rozglądało się po pokoju, do którego je przyprowadzili, ale oprócz pielęgniarki, trzymającej jego płaszcz, była tam jeszcze tylko jedna pani.

Nieznajoma – i chociaż uśmiechała się miło, Dziecko poczuło do niej jakąś dziwną niechęć.

– Kochane dziecko – odezwała się nieznajoma pani. – Twoja mama odeszła. Będziesz teraz mieszkać w innym domu, z mnóstwem dzieci i miłymi ciociami.

– Gdzie odeszła? – płakało Dziecko. – Ja chcę do mamy, nie chcę żadnej cioci. I ciebie też nie chcę – odwracało się uparcie od rąk trzymających płaszcz i za nic nie chciało go założyć.

– Chodź tu do mnie. – Pani trzymająca płaszcz odłożyła go na krzesło i ustawiła Dziecko pomiędzy swoimi nogami. – Popatrz na mnie. – Dziecko nie chciało, wbijało wzrok w podłogę i żałośnie pociągało nosem. – Twoją mamę Pan Bóg zabrał do siebie. A ciebie dał nam, to my teraz będziemy cię kochać i z nami będziesz mieszkać. Bądź grzecznym dzieckiem, włóż płaszcz i idziemy.

Dziecko niczego nie rozumiało.

– Przecież mama miała mi pokazać pasikonika! – Znowu się rozplakało. – Czy tam, gdzie mam iść, będą pasikoniki?

Nieznajoma pani, już nieco zniecierpliwiona, zapewniła, że będą, ale Dziecko powątpiewało. Wiedziało jednak, że mamy tu nie ma i że każą mu gdzieś iść. Może tam będzie też mama, skoro mają być pasikoniki?

Opowieści o Panu Bogu nie przyswajało, nie chciało, i już.

Jednak tam, dokąd je zabrali, mamy nie było.

W domu dziecka najbliższymi przyjaciółmi Dziecka stały się kredki i farby.

Pasikonika nie zobaczyło.

Rozdział 38

Byłam w szoku. Gośka nie żyje. Gosia nie żyje. Gocha nie żyje. Te słowa bez przerwy kołatały mi w głowie. Nie mogłam myśleć o niczym innym. Brutalne zabójstwo. Wtargnięcie do mieszkania? Bo przecież niemożliwe, żeby Gośka sama wpuściła kogoś obcego.

Pan nadkomisarz, nie zapamiętałam jego nazwiska, zawiadomił mnie o tym wydarzeniu (wydarzeniu?) i poprosił o rozmowę. Zgodziłam się, choć nie bardzo wiedziałam, w czym mogłabym pomóc.

– Czy wyrazi pani zgodę na to, aby w tej rozmowie wzięła udział również nasza profilerka? Mamy niejasne podejrzenia, że to nie jest pierwsze morderstwo sprawcy, z tym że to wydaje się trochę nietypowe. Liczymy, że rzuci nam pani trochę światła na całą tę sprawę.

Zgodziłam się, rzecz jasna, i na to, gdyż i tak robił mi uprzejmość, nie wzywając mnie na oficjalne przesłuchanie do komendy. Powiedział: „po południu”. Cóż to, u licha, znaczy – po południu? Czternasta czy może siedemnasta? Powinnam siedzieć kamieniem w domu, bo policja ma do mnie interes?! No cóż, sama jestem sobie winna, należało zapytać.

Kręciłam się od rana po mieszkaniu, pragnąc znaleźć sobie jakieś zajęcie na tyle absorbujące, żeby twarz Małgorzaty przestała tkwić mi przed oczyma. Może powiedzą, kiedy pogrzeb...

Dzwonek do drzwi zastał mnie przy porządkowaniu książek na regale, a właściwie na bezmyślnym przestawianiu ich między półkami. Początkowo miałam w zamyśle, by te, do których czasem wracałam, stały niżej, ale ciągle coś mi nie pasowało.

Otworzyłam, nie wyglądając przez judasza.

– Nadkomisarz Piotr Zawada. – Mężczyzna w marynarce pokazał legitymację, a następnie przedstawił swoją towarzyszkę: – Ewelina Zaczeka, zajmuje się tworzeniem profilów psychologicznych przestępców.

– Proszę wejść. Napiją się państwo czegoś, może herbaty? Albo czegoś zimnego?

Komisarz, jak się zorientowałam, chciał grzecznie odmówić, zapewne kierując się nawykiem nieprzyjmowania poczęstunków na służbie, lecz profilerka go uprzedziła:

– Jeśli pani tak miła, poprosimy o herbatę.

– Proszę usiąść. – Wprowadziłam ich do pokoju z sofą i fotelami – za chwilę wracam.

– Pani Justyno, mogę tak się do pani zwracać? – Zawada delikatnie przytrzymał mnie za ramię.

– Tak, oczywiście. – Popatrzyłam na niego pytająco, widząc, że chce mi coś powiedzieć, zanim zniknę w kuchni.

– Za chwilę porozmawiamy, wiem, że nie będzie to dla pani łatwe. Dla nas też, proszę mi wierzyć. Tylko mam jedną prośbę i bardzo proszę potraktować ją poważnie.

– Tak...?

– Otworzyła nam pani drzwi, nie patrząc w wizjer. I nie zamknęła ich pani na zamek, kiedy weszliśmy. Proszę w przyszłości zwracać uwagę na takie rzeczy, zachować podstawowe środki ostrożności, przynajmniej dopóki nie zakończymy śledztwa w sprawie śmierci pani przyjaciółki. A najlepiej na zawsze.

– Ja nigdy bym... Ma pan rację, naprawdę zwykle postępuję inaczej, po prostu teraz nie

jestem sobą... – Z jakimś opóźnieniem zaczęło do mnie docierać, że ta prośba ma związek z zabójstwem Małgosi. – Uważa pan, że coś mi grozi?

– A pani samej nie przyszło to do głowy?

Zacisnęłam usta i powoli skinęłam głową. Wysłałam z pokoju i postarałam się, by goście usłyszeli metaliczny szczeł zamka u drzwi, bowiem przekręciłam zasuwę bardzo energicznie.

– Moje gratulacje! – usłyszałam pełne jadu syknięcie pani psycholog. – Nie ma to jak zmiękczenie świadka na samym wejściu.

Zerknęłam z przedpokoju – Zawada postawił skórzaną teczkę obok fotela i usiadł.

– Lepšie to niż udawanie, że mamy wszystko pod kontrolą i wpadliśmy tu tylko na podwieczorek, bo nam się nudziło w komendzie.

Profilerka półgłosem przyznała mu rację. Usłyszałam jednak w jej głosie, że wolałaby, żeby zachował więcej dyplomacji i taktu. Sądziłam, że miała nadzieję, że jej partner nie zechce się bawić w dobrego i złego glinę, przeznaczając towarzyszącej mu osobie rolę przytulanki. Wiedziałam przecież, że manipulacja w kontaktach międzyludzkich nie była jej obca i zapewne nieraz musiała ją stosować we własnej pracy. Nie byłam jednak opornym więźniem, a oni chcieli tylko dowiedzieć się czegoś poza protokołem. A dla mnie taka forma rozmowy była wygodniejsza od normalnego przesłuchania.

Kiedy wróciłam z kuchni, z dzbankiem i filiżankami na tacy, pani psycholog odezwała się pierwsza, nie dając Zawadzie szansy zrehabilitowania się za niezbyt taktowne jej zdaniem zachowanie.

– Pani Justyno, to nie jest oficjalna wizyta i powinna pani o tym wiedzieć, zanim zdecyduje się z nami rozmawiać. Może pani nawet nas wyprosić i nikt nie będzie miał o to pretensji – usłyszałam, ale nie skomentowałam jej słów. Na razie. Odparłam tylko, że rozumiem, i przesunęłam cukiernicę bliżej gości, prosząc, by się obsługiwali.

– Ale nie po to napędził pan mi strachu, żeby teraz zostawić mnie bez żadnych wyjaśnień, prawda? – dodałam po chwili.

Zawada machinalnie sięgnął po papierosy, ale powstrzymał się i czekał, patrząc na mnie. Jego gest był jednak na tyle wymowny, że natychmiast zdjęłam z komody kryształową popielniczkę.

– Nie, nie trzeba, wytrzymam, jeśli to miało pani przeszkadzać.

– Proszę palić, jestem przyzwyczajona.

– Pani kiedyś paliła?

– Nie... Trochę, ale dym zupełnie mi nie przeszkadza – powiedziałam bez przekonania.

– Mąż kiedyś palił – dodałam mimochodem.

Nadkomisarz popatrzył pytająco na panią Ewelinę, która tylko zacisnęła zęby. Widocznie według niej ta wymiana niby-uprzejmości prowadziła donikąd. Postanowiła przejąć inicjatywę:

– Może najpierw wyjaśnię pokrótce, jak doszło do tego, że jesteśmy u pani. Otóż zdarzyło się kilka zabójstw, z pozoru ze sobą niepowiązanych. Kiedy się okazało, że trzy osoby zostały zastrzelone z tej samej broni, obecny tu nadkomisarz Zawada zwrócił się do mnie z prośbą o sporządzenie profilu psychologicznego sprawcy tych morderstw. W każdym przypadku ofiary były kobietami, które niczym szczególnym się nie wyróżniały. Ani tło rabunkowe, ani motyw seksualny nie wchodziły w grę. – Napila się herbaty i podjęła temat: – Wtedy pojawił się nowy trop w śledztwie. Trzecią ofiarą seryjnego zabójcy, bo tak go już należy traktować, stała się młoda dziewczyna, którą znaleziono w parku. Była ze Szczecina, policjanci

dowiedzieli się, że przyjechała do Siedlec na Festiwal Literatury Kobiecej, chciała się z panią spotkać...

Filizanka wypadła mi z dłoni i potoczyła się po dywanie, brunatny płyn rozlał się w małą, prędko wsiąkającą kałużę.

– Boże! – zawołałam, a w tym jednym słowie kryła się rozpaczliwa prośba o zaprzeczenie moim domysłom. Podniosłam filizankę i postawiłam na stoliku. – Czułam coś. Najpierw ten dziwny telefon tuż przed wizytą policji... Potem ta funkcjonariuszka po cywilnemu, pani Katarzyna, zapomniałam nazwiska... Mówiła, że jest z wydziału zabójstw, ale dla dobra śledztwa nie może zdradzić szczegółów. Pokazywała mi dużo zdjęć i prosiła, żebym wybrała spośród nich te, które rozpoznaję. Wybrałam pięć czy sześć, ale nie byłam pewna do końca. A ona, ta kobieta od was, nie komentowała, wyglądała jednak na niezadowoloną albo może raczej na zawiedzioną.

– Cholera, nic mi... – usłyszałam głos komisarza. Urwał jednak w pół słowa, wsadził w usta papierosa i pstryknął zapalniczką. Zwrócił się do mnie przepaszającym tonem, w którym jeszcze pobrzmiwała nuta rozdrażnienia: – Przepraszam za jej zachowanie, to młoda funkcjonariuszka prowadząca sprawę pod moją nieobecność. Nie powinna była tak z panią postępować, ale chciała się widocznie wykazać.

– Nie szkodzi, to bez znaczenia. – Machnęłam ręką i popatrzyłam na profilerkę.
– Siedlce? Jest pani pewna, że ta dziewczyna...

– Tak. Ale to dopiero początek. Później wydarzyło się kilka rzeczy, które rzuciły nowe światło na całą sprawę. – Porozumiała się spojrzeniem z komisarzem, a on nieznacznie skinął głową, dając jej wolną rękę. – Okazało się, że wcześniejsze ofiary również były wielbicielkami pani twórczości. Przychodziły na spotkania, miały w domu kolekcje pani książek z autografami.

– Chwileczkę, muszę zebrać myśli – przerwałam jej nieuprzejmie – to spadło na mnie tak nagle. I jeszcze śmierć Małgosi... – Powiodłam niewidzącym wzrokiem po ścianach.

– Państwo nie jesteście na służbie?

– W zasadzie można to tak określić – odparł ostrożnie komisarz.

Bez słowa przyniosłam z barku trzy pękate kieliszki i butelkę koniaku. Zawada nie wspomniał, że przyjechał samochodem. Widocznie uznał, dla dobra sprawy, że mała lampka nie zaszkodzi. A może sam miał ochotę się napić, najwyżej wróci taksówką, pomyślałam, wręczając mu butelkę.

– To takie dziwne, takie wręcz nierealne, co spotyka człowieka, kiedy najmniej się tego spodziewa – mówiłam prawie do siebie. – Nigdy nie uważałam się za jakąś szczególną osobę, naznaczoną przez opatrność czy stworzoną do wielkich rzeczy. Pierwszą powieść napisałam trochę z przekory, żeby sobie samej coś udowodnić, a trochę w nadziei, że znajdzie się choć jeden czytelnik, który nie odłoży jej w kącie po przerzuceniu kilku stron. A potem przyszło powodzenie, jakiego w najśmielszych wyobrażeniach nie oczekiwałam, wywiady, spotkania. Zamieszanie i chaos. Listy od czytelników, autografy... Ktoś patrzący z boku powiedziałby, że Pana Boga za nogi chwyciłam, mogę każdego dnia pławić się w blasku sławy, spijać śmietankę. A mnie ciągle się wydawało, że prowadzę jakieś podwójne życie. Na kredyt, który przyjdzie kiedyś spłacić. Żyłam w jakiejś szklanej bańce o cieniutkich, kruchych ściankach i czułam, że ona musi kiedyś pęknąć. Starłam się być na to gotowa, ignorować fałszywy uśmiech fortuny, żeby któregoś dnia nie obudzić się z poczuciem klęski. Tylko nie przewidziałam, że życie może ze mnie zadrwić w tak bezsensowny, tak okrutny sposób...

Nadkomisarz sięgnął po następnego papierosa. Zamiast patrzeć na mnie, obserwował swoją koleżankę, która od paru chwil wpatrywała się w jakiś nieokreślony punkt. Nieokreślony? Powędrowałam za jej wzrokiem. Za drzwiczkami oszklonej witryny znajdowały się półki z książkami. Wzrok pani profilerki zatrzymał się w jednym miejscu, zmrużyła oczy jak ktoś pragnący z oddali odcyfrować niewyraźny napis.

Na półce, przed grzbietami książek, leżało na boku kilka papierowych stateczków. To im przyglądała się tak intensywnie pani psycholog.

Nagle jakby ocknęła się z zamyślenia i nie zagłębiając się szczegółowo w niuanse śledztwa oraz w zebrany materiał dowodowy, przedstawiła ogólny stan wiedzy policji. Obraz był nieostry, na pierwszy plan nieuchronnie wysuwał się motyw sprawcy, w dość wyraźny sposób związany z moją osobą. Oraz graniczące z pewnością założenie, że zbrodniarz będzie kontynuował swój proceder.

– Ale ja tego nie rozumiem! Nie pojmuję, co za szaleniec mógł się zawziąć akurat na moje czytelniczki. – Zacisnęłam pięści. – To chore i kompletnie bez sensu!

– Tak. Z pani perspektywy i z perspektywy każdego normalnego człowieka. Ale dla sprawcy ma to sens tak wyraźny i głęboki, jak dla innych pragnienie władzy czy pieniędzy, posiadania dzieci albo potrzeba bycia z kimś bliskim. Imperatywu działania w imię własnej *idée fixe* nie daje się opanować, jest silniejszy od norm społecznych i obawy przed karą.

– Ale przecież to wariat, ktoś tak chory na umyśle, że musi się rzucać w oczy. Może uciekinier z jakiegoś zakładu dla psychicznie chorych?

– Niestety nie, sprawdziliśmy to. – Komisarz wyglądał na zmartwionego.
– Psychopaci potrafią, wbrew pozorom, postępować z niezwykle logiką i konsekwencją. I niczym nie wyróżniają się na ulicy. Bierzemy również pod uwagę możliwość, że prawdziwym motywem sprawcy jest zabicie jednej, konkretnej osoby, a cała reszta ma służyć pokierowaniu organów ścigania na fałszywe tory. To mało prawdopodobne, lecz możliwe.

Profilerka drgnęła i pokręciła głową, marszcząc brwi. Pomyślałam, że ona wie to najlepiej...

– Pani Justyno – kontynuował Zawada – mogłaby nam pani powiedzieć coś o Małgorzacie Słodkiej? W jakich okolicznościach widziałyście się ostatni raz, czy była w normalnym nastroju, a może coś ją zaniepokoiło albo wspomniała o czymś niecodziennym?

– To było zaledwie przedwczoraj. Po wizycie tej młodej policjantki pojechałam do Gosi, byłyśmy umówione na coś w rodzaju wczesnej kolacji albo późnego obiadu z jej nowym facetem. – Patrzyłam w pusty kieliszek do koniaku i mówiąc cichszym niż dotąd głosem, starałam się ze wszystkich sił zachować opanowanie. – Była pieczona kaczka i parę wykwintnych dodatków, Małgoście ogromnie zależało, żeby dobrze wypaść. Nie wydawała się inna niż zwykle, owszem, była poruszona, może nawet taka jakby promienna, ale to zrozumiałe, kiedy ma się nowego adoratora i wiąże się z nim duże nadzieje. Chociaż to on bardziej pozwalał się adorować, najwyraźniej uważając taki stan rzeczy za normalny.

– Nie przypadł pani za bardzo do gustu? – wtrąciła Ewelina.

– To aż tak widać? Małgosia z jakichś powodów szalenie polegała na moich opiniach w wielu kwestiach, szczególnie sercowych. Nie wiem dlaczego, bo przecież sama nie umiałam sobie tych spraw ułożyć. Jestem rozwiedziona, wprawdzie rozstaliśmy się z mężem w sposób w miarę cywilizowany, ale fakt pozostaje faktem.

Komisarz wyjął notatnik, na którego widok przypomniała mi się zasłyszana gdzieś plotka, że policjanci nawet rękawiczki, niezbędne przy oględzinach miejsc zbrodni, kupują sobie z prywatnych pieniędzy.

– Może zna pani personalia tego amanta przyjaciółki?

– Krzysztof, nazwiska nie pamiętam, chyba nawet go nie podał. Łatwo go znajdziecie, wystarczy sprawdzić jej telefon i pocztę w komputerze.

– Więc nie zrobił na pani dobrego wrażenia?

– Nieszczęśliwe, choć nie można powiedzieć, żeby się nie starał. Ale nie wyglądało to naturalnie. Wiecie państwo, o czym mówię, często spotyka się kogoś nowego i od razu widać, że jego sposób bycia jest wystudiowaną pozą. To nic określonego, ale daje się zauważyć, prawda? – Pani psycholog ze zrozumieniem kiwnęła głową. – Zagadnął mnie o moją nową powieść, widać było, że ją czytał, co powinno mnie do niego przekonać, nawet to jednak wydało mi się jakieś takie wysilone. Jakby chciał mnie zjednać, a potem użyć do własnych celów. Po spotkaniu Gosia wspomniała mi przez telefon, że Krzysztof jest wprost zafascynowany moimi książkami i koniecznie chce się ze mną zobaczyć znowu, żeby otrzymać autograf.

– Prosił o pani adres albo numer telefonu? – Gdy usłyszałam pytanie nadkomisarza, zaczęło mi się wydawać, że nad postacią przyjaciela mojej Małgosi gęstnieją ciemne chmury.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale mógł je mieć od Goški.

– Proszę się zastanowić. Jak on się zachowywał tego wieczoru, może coś szczególnego zwróciło pani uwagę?

– Podejrzewacie go? No tak, głupie pytanie... Poza tym, że zachowywał się jak skończony pozer, nic nie odbiegało od normy. Oczywiście normy dla tego typu wiecznych bawidamków. Starał się błyskać elokwencją, podziwiał obrazy wiszące u Goški, głównie tandetne reprodukcje. – Teraz sama nalałam do kieliszków koniaku, celebrując nieco tę prostą czynność, potrzebowałam bowiem czasu, by zebrać myśli. – Ale dziwna rzecz, teraz to sobie uświadomiłam. Zainteresował go szczególnie jeden obraz, który należał do mnie, a dałam go Małgosi tylko na przechowanie. Wątpię, by Krzysztof był oblatany w malarstwie, więc tym bardziej jest to dziwne.

– Co to za obraz, kto go namalował? – zapytał Zawada.

– Marek Cygler, przyjaciel mojego męża ze studiów. Podarował nam go z dedykacją, nie sądzę, żeby był bardzo wartościowy, choć Cygler zyskał już pewną popularność.

– A dlaczego oddała go pani na przechowanie przyjaciółce? – Komisarz, który umiał bezbłędnie wyłapywać wszelkie niejasności, od czego zapewne często zależało powodzenie w jego pracy, wzmacnił wagę pytania lekkim stuknięciem w kieliszek. – Był jakiś szczególny powód?

– Czy szczególny, bo ja wiem... Mojemu byłemu mężowi ogromnie zależało na otrzymaniu tego obrazu po rozwodzie i robił wszystko, by tak się stało. Umówiliśmy się inaczej, zresztą nie widziałam powodu, by iść mu na rękę. Może gdyby zabrał się do tego jakoś po ludzku, to w końcu bym mu dała ten obraz, ale przyłapałam kiedyś Janusza na myszkowaniu w domu pod moją nieobecność i tego już nie zniosłam. Natychmiast wymieniałam zamki. Obraz przezornie oddałam na przechowanie Małgosi niedługo po rozwodzie, teraz już nawet nie pamiętam, dlaczego wtedy to zrobiłam. Zadziałała podświadomość? – Spojrzałam pytająco na panią psycholog.

Słuchając mojej opowieści, Zawada wyjął ze stojącej obok fotela teczki jakieś dokumenty. Z pliku zdjęć wykonanych w mieszkaniu Małgosi wybrał kilka i rozłożył na stole. Widziałam, jak ta profilerka drgnęła, jak gdyby zauważyła, że pokazywane mi zdjęcia przedstawiają tylko ogólny plan z widokiem mebli i ścian. Pomyślała pewnie i ja uważałam tak samo, że komisarz pragnie oszczędzić mi makabrycznych szczegółów.

– Czy mogłaby pani wskazać ten obraz?

– Zaraz... wisiał w przedpokoju, nad komódką... – Przenosiłam wzrok z jednej fotografii na drugą, coraz mocniej marszcząc brwi. – To dziwne, ale... Tego obrazu tam nie

ma!

– Jest pani zupełnie pewna?

– Oczywiście, wisiał tutaj. – Puknęłam palcem w zdjęcie. – Jeszcze widać gwóźdź w ścianie.

Komisarz metodycznie poskładał fotografie, upchnął je w tekturowej teczce i zawiązał tasiemki.

W zgęstniałej nagle atmosferze z napięciem oczekiwałam kolejnych pytań. Jednak to, które padło, kompletnie mnie zaskoczyło.

– Czy pani były mąż – Zawada zerknął do notesu – Janusz Zamorski, znał Małgorzatę Słodką? Wiedział, gdzie mieszka?

Potrzebałam chwili, by pojąć ukryty sens pytania i zebrać myśli podążające jeszcze przed momentem zupełnie inną ścieżką.

– Tak. Znali się bardzo dobrze...

Rozdział 39

Zbierałam już swoje rzeczy ze stolika, przy którym siedziałam. Książka z zaznaczonym fragmentem do przeczytania, okulary, pióro – snobistycznie (śmiejąc się z tego) dedykacje wpisywałam zawsze piórem, watermanem ze złotymi wykończeniami, podarowanym mi przez Janusza na któreś imieniny. Nawet zachnęłam się wtedy w duchu, myśląc, po jakiego mi to grzyba? Listy mam pisać odręcznie czy jak? Ale prezent był dość kosztowny, a facet to facet, dumałam, na ogół nie zastanawia się nad przydatnością prezentu. Teraz niejednokrotnie już po cichutku odszczekiwałam to swoje „facet to facet”, pióro bowiem przydawało się i sprawdzało świetnie.

– Czy jeszcze ja mogę prosić o autograf? – Podniosłam głowę.

Stała przede mną dziewczyna, nie, nie dziewczyna, tylko kobieta, mniej więcej trzydziestoletnia. Była po prostu przepiękna, choć wyglądała, jakby pragnęła maskować się ubraniem. Miała na sobie gruby czarny sweter, nosiła sznur różnokolorowych koralików i długą spódnicę, ciemnoczerwoną, prawie do kostek. Na nogach – glany, co mnie trochę zdziwiło, spodziewałam się bowiem raczej zwykłych balerinek albo innych półbutów. Zaczęłam się usilnie zastanawiać, skąd znam tę osobę, bo to, że znam, wydawało mi się pewne.

Uśmiechnęłam się tym swoim wyćwiczonym, „spotkaniowym” uśmiechem i wyjęłam z torebki schowane już pióro.

– Dla kogo ma być wpis? – Otworzyłam książkę na stronie tytułowej i czekałam na imię mojej fanki.

– Dla mnie. – Dziewczyna wyraźnie uznała, że powinnam ją znać lub przynajmniej kojarzyć. Po chwili, widząc na mojej twarzy konsternację, uśmiechnęła się, pokazując równiutkie zęby. – Marianna Jodelka jestem, przepraszam najmocniej, ale po prostu myślałam, że wszyscy muszą mnie rozpoznawać. Gram główną rolę w serialu *Mroczna seria*, stąd ta moja zarozumiałość. Serial jest dość popularny. Nawet więcej niż dość... – Uśmiechnęła się ponownie.

– Ale widzę, że nie wszyscy go oglądają, co powinno mnie smucić, a jakoś nie smuci.

– Ja w ogóle nie oglądam seriali. – Popatrzyłam przepraszająco na aktorkę. – Więc nie znam pani z telewizji, a jednak mam wrażenie, że skądś panią znam.

– O, miło mi. – Aktorka wzięła podpisaną książkę. – Może dlatego, że przychodzę na wszystkie spotkania z panią. Byłam na Młocinach, byłam na Mokotowie, byłam nawet w Siedlcach, bo tak się złożyło, że następnego dnia występowałam w siedleckim teatrze. I zawsze podsuwam książkę do podpisu, tylko jeszcze do tej pory nie miałyśmy okazji do rozmowy, zawsze taka kolejka do pani stała. Dzisiaj specjalnie czekałam, aż wszyscy wyjdą, bo koniecznie chciałam z panią porozmawiać. Bo widzi pani, ja też piszę. Mam mało czasu, więc do tej pory napisałam tylko jedną książkę. Na dodatek pod pseudonimem, ponieważ nie chciałam, żeby ją wydano tylko dlatego, że jestem popularna.

– O, podziwiam – udało mi się wtrącić dwa słowa, ale aktorka mówiła dalej, jak w transie.

– Jednak widocznie mam tylko talent aktorski, autorskiego we mnie nie odkryto. Do tej pory żadne wydawnictwo nie zainteresowało się moją pisaniną. A szkoda, bo uważam – choć pani pewnie pomyśli, że jestem nieskromną megalomanką – podkreślam, uważam, że ta moja powieść jest naprawdę dobra. I chciałam nieśmiało poprosić o radę, czy jest coś, jakiś

sposób, którego może nie znam, a który powinnam wykorzystać, żeby ktoś wreszcie zwrócił uwagę na moją książkę.

O kurczę, pomyślałam, co ja mam jej powiedzieć?

– Pani Marianno – wstałam, zakręciłam pióro i włożyłam je do torby – jeśli istnieje taki sposób, ja go nie znam. Moja pierwsza książka chyba po prostu spodobała się w wydawnictwie i tak się zaczęło to wszystko, co potem się działo – umowa, premiera, promocja, następne książki. Tak po prostu, bez żadnych sposobów, bez żadnych znajomości, bez żadnych poleceń.

Skierowałam się w stronę wyjścia z biblioteki, dając do zrozumienia, że rozmowę uważam za zakończoną.

– Przepraszam, ale nie umiem pani pomóc, mogę tylko trzymać kciuki za powodzenie – dodałam, lecz chyba niepotrzebnie, bo mówiłam to już do pleców aktorki.

Potarłam czoło, mając niejasne wrażenie, że zrobiłam sobie nowego wroga. Kilkoro takich „literackich wrogów” już miałam, publikowali (lub publikowały) na różnych blogach, rozjeżdżając moje książki na miazgę.

Rozdział 40

– Nie lubię wszystkich bab! – Marek Cygler oznajmił to Mariannie Jodełce, leżąc na wersalce w jej pięknym, dwupoziomowym mieszkaniu na warszawskim Wilanowie. Od zjedzenia kolacji minęły już chyba dwie godziny, przez który to czas malarz opróżnił ponad pół butelki whiskey. Marianna piła białe wino – i to dopiero drugi kieliszek. Chciała upić Cyglera, bo postanowiła wydobyć z niego jakąś deklarację. Nieważne, że po pijaku, niechby już wydusił z siebie, że coś do niej czuje i poważnie o niej myśli. A tu – no cóż, dowiaduje się, że Marek nie lubi wszystkich bab. Rzecz w tym, że ona babą się nie czuła.

– Nie wszystkie kobiety to baby, Markusie – spróbowała. – Ja bab jako takich też nie lubię. Ale jakaś tam babska solidarność we mnie drzemie. Więc powiedz, co ci zrobił biedny rodzaj żeński?

– Chodź tu. – Cygler wyraźnie zaczynał odczuwać skutki wypitego alkoholu. Przyciągnął ją do siebie i zaczął rozpinać guziki piżamy, od której miała na sobie tylko górę.
– Ściągaj to prędzej... – mamrotał, nie mogąc się uporać z zadaniem, jakie sobie postawił.
– Do tego się świetnie nadajecie, baby – wyznał swoją prawdę objawioną, czym skutecznie zmroził Mariannę, poddającą się już prawie jego dotykowi.

Wyrwała się energicznie z objęć malarza, zostawiając mu w rękach piżamę, i wrzasnęła:

– Upiłeś się, kretynie jeden! Nie jestem dla ciebie żadną „babą”, zapamiętaj to sobie, bałwanie. Albo wypierdalaj z mojego domu i z mojego życia!

Trochę się zagalopowała, nawet z tym przekleństwem. Pozowała na damę i starała się bardzo uważać, żeby nie używać „polskich wyrazów”. Używała ich, całkiem szczerze, tylko w rozmowie samej ze sobą. Lubiła takie rozmowy, mogła być w nich najbardziej szczerą.

A z Cyglerem jeszcze nie skończyła, niech mu się nie wydaje. Gdyby miała wyjawić prawdę, musiałaby się przyznać, że woli być jego „babą”, niżby wcale miałoby jej nie być w jego życiu. Zakochała się w nim głęboko i tym goręcej go kochała, im bardziej odkrywała, jakim jest łajdakiem. Przetrzyła wszystkie jego humory, tylko musi trochę poudawać, że się stawia, niech Marek sobie nie myśli, że wszystko mu wolno.

– Wypierda... aala...ć – mamrotał malarz, wstając z wersalki. Nie sięgnął jednak po ubranie, czego się obawiała Marianna, tylko podszedł do barku i wyciągnął stamtąd następną butelkę jacka danielsa. – Chodź, malutka, napijemy się. – Nalał szczerze do dwóch kieliszków, nie czekając na aktorkę, wychylił swoją porcję jednym haustem.

– Opowiem ci o miłości mojego życia – zdecydował. – Chcesz?

Jodełka nie chciała, to jasne. Pragnęła, żeby to ona była miłością jego życia. Ale powoli postara się osiągnąć swój cel. Teraz niech gada. Wróg rozpoznany, wróg mniej groźny, stwierdziła.

– Mów, Markusie, wiesz, że uwielbiam twoje opowieści. – Tak, szczególnie o byłych dziewczynach, pomyślała ze złością, ale nic nie mogła zrobić. Teraz już musiała wysłuchać, przecież sama go zachęciła do opowiadania.

I usłyszała historię o wydmach w Ustce, o kobiecie muzie, o dziewczynie, która wolała innego. Dziewczyną tą była... Justyna Sobolewska. Ktoś, kogo Marianna i tak już nienawidziła. Teraz miała więcej powodów.

Lecz on nie musiał o tym wiedzieć. Zapaliła papierosa i podeszła do okna. Czy ten

paparazzi, którego zauważyła rano za krzewami, tkwi tam jeszcze? Ciekawe, dla kogo pracuje? Pewnie strzelił kilka fotek, kiedy wchodziła z Cyglerem do domu. Był tam, ale akurat nie patrzył w tę stronę, ponieważ majstrował coś przy obiektywie aparatu.

Jodełka wyszła na taras, jak ją Pan Bóg stworzył. Kiedy paparazzi ją dostrzegł, kucnęła prędko i pod osłoną barierki wycofała się do mieszkania, nim zdążył unieść aparat. Uwielbiała prowokacje.

Rozdział 41

– Gotowe. – Piotr dokręcił ostatnią śrubę, sprawdził, czy końcówka łańcucha dobrze przesuwa się w szczelinie prowadnicy, i odłożył śrubokręt do przyniesionej z samochodu kasetki na narzędzia.

– Mam nadzieję, że to nie z mojego powodu nabyłaś owo cacuszko? – spytał pół żartem, pół serio.

– Nie pochlebiaj sobie. – Pokazała mu język. – Taki specjalista jak ty poradziłby sobie z tym łańcuszkiem w mgnieniu oka, co?

– Nie tylko ja bym sobie z nim poradził. Zresztą wolę subtelniejsze metody łamania serc niewieścich, forsowanie drzwi to ostateczność.

– Wszystkim facetom wydaje się, że posiadli klucz do kobiecego serca. Ale kiedy okaże się, że klucz nie pasuje, natychmiast zapominają o subtelnościach i używają łomu.

– Ja noszę ze sobą komplet wytrychów.

– To nielegalne.

– Ale skuteczne. Poza tym, kto zarzuci gliniarzowi łamanie prawa?

– No tak, to zamyka kwestię.

Poprowadziła go do kuchni i zapytała:

– Jesteś głodny?

– Mówiąc prawdę, od rana jadę na kawie i tej odrobinie koniaku u Sobolewskiej.

– Odrobinie? Gdybym siłą nie zaciągnęła cię do tramwaju, to siadając za kółkiem, ryzykowałbyś utratę prawa jazdy.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy wóz jest dobrze zaparkowany. – Piotr machnął ręką, bagatelizując sprawę. Tak naprawdę, wyciągając kluczyki po opuszczeniu mieszkania autorki, liczył na właśnie taką reakcję swojej towarzyszki. Widząc, jak Ewelina otwiera lodówkę, prędko skorzystał z okazji do zmiany tematu: – Chce ci się pichcić? Może zamówimy pizzę albo coś w tym guście?

– A tymczasem moje zrazy po nelsonsku szlag ma trafić? – Wyciągnęła brytfannę z hartowanego szkła i postawiła na kuchennym blacie. – Nie rób takich wielkich oczu, czasem lubię zaszaleć. Mam nawet butelkę czerwonego wina.

– Spodziewasz się gości? – Spora ilość apetycznych roladek w brytfannie wyraźnie zaintrygowała Piotra.

– Nie, nie spodziewam się. – Ewelinę ukłuła jego niedomyślność. – Przygotuj stół i połóż talerze, jeśli chcesz być pożyteczny. Ja się zajmę resztą. A, i otwórz wino, stoi w barku.

Kiedy zasiedli wreszcie do posiłku, Piotr odezwał się między jednym a drugim kęsem kručzej wołowiny:

– Wspaniale. Ale czym właściwie różnią się zrazy po nelsonsku od naszych, pospolitych? Bo nie mogę się zorientować, choć uczciwie przyznaję, że są kapitalne.

– Szczerze, to sama nie mam pojęcia. – Ewelina parsknęła tłumionym śmiechem; szczęśliwie udało jej się w porę przełknąć kawałek roladki. – Ale ładnie brzmi, nieprawdaż?

– W twoich ustach wszystko brzmi czarująco. – Powiedział to w sposób, jakiego nie słyszała od bardzo dawna. Ciepło, a zarazem z nutą delikatnej przekory, może wręcz odrobiny zdumienia własnymi słowami.

– Nie mów tak do mnie, bo jeszcze uwierzę i zupełnie przewróci mi się w głowie.

Dokończyli jedzenie, gawędząc na jakieś błahe tematy, świadomi, że nic ich nie goni. Najwyżej telefon zadzwoni nie w porę, ale i na to znajdzie się rada. Brudne talerze wylądowały w zmywarce, wrócili do pokoju. Piotr napił się wina, a kiedy się odezwał, nieoczekiwanie z jego głosu pierzchnęły gdzieś lekkie tony:

– Dzisiaj u Sobolewskiej miałem takie dziwne wrażenie, jakbyś wiedziała o tej sprawie więcej, niż jest w aktach. Przychodzę do ciebie i pierwsze, o co prosisz, to żebym zamontował łańcuch w drzwiach. Czyżby pod moją nieobecność wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Tak, Piotrek, wydarzyło się całkiem sporo... – Przetarła palcami skronie i wyjęła papierosa z jego paczki, lecz pokręciła przecząco głową, gdy Piotr wyciągnął rękę z zapalniczką. – Możliwe, że nikomu innemu nie miałabym odwagi o tym opowiedzieć. Początkowo nie byłam nawet pewna, czy mi się coś nie poprzestawiało pod sklepieniem od tych nieustannych prób przeniknięcia chorych umysłów. Za to się płaci. To naprawdę nie bajka, że istnieje jakiś poziom komunikacji pozawerbalnej, który ma na nas silniejszy wpływ niż normalne przekazy. Bo przed słowami można się bronić, ale jak obronić umysł przed działaniem zupełnie niedostrzegalnym?

– Chyba rozumiem, o czym mówisz. Nieraz w trakcie wielogodzinnych przesłuchań typów, których można by podejrzewać o posiadanie wszystkiego prócz sumienia, wydawało mi się, że wysysają ze mnie z wolna jakieś podstawowe pokłady ludzkich uczuć. Potem człowiek wraca do domu i własna twarz w lustrze wydaje mu się woskową maską bez wyrazu, za którą trudno odnaleźć samego siebie. Staram się nie angażować emocjonalnie, ale czy to w ogóle możliwe?

– Nie przypuszczam. To zresztą problem czysto akademicki, a my mamy do czynienia z czymś całkowicie realnym. A raczej z kimś.

– Kimś? – Dostrzegła w jego wzroku niepokój. – Ewelina, czyżbyś na własną rękę odkryła coś więcej niż nasi śledczy?

– Nie, taka bystra to ja nie jestem. Nie znalazłam waszego seryjnego zabójcy.

– Więc w czym rzecz?

Niezapalony papieros, którego gniotła w palcach, przełamał się na połowę.

– To on mnie znalazł.

Piotr zdumiewająco spokojnie przyjął jej słowa. Przez chwilę stukał jednostajnie paznokciem w brzeg kieliszka, jakby chciał sprawdzić czystość dźwięku, oznaczającą, że szkło nie ma ukrytej skazy.

– Jesteś pewna?

– Tak. Teraz już jestem.

– Opowiedz mi wszystko.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego.

– Bo nie jestem zaskoczony. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że sprawca zechce się jakoś z nami skomunikować. Kiedy ktoś czuje się wszechmocny i bezkarny, pragnie być podziwiany, mieć wyznawców i naśladowców. A skoro tak, nie może pozostawać całkowicie anonimowy. Dużo o nim myślałem...

– Albo o niej. Pamiętaj, najbardziej narzucające się skojarzenia mogą być zupełnie chybione.

– Więc nie zbliżył się do ciebie – czy też nie zbliżyła – na tyle, aby dać się rozpoznać?

– I tak, i nie...

Ewelina poderwała się z fotela, a po minucie wróciła i położyła na stole powieść Sobolewskiej. Zawada pytająco uniośł brwi.

– Tamtej nocy, kiedy pracowałam nad profilem sprawcy, czytałam dokumenty i oglądałam zdjęcia ofiar. Jedna wydała mi się skądś znana. Nie jak widywany często sąsiad albo sprzedawczyni w sklepie, raczej ktoś raz napotkany i zapamiętany ze względu na jakąś nietypową okoliczność czy też wypowiedziane słowa, które zostają w głowie, lecz trudno je dopasować do konkretnej osoby. Na drugi dzień wspomniałeś o wizycie u rodziców znalezionej w parku dziewczyny; mówili, że pojechała na spotkanie z autorką, i coś mi zaczęło świtać, nie dawało spokoju. Sama byłam jakiś czas temu na spotkaniu z Sobolewską w znajomej bibliotece osiedlowej. To nie musiało mieć znaczenia, ale mogło. Potem wyjechałeś zupełnie nagle, niczego nie wyjaśniając. – Nadkomisarzowi nie uszła słabo ukrywana pretensja w jej głosie. Otworzył usta, lecz Ewelina uniosła dłoń i powiedziała, nie dając mu czasu na wyjaśnienia: – Tak, tak, wiem, musiałeś tak postąpić, naprawdę nie mam żalu. Ale nie potrafiłam beczynn timer czekać na twój powrót, poszłam więc do tamtej biblioteki. Kierowniczką jest moja przyjaciółka. Przypuszczam, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym spokojnie czekała, pozostawiając sprawy własn timer biegowi. A może i nie? Nie wiem tego na pewno. – Odwróciła głowę do okna i dodała cicho: – Albo zaczn timer tracić zmysły i reszta mi się tylko przyśniła...

– Po prostu powiedz wszystko.

Poczekwała, aż Piotr doleje im wina, ale nie tknęła swojego kieliszka.

– Zanim wyszłam z biblioteki, przeszłam się między regałami, żeby znaleźć książkę Sobolewskiej. Nie czytałam jej jeszcze, a pomyślałam, że warto, bo może coś mi się nasunie. Wtedy usłyszałam trzask za plecami, który brzmiał jak wystrzał z korkowca albo dźwięk pękającej papierowej torebki. Zobaczyłam zarys jakiejś postaci kryjącej się za regałami. Nie umiałabym powiedzieć, czy to kobieta, czy mężczyzna. Na podłodze leżała jakaś książka. Musiała upaść i narobić hałasu. Jednak ktoś, komu wypadłaby z ręki, po prostu by się schylił i ją podniósł, zamiast wycofać się w pośpiechu, prawda? Książka leżała obok regału z nazwiskami autorów na „S”. Uklękłam powoli, żeby ją podnieść, bo wiedziałam... nie, przeczuwałam, kto jest autorem. – Spojrzała na Piotra, jakby chcąc się upewnić, że nadaża za jej tokiem myślenia. – To chore i niemożliwe, ale się zdarzyło.

Zawada milczał. Można było nawet odnieść wrażenie, że relacja nie robi na nim specjalnego wrażenia, ale przeczył timer wyraz skupienia w oczach, gdy skrzyżowały się spojrzenia obojga.

– Rano byłam niemal pewna, że to wszystko mi się przyśniło.

– Ale teraz już tak nie myślisz? Zdarzyło się coś jeszcze?

– Owszem. W Cafe Pineska, tu niedaleko, znasz ją? – Piotr skinął głową. – Wydawało mi się, że ktoś mnie cały czas obserwuje. To było tak przejmujące, że wręcz namacalne. A kiedy wróciłam z toalety, na moim stoliku leżała ta książka. Właścicielki powiedziały, że nie mają jej w spisie. Wierzysz mi?

Zamiast odpowiedzieć, podniósł ze stołu powieść i zaczął kartkować. Między stronami tkwił jak zakładka mały papierowy okręci timer.

– Dobrze się zastanów, czy nie dostałaś jakichś dziwnych mejli lub wiadomości? Nie zdarzył ci się głuchy telefon z nieznanego numeru czy też coś w skrzynce pocztowej albo jakiś świstek niewiadomego pochodzenia w kieszeni?

– Nic z tych rzeczy, zwróciłabym uwagę. Jest tylko to. – Wskazała książkę Joanny Sobolewskiej.

Piotr bez słowa przeszedł do przedpokoju. Z dochodzących stamtąd odgłosów

zorientowała się, że sprawdza zamki.

– Ewelina, od jutra dostaniesz ochronę – oświadczył, wracając na fotel. – Brakuje nam ludzi, ale jakoś to załatwię.

– Daj spokój, nie chcę! – sprzeciwiła się stanowczo. – Czułabym się, jakby mi odebrano całą prywatność.

– Przesadzasz. Będziesz po prostu bezpieczna, a ja...

– Myślę, że na razie nic mi nie grozi – przerwała mu z większą dozą pewności od tej, którą odczuwała. – Gdyby chciał mnie skrzywdzić, nie rozmawialibyśmy teraz. On potrzebuje kontaktu z nami, żeby napawać się swoją mocą, dosłownie grać nam na nosie, zwodzić i prowadzić w ślepe zaułki.

– Taka zabawa w kotka i myszkę może mu się kiedyś znudzić.

– Ale nieprędko, o nie. – Ewelina była zdecydowana bronić swoich racji. – Zresztą spójrz na to od innej strony, spróbuj postawić się na jego miejscu. Tego, że ktoś za mną chodzi i mnie ochrania, raczej nie da się ukryć. Myślisz, że morderca wystraszy się i zrezygnuje ze swoich planów?! Bo ja sądzę, że potraktuje to jako rodzaj wyzwania. Czyli ja wam pokażę, kto rozdaje karty! Jeśli się chwilę zastanowisz, to przyznasz, że teraz jestem bezpieczniejsza.

– Coś w tym jest – przyznał niechętnie. – Możesz mieć rację, jednak ignorowanie niebezpieczeństwa...

– Mam rację. Snujące się za mną cienie tylko by mi napędziły strachu. Nigdy nie byłabym pewna, czy to nie prześladowca, który wyczekuje najlepszej okazji.

– Nie doceniasz naszych wywiadowców. – Piotr wystukiwał palcami jednostajny rytm na blacie stołu. – W mieszkaniu raczej jesteś bezpieczna. Może weźmiesz urlop?

– Słuchaj, chcę prowadzić normalne życie i uczestniczyć w śledztwie. Jeśli zacznę drzeć przy każdym szmerze za ścianą i wychodzić w przebraniu po zakupy, to tylko sprawię mu satysfakcję, a on i tak będzie robił swoje.

– Czy ty przypadkiem nie chcesz go sprowokować? – spytał podejrzliwie.

– Może trochę, ale w innym sensie, niż myślisz. Jeśli nie zmienię nawyków, jednocześnie będę udawała przestraszoną, zacznę się oglądać na ulicy, słysząc za plecami kroki, podskakiwać na dźwięk klaksonu albo zapominać kodu domofonu, sprawca poczuje satysfakcję, jego pewność siebie ulegnie wzmocnieniu. A nadmierna pewność siebie prowokuje do popełniania błędów. To nie ja jestem jego celem, nie mieszczę się, że tak powiem, w jego grupie docelowej. Jestem mu wręcz potrzebna, bo pozbywając się mnie, traci niejako łączność z wami, ze swoją widownią.

– Coś w tym jest – powtórzył. – Jednak wolałbym, żebyś to nie ty występowała w tym spektaklu.

– Ale chcąc nie chcąc, zostałam wciągnięta na listę aktorów. Mam swoją rolę do odegrania, ochrona by tylko przeszkadzała.

Ewelina dostanie dyskretną obstawę, czy tego chce, czy nie. Najwyżej da mu po nosie, jeśli się zorientuje, ale powinna go zrozumieć.

– Nawet moja? – Coś w jego głosie świadczyło, że niewiele brakuje, by go ostatecznie przekonać.

– Muszę się zastanowić... Dobrze, angażuję pana, komisarzu.

– Nie wiem, czy pani dobrze przemyślała odpowiedź, bo nie zamierzam dać się zwolnić po okresie próbnym.

– Aha, szanowny pan zauważył, że zostało jeszcze trochę zrazów?

– Jestem dość spostrzegawczy, szanowna pani tego nie dostrzegła? – Niby to

przypadkiem zerknął w stronę łazienki. – I gotów własną piersią strzec pani przed najstraszliwymi zagrożeniami!

Ewelina rozlała do kieliszków resztę wina, przysięgając sobie solennie, że jeśli usłyszy choć słowo wątpliwości co do istnienia tamtego obrzydliwego pająka, który pojawił się w najmniej odpowiednim... albo w najlepszym momencie, to jutro kupi w sklepie zoologicznym żywego ptasznika i włoży go Piotrowi do teczki! No nie, żywy to przesada, zaprotestowała część umysłu odpowiedzialna za arachnofobię, tym bardziej że Piotr może sobie wierzyć, w co chce, jednak nigdy nie będzie pewny i niech tak zostanie...

– Nad czym tak się zamyśliłaś?

– A nie, nic takiego. – Machnęła dłonią, jakby odganiała komara. – Przyszło mi do głowy, że przywiązujemy nadmierną wagę do roli przypadku w naszym życiu. A naprawdę większość rzeczy „przypadkowych”, które nam się trafiają, i tak by się wydarzyła.

– Pomijając oczywiście wygraną w lotto. Ludzie mają do czegoś predyspozycje, czegoś mocno pragną, więc podświadomie są nastawieni na chwytanie okazji sprzyjających ich planom.

Ewelina, ziewając, podniosła się z fotela.

– Otóż to. A teraz mam ochotę na gorącą kąpiel.

– To może ja... – Piotr wyglądał na nieco zmieszanego. – Później?

– Co później? – spytała roztargnionym tonem, usiłując sobie przypomnieć, czy nie jest gdzieś umówiona na jutro. Kiedy pojęła sens pytania Piotra, była już w drzwiach łazienki. – A, chcesz się też wykąpać? – Udała, że głęboko się zastanawia. Na widok jego miny omal nie parsknęła śmiechem. – Ale będzie pewien problem...

– Jaki?

– Twój dres jest w praniu, a nie mam drugiego.

Nim Piotr zdobył się na celną ripostę, z łazienki dobiegał już szum lecącej do wanny wody.

Przegonił parę tyleż natrętnych, co głupich myśli, które zwykle lubią się pojawić wtedy, gdy wszystko na pozór pozytywnie się układa. Zapalił papierosa. Zdawał sobie sprawę, że profanuje dymem gniazdko Eweliny, a przecież był tutaj tylko gościem. A ona zносиła jego palenie, żeby czuł się bardziej komfortowo, lecz była to jedna z tych rzeczy, które toleruje się tylko początkowo, a w miarę upływu czasu budzą coraz większą niechęć. Tak, trzeba będzie rzucić wreszcie to gówno, zanim rzecz w istocie tak błaha popsuje ich relacje. Miał w teczce szczoteczka do zębów. Nowiutką. Przełożył ją szybko do kieszeni spodni – wyglądałoby co najmniej dziwnie, gdyby poszedł szykować sobie kąpiel z teczką w rękę.

Woda przestała lecieć, bardziej wyobraził sobie, niż usłyszał, dobiegające z łazienki pluski. Zrobił kilka kroków w tamtym kierunku, ale zatrzymał się w połowie drogi. To byłoby chyba zbyt odważne z jego strony, zbyt zaborcze. Wprawdzie nie przekreśliła rygielka blokującego zamek... Nie, na pewno nie. Ale mogła po prostu zapomnieć.

Żeby zająć czymś wymykające się spod kontroli myśli, postanowił zrobić trochę porządku na stole. Zebrał pozostałości ich biesiady i umieścił je w zlewie. Umył popielniczkę, lecz natychmiast zniweczył efekt kolejnym papierosem. Poprawił ustawienie foteli, wyrównał serwetę, położył pilota obok telewizora. Zauważył wystającą lekko szufladę komody i pchnął ją kolaniem, jednak stawiała opór, wysunął ją więc prawie do końca, licząc, że prowadnice wpasują się na swoje miejsce.

W środku leżało kilka papierowych okręćków. Jeden był pognieciony, wykonano go z zadrukowanej kartki o poszarpanym brzegu, inne prezentowały się lepiej. Piotr przypatrywał im się chwilę bezmyślnie, potem powędrował spojrzeniem w stronę stołu, gdzie tkwił papierowy

stateczek z książki znalezionej przez Ewelinę w Cafe Pineska.

Naraz wydało mu się, że słyszy z łazienki stłumiony okrzyk. Zdecydowanym ruchem wsunął szufladę na miejsce. Tym razem nie wystawała nawet o milimetr.

Już wcześniej postanowił, że Ewelina dostanie dyskretną ochronę. Teraz utwierdził się w swojej decyzji. Był pewny.

Rozdział 42

Maks Baron zalogował się na Facebooku i natychmiast dostrzegł, że pisarka jest online.

KLIK!

„Dzień dobry, jak miło cię widzieć. Dawno cię tu nie było. Pewnie piszesz nową książkę? Która to już? Nie, nie, nie odpowiadaj, podejść do półki i policzyć. Szósta, prawda? Bo stoi tu ich pięć, a chyba mam wszystkie. Śledzę na bieżąco twoje poczynania, przychodzę na spotkania autorskie, choć do tej pory nie starczyło mi śmiałości, żeby do ciebie podejść. Nie, mówię nieprawdę. Śmiałości do podejścia starczyło, w każdej książce mam dedykację. Nie starczyło mi tylko śmiałości na to, żeby powiedzieć: cześć, jestem Maks Baron, znamy się z Facebooka”.

Nie odpowiada. Postanowił zaczekać, mogła pójść do kuchni.

Zajął się przeglądaniem informacji od użytkowników. Ktoś zgubił psa, ktoś znalazł psa, zdjęcia ze schronisk dla zwierząt. Nawet szkoda mu było tych bezpańskich biedaków. Wziąłby jakiegoś, lecz często nie było go w domu, a zwierzę to nie bibelot, który można postawić na serwantce.

O, autorka zaczęła pisać.

„Dzień dobry, Maksie. Bardzo żałuję, że nie przedstawiłeś mi się na którymś ze spotkań. Naprawdę cenię sobie kontakty z czytelnikami, a przecież można powiedzieć, że Ciebie znam osobiście, prawda?”

Tak, to było prawdą.

KLIK!

Rozdział 43

Janusz Zamorski wstał od stołu, zebrał talerze i zaniósł do kuchni. Wstawił je do zlewozmywaka i chciał wyjść, ale cofnął się po chwili. Jednak parę rzeczy Justyna zdołała mu wpoić. Między innymi to, żeby nie zostawiać brudów w kuchni. Więc choć był sam w domu i żadnych gości się nie spodziewał, pozmywał naczynia, przetaił podłogę i z błogim westchnieniem zrobił sobie poobiednią kawę.

Justyna, zamyślił się. Zalaża mu za skórę jak nikt. I choć „podeptała jego godność” (zawsze tak myślał, w cudzysłowie), nie mógł wymazać jej z pamięci. Z tej dobrej pamięci. Nie miał pojęcia, dlaczego nie walczył mocniej i czemu pozwolił na ten głupi, niepotrzebny rozwód. Przecież chyba jasno wytłumaczył, że tamta sprawa z Weroniką to nic nieznacząca jednorazowa przygoda. Epizod, i tyle. Agnieszka to inna sprawa, ale o Agnieszce Justyna nic nie wie. Tak się zawzięła o to jedno głupstwo... Fakt, przespał się z inną, nie powinien. Ale taki wyskok nie powinien łamać życia im obojgu. Przecież się kochają, no, chyba, on w każdym razie tak. A ona? Czy gdyby naprawdę go kochała, nie umiałaby przebaczyć?

Kiedy Justyna pokazała mu drzwi, uniósł się honorem, wściekły niepomierne, że tak po prostu skreśliła tych kilka wspólnych lat i że w ogóle mogła okazać taki brak zaufania, żeby podejrzewać go o zdradę. Bez żadnej rozmowy, bez szansy na udowodnienie, że te podejrzania są po prostu bez sensu. Bo dla niego jednorazowe bara-bara w łóżku nie było zdradą. Zdrada jest wtedy, gdy odchodzi się od drugiej osoby uczuciowo, a Justyna nie chciała nawet słuchać jego zapewnień, że tak naprawdę nic się nie stało. No, może nie nic, ale – nic takiego.

Prawdą jest, że sam mógł wtedy jakoś rozwinąć swoją opowieść, wówczas był jeszcze na to czas. Gdyby znalazł odpowiednie argumenty, postarał się być bardziej przekonujący... Ale tak się wściekł, że po prostu trzasnął tymi pokazanymi mu drzwiami i wyszedł. Potem brnął przez cały ten rozwód, jakiś fikcyjny podział majątku, wyklócał się o obraz Marka, choć tak naprawdę to był tylko pretekst do spotkań z żoną, już byłą, bo ten cholerny rozwód jakoś przeprowadziła. Choć cały czas miał nadzieję, że to tylko farsa, że Justyna się opamięta i przerwie ów spektakl. No cóż, nie przerwała. Może zrobiłaby to, gdyby on dał jej taką możliwość, on jednak tkwił w swoim zaciętrzewieniu jak głupi osioł, którym niewątpliwie był.

Wprowadził się z powrotem do swojej kawalerki na Mokotowie. Gratulował sam sobie, że nie sprzedał tego własnego kąta po ślubie z Justyną, kiedy to zamieszkali w jej dużym, wygodnym mieszkaniu przy Marszałkowskiej, naprzeciwko Ogrodu Saskiego.

Najpierw chciał zlikwidować swoje mieszkanie, ale potem zrezygnował z tej myśli. Pieniądzy nie potrzebowali, mieli wszystko, a ponadto obydwójce nieźle zarabiali. Na rok wynajął kawalerkę synowi kuzyna, chłopak przyjechał do Warszawy na studia i nie miał się gdzie podziać. Jednak po roku, gdy zobaczył, co się stało z jego kątem (totalna dewastacja), na zawsze zrezygnował z prób wynajmu. Kuzynowi dał spokój, bo nie chciało mu się handryczyć, sam wyremontował mieszkanie i zamknął je na cztery spusty. Raz na jakiś czas jechał tam – on albo Justyna – zrobić generalne wietrzenie, nawet bez sprzątaniam, i tak było dobrze. Kiedyś pokłócili się o jakąś duperele i to właśnie Justyna chwyciła klucze od pokoiku na Bytnara i wyniosła się tam na dwa dni. Jednak nigdy więcej ani jej, ani jemu ów azyl nie był potrzebny.

Bardzo lubił – lubili obydwójce – mieszkanie Justyny. Najbardziej podobało im się sąsiedztwo Ogrodu Saskiego. Janusz – obieżyświat, wędrownik, miłośnik przyrody – bardzo

cierpiał pośród bloków i miejskiego gwaru. Kiedy tylko mógł, wychodził – sam lub z żoną – do najbliższej oazy zieleni. Najczęściej brali rolki, przechodzili na drugą stronę ulicy i założywszy kółka, wjeżdżali do parku, mknęli do Grobu Nieznanego Żołnierza, następnie zawracali, pędzili drugą alejką i tak powtarzali te swoje rundki po kilka razy, objeżdżając wszystkie dróżki, aż wreszcie zatrzymywali się nad stawem, wysypać pokrojone kawałki pieczywa kaczkom i łabędziom.

Potem zawsze siadali gdzieś przy fontannie – „w Saskim Ogrodzie koło fontanny” – na odpoczynek i by wzmocnić organizm jakimś kalorycznym batonem.

Czasami zaś po prostu szli na spacer, bez rolek. Mieli stałą trasę – przechodzili przez park do ulicy Aleksandra Fredry, potem skręcali w Wierzbową, potem w Niecałą i przez Canaletta docierali do Senatorskiej. Niekiedy przy placu Bankowym kierowali się w prawo, do swojej ulubionej księgarni, ale częściej szli w lewo i wracali do domu.

Po tym, jak Justyna praktycznie wyrzuciła Janusza z domu, te jego mokotowskie trzydzieści metrów kwadratowych bardzo się przydało. Z Marszałkowskiej zabrał tylko swój komputer i ubrania. Początkowo brakowało mu nawet garnków i talerzy, miał jedynie czajnik elektryczny i dwa kubki – kawa! – powoli jednak obrósł w utensylia kuchenne i nawet czasami sam sobie gotował obiad. Umiał i lubił. Niekiedy.

Potrafił sam wszystko zrobić i był samowystarczalny. Ale brakowało mu... Justyny. Codziennie pluł sobie w brodę i przeklinał własną głupotę. Zachował się jak obrażone dziecko. Bardzo głupiutkie na dodatek. Brakowało mu też Ogrodu Saskiego, tu najbliższym zielonym miejscem było Pole Mokotowskie, które jednak nie miało dla Janusza takiego klimatu jak tamten stary park. Poza tym teraz nie wystarczyło po prostu przejść na drugą stronę ulicy, trzeba było przejechać kawałek samochodem. A Janusz, jak już wsiadł do samochodu, to jechał... do Ogrodu Saskiego. Justyny jednak nigdy tam nie spotkał.

Z kawą w kubku z logo pewnej znanej kawowej marki (za którą akurat nie przepadał, ale kubek lubił) Janusz wszedł do pokoju i usiadł przy komputerze. Po monitorze latały bąbelki, jego wygaszacz ekranu. Energicznym ruchem myszki zmiotł je i otworzył folder „listy”.

„Kochanie – napisał. – Tęsknię za Tobą, znamy się tak krótko, a mam wrażenie, że to całe życie. Jak się czujesz i kiedy wracasz?”

Odsunął się lekko od komputera i zaciągnął się papierosem. Przez tę całą historię znowu zaczął palić. A taki był już z siebie dumny...

Rozdział 44

Zawada poczekał, aż Ewelina przesunie zasuwę w drzwiach i wsunie łańcuch na właściwe miejsce, mrugnął w stronę Judasza i zaczął iść na dół. Odgłos własnych kroków na schodach wydał mu się wyjątkowo głośny, drażnił niczym pękające pod stopami gałęzie w lesie, kiedy nie chce się płoszyć zwierzyny. Daleko mu było do spokoju, który przed nią udawał. To, co mówiła o tajemniczym prześladowcy i braku bezpośredniego zagrożenia z jego strony, miało sens dla psychologa, mogło się nawet sprawdzić, lecz dla Piotra było bardziej ćwiczeniem intelektualnym niż pewnikiem. Policjanci nie zdają się na przecucia, muszą brać pod uwagę wszelkie ewentualności, zwłaszcza te najgorsze. Obawy Piotra, gdy myślał o Ewelinie, mieszały się z zupełnie innym uczuciem, którego nie umiał dobrze określić. Zauroczenie? Chyba coś więcej, bo to by oznaczało nagłe wzniesienie płomienia, wprawdzie gorącego, jednak chybotliwego, który zgaśnie przy lada podmuchu. A nie był już nastolatkiem bez refleksji poddającym się wszelkim porywom serca. Ewelina zaprzętała jego myśli na długo wcześniej, niż coś między nimi zaiskrzyło, gdy łączyła ich tylko współpraca na gruncie zawodowym oraz relacje, które można by nazwać niezobowiązującą przyjaźnią. Tak, zwracała jego uwagę, czasem nawet folgował męskiej wyobraźni, i to w sposób daleki od poprawnego. Ciekawe, czy ona też...? Ale przecież nie zapyta o coś, do czego sam by się nie przyznał za żadne skarby świata.

Było dość wcześnie, ale Śródmieście już tętniło życiem. Przejechał kilka przystanków tramwajem i odszukał zaparkowany samochód. Rzucił na siedzenie teczkę, w której zadźwięczały zapasowe klucze od mieszkania Eweliny. Włączając silnik, pomyślał, że nieformalny etat osobistego ochroniarza ma swoje zalety. A największą jest to, że obydwójgu im będzie łatwiej wydobyć się z obecnego nieformalnego układu, gdyby się miało okazać, że jednak to tylko zauroczenie.

W komendzie pokręcił się chwilę po swoim pokoju, wypalił papierosa i poprzekładał jakieś papiery z jednej strony biurka na drugą. Nieświadomie odwlekał to, co zamierzał zrobić, jakby liczył, że coś lub ktoś zaabsorbuje nagle jego uwagę i zdejmie mu z barków obowiązek wykonania podjętej jeszcze wczorajszego wieczora decyzji. Nikt jednak nie zapukał do drzwi, a telefon milczał.

Wreszcie zaklął cicho, rąbnął pięścią w blat biurka i wyszedł z pokoju. Do gabinetu naczelnika wydziału dotarł w minutę i pozdrowszy sekretarkę, spytał, czy szef może go przyjąć.

– Teraz nie można mu przeszkadzać panie komisarzu – oznajmiła pani Krysia, oglądając wypielęgnowane paznokcie. – Przed chwilą przyszła podkomisarz Karwowska, naczelnik zabronił łączyć rozmowy i wpuszczać kogokolwiek... – Zawiesiła głos z miną sugerującą, że być może domyśla się czegoś więcej, jednak lojalnie zachowa swoje podejrzenia dla siebie.

Zawada nie podejrzewał inspektora Matysiaka o romansowanie z funkcjonariuszkami, był jednak mocno zaintrygowany wizytą Katuszy. Gdyby odkryła coś ciekawego w ich sprawie, powinna przyjść z tym do niego. Może Matysiak sam ją wezwał?

Piotr poprosił sekretarkę o powiadomienie, kiedy szef będzie wolny, i wrócił do gabinetu. Zamierzał wnioskować o dyskretną ochronę Eweliny. Nic, co wymagałoby zgody

sądu lub prokuratora, nawet nie ochronę w dokładnym znaczeniu tego słowa, tym bardziej że nie chciał narażać przyjaciółki na stres i łamać obietnicy. Ale istniała spora szansa, że na przykład wywiadowca mający oko na Cafe Pineskę i otoczenie dostrzeże kogoś zachowującego się nietypowo lub śledzącego profilerkę. Policjanci zajmujący się inwigilacją przechodzą odpowiednie szkolenie, potrafią wychwytywać niedostrzegalne dla innych szczegóły, wyłowić z anonimowego tłumu osobę, która ma coś do ukrycia lub za wszelką cenę pragnie w tym tłumie zniknąć. Piotr nie mógł spędzać z Ewelina tyle czasu, ile potrzeba czy też ile by pragnął, uznał więc, że nie nadużyje jej zaufania, przydzielając kogoś, kto śledziłby jej prześladowcę. Zwłaszcza że o niczym nie powinna się dowiedzieć. Dlatego najlepiej byłoby, gdyby inicjatywa wyszła od Matysiaka, po informacjach umiejętnie podsuniętych szefowi przez Piotra. Z tym akurat nie będzie raczej problemu.

Tymczasem wzrok nadkomisarza padł na dokumenty leżące na biurku. Od ubiegłego popołudnia nie było go w komendzie, po spotkaniu z Sobolewską został z Ewelina, a tymczasem nadeszły wyniki badań z laboratorium. Zaczął przeglądać je uważnie, automatycznie przekładając język naszpikowany specjalistyczną terminologią na proste stwierdzenia o łatwej do pojęcia treści. Często zdawało mu się, że specjaliści, zwłaszcza informatycy, lekarze i prawnicy, celowo używają swoistych dziwolągów językowych, by zaprezentować własną genialność, i przeżywają istne katusze, jeśli rozmówca, pytając o jakiś szczegół, używa potocznego sformułowania, które, o dziwo, trafnie oddaje istotę zagadnienia.

Sekcja zwłok Małgorzaty Słodkiej potwierdziła ustalenia z miejsca zbrodni. Uduśnienie miękkim materiałem, włókna znalezione na szyi denatki pasują do nitek pobranych z jej szalika. Brak śladów wskazujących, że ofiara się broniła, w jej organizmie nie stwierdzono obecności środków odurzających. Co oznacza, pomyślał Zawada, że albo znała zabójcę, albo nie obawiała się go, jak nie obawiamy się listonosza czy dostawcy pizzy. Zniknięcie z mieszkania tajemniczego obrazu oddanego denatce na przechowanie przez autorkę mogłoby wskazywać na Krzysztofa lub byłego męża Sobolewskiej. Ale też niewykluczone, że sprawca specjalnie tak to zaaranżował. Trzeba dokładnie przeanalizować to tajemnicze dzieło i sprawdzić amatorów malarstwa Cyglera. Szykowało się sporo roboty.

Odezwał się aparat na biurku, zielona dioda sygnalizowała wewnętrzne połączenie.

– Stęskniona? Wpadnij do mnie, jest parę rzeczy do omówienia – rzucił w przekonaniu, że dzwoni Katusza.

– Panie komisarzu, ma się pan zameldować u inspektora. – Głos sekretarki zabrzmiał wyjątkowo oficjalnie. Piotr powstrzymał się od próby naprawienia niezręczności, gdyż podejrzewał, że nad głową kobiety stoi szef. – Natychmiast.

Odłożył delikatnie słuchawkę i zapalił papierosa. Lampka alarmowa w mózgu zamigotała słabo, jakby niezdecydowanie, ale nie chciała zgasnąć. Coś się działo wokół niego lub śledztwa, czuł to wyraźnie. Nic dziwnego, przecież nie była to tuzinkowa sprawa, aż dziwne, że media jeszcze nie trąbiły na wszystkich kanałach o grasującym na wolności zwyrodnialcu. Jeśli, a raczej kiedy, dziennikarskie sępy zwietrzą sensację, dodatkowym bodźcem do snucia karkołomnych teorii stanie się pleć ofiar. Swoją drogą, to chyba nie przypadek, że morderca wybierał wyłącznie kobiety? Na razie. Cholera, Matysiak będzie żądał wyników, a co dostanie? Masę hipotez i mało konkretny portret psychologiczny sprawcy.

Oraz wiadomość od seryjnego zabójcy, przesłaną im za pośrednictwem Eweliny.

Lampki alarmowe w głowie nie gasły. Mimo że naczelnik czekał, Zawada, tknięty jakimś przeczuciem, podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę o połączenie z laboratorium.

– Tu Zawada, czy doktor Olewiński jest zajęty?

– Chyba może podejść. Zaraz poproszę.

Oczekiwanie na rozmowę z kierownikiem laboratorium przedłużało się. Byli dobrymi kolegami i Piotr wolałby wpaść osobiście do jego sanktuarium, lecz brakowało czasu na nadrabianie towarzyskich zaległości pod pozorem wypełniania obowiązków służbowych. Niejeden raz już to praktykowali, dzięki czemu Piotr zawsze mógł liczyć na garść wiadomości poza protokołem. Nieoficjalnych i niepotwierdzonych ostatecznie dziesiątkami żmudnych analiz, lecz zwykle trafnych. Widać nawet w dziedzinie badań kryminalistycznych, obarczonej rygiorem wnioskowania oraz wydawania ostatecznych werdyktów tylko na podstawie potwierdzonego materiału dowodowego, niebagatelną rolę odgrywają intuicja i doświadczenie. A tych nie można było odmówić towarzyskiemu naukowcowi.

- Czołem, żołnierzu! – Wesoły okrzyk w słuchawce wyrwał Piotra z zamyślenia.
- Spirytus do dezynfekcji narzędzi wyszedł, więc musisz przynieść własny, ja załatwiam zakąski.
- Wy tam nie wyszliście z epoki samogonu? Ludzie o mojej pozycji nie pojawiają się z niczym poniżej trzygwiazdkowego koniaku.
- To ma związek z liczbą gwiazdek na pagonach? Sorry, stary, nie widziałem cię nigdy w stroju galowym. – Doktor Olewiński był zdeklarowanym wrogiem wszelkiego splendoru i używania oficjalnych tytułów. – Nie zapomnij przypiąć orderów, kiedy się u mnie zmaterializujesz.
- Słuchaj, dostałem wyniki, właśnie je przeglądam. – Piotr uznał, że pora przejść do sedna, bo Matysiak lada moment straci cierpliwość i kogoś po niego przyśle.
- Aha, znów mam ci tłumaczyć z naszego na polski? To twoja podopieczna zapomniała po drodze, co jej przez cały ranek objaśniałem? Albo jest wyjątkowo odporna na wiedzę, albo mój niezaprzeczalny urok osobisty tak na nią podziałał.
- Katusza była u ciebie?
- No przecież sam ją przysłałeś.
- Tak, no tak... – Jeśli Zawada był czegokolwiek pewny, to tego, że nie zlecał Katarzynie wizyty w laboratorium. – Nie myślałem, że już się uwinęła. Zostawiła papiery i gdzieś ją wzięło. Zaraz mam być u naczelnika, może byś mi streścił, tak w zarysie, co zdołała od ciebie wydobyć?
- Nic szczególnego, czego byś nie miał w dokumentacji. Pytała o Ewelinę Zaczeską, tę waszą profilerkę. Nawet trochę mnie to zastanowiło. Przecież praktycznie zawsze się zdarzy, że ktoś z ekipy śledczej zostawi jakieś odciski palców tam gdzie nie należy. Po to mamy zestawy waszych linii papilarnych, żeby w pierwszej kolejności je wyodrębnić spośród reszty i nie umieszczać w protokole z miejsca zdarzenia. A ta twoja Katusza... – przy słowie „twoja” Olewiński uczynił znaczącą pauzę – drążyła temat, jakby Zaczaska była główną podejrzaną. Czyżby ta profilerka zalaża jej za skórę? Obie panie niespecjalnie się dogadują, co?
- E, takie tam animozje kompetencyjne. – Zawada zbagatelizował kwestię. – Będę musiał zwrócić uwagę Zaczeskiej. Gdzie zostawiła odciski?
- Na jednym z tych papierowych okręcików. Możesz jej w moim imieniu zmyć głowę. Na kartce wcale nie łatwo zostawić ślady linii papilarnych, musiała więc wziąć okręciak spoconą ręką i trzymać go dość długo. Czy wy tam w ogóle zwracacie uwagę na procedury?!
- Czekaj, gdzie to było? – Zawada wertował dokumenty. – Okręciak z papieru znajdowano przy każdej z ofiar.
- Odciski Zaczeskiej były na tym, który dostarczono nam z mieszkania ostatniej ofiary. Lampka na telefonie nadkomisarza zasygnalizowała oczekujące połączenie.
- Cholera, muszę lecieć do starego, zajrzę do ciebie później.
- Ładny tam macie...

Piotr odłożył słuchawkę, dopowiadając sobie w myślach pełne ekspresji określenie, jakiego zapewne użył Olewiński. Nie sprawdzając, kto go poszukiwał, wyszedł z pokoju i ruszył wprost do gabinetu przełożonego. Strzegąca jaskini smoka pani Krysia popatrzyła znacząco na ścienny zegar, a następnie z pełnym dezaprobaty wyrazem twarzy wskazała obite imitacją skóry drzwi. Piotr zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę, zresztą i tak nie było w co zapukać.

– Cześć – zaryzykował nieregulaminowe powitanie, upewniwszy się prędkim rzutem oka, że naczelnik wydziału jest sam. Przeszli na ty przed paru laty, po kilku wspólnych akcjach w terenie. Kiedy Matysiak awansował, towarzyskie stosunki uległy rozluźnieniu, ale nie do tego stopnia, by stały się wyłącznie oficjalne.

– Siadaj.

Przełożony wstał zza biurka i zaczął spacerować wzdłuż wypełnionych segregatorami regałów. Piotr znał go na tyle, żeby wiedzieć, że takie zachowanie nie zwiastuje niczego dobrego. Usiadł przy stoliku dla gości.

– I co ja mam, kurwa, z tobą zrobić?

Zawada nie odpowiedział, uznając pytanie za czysto retoryczne, stanowiące wstęp do czegoś, na co zapewne żaden z nich nie miał ochoty. Nie pomylił się.

– Dlaczego nie przyszedłeś do mnie, dostałbyś wsparcie i sprzęt. No, kurwa, dlaczego?! – Piotr dalej nie odpowiadał, choć przyczyna złego humoru szefa, jeśli można to było tak określić, stała się jasna. – Albo bym cię przymknął przewencyjnie na czterdzieści osiem godzin i dzisiaj jeszcze byś mi za to dziękował!

Musiało chodzić o Gdańsk. Nic innego nie mogło tak wyprowadzić byłego już chyba kumpla z równowagi. Najpewniej nie toczyło się jeszcze żadne oficjalne postępowanie, jednak zaczynało się chronienie tyłków. Wiadomości dotarły do Warszawy nieoficjalnymi kanałami albo we wszystkim maczała palce Katusza, która postanowiła zagrać o całą pulę.

– Kto przejmuje śledztwo? – Piotr wstał; przez chwilę mierzyli się wzrokiem. – Mulak czy Katusza?

– Jeszcze nie podjąłem decyzji. – Matysiak podszedł do drzwi i niespodziewanie przekręcił klucz w zamku. – Siadaj, Piotrek, musimy pogadać. Nie będę ci truć dupy ani bawił się w dyplomację. Gównu wylądowało w wentylatorze, tylko patrzeć, jak ktoś go włączy.

Nadkomisarz zapalił papierosa. Nie miał ochoty na kolejną szczerą rozmowę. Dotąd zwierzył się córce, Ewelinie i Katuszy. W przypadku tych dwóch ostatnich miał coraz więcej wątpliwości, czy postąpił słusznie, choć z całkiem innych powodów.

Naczelnik wyciągnął z szafki napoczętą butelkę i dwie szklanki. Napili się w milczeniu niczym alkoholicy, dla których jakość trunku i ceremoniał picia jest bez znaczenia, liczy się tylko efekt.

– Chcesz wiedzieć, co się zdarzyło w Gdańsku? – Piotrowi nie smakowała wódka; papieros pomógł, lecz jeszcze bardziej pomogłoby coś do popicia.

– Wiem, co tam się wydarzyło. A jeśli nie wszystko, to tym lepiej. – Matysiak otworzył okno i wrócił na krzesło obok Piotra. – Jak Magda to zniosła? – spytał niespodziewanie miękim głosem.

– Lepiej niż się spodziewałem. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– To dobrze.

Piotr czekał na pytanie o Elżbietę, jednak nie padło. Zamiast tego szef oznajmił bezbarwnym tonem:

– Od czterech dni jesteś na urlopie. Miałeś dwa tygodnie zaległego z ubiegłego roku i cały tegoroczny. Powinno wystarczyć.

- Na co?
- Na zamknięcie śledztwa w Trójmieście. Rozumiesz?

Zawada kiwnął głową. Komunikat z niewypowiedzianym głośno przesłaniem był zupełnie jasny – sprawa nie będzie miała dalszych konsekwencji, jeśli nie wypłyną żadne łączące go z nią okoliczności. Wróci z urlopu i podejmie służbę. Lecz jeśli coś go obciąży, to tylko jego, nikt się za nim nie wstawi, przełożeni rzucą go na pożarcie i umyją ręce. Był na urlopie, działał sam i na własną odpowiedzialność. Koniec kropka, pozamiatane.

– Rozumiem. – Był wdzięczny staremu kumpłowi za uczciwe postawienie sprawy. I dobrze wiedział, że Matysiak mógł to załatwić zupełnie inaczej. – Więc kto przejmie sprawę naszego seryjnego?

- Interesuje cię to? Co za różnica?
- Przecież muszę przekazać dokumenty i streścić stan śledztwa.

Tak naprawdę pragnął się zorientować, czy to Katusza go sprzedała w zamian za możliwość przejęcia sprawy, mogącej się okazać trampoliną w karierze. Matysiak w żaden sposób nie pokazał, że domyśla się jego intencji. Po chwili zastanowienia powiedział:

– Nadkomisarz Mułak zajmie się koordynacją działań i oficjalnie przejmie śledztwo. Podkomisarz Karwowska będzie działać niezależnie, zbada pewne interesujące wątki. Na własną zresztą prośbę. Coś jeszcze?

– Tak, jedna sprawa. – Zawada stracił nadzieję, że dowie się więcej o rzeczach odbywających się za jego plecami. Ale na jednej rzeczy zależało mu bardziej. – Chodzi o naszą profilerkę, Ewelinę Zaczeską. Delikatna sprawa, trzeba by ją dyskretnie...

– Wiem, co podejrzewasz. – Naczelnik przerwał mu, nie omieszkawszy wykorzystać okazji, by podkreślić, że nad wszystkim panuje i jest doskonale poinformowany. – Karwowska naświetliła mi sytuację. Cholerny pasztet, mam nadzieję, że się myli. Na razie są tylko poszlaki wskazujące, jakoby nasza pani psycholog postradała zmysły i osobiście zajęła się ekspediowaniem bliźnich na tamten świat. Ale i nie zdziwiłbym się specjalnie. Nigdy jakoś nie miałem zaufania do psychiatrów i im podobnych. – Skrzywił się i nie zwracając uwagi na nagłą zmianę wyrazu twarzy Piotra, wylał resztę płynu do szklanek. – Gdyby rzeczywiście miało się okazać, że to ona jest sprawcą, najlepiej byłoby nie ujawniać, że współpracowała z nami. Szlag by to trafił, jednak Karwowska może mieć rację, więc dostała zadanie specjalne. Rozpracuje dyskretnie ten wątek. – Stuknął w szklaneczkę Piotra. – Ty chyba sporo miałeś z nią do czynienia, dobrze ją znasz?

Piotr napił się i zaciągnął papierosem. Ewelina nie powiedziała mu wszystkiego? Miał ochotę z całej siły rąbnąć butelką o ścianę, lecz powstrzymał się przed jakąkolwiek manifestacją szarpiących nim emocji, bo w ten sposób straciłby ostatnią okazję, żeby dowiedzieć się, jak wiele brudu przykleiło się do Eweliny. I czy będzie w stanie go z niej zeskrobać.

– Znam ją o tyle, o ile da się poznać kogoś widywanego przelotnie – skłamał, gasząc starannie papierosa w popielniczce. – Ale moim zdaniem to ślepy strzał. Nie ten typ osobowości, to osoba raczej od myślenia niż od działania. – Przypomniał sobie, czego dowiedział się od doktora Olewińskiego. – Odciski palców u Małgorzaty Słodkiej? To może być istotne, ale w innym sensie. Katusza nie zna całości, więc trochę pobłądziła, kiedy mnie nie było.

Matysiak pytająco uniósł brwi.

– Spodziewałem się, że sprawca spróbuje zagrać nam na nosie albo skierować nas na manowce. On nie zamierza być niewidzialną ręką, łaknie rozgłosu, chce budzić strach i uznanie. Pragnie błyszczeć i rozdawać karty w grze. Więc było niemal pewne, że postara się

w taki czy inny sposób z nami skontaktować. – Zawada wyjął następnego papierosa, kątem oka obserwując, czy przełożony chwyta przynętę. – I to, jak mi się zdaje, właśnie nastąpiło.

– Możesz wyrażać się jaśniej?

– Nie spodoba ci się to. – Pstryknął zapalniczką. – Ale postaw się w mojej sytuacji. Błądziłem we mgle, a on śmiał się w kułak i planował następne morderstwa. Obawiałem się, że nawiąże kontakt przez media, to byłoby najprostsze, a zarazem katastrofalne. Pismaki sieją panikę, politycy wymądrzają się w telewizji, zewsząd naciski i żądanie efektów. To by go jeszcze bardziej nakręciło, poczułby się jak jakiś pieprzony celebryta. Przypisywano by mu każde niewyjaśnione zabójstwo, tylko patrzeć, kiedy znalazłby naśladowców.

– Ja to wszystko wiem, nie musisz mi tu robić wykładu o wpływie środków masowego przekazu na nastroje społeczne. – Komórka naczelnika zagrała drażniący refren, rzucił okiem na wyświetlacz, zaklął bezgłośnie i wcisnął czerwony klawisz. – Mów do mnie po ludzku, co zrobiłeś?

– Jestem w stałym kontakcie z naszą profilerką. Podjąłem pewne działania... no dobra, mówiąc językiem prawniczym, nawiązałem z nią intymne stosunki. – Zawada postanowił pójść na całość, pamiętając, że Katusza będzie nękać Ewelinę i prędzej czy później odkryje prawdę. – To nie miało się znaleźć w protokole z działań operacyjnych, ale użyłem jej jako przynęty. Nasz seryjny szukał kontaktu i przypadkowo podsłuchał w bibliotece jakąś rozmowę Zaczekskiej, zorientował się, kim jest Ewelina. Dał jej sygnał, nie była pewna jego znaczenia, jednak powiedziała mi. Wyczułem okazję, żeby ostrożnie go namierzyć, nie płosząc przedwcześnie. Mniejsza o szczegóły, ale opłaciło się. Maniak zaczął od podrzucenia w paru miejscach papierowych stateczków z jej odciskami. Nie wiem, skąd je wziął, ale o to w gruncie rzeczy nietrudno. Praca, kawiarnia, biblioteka, jest sporo miejsc i okazji, a on jest cholernie sprytny. I ostrożny. Nie widziałem go, ale czuję, że jest coraz bliżej niej.

– Kurwa. – W tym jednym słowie Matysiak zdołał zawrzeć podziw, naganę i targające nim wątpliwości. Najwyraźniej nie wiedział, co począć z uzyskaną informacją. – Piotrek, ja nie chcę o niczym wiedzieć. Przecież jeśli coś jej się stanie... Tu już nie chodzi o konsekwencje personalne, tylko o narażanie niczego nieświadomej osoby, kogoś z zewnątrz, na niebezpieczeństwo. Skończ to!

– Już za późno. Nie doceniłem jego determinacji i pewności siebie. Przeszarżowałem, ale nie cofnę czasu, a ona jest już na liście tego maniaka. Chodzi za nią, zostawia dyskretne znaki w miejscach, o których nikt postronny nie powinien wiedzieć, krąży wokół niej niczym jakiś nieśmiały adorator.

– Nieśmiały adorator, też mi porównanie! – Matysiak zmełł w ustach przekleństwo.

– Ta kobieta jest świadoma zagrożenia?

– Nie jest głupia. A jeśli ją teraz nagle porzucę i będzie całkowicie odsunięta od sprawy, stanie się bezużyteczna dla zabójcy. Trudno przewidzieć, co ten psychopata wtedy wymyśli.

– Nie rób ze mnie idioty, obydwaj dobrze wiemy, że potraktuje ją jak cel na strzelnicy! A przy zwłokach zostawi ten cholerny papierowy stateczek.

– To tylko przypuszczenie. Gdyby dać jej ochronę...

– Na jak długo, tydzień, pół roku? Mam oddelegować do niej najlepszych ludzi, kiedy tymczasem jakiś psychol będzie sobie spokojnie typował kolejne ofiary? A na deser rozwali naszą profilerkę?!

– To moja wina. – Zawada położył na stole legitymację. – Zdaję sobie sprawę, że zawałem. Nie masz wyboru, musisz zawiesić mnie w obowiązkach i wszcząć postępowanie dyscyplinarne. Przynajmniej uchronisz wydział przed poważniejszymi konsekwencjami.

– Jak ja cię, kurwa, zawieszę, to te sępy z kontroli wewnętrznej zrobią mi w wydziale taki kipisz, że połowa ludzi pójdzie na zieloną trawkę!

– Wezmę wszystko na siebie.

– Gówno weźmiesz! Już ci mogę zacytować wnioski z kontroli: kompletny brak nadzoru przełożonych, niekompetencja połączona z nagminnym łamaniem procedur, samowola i brak dyscypliny oraz stosowanie metod niezgodnych z przepisami. – Matysiak energicznie wstał od stołu, wrzucił pustą butelkę do szuflady, skąd doszedł brzęk jej siostry bliźniaczki, i to raczej niejednej. – Nie, idziesz na urlop, tak jak powiedziałem!

– Ale...

– Żadne ale. Posłuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał. – Kwestia żywcem zaczerpnięta z popularnego serialu nie wywołała na twarzy Zawady cienia uśmiechu. Zagrał *va banque* i za moment miało się okazać, czy nie strzelił sobie w stopę. – Masz nowe zadanie, przykleisz się do profilerki, będziesz jej pilnował i jednocześnie szukał śladów, powiązań, w ogóle wszystkiego, co łączy ją w jakikolwiek sposób z osobą domniemanego sprawcy. Urlop potraktujemy jako przykrywkę, ale nie chcę cię widzieć w komendzie. Twoim łącznikiem będzie podkomisarz Karwowska.

Piotr zacisnął pod stołem pięści, żeby najmniejszym gestem nie okazać przepełniającej go fali ulgi i zadowolenia. Zablefował ostro, lecz rezultat przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Matysiak nie zrobił tego wyłącznie przez wzgląd na starą przyjaźń. Chronił własny tyłek i wydział, przy okazji zdejmując z siebie bezpośrednią odpowiedzialność za poczynania podwładnego, bo gdyby sprawy miały przyjąć zły obrót, okazałoby się, że Zawada był na urlopie i działał samowolnie.

– Mulak może mieć zastrzeżenia – zauważył.

– Biorę to na siebie.

Piotr był już przy drzwiach, kiedy doleciało go wypowiedziane przyciszonym głosem pytanie:

– Zdradzisz mi coś jak staremu kumplowi?

Popatrzył przez ramię na dziwnie obojętną twarz naczelnika.

– Nie pytałbyś o tajemnicę państwową, więc chyba nic nie ryzykuję. Wal.

– Jaka jest ta profilerka, warto było?

Piotr zagryzł wargi. Na chwilę zapomniał, gdzie jest, poczuł zapach jej włosów i smak ust, paznokcie wbijające się w jego plecy, gdy przyciskał ją do siebie, mocno, coraz mocniej, aż do bólu...

Powoli skinął głową.

Matysiak posłał mu długie, uważne spojrzenie. Potem odwrócił się i podszedł do okna. Wychodząc z gabinetu naczelnika, Piotr miał dziwne wrażenie, że został przejrany na wylot.

Kiedy opuszczał komendę, pomyślał, że w miejsce jednego załatwionego problemu, jakim byłaby Katusza stojąca na głowie, żeby uczynić z Eweliny główną podejrzaną oraz dowieść swoich racji, co nieuchronnie dałoby solidnego kopa jej karierze, pojawił się kolejny, i to znacznie poważniejszy. Przynajmniej z jego punktu widzenia.

I ciągle była nim Ewelina.

Widział u niej w szufladzie kilka papierowych okręćków. Nie wspomniała o nich ani słowem, mimo że pokazała mu ten z Cafe Pineska, odkryty w książce zostawionej przez sprawcę. Wiedziała, że to ważny ślad, sama zwróciła mu na to uwagę, więc skąd wzięły się u niej pozostałe? A ten znaleziony u autorki przez Katuszę? I co on właściwie wiedział o nękanii jej przez zabójcę? Wszystko. Że psychol był w bibliotece i nieprzypadkowo natknął się na Ewelinę – coś bardzo mało prawdopodobnego, a jednak się zdarzyło. Że odkrył, gdzie

ona mieszka i jaka jest jej ulubiona kawiarenka, a potem zostawił tam wiadomość w postaci książki. Więc on, Piotr, wiedział wszystko? Tak, lecz owo „wszystko” pochodziło z jednego źródła.

Od Eweliny.

Pomyśl, że to ona może być seryjnym zabójcą, prowadzić podwójne życie, skrywać w sobie dwie osobowości, z których jedna momentami staje się tą dominującą i przejmuje władzę nad jej umysłem i wolą, wydawał się zupełnie absurdalny. To byłoby tak, jakby nagle się przekonać, że ktoś najbliższy, w kim pokładamy tę bezgraniczną ufność, jaką zyskuje się w ciągu długich lat wspólnego przedzierania się przez życie, nagle okazał się kompletnie inną osobą, kimś pozbawionym uczuć i sumienia. Nadkomisarz nie chciał i nie potrafił przyjąć tego do wiadomości, bo oznaczałoby to, że już nawet sobie nie może zaufać. Jednak z racji wykonywanego zawodu dysponował wiedzą obcą większości społeczeństwa. Nie mógł zamykać oczu na fakt, że ludzie z pozoru najzwyczajni, przykładowi mężowie, żony, wzorowi rodzice, dokonywali niekiedy zbrodni, przed którymi wzdragałby się niejeden zawodowy morderca. Skrajne okrucieństwo, nieporównywalna z niczym ekstaza na widok krwi i cierpienia ofiar, były wynikiem niepoddającej się leczeniu dewiacji. Skrywanej w najtajniejszych zakamarkach duszy, przez lata w skrytości podsycanej, dopieszczanej niczym wyobrażenie nienarodzonego jeszcze dziecka.

Ale to wszystko nie pasowało do Eweliny. Chociaż ona sama wspomniała, że sprawca może być kobietą. Mimo wszystko to nie mogła być ona!

Lecz jeśli się mylił, ktoś zapłaci za to najwyższą cenę.

Rozdział 45

Piotr zawrócił, choć był już przy swoim samochodzie. Cały czas, nawet podczas rozmowy z naczelnikiem, coś go nurtowało i nie mógł sobie uzmysłowić, o co chodzi. I właśnie teraz, kiedy sięgał już do kieszeni marynarki po kluczyki od samochodu, wyskoczyło jedno słowo: Cygler. Może dlatego, że gdy spojrzął na drugą stronę, na Andersa, w oczy rzucił mu się duży napis „Galeria paznokci”. W pierwszej chwili trochę się pośmiał; same galerie, pomyślał, ale galerii paznokci jeszcze nie widziałem – już po chwili jednak wyraz „galeria” skojarzył mu się z wystawą malarską, stąd myśl o artyście, o którym słyszał ostatnio za często, jeśli wziąć pod uwagę, że generalnie mało się interesował malarstwem.

Wszedł do komendy, machając ręką do dyżurnego w okienku.

– Zapomniałem o czymś – rzucił, ale całkiem niepotrzebnie, tamten ledwo na niego spojrzął.

Zawada włączył komputer, wpisał w Google nazwisko malarza i aż się zdziwił ilością informacji i odnośników, jakie pojawiły się na ekranie.

Absolwent... uczeń... wystawiał swoje dzieła w...

Zaskoczyło go, że prace Cyglera były wystawiane w wielu miastach całej Europy.

Obrazy, a właściwie ich zdjęcia prezentowane w Internecie, naprawdę się Zawadzie podobały. Jasne, mógłbym mieć coś takiego, zadumał się, patrząc na leśną dróżkę w sosnowym lesie. Przez korony drzew prześwitywały promienie słoneczne, malując miłe dla oka wzory na mchu. Delikatna mgiełka kładła się na tym zielonym dywanie, a słońce ją przeganiało. Teraz jeszcze bardziej pragnął zobaczyć, jak wyglądał obraz skradziony z mieszkania Małgorzaty Słodkiej. Ciekawość zżerała go do tego stopnia, że wyciągnął z kieszeni telefon i z folderu „kontakty” wystukał numer Sobolewskiej.

– Dzień dobry, pani Justyno, nie przeszkadzam? Nie, nic nowego się nie stało

– odpowiedział na jej pytanie. – Na szczęście, bo i tak za dużo już jest tego, co mamy. Dzwonię – dodał, uprzedzając kolejne pytanie – żeby spytać panią o ten obraz Marka Cyglera. Ten, który zginął z mieszkania pani przyjaciółki. Proszę mi go dokładnie opisać. – Zastanowił się i po chwili dodał: – Zaraz, chwileczkę, jestem bardzo blisko pani domu. Mogę wpaść na kwadrans? Będzie nam się lepiej rozmawiało.

W zamyśleniu odłożyłam słuchawkę, zamyśliłam się przez chwilę. Telefon nadkomisarza i pytania o zaginione dzieło Cyglera spowodowały, że przed moimi oczami zaczęły się przewijać obrazy... piasek, słońce, skrzeczące mewy. Potrząsnęłam głową. Na wspomnienia przyjdzie jeszcze czas, teraz powinnam się skupić na rozmowie z tym policjantem, tym bardziej że właśnie rozległ się sygnał domofonu.

Zaniosłam do pokoju zaparzoną przed chwilą herbatę i bez pytania dołożyłam do szklanki gościa dwa plasterki cytryny.

Obraz? No dobrze, zastanowiłam się i opisałam mu ten obraz najrzetelniej, jak umiałam.

– Jak ocenilaby pani to malowidło? – spytał po chwili namysłu.

– Pod względem?

– Pod względem jego wartości artystycznej. A może nie, lepiej pod względem jego wartości, nazwijmy to, rynkowej. Ile mógł być wart? Marek Cygler jest popularny, to już wiem,

jego dzieła są chyba w cenie?

– A wie pan – odrzekłam z leciutkim uśmiechem i choć prawie go nie było widać, komisarz chyba wyczuł lekkie rozbawienie w moim głosie, bo sam uśmiechnął się szeroko – prawie identyczne pytanie zadał mi Krzysztof na naszym pierwszym i ostatnim spotkaniu u Małgosi.

– Pan Wolański, tak? – upewnił się Zawada. – Ten jej... – Zawahał się.

– Mężczyzna jej życia. Tak mówiła. – Pociągnęłam nosem, zauważając w myślach, że ten Krzysztof był mężczyzną końca jej życia. Racja, Wolański, przypomniałam sobie nagle jego nazwisko. – Tak, właśnie tak się nazywał.

– Proszę mi o tym opowiedzieć. Tak dokładnie, jak tylko pani pamięta.

Przez chwilę nie rozumiałam, o co mu chodzi. Jak pamiętam nazwisko Krzysztofa? Ocknęłam się jednak, odsuwając z pamięci rozpacz, jaka ogarniała mnie za każdym razem, gdy ktoś wspominał Małgosię. Opowiedzieć o Krzysztofie? Już mówię. Pociągnęłam nosem raz jeszcze i skupiłam się. Opowiedzieć, proszę, mam konkretne zadanie do wykonania, nie będę więc teraz się roztkliwiać. Popłaczę sobie później, jak ten policjant już pójdzie.

Opowiedziałam więc kolejny raz o całej wizycie u Małgosi. O tym, jak bardzo się wtedy postarała, jak smaczne było jedzenie, nawet o tym, jak głupie wydawały mi się wtedy pochwały Wolańskiego.

– „A ten obraz to chyba dużo jest wart” – przytoczyłam pytanie, czy może raczej stwierdzenie Gosinego mężczyzny życia. – „Ten twój. Małga mówiła, że ten malarz robi furorę i jego obrazki idą jak ciepłe bułeczki”. To był cytat – wyjaśniłam panu Zawadzie i aż prychnęłam, przypominając sobie znienawidzone przez nas obydwie zdrobnienie imienia Małgosi. – I wie pan, panie komisarzu? – Wyginałam sobie palce. – Ona, jak ktoś tak ją nazwał, najeżała się i bzycała jak wściekła osa. A temu całemu „Krzysiovi”, jak na niego mówiła, pozwalała na wszystko. Nawet mógł się do niej zwracać „królowo”, a ona nic.

No cóż, przegrałam wreszcie walkę z ciekącym nosem i rozplakałam się w chusteczkę.

– Zła byłam na nią za to – chlipałam. – Gdybym tylko wiedziała...

Zawada patrzył na mnie bezradnie, jakby nie wiedział, co robić. Pewnie raczej rzadko zdarzało mu się widywać w swojej pracy płaczące kobiety – i jak większość mężczyzn zapewne sobie z taką sytuacją nie radził. Już słyszę, jak mówi, że woli patrzeć na cichego nieboszczyka niż na beczącą babę.

Na szczęście przestałam płakać tak szybko, jak zaczęłam.

– Nie znam się na cenach obrazów – podjęłam temat, jakby nigdy nic. – Wiem tylko, że Marek był dość popularny, wystawiał swoje prace również za granicą.

Nadkomisarz spojrział na mnie, jakby już to wiedział, nie odezwał się jednak.

– To mogłoby oznaczać, że jego obrazy nie są tanie. Zna pan naszych rodaków, często bardziej liczy się blichtr niż rzeczywista wartość. A nie szukał pan w necie? Tam chyba są ceny, przy opisie na aukcji albo na stronie internetowej Marka, gdzie wystawia swoje prace.

– Cóż, jestem skończonym osłem – powiedział zawstydzony. – Buszowałem po Internecie, przyznaję, ale ograniczyłem się do informacji profilowych o Cyglerze i nie szukałem już innych stron. Ale teraz chodzi mi o wartość tego konkretnego obrazu.

– Nie odpowiem panu. – Na chwilę znowu cofnęłam się w przeszłość. – Ten obraz dla mnie miał wyłącznie wartość sentymentalną. Dostałam go na imieniny i nigdy nie patrzyłam na niego jak na obiekt, który można wystawić na sprzedaż.

Zawada uklonił się, podziękował za herbatę i poszedł, a ja, zgodnie z obietnicą złożoną samej sobie, dopiero teraz solidnie popłakałam, wspominając przyjaciółkę.

Rozdział 46

Spojrzałam ze złością na wyjęte ze skrzynki pocztowej awizo. Muszę teraz lecieć na Senatorską, pomyślałam z niechęcią. A tu w komputerze kolejna powieść, dobrze ją się pisało, miałam wenę i chciałam to wykorzystać. Jednak... awizo... nie mogłam się oprzeć. Nie miałam pojęcia, cóż to może być. List polecony? Mam nadzieję, że nie z urzędu skarbowego, zaśmiałam się lekko, pewna, że nie. Z urzędem skarbowym byłam rozliczona co do grosza, już Gocha o to zadbała, jak co roku. Myśl o przyjaciółce sprawiła, że znowu poczułam łzy pod powiekami. W tym roku nie zadba. Dobra, idę na pocztę, zdecydowałam się.

Gdy weszłam z powrotem do domu, nie myślałam o niczym innym, tylko o jedzeniu. Okropnie byłam głodna.

Odsmażyłam sobie na patelni pokrojone w plasterki pyzy, kupione w sklepie na dole. Ech, kiedyś sama robiłam pyzy i chciało mi się. No tak, ale nie robiłam ich tylko dla siebie. Janusz uwielbiał te małe szare kulki i zjadał się nimi tak, że aż serce rosło.

Janusz... zamyśliłam się. Ostatnio często wkradał się do moich myśli. Nie da się ukryć, po prostu za nim tęskniłam. Brakowało mi go. Tego podleca, zdrajcy, padalca. A jednak...

Potrząsnęłam głową, usiłując wyrzucić z pamięci byłego męża. Muszę poszukać jakiegoś substytutu, pomyślałam; ba, ale jak to zrobić? I gdzie? Chodziłam tylko do pracy i do sklepów. Aha, no tak, i na pocztę.

Wzięłam do ręki przyniesiony list.

Pamiętam minę Marysia. Machał do mnie jedną ręką, samymi palcami, przetykając przygotowany starannie specjal: rtęć z pięciu termometrów. Pielęgniarki wytłumaczyły mi dokładnie, dlaczego nie należy w ogóle dotykać rozbitych termometrów. Ale Marysia należało ukarać – za Jacka i Agatkę. Nikt nie będzie niszczył czegoś, co do mnie należy. Nikt nie będzie się wywyższał. Nikt nie będzie lepszy ode mnie.

Uczucie, że jest się panem świata, było wspaniałe. Maryś istniał, a potem – pyk – i nagle go nie ma. A kto to sprawił? Ja, tak po prostu.

To się zdarzyło dawno temu, w szpitalu, byłem wtedy dzieckiem. Ale to dziecko już wiedziało, że jest najważniejsze i najwspanialsze. Kto tego nie dostrzega, musi ponieść karę.

Śmiałem się w duchu. Wypił przecież truciznę. Odwróciłem się i odszedłem z pielęgniarką. Dobrze, że dałem mu tę rtęć, nie będzie mi już przecież potrzebny, a nie chciałem, żeby komuś innemu pokazywał z okna swoją mamę...

Mam teraz dwanaście lat i wszystko bardzo dobrze rozumiem na tym świecie. Bo przestają już być dzieckiem.

Rany boskie, co ja czytam?

Ze zdumieniem obracałam w dłoniach wyjęte z koperty kartki. Co to jest? Dlaczego przysłano to do mnie? I skąd ten ktoś miał mój adres? O co chodzi?

Czytałam raz jeszcze i włosy zaczęły mi stawać dęba, bo pomyślałam, że czytam

o zabójstwie jakiegoś dziecka. Zabójstwie dziecka, dokonanym przez dziecko. Rzęcią?
O Boże... O ile to prawda...

Migało mi w oczach. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Pomyślałam o komisarzu, z którym rozmawiałam po śmierci Małgosi. A zaraz potem o Ewelinie Zaczekskiej, tej profilerce. Ale przecież najprawdopodobniej to tylko głupi dowcip, nie będę robić z siebie histeryczki.

Chciałam wyrzucić te świstki do śmieci, ale coś mnie tknęło. Ten jakiś Maks Baron, znajomy z Facebooka, pisał coś o pamiętniku dziecka...

Wyjęłam z biurka białą kopertę i schowałam do niej kartki. Kopertę włożyłam do szuflady zamykanej na klucz.

Rozdział 47

Agnieszka kończyła studia na ASP, na wydziale architektury wnętrz, ale najbardziej była zafascynowana malarstwem. Nie mogła przeboleć, że jej umiejętności w tym zakresie są raczej mizerne. Rysowała trochę i malowała, owszem, ale były to tylko ćwiczenia, nic więcej.

Chodziła na wszystkie wystawy i wernisaże, o jakich usłyszała, a że po pobycie w szpitalu i sanatorium rozstała się z aktualnym chłopakiem, chętnie brała ojca na te imprezy – a on był zachwycony.

– Tato! – Głos córki w telefonie brzmiał entuzjastycznie. – Jutro jest wystawa Marka Cyglera. Niedaleko mnie, na Woli, w Domu Kultury „Działdowska”. Wiesz, gdzie to jest? Pójdiesz ze mną?

– Nie wiem, ale sprawdzę w Internecie i trafię. – Janusz ucieszył się, że córka znowu wybrała go na osobę towarzyszącą. – I coś ci opowiem, coś, co cię zaskoczy.

– Tata, mów natychmiast. – Agnieszka trochę się rozłościła, co było słychać. – Nie lubię takich „coś ci powiem, ale nie teraz”. Niecierpliwa jestem, jeszcze nie wiesz?

– Wiem, kochanie, ale tym razem musisz wytrzymać do jutra.

Janusz nie potrafił mówić do Agnieszki „córeczko” czy choćby „córciu”. Była jego kochaniem – a tak się złożyło, że chociaż miał żonę, a wcześniej kilka pań, do żadnej nie mówił „kochanie”, jakieś infantylne mu się to wydawało. Do córki taki infantylizm pasował, jego zdaniem. A Agnieszka to lubiła.

– Cześć, mistrzu! – Janusz klepnął w plecy Marka Cyglera, aż ten przysiadł. Nie dlatego, że klepięcie okazało się takie mocne, ale dlatego, że było nieoczekiwane. Następną osobą, która przysiadła – tym razem ze zdumienia – była Agnieszka.

– Tato... – zaczęła, ale Janusz nie dopuścił jej do słowa.

– Poznaj, proszę – zwrócił się do Marka – to moja córka, Agnieszka.

– Twoja córka... – Malarz ponownie zachwiał się na nogach. – No, stary, zaskoczyłeś mnie. Przepraszam, pogadamy później. – Cygler pomachał komuś, patrząc na kogoś za Januszem, który odruchowo odwrócił się i teraz on był tym zaskoczonym. Do Marka zbliżała się, wdzięcznie machając dłonią z ciemnowiśniowymi paznokciami, Marianna Jodełka, najbardziej wzięta aktorka młodego pokolenia. Robiła karierę, grając w tasiemcowym serialu *Mroczna seria*.

– Stary, no sorry, masz te znajomości – szepnął Janusz, zagarniając ramieniem osłupiałą Agnieszkę.

– E, to tylko jedna z moich wielbicielek – usłyszeli jeszcze, odchodząc, od malarza, który pozwalał się obcałowywać aktorce.

– No tak, już w szkole miał największe powodzenie u dziewczyn. Teraz, jako znany artysta, pewnie się opędnąć od nich nie może. – Zamorski uśmiechnął się do córki.

– Tata, jestem pod wrażeniem. Znasz Cyglera i nigdy się nie pochwaliłeś?

– Agnieszka prawie podskakiwała z przejęcia.

– Zaskoczę cię jeszcze bardziej. – Dumny ojciec wyprężył pierś. – Nawet mam jego obraz.

I w ten oto sposób wydobyć od byłej żony obrazu Marka stało się dla Zamorskiego

sprawą najważniejszą. Tyle że zabrał się do tego, jak to się mówi, od dupy strony. I teraz był wściekły. Nie na Justynę. Był wściekły na siebie.

Postanowił jeszcze zwrócić się do przyjaciółki ekszony, Małgosi. Istniała nadzieja, że Gosia pomoże jakoś polubownie załatwić sprawę. Słaba ta szansa, ale innej nie widział.

Rozdział 48

Siedziałam i zgrzytałam zębami. Nie chciałam patrzeć, a patrzyłam. Zachłannie. I czułam, jak zalewa mnie krew.

Dziewczyna była śliczna, co tu kryć. I o połowę młodsza od tego kretyna, mojego byłego męża. Trzymała go za rękaw. Nie za rękę, nie pod rękę, tylko za rękaw! Właśnie to wydało mi się bardzo intymnym gestem. Dziumdzia cholerna, wściekałam się. Choć tak naprawdę dziewczyna nie sprawiała wrażenia dziumdzi. Wyglądała miło i sympatycznie.

Patrzyłam, jak Janusz objął ją czułym gestem, przytulił na chwilę do siebie, a potem pociągnął za kosmyk ciemnych włosów. Nie czarnych, nie kasztanowych, po prostu ciemnych. Dość długich, za ramiona. Gęstych i kręconych; zawsze chciałam mieć takie, zadreślałam się.

Siedziałam w cukierni w Złoty Tarasach. Lubiłam tu przychodzić, choć nie lubiłam zakupów. Ale lubiłam przysiąść, ot tak jak teraz, w jakimś przyjemnym miejscu, i obserwować ludzi. Wyobrażałam sobie ich historie i tworzyłam projekty przyszłych powieści. Nawet specjalnie kupiłam sobie dyktafon i nagrywałam swoje spostrzeżenia. Hasłowo – pani z małym dzieckiem i wielką torbą. Ale logo torby wskazuje, że to nie zakupy dla dziecka. Pan z komórką w ręku, wpatrzony w wyświetlacz, jakby zaklinał, żeby coś się działo. Żeby telefon zadzwonił, a choćby przyszedł jakiś SMS.

Przedemną stała filiżanka z zieloną herbatą, wyciśnięta saszetka leżała na spodeczku. I, niestety, obok stał też spory pucharek z lodami czekoladowymi. Niestety, bo wiedziałam, że nie powinnam jeść słodczy. Lodów oczywiście też nie, a już na pewno nie czekoladowych. Cóż, nie mam silnej woli, westchnęłam, nabierając na łyżeczkę ulubionego przysmaku, i wtedy ich zauważyłam. Faceta w średnim wieku i młodą dziewczynę, cholera, to takie banalne. Myślałam, że ten cały Zamorski, wielki autor i człowiek bardzo kulturalny, będzie inny. Lepszy. Doskonalszy. Dojrzałszy.

No tak, chi, chi, zaśmiałam się w duchu, dojrzałość się w nim obudziła jakiś rok temu, wraz z pojawieniem się tej, tej... dziumdzi – już przypięłam taką łatkę dziewczynie i nie umiałam inaczej jej nazywać.

Co, u licha, wszyscy się spotykają w tych Tarasach? – pomyślałam, bo gdy odwróciłam się gwałtownie, nie chcąc jeszcze tracić z oczu byłego męża, z dziewczyną uwieszoną u jego rękawa, zauważyłam znajomą postać. Osoba ta – piękna, młoda i świetnie ubrana kobieta – stała prawie przy Januszu i zachłannie wpatrywała się w... wydawało mi się, że właśnie we mnie. Znam ją, mignęło mi w głowie, po czym natychmiast przypomniałam sobie, skąd ją kojarzę. To była ta aktorka, Marianna Jodełka, której wprawdzie nie widziałam w telewizji, natomiast poznałam ją przecież osobiście, na jednym ze spotkań autorskich. Na jednym? Jodełka twierdziła, że przychodzi na wszystkie. No, na wszystkie warszawskie, ale nie, nie tylko, podobno była też w Siedlcach. Wytrwała wielbicielka. Przywołałam na twarz swój zawodowy, „spotkaniowy” uśmiech i podniosłam rękę, żeby pomachać mojej – tak znanej – czytelniczce. Ale po Mariannie Jodełce nie było śladu. Zwidy mam czy co? Omamy? Mogłabym się założyć o wszystko, że jeszcze przed sekundą aktorka stała prawie przede mną, a właściwie – za mną. Teraz jakby zapadła się pod ziemię. Pod ziemię zapadli się też Zamorski i jego dziumdzia.

Wzruszyłam ramionami i wróciłam do lodów. Te, na szczęście, nie zniknęły, roztopiły się tylko trochę.

Rozdział 49

Zawada dostał się do mieszkania zamordowanej przyjaciółki Joanny Sobolewskiej, używając wytrychów. Mógł starać się o klucze oficjalną drogą, ale Matysiak praktycznie odsunął go od śledztwa, więc nie obeszłoby się bez służbowych przepychanek i asysty patrzących mu na ręce funkcjonariuszy. Katuszy nie chciał prosić o przysługę. Zawiodła na całej linii, jej knowania za plecami napęłniły Piotra takim wstrętem, że nie powstrzymałby się przed wyrąbaniem swojej koleżance prosto w oczy, co sądzi o takim postępowaniu. A nie był to najlepszy moment na załatwianie osobistych porachunków. Dzięki rozmowie z Matysiakiem Katusza została na jakiś czas zneutralizowana, niech jej się zdaje, że siedzi w siodle i swoje ugrała. Najważniejsza jest Ewelina; Zawada nie potrzebował ryjącego mu pod stopami kreta.

Nie mógł być wraz z ekipą w domu ostatniej ofiary, a chciał zobaczyć to miejsce na własne oczy, żeby posklejany z kawałków obraz poczynań zabójcy stał się pełniejszy. Spacerował po mieszkaniu, wyczuwając ledwie uchwytny zapach obcych, którzy sprofanowali wnętrze po śmierci lokatorki. Pomyślał przelotnie, że gdy ktoś umiera, należące do niego sprzęty i drobiazgi przesiąknięte osobowością właściciela również wydają się martwe. Nigdy nie będzie wiadomo, czy meble stoją na swoim miejscu i przykurzone tracą z wolna barwę i połysk.

Zajrzał do pralki, na pawlacz, za szafki w pokoju, a wreszcie nawet do kubła na śmieci, doskonale zdając sobie sprawę, że ekipa śledcza nie przeoczyła niczego. Ale przecież oni nie wiedzieli, czego mają szukać. Tyle tylko że i on nie wiedział. Jednak to właśnie stąd pochodził papierowy okręciak z odciskami palców Eweliny.

Na koniec zbliżył się do miejsca, gdzie wisiał zaginiony obraz. Zbyt krótko, by na ścianie został po nim ślad, właściwie nie zauważało się jego braku i gdyby nie informacja od autorki, nikomu nie przyszłoby do głowy, że cokolwiek zginęło...

Zawada niemal podskoczył, wytracony z zamyślenia ostrym terkotem dzwonka. Dobiegał od strony przedpokoju; kiedy Piotr tam podszedł, zorientował się, że to dźwięk domofonu zakłócił ciszę. Katusza? Nie, ona by nie korzystała z domofonu. Sobolewska też nie, gdyby nawet zdecydowała się tu przyjść, to na pewno z zapasowymi kluczami. Ewelina...?

Dzwonek zabrzmiał powtórnie. Piotr wahał się kilka sekund, wreszcie zdjął słuchawkę i bez słowa wcisnął klawisz oznaczony symbolem klucza. Wyszedł z mieszkania, ostrożnie zamknął za sobą drzwi, wbiegł na półpiętro i kucnął za balustradą. Na dole rozległo się trzaśnięcie, a potem kroki na schodach. To nie mógł być sprawca, zbyt wiele ryzykował, przychodząc tutaj. Ale czy aby na pewno? Logika szaleńca rządzi się własnymi prawami, mógł już przekroczyć granicę, a ryzyko tylko go nakręcało.

Przed drzwiami Małgorzaty Słodkiej zatrzymał się mężczyzna w średnim wieku, dość pospolicie ubrany. Najpierw zadzwonił, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ponowił próbę, wreszcie zapukał i nacisnął klamkę.

Kiedy przybyły zniknął w środku, Piotr wyjął z kabury pistolet i trzymając go pod marynarką, przemknął na palcach pod lekko uchylone drzwi. Pchnął je delikatnie. Gość tkwił nieruchomo w progu salonu, wpatrzony w wykonany kredą obrys ciała na podłodze. Uczynił pół kroku i zamarł, usłyszawszy za sobą:

– Nie ruszać się, policja! – Zrobił ruch, jakby chciał się obejrzeć, ale zastopowało go

polecenie: – Na ziemię, ręce za głowę!

Nawet nie próbował stawiać oporu, padł na kolana i wyciągnął się jak długi z rękoma na karku. Dziwnym trafem obrys ciała ofiary pasował z grubsza do jego pozycji. Zawada przycisnął mężczyznę do podłogi i wolną ręką sprawdził jego ubranie i nogawki spodni w okolicach kostek. Odszedł parę kroków i kazał zatrzymanemu odwrócić się na plecy. Tamten nie miał przy sobie broni; wpatrywał się w Piotra zaszokowany, zerkając co chwilę w stronę drzwi, jakby spodziewając się kolejnych niespodzianek. Zawada opuścił pistolet, ale go nie schował.

– Kim pan jest?

– Ja... no nikim, ja nic nie wiem... – Najwyraźniej był przerażony i sens pytania słabo do niego docierał.

– Nazwisko. Ma pan jakieś dokumenty?

– Zamorski. Janusz Zamorski. Nie mam dokumentów, nie wiedziałem, ale mam chyba...

– Chciał sięgnąć do kieszeni spodni, lecz cofnął rękę na widok unoszącej się lufy pistoletu.

– W spodniach mam prawo jazdy.

Zawada wyjął mu z kieszeni plastikowy kartonik ze zdjęciem. Zdawał sobie sprawę, że taki dokument dość łatwo podrobić, ale nie miał najmniejszych wątpliwości co do tożsamości faceta. Po rozmowie z autorką zdążył zebrać trochę informacji o jej byłym mężu, w aktach znajdowała się również jego fotografia. Tak czy inaczej, miał przed sobą człowieka znajdującego się w kręgu podejrzanych. Będzie musiał uzyskać parę wyjaśnień.

Skinął lufą w stronę sofy, a sam zajął miejsce w fotelu. Kiedy Zamorski pozbierał się z podłogi i usiadł, komisarz zapytał chłodnym tonem:

– Co pan robi w mieszkaniu denatki?

– Kogo?! – Mężczyzna wyglądał na autentycznie wstrząśniętego. Powiódł wzrokiem po liniach przedstawiających kontur leżącej na podłodze postaci. Nawet laik nie mógłby mieć wątpliwości, co to takiego. – Co tu się stało, to Małgosia...?

– Pana przyjaciółka została zamordowana we własnym mieszkaniu – Zawada celowo podkreślił słowo „przyjaciółka”.

– Znałem... znaliśmy ją z żoną. Bywaliśmy u niej często, a ona u nas. To straszne, nie miałem o niczym pojęcia.

– Przyszedł pan po obraz Cyglera.

Reakcja Zamorskiego mówiła sama za siebie. Nabrał ze świstem powietrza i odruchowo zlustrował wzrokiem wiszące na ścianach reprodukcje.

– Skąd pan wiedział, że obraz jest tutaj? – pytał nadkomisarz.

– Nie wiedziałem, ja tylko...

– Ach, więc pan wiedział, że już go tu nie ma? Czyżby denatka posiadała coś innego, o czym pan wcześniej zapomniał?

– Nie wiem, o co panu chodzi. – Zamorski starał się mówić rzeczowym tonem.

– Panie e... kapitanie.

– Nadkomisarz Zawada z Komendy Głównej Policji. – Piotr machnął z daleka legitymacją. – Proszę mi opowiedzieć o tym obrazie. Ale tym razem prawdę. We własnym dobrze pojętym interesie. Okoliczności oraz fakt, że został pan zatrzymany w mieszkaniu denatki, nie pozostawiają panu wyboru.

Zamorski starał się panować nad sobą i dość dobrze mu się to udawało.

– Zostałem zatrzymany? Aresztujecie mnie?

– Zadałem panu pytanie, proszę odpowiedzieć.

Mężczyzna zastanawiał się chwilę, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Zawada nie

ułatwiał mu sprawy. Czekał, sprawiając wrażenie, że dysponuje nieograniczonym czasem.

– Nie wiem, co tam ustaliliście, pewnie mi pan nie powie? – Zamorski zawiesił na moment głos i pokiwał głową do własnych myśli. – To trwało od dłuższego czasu. Nasze relacje z żoną były poprawne, ale już bez tej iskry... Obwinałem ją trochę za obniżenie temperatury naszego związku. Dzisiaj inaczej na to patrzę, rozstanie uświadomiło mi parę rzeczy. Gdybym mógł cofnąć czas, powiedziałbym jej to szczerze. Bardziej zawiodłem ja niż ona, powinienem był o nią walczyć do końca. Zasługiwała na to za wszystkie lata spędzone z kimś takim jak ja...

Zawada nie przerywał, nie starał się skierować wynurzeń tamtego na tory bliższe śledztwu. Słuchał uważnie, nie wyczuwając fałszu w trochę nieskładnej opowieści. Może dlatego, że dziwnie przypominała coś, o czym sam mógłby opowiadać, gdyby znalazł właściwego słuchacza.

Mijały minuty, nadkomisarzowi wydawało się, że słyszy jakieś odgłosy od strony klatki schodowej. Nie zamknął dokładnie drzwi, powinien to zrobić, ale nie chciał przerywać rozmówcy, któremu ze względu na niecodzienne okoliczności zebrało się na szczerłość, na jaką być może już nigdy sobie nie pozwoli.

– ...odnaleziona po tylu latach córka stała się dla mnie najważniejsza. Pragnąłem wynagrodzić jej jakoś czas, kiedy nie miała ojca. Sobie zresztą też. I nawet zaimponować jej, sprawić, że będzie ze mnie dumna. Musiałem odzyskać ten cholerny obraz dla niej, wiem, jakie to żalosne, kiedy spojrzeć na całą sprawę z boku, ale nie chciałem zawieść córki na żadnym polu. Gdy wyczerpałem już wszelkie normalne możliwości, postanowiłem pogadać z Małgosią, miałem nadzieję, że najbliższa przyjaciółka Justyny pomoże mi rozwikłać tę cholerną sytuację, w którą sam się wpakowałem. Miałem numer jej telefonu, postanowiłem jednak wpaść znienacka, nie uprzedzając o celu wizyty. Obawiałem się trochę tej ich babskiej lojalności, ale liczyłem, że znajdę w Małgosi sojuszniczkę. Może mi pan wierzyć lub nie, ale przestało już mi zależeć na tym obrazie. Liczyłem, że przez Małgosię dotrę jakoś do Justyny, przeproszę ją i wytłumaczę się. Jeśli będzie chciała mnie wysłuchać. Byłem pod jej domem parę dni temu, ale wróciła z jakąś kobietą. Postąpiłem trochę pod blokiem i zrezygnowałem. A teraz już za późno na wszystko.

Zamilkł, jego twarz wyrażała gorycz i coś na kształt pogodzenia się z losem. Zawada schował pistolet do kabury. Przez chwilę szukał odpowiednich słów, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Niespodziewanie Zamorski uniósł głowę i oświadczył z mocą, jak staremu kumpłowi:

– Prawda jest taka, że mam w dupie ten cały obraz! Agnieszce jakoś to wyjaśnię, ukradli mi albo go komuś pożyczyłem. Szkoda mi tylko Justyny. Że nie powiedziałem jej o córce i o tym, jak mi na niej zależy. Facetom czasem trudno przechodzą przez gardło słowa, że kocha i tęskni. A kiedy już do tego dorośnie, jest o wiele za późno, żeby kobieta uwierzyła...

– Mylisz się, nigdy nie jest za późno.

W progu salonu stała Justyna. Spoglądała na Janusza wzrokiem, jakim nie patrzyła na niego od lat. I stracił nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek to nastąpi.

– Kobieta pragnie wierzyć do końca. Ja też tęskniłam i... Nie dokończyła. Zwróciła się do Zawady: – Słyszałam wszystko, a przynajmniej wystarczająco dużo. Panie komisarzu, jeśli nie ma pan więcej pytań do mojego męża, to może zostawi pan nas samych? Dawno nie rozmawialiśmy, a oboje tego potrzebujemy.

Piotr wyszedł z bloku i rozejrzał się, jakby niezdecydowany, w którą stronę się udać. Na twarzy poczuł pojedyncze krople deszczu. Zapalił papierosa, klnąc w duchu.

Odpadł jeden z kandydatów na mordercę. Powinien być z tego zadowolony, bo tym samym zawęzła się grupa podejrzanych. Ale jakoś go to nie ucieszyło.

Rozdział 50

Wróciłam z poczty, odebrawszy książki zamówione przez Internet i jakiś list polecony. Cisnęłam to wszystko na fotel w małym pokoju i wpadłam do kuchni. Znowu byłam pioruńsko głodna.

Chyba chodzenie na pocztę wzmaga mi apetyt – mruknęłam sama do siebie.

Zrobiłam sobie kanapkę z salami, zjadłam szybko i rozpakowałam książki, ciesząc się szczególnie z najnowszego thrillera medycznego. Już chciało mi się wejść do łóżka, oprzeć poduszkę o ścianę, zapalić lampkę nad głową i zatonać w lekturze. Czasami tak się zaczytałam, że robił się już następny dzień i sen całkiem odlatywał. Nie zawsze, zależało to od książki. Ale zawsze czytałam przed snem, obojętnie o której bym się położyła. Chyba że szłam do łóżka z kimś, ale – zaśmiałam się szyderczo – już zapomniałam, jak to się robi.

Pościeliłam wersalkę, wykapałam się, założyłam piżamę i już sięgałam po Tess Gerritsen, gdy mój wzrok padł na przyniesiony z poczty list. Całkiem o nim zapomniałam.

Rozerwałam kopertę. Janusz zawsze śmiał się z mojej niecierpliwości, on rozcinał listy delikatnie nożem. Równo i porządnie. Co ja ciągle z tym Januszem, zirytowałam się sama na siebie. Będzie, co ma być, teraz muszę wszystko spokojnie przemyśleć. Tak mnie zaskoczył tą córką, że się nie otrząsnęłam do tej pory.

Dobra, wszystko po kolei, powiedziałam sobie i wzięłam do ręki kartki wyjęte z koperty.

Te moje zapiski stają się pamiętnikiem. Ale nie takim, w którym opisuje się każdy dzień. Ja zapisuję najważniejsze wydarzenia mojego życia. Już nie jestem dzieckiem. Dziecko dorosło i powiększyły się jego fantazje. Teraz mam już szesnaście lat i dużo więcej wiem o życiu. Wiem nawet, co to seks. Chociaż nie potrzebuję go zbyt często. Wolę uczucie panowania nad światem, ogarniające mnie, gdy... gdy jestem panem świata.

A tak w ogóle daję sobie radę bez nikogo. Bo ludzkie przyjaźnie są nieprawdziwe. Prawdziwe są tylko uczucia zwierząt. Niestety, nie mam żadnego zwierzaka, na razie nie mam na to warunków.

Moją pierwszą przyjaciółką była pani Jadwiga, która pracowała w mojej osiedlowej bibliotece. Ale już jej nie ma i dobrze. Zanudziła mnie swoim gadulstwem. Paplała i bez przerwy zapraszała mnie na obiad, chciała mnie utuczyć, jak Baba-Jaga z książki dla dzieci. To była moja wersja.

Pięknie utonęła we własnej wannie. Po co, głupia, dała mi klucze od mieszkania?

Przychodź, kiedy zechcesz, zapraszała. Taka samarytanka. No i czemu siedziała w tej wannie, kiedy akurat zachciało mi się przyjść? I tak gadała, gadała, gadała, nawet w tej wannie, że zaczęła mi pękać głowa i po prostu należało gadułę uciszyć. Nawet łatwo poszło.

Pierwsza próba puszczenia na wodę w wannie papierowej łódeczki nie powiodła się, okręciak szybko zatonął. Trudno. Ale drugi stateczek pływał już całkiem dobrze.

Nikt nigdy niczego nie wykrył, nawet nie wiem, czy było śledztwo. Po wyjściu z jej łazienki już nic więcej mnie nie interesowało. Życie toczyło się dalej, a w bibliotece zaraz pojawiła się inna kobieta. Od tej pory lubię biblioteki. Zawsze jest tam coś interesującego.

Dlaczego moja matka musiała wtedy zginąć? Może wszystko byłoby teraz inne? Choć – nie narzekam, życie podoba mi się coraz bardziej. Niedługo już zupełnie się usamodzielnię.

Odrzuciłam ten list daleko do siebie. Cała się trzęsłam. O co chodzi? Cóż to za chory umysł? Wariat, psychopata? Czy tylko kretyński dowcipniś? Pomyślałam o rozmowie z nadkomisarzem, zaraz... jak on się nazywał? Zawadzki? Jakoś tak. Nie, nie, Zawada, przypomniałam sobie. Okręcik? O Boże, przecież te okręciki pojawiają się wszędzie. To chyba ten sam potwór, który zabił Małgosię, pomyślałam. Poczułam lodowaty chłód, zaczęłam szczerkać zębami

Muszę szybko z kimś się skontaktować, pomyślałam. Trzęsącymi się rękami założyłam szlafrok i przeszłam do pokoju służącego za gabinet. Miałam tam dużą starą srebrną wazę, jakiś antyk przywieziony przez Janusza z którejś z wypraw. Nie zabrał jej, kiedy się wyprowadzał, więc stała sobie w tym samym miejscu. W wazie leżało kilkadziesiąt wizytówek, niektóre – a właściwie większość – były własnością mojego byłego męża. Ale dobrze pamiętałam, że tam właśnie wrzuciłam wizytówkę nadkomisarza i jego partnerki. Nie, to chyba nie była partnerka, to była profilerka policyjna, przypominałam sobie. Całkiem miła, właśnie do niej zadzwonię, postanowiłam.

Rozdział 51

– Dzień dobry. – W drzwiach stała Ewelina Zaczeska, a za nią Zawada. – Przyszłam z nadkomisarzem Zawadą, mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciw temu.

– Ta sprawa zaczyna się robić bardzo poważna. Pani może grozić prawdziwe niebezpieczeństwo. – Jej towarzysz włączył się do rozmowy jeszcze z przedpokoju.

– Proszę, siadajcie państwo. – Byłam bardzo zdenerwowana. Niebezpieczeństwo? Ale dlaczego? – Wracam za minutkę.

Poszłam do kuchni i bez pytania zrobiłam herbatę. Czarną, mocną, obok każdej filiżanki po dwa plasterki cytryny, pamiętałam, że taką właśnie pili, gdy przyszli do mnie poprzednio.

Wróciłam do pokoju, ustawiłam wszystko na stoliku i ponownie zniknęłam w przedpokoju. Uśmiechnęłam się, widząc, że profilerka aż wstała, żeby zobaczyć, dokąd poszłam. Po chwili przybiegłam z małego pokoju, trzymając w ręku szarą kopertę. Podałam ją komisarzowi, wyczuwając, że to on jest ważniejszy w tej sprawie.

Gdybym jednak spytała o to Zawadę, mógłby nie przyznać mi racji. Widziałam bowiem, że bardzo wierzył w umiejętności zawodowe pani Zaczeskiej. Z pewnością chciał poznać profil zabójcy. Chyba już dużo wiedzieli o tym człowieku, ale przecież nie wszystko. Ciągłe niejasne były jego motywy działania – co za tym idzie – nie mogli przewidzieć, czy to już koniec tych zbrodni, a jeśli nie, to w kogo „ich seryjny”, jak go nazywali, tym razem uderzy. I chyba bali się, że we mnie...

Zawada machnął trzymaną w ręku kopertą.

– Rozumiem, że są tu listy, które pani otrzymała?

– Nie, tu są kserokopie. Zrobiłam odbitki, bo myślałam, że oryginały powinny znaleźć się w aktach śledztwa. Kopie chciałam dać pani Ewelinie, z jednoczesną prośbą, by dostarczyła panu oryginalne listy. Tylko ja miałam je w rękach, moje odciski palców już macie. Listy są pisane odręcznie, więc może jest tam jakiś odcisk palca.

Dostrzegłam na jego twarzy uśmiech. Pewnie pomyślał, że czytam sporo kryminałów. Cóż, miał rację, rzeczywiście lubiłam ten gatunek literatury.

– A gdzie te oryginały?

– Zaraz przyniosę. – Poderwałam się z krzesła. – Jeszcze herbaty? A może coś... – Zawahałam się. – Pewnie jesteście zmotoryzowani?

– Ja nie. – Pani psycholog wyjęła nadkomisarzowi z ręki kopertę. – Jeśli mam to czytać, chętnie napiłabym się czegoś mocniejszego. – Wyjęła kartki z koperty i zagłębiła się w lekturze, podczas gdy ja krzątałam się między kuchnią a pokojem, przyniosłam świeżo zaparzoną herbatę, wyjęłam kieliszki i butelkę koniaku z barku. Nadkomisarz na razie siedział bez słów i obserwował nas obydwie.

– O kurwa – wyrwało się Zaczeskiej, ale chyba nawet tego nie usłyszała. Wpatrywała się w zapisane kartki, marszcząc brwi.

Nadkomisarz wyjął jej z rąk kserokopie. Oryginalne listy, wręczone mu przeze mnie, zapakowane w inną kopertę, tym razem białą, schował do teczki, jakby nie chciał ich teraz czytać. Reakcja pani Eweliny wzmogła jednak jego ciekawość i teraz to on zmarszczył brwi nad lekturą.

A profilerka wychyliła jednym haustem swój koniak i bez słowa wyciągnęła pusty

kieliszek w moją stronę.

– To nie jest oczywiście oficjalny ani pełny profil tego psychopaty. Bo że to psychopata, nie mam cienia wątpliwości. Mogę powiedzieć też, że nie zawaha się ani chwili przed następnym zabójstwem, jeśli tylko przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł. Wiemy, że uważa się za najwspanialszą istotę na świecie i zazdrości wszystkim, którzy cokolwiek osiągnęli. Pani, pani Justyno, zazdrości powodzenia na niwie pisarskiej – może sam jest niespełnionym pisarzem i uznał, że zabiera mu pani należne tylko jemu uznanie i sławę. Jemu – lub jej – bo ciągle nie mamy pewności co do płci naszego seryjnego, choć mówimy o sprawcy „on”. Równie dobrze jednak może to być kobieta, kobiety bardziej przeżywają niepowodzenia

– ciągnęła zawodowe rozważania.

– Skąd pani wie, że zazdrości mi sławy pisarskiej? – szepnęłam. – O ile w ogóle przyjmujemy, że jestem choć trochę sławna.

– To bardzo proste. – Pani Ewelina podniosła w górę kieliszek i tym razem upiła mały łyk. – Papierowe łódeczki, znajduwane przy każdej ofierze, są zrobione ze stron pani książek. Zabija osoby w jakiś sposób powiązane z panią. Widać, że pani jest tu postacią kluczową. A czego jeszcze mógłby pani zazdrościć? No chyba że czegoś nie wiem. Może ma pani coś, co kiedyś należało do niego? Co on chciał zdobyć, a zyskała to pani? Może to panią kocha ktoś, kto powinien – jego zdaniem – kochać jego? Albo ją, oczywiście.

Profilerka odstawiła kieliszek. Chciałam znowu jej dolać, ale jeszcze był w nim koniak.

– Pani Justyno, powody działania psychopaty są niewyobrażalne dla normalnego człowieka. A jego czyny są nieprzewidywalne, choć po kilku zabójstwach możemy oczywiście coś już powiedzieć. – Zaczeka spojrzała na mnie z poważną miną. – Nie chciałabym tego mówić, ale muszę. Pani też może być narażona na niebezpieczeństwo.

Tym razem to ja wypiłam koniak jednym haustem. Wsunęłam rękę we włosy i szarpałam je odruchowo.

Janusz? Niemożliwe, to po prostu absurdalne, co mi przyszło do głowy... Cóż z tego, że znał mnie najlepiej, że wiedział o moich wlotach i upadkach, przez lata wypełniał mi świat, by na koniec uczynić w nim wyrwę niemożliwą do zasklepienia? A teraz wrócił. Wrócił w momencie, gdy najbardziej tego potrzebowałam. On chyba też, bo przecież nie mówiłby tego wszystkiego tam, u Małgosi. Jego słowa sprawiły, że obudziłam się z męczącego snu, przypomniałam sobie, jak to jest być kochaną. To nie była gra, przecież nie wiedział, że stoję w przedpokoju i wszystko słyszę. Nie udawałby wyłącznie na użytek komisarza, bo po co? Oni go podejrzewają?! Czemu ten policjant przygląda mi się z taką uwagą, jakby umiał czytać w myślach? No tak, Janusz miał najwięcej okazji. Nawet motyw dałoby się znaleźć...

– Pani Justyno, proszę się dobrze zastanowić, czy nie było kogoś, kto panią zaczepiał, starał się do pani zbliżyć, okazując zainteresowanie większe niż... – Zawada umilkł na chwilę, jakby szukał odpowiedniego słowa. Wydało mi się, że szykuje grunt, by zadać to właściwe pytanie. – Może nawet posunął się dalej, a kiedy nie znalazł akceptacji, w jakiś nieprzyjemny sposób okazał, że nie uważa sprawy za zamkniętą?

– Nie, nikt taki mi nie przychodzi do głowy – odparłam, nie do końca zgodnie z prawdą.

– A może, proszę mi wybaczyć, że wchodzę w sprawy tak osobiste, ale są to kwestie, których nie możemy pomijać w naszej pracy. – Komisarz niepotrzebnie kluczył, gdyż natychmiast domyśliłam się, o co mu chodzi. – Zapytam otwarcie: czy nie zdarzyło się pani zaangażować w jakiś przelotny związek, bez konsekwencji z pani punktu widzenia, ale dla drugiej strony już niekoniecznie? Ktoś może się uważać za skrzywdzonego albo wręcz oszukanego. Nawet jeśli nie okazał tego otwarcie.

Przymknęłam powieki, obawiając się, że tamci dwoje mogą wyczytać zbyt wiele z moich oczu. Miałam przecież swoją małą tajemnicę. Małą dla innych, choć dla niektórych niełatwą do przełknięcia, gdyby jakimś cudem o niej się dowiedzieli, a dla mnie samej wielką i cenną.

Jako mała dziewczynka pojechałam z rodzicami na wakacje do Ustki. Nazwa miejscowości ogromnie mi się wtedy spodobała, bo kojarzyła się po dziecięcemu z maleńkimi usteczkami, uśmiechniętymi i gaworzącymi w sobie tylko znanym języku. Mieszkaliśmy w pokoiku na poddaszu z trzeszczącą podłogą i widokiem na morze. Zawsze budziłam się pierwsza, biegłam do okna i szukałam pomarańczowej kuli wynurzającej się zza horyzontu. Ale było albo pochmurno, albo zbyt późno. Rodzice obiecali pokazać mi wschód słońca, widocznie jednak zapomnieli, a może tylko żartowali, że słoneczko wyskakuje z wody jak ogromna plażowa piłka? Przypomniałam im parę razy o obietnicy, odpowiadali, że może jutro, jeśli będzie dobra pogoda, jeśli ich małe słoneczko nie zaśpi, jeśli zje grzecznie kolację...

W końcu wyjechaliśmy, a ja nie zobaczyłam wschodu słońca. Obiecałam sobie, że wrócę tam, kiedy już będę duża, żeby samej się przekonać, jak to jest z tym słońcem.

Po latach spełniłam daną sobie w dzieciństwie obietnicę. Trochę przypadkiem, gdyż stało się tak, że koleżanka, z którą pod nieobecność Janusza planowałyśmy wspólny urlop u jej rodziny w górach, nagle musiała zmienić plany. Ktoś tam rozchorował się ciężko, więc nie bardzo wypadało zwać się ludziom na głowę. Tak przynajmniej się tłumaczyła. Janusz wyjechał w jedną ze swych zagranicznych podróży, mającą potrwać wiele tygodni, więc tym bardziej nie miałam co ze sobą zrobić.

Byłam już spakowana, w niejakej rozterce spędziłam godzinę nad mapą, a wreszcie, niewiele myśląc, pojechałam na dworzec i poprosiłam o bilet do Ustki, pewna, że w sezonie znajdę jakąś kwaterę. Następnego ranka wysiadłam z pociągu, wciągnęłam w płuca rześkie powietrze i nie pytając nikogo o drogę, podążyłam na wycucie w stronę nadmorskiego deptaku. Nie zablądziłam, pomogły strzępy wspomnień z dzieciństwa i nieliczni jeszcze o tej porze spacerowicze, zmierzający w podobnym kierunku.

Długo szukałam tamtego domu, zbudowanego w kaszubskim stylu, o spadzistym dachu i bielonych wapnem ścianach. Ale nie byłam pewna, który to, wreszcie machnęłam ręką i wynajęłam pokój w willi przy samym deptaku. Najważniejsze, że bliźutko do plaży i portu, gdzie codziennie można zjeść w smażalni świeżą rybę. Miałam parę dni wyłącznie dla siebie, zamierzałam spędzić je na maksymalnym luzie, zapominając o świecie, na przekór dopadającemu mnie często poczuciu samotności, którego nie mogły odegnać przychodzące nieregularnie listy od męża. Zakazałam sobie myślenia i rozpamiętywania, upchnęłam obrączkę głęboko na dnie torby. Nie żeby to miało cokolwiek oznaczać, pragnęłam jedynie poczuć się wolna i beztraska jak kiedyś, gdy największym zmartwieniem było dobranie odpowiedniego lakieru do paznokci pod kolor sukienki.

Nie szukałam towarzystwa, wołałam kłaść się wcześniej, wstawać bladym świtem i oglądać wschody słońca. Znalazłam sobie własne miejsce; trzeba było iść dobrą godzinę plażą, ale za to między niewysokimi wydymami miałam ciszę i spokój, bez wrzasku goniących za piłką dzieciaków, bez wieloznacznych spojrzeń i durnych zaczepek podkręconych piwem młodzieńców.

Któregoś dnia w porcie zauważyłam ustawiony na sztalugach obraz. Przedstawiał skrawek nabrzeża i kuter rybacki, a nad nim unoszące się w górze stadko mew. Kuter przypominał trochę robione przez dziadka papierowe okręciki, które malowałam farbami

i puszczałam w stawie. Podeszłam bliżej.

– Podoba się pani? – usłyszałam za plecami nieco szorstki, ale miły głos.

W pierwszej chwili nie zorientowałam się, że te słowa skierowane są do mnie. Obejrzałam się, gdy coś musnęło mi ramię.

– Nawet bardzo. Chociaż nie powiesiłabym go w sypialni – odpowiedziałam wysokiemu brunetowi o nieco impertynenckim spojrzeniu. Rysy jego twarzy wydały mi się znajome, ale wrażenie było zbyt słabe, by pytać wprost, czy gdzieś już się spotkaliśmy. – Pan go sprzedaje?

– Może... Jak skończę go malować.

Zaskoczona popatrzyłam na jego czyste ręce i zupełnie zwyczajne ubranie. W moim przekonaniu malarz powinien wyróżniać się jakoś z tłumu, a nie tylko rzucać kpiące uwagi. Nie dostrzegłam też nigdzie akcesoriów malarskich, więc uznałam, że facet żartuje albo znalazł sobie metodę na prędko podryw.

– Ach, to może wtedy go kupię – odparłam i odwróciłam się na pięcie, by odejść.

– Proszę zaczekać!

Zatrzymałam się wbrew sobie, zdziwiona wyraźnym napięciem w jego głosie. Spojrzałam przez ramię. Przyglądał mi się zupełnie innym wzrokiem niż przed chwilą. Niepokojące odczucie, że skądś go znam, przerodziło się niemal w pewność.

– Chciałbym panią namalować.

– Dlaczego akurat mnie?

– Bo pani nie istnieje naprawdę, wymyśliłem sobie panią. Malować trzeba rzeczy ulotne, bo reszty nie warto, skoro każdy może ją dostrzec. Znikniesz za chwilę bez śladu, a ja zostanę z pustym płótnem.

Każdemu innemu odpowiedziałabym, że na ty przechodzę dopiero po roku znajomości. Ale on po prostu mnie rozbroił tą swoją mieszaniną arogancji i wdzięku.

– Nie nadaję się na modelkę.

– A ja nigdy dotąd nie malowałem ludzi.

Uwierzyłam mu, sama nie wiedząc czemu.

– Nawet nie wiem, czybym potrafił. Choć nie – zamilkł, jakby coś sobie przypominając.

– Raz spróbowałem i nie wyszło. Teraz wydaje mi się, że dałbym radę.

– A ja nie wiem, czybym chciała.

– Więc obydwójce mamy coś do sprawdzenia.

Pomyślałam, jak łatwo byłoby odpowiedzieć czymś banalnym, a potem zdać się na inwencję nieznanego, którego imienia nawet nie usłyszałam. I zakończyć tę grę, kiedy będzie mi się podobało. On jednak nie pasował do stereotypu; patrzył na mnie, jakby oceniał, czy dzieło sztuki nie okaże się falsyfikatem.

– Ja nie mam.

Nie odpowiedział, nie zawołał za mną, gdy oddalałam się w stronę latarni morskiej. Poczułam na twarzy pierwsze krople letniego deszczu i wtedy przypomniałam sobie, skąd znam tego mężczyznę. W dniu mojego ślubu też padało przelotnie, goście zaczęli rozkładać parasole, a my, ja i Janusz, niepokoiiliśmy się okropnie, bo jego przyjaciel, który miał być świadkiem, ciągle się nie pojawiał. Nie widziałam go dotąd, był początkującym malarzem, wiodącym artystyczne życie, trudno uchwytnym i wiecznie w rozjazdach. Ale Januszowi tak bardzo zależało, więc się zgodziłam. Marek przyjechał taksówką w ostatniej chwili i przywitał się, całując mnie śmiało w policzek, jakbyśmy się znali od zawsze. Taki po prostu był.

A teraz nagle spotykam go po tak długim czasie! Nie poznał mnie? Na pewno nie. Zmieniłam uczesanie i ufarbowałam włosy na ciemnorudy kolor, mężczyźni nie są szczególnie

spostrzegawczy. Sama ledwie go sobie przypomniałam...

Potrząsnęłam głową, odganiając wspomnienia. Dolałam wszystkim koniaku i oznajmiłam spokojnym głosem:

– Nie, panie komisarzu, nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby czuć się skrzywdzony w znaczeniu, o którym pan wspomniał. Wie pan, to są dość osobiste sprawy, więc nie przedstawię panu listy byłych adoratorów, ale raczej żaden nie powinien żywić urazy.

– Cóż... – Widziałam, jak Zawada porozumiał się wzrokiem z profilerką. – Nie będziemy już pani zawracać głowy. Proszę jednak bardzo na siebie uważać. Psychopaci są nieobliczalni, a pani znajduje się w centrum wydarzeń.

– Naprawdę uważa pan, że coś mi może grozić?

– Nie wiem – odpowiedział Zawada, chyba szczerze. – A to najgorsza z sytuacji, ponieważ kiedy się zbyt mało wie, bardzo trudno przewidzieć, kiedy i skąd może przyjść zagrożenie. Więc proszę uważać na siebie.

Odprowadziłam gości do drzwi, a gdy wyszli, zamknęłam zasuwę i wróciłam na fotel. Nie spytałam ich nawet, czy dadzą mi jakąś ochronę. Pewnie tak, choć ten komisarz nalegał, żebym uważała na siebie. Taka formułka, która zamiast uspokoić, pogłębiała tylko lęki. Upiłam łyczek koniaku i znów przymknęłam powieki. Nie pragnęłam przywoływać wspomnień z młodości, ale wracały same niczym zwabione światłem ćmy.

Marek...

Rozdział 52

Marek zaklął cicho i wydarł którąś z kolei kartę ze szkicownika.

Byli na wydmach zupełnie sami, lekki wiatr kołysał kępami traw, odległe punkciki mew podrywały się do lotu i pikowały w wodę niczym papierowe samoloty. Justyna siedziała na piasku, obejmując rękoma kolana. Czuła się swobodnie w letniej sukience, szum morza czasem przeradzał się w groźniejszy pomruk, który cichł wraz z gasnącymi u brzegu falami.

Nie była pewna, czy malarz starał się ją odnaleźć, czy też natknął się na nią przypadkowo, błędząc po plaży w poszukiwaniu inspirujących widoków. Kilka dni temu po prostu zjawił się na jej ulubionym skrawku brzegu, przywitał się z daleka i podążył w swoją stronę. Kiedy wracał, bez słowa usiadł na szczycie niedalekiej wydmy. Minęła godzina lub dwie. Odchodząc, Justyna nie patrzyła w jego stronę, ale wiedziała, że tam jest.

Następnego dnia przyniósł szkicownik.

Prędko przyzwyczała się do nienaturalnego towarzystwa swego sąsiada, momentami w ogóle zapominała o jego obecności. Nie prosił, żeby przyjęła jakąś szczególną pozę, tylko sam od czasu do czasu zmieniał miejsce, ale zawsze stawał tak, że nawet przelotnie nie mogła dojrzeć powstającego rysunku. Coś jednak mu nie wychodziło, odgadywała to z mowy jego ciała i sposobu, w jaki wydzierał kolejne niedokończone szkice. To wyglądało nawet zabawnie, pomogłaby mu nawet, gdyby wiedziała jak. Co on powiedział wtedy w porcie? Że malować trzeba tylko rzeczy ulotne, bo inne i tak każdy dostrzeże...

Czuła się coraz mocniej zaangażowana, w jakiś sposób udzielała jej się ta jego obsesja. Bo to musiała być obsesja, coś sobie uroił, zapragnął namalować pewną kobietę, właśnie ją, jakby świat nie mógł się obyć bez jej wizerunku. Nie umiał tego zrobić czy może to ona nie spełniła jego oczekiwań albo też coś, co wziął za wyjątkowe, okazało się szare i pospolite?

Co on robi, nie widać go... Justyna uniosła się i popatrzyła w jego stronę. Ach, zdjął koszulę i położył się na piasku. Wygląda, jakby zasnął. Podchodziła, krok za krokiem, coraz bliżej i coraz wolniej. Szkicownik leżał obok niego. Uklękła i zaczęła odwijać kolejne karty. Na wszystkich był skrawek brzegu, wydmy i sam kontur postaci, bez szczegółów, tylko rozwiane włosy i kobiece linie ciała. Przypominała piaskową rzeźbę, którą mógł zdmuchnąć silniejszy powiew wiatru.

– To tylko szkice, potem miałem namalować z nich obraz. Ale nie zrobię tego.

– Dlaczego?

– Bo się nie zgodzisz. – Chwycił szkicownik i wstał. – A ja nie umiem błagać.

Nie zapytała, na co miałyby się nie zgodzić. Kiedy trzeba zadać głośno takie pytanie, odpowiedź może być tylko jedna. Wiedziała od pierwszego dnia, jak to się mogło potoczyć. Nawet liczyła w skrytości ducha, że on poprosi, żeby pozowała mu... nago. Tak, przecież nie zwrócił uwagi akurat na nią bez powodu. Zaprotestuje oczywiście, on będzie nalegał, tłumacząc, że dla artysty liczy się tylko sztuka... i sama nie była pewna, co wtedy zrobi. Pewnie odmówi. Ale chociaż mógł jej dać na to szansę. Jeden jedyny obraz, tylko dla niej stworzony. I nikt się nie dowie... A teraz przepadło.

Justyna poszła w stronę brzegu i weszła po kolana do wody. Przyłożyła dłoń do czoła i spojrzała pod słońce. Nie dojrzała na wydmach Marka. Pewnie już poszedł. Zrezygnował i tak jest lepiej. Tylko skąd to uczucie żalu? Takie głupie i przemijające jak wszystko inne. Bez śladu, bez sensu i znaczenia. Obsesja. Powiedział, że ją sobie wymyślił. Nieprawda. To ona go

sobie wymyśliła.

Następnego ranka wstała później niż zwykle. Ogarnęła się, spakowała rzeczy, zamiotła pokój, pościeliła łóżko, ułożyła równiutko poduszkę i jasiek. Potem wyszła pożegnać się z morzem.

Zaszła trochę dalej niż zwykle, mijając po drodze parę nastolatków i dziarskiego staruszka w słomkowym kapeluszu. Kiedy wszyscy troje stali się już odległymi punktami, wspięła się na najwyższą wydmę i pomachała rękami w stronę białego żagla na morzu. Wyglądał, jakby wyrastał prosto z wody, fale nie pozwalały dostrzec kadłuba. Wykonał zwrot i zaczął się oddalać w stronę horyzontu.

Z całkiem niedaleka obserwowała ją mewa, to przekrzywając na bok głowę, to zerkając na boki niczym strażnik wypatrujący nieproszonych gości. Siedzącego na wydmach Marka zakrywały niskie zarośla, udawała nieświadomą jego obecności, przyglądając się swojej strażniczce. Zresztą wycofał się zaraz, znikając gdzieś między wydmowymi pagórkami. Potem już o nim nie myślała. Przecież tylko go sobie wymyśliła, pewnie wcale go tam nie było... A mężczyźni tak niewiele wiedzą o kobietach, choćby im się wydawało, że opanowali wszystkie sztuczki. Myślą, że to od nich zależy, co, gdzie i kiedy się stanie. I niech sobie tkwią w tych błędnych przekonaniach.

Zeszła w płytką dolinkę, zdjęła sukienkę, rozłożyła ją na piasku między kępami morskich traw, żeby się nie gniotła. Mewa przefrunęła kawałek i usiadła na szczycie wydmy. Justyna zsunęła swój jednoczęściowy kostium i ułożyła na sukience, z daleka kompozycja przypominała opalającą się postać. Ale obserwowała ją tylko zaciekawiona mewa, pewnie dałaby znać, gdyby ktoś był w pobliżu. Gorący piasek parzył stopy, gdy Justyna szła nago w stronę morza. Zamoczyła stopy, wyłowila garść muszelek i cisnęła w wodę. Potem zaczęła przeskakiwać spienione u brzegu fale. Mogła pozwolić sobie na wszystko, biegać plażą i straszyć mewy albo zrobić z wodorostów okrycie, które i tak niczego by nie ukryło. Spojrzała pod słońce w stronę wydm.

Był tam! Rysował w swoim szkicowniku, skryty za kępami wyższej trawy, co chwilę unosząc wzrok w jej stronę. Policzki jej zapłonęły, tłumaczyła sobie, że to od słońca. Przecież to tylko jakiś cień, złudzenie. I na pewno nie znał jej myśli. Kobietom też wolno mieć swoje pragnienia, nawet obsesje...

Zbliżała się coraz bardziej, szukając pod stopami muszelek; na wrzask mewy, swojej strażniczki, uniosła głowę. Marek zrobił to samo, a wtedy ich spojrzenia się spotkały. Justyna krzyknęła i przykucnęła, obejmując rękami piersi. Uśmiechnął się, jakoś tak przepaszająco, samymi kącikami ust. Myślała, że odwróci się i odejdzie, ale po prostu rysował dalej. Skulona minęła go trochę z boku, stanęła mu za plecami i spojrzała w szkicownik. Naga kobieta szła w stronę morza, uwieczniona rozmytą kreską, wydawała się nieuchwytna, gotowa rozpląnąć się jak zjawą, gdyby ktoś do niej zawołał. Niczym sen, tym trudniejszy do przywołania, im bardziej się tego pragnie.

Zakryła Markowi oczy. Odłożył szkicownik, lecz nie zrobił nic więcej.

Po chwili odwrócił się i przywarł twarzą do jej brzucha i łona. Miał szorstkie policzki i gorącą skórę na ramionach. Dłonie też miał szorstkie, ale uważne i delikatne, kiedy poznawał jej ciało. Jak ślepy rzeźbiarz, który najpierw w pamięci odwzorowuje kształty. Podniósł się wolno, składając pocałunki na jej twarzy, piersiach, szyi. Czują przez szorty jego napięcie, ale zwlekała, cofnęła rękę zamierzając rozpiąć pasek. Było coś upajającego w tym, że zupełnie naga i bezbronna przyjmowała najintymniejsze pieszczoty, a jemu pozostawało czekać w niepewności, czy pozwoli się pojąć.

Wreszcie zrobiła to sama. Rozpięła mu pasek i guziki, a potem wolno pociągnęła szorty

w dół. Chciała jeszcze przedłużyć grę i pochyliła się nad nim, ale on położył się na piasku, przyciągając ją do siebie za ramiona, jego dłonie zsunęły się po łuku pleców, ogarnęły biodra i spłynęły na pośladki. Przycisnął ją do swych bioder, delikatnie rozchylił uda. Kiedy poczuła go w sobie, czas stanął w miejscu. Przez minutę, może dwie całowali się tylko zachłannie, sycąc się absolutną bliskością. Poruszył się pierwszy, potem ona. Pozwolił jej nadawać rytm, przyspieszył, kiedy nad ich głowami zakrzyczała mewa...

Justyna nie wyjechała tego dnia. Ani następnego.

Marzyła, że on namaluje ten obraz. Więcej, była tego pewna. Teraz już będzie umiał.

Tak to wyglądało we wspomnieniach Marka Cyglera. Wracał do nich często, a dużo częściej od czasu, gdy Zamorscy się rozwiedli.

Rozdział 53

Złapałam dyktafon i wyszłam z domu. Nosiło mnie, nie mogłam wytrzymać w czterech ścianach. Janusz nie naciskał, jednak przysłał już dwa mejle, opisując niby najnowszy pomysł na książkę – tym razem miałyby to być takie bardzo osobiste reportaże z ukochanych miejsc w Polsce, od Trójmiasta począwszy po Kraków i Sanok, i Szklarską Porębę – a między wierszami tkwiły pytania: Czy przyjmiesz mnie z powrotem? Czy możemy wszystko zacząć od początku?

Byłam pewna, że możemy.

Nie byłam tylko pewna kiedy. Już się przyzwyczałam do bycia singlem i ceniłam sobie swobodę, jaką daje samodzielne mieszkanie. Jem, kiedy chcę; wstaję, kiedy chcę; sprzątam, kiedy chcę. I tak dalej. Ale brak tej drugiej osoby to także brak ciepła w łóżku, brak towarzystwa przy stole, brak kogoś do wspólnego oglądania czegośkolwiek w telewizji, brak rozmówcy choćby przy czytaniu codziennej prasy, brak kogoś do spacerów w słońcu lub deszczu. I tak dalej. I co najważniejsze, brak tej przysłowiowej szklanki herbaty w chorobie.

Przetrawiałam w sobie to, że Janusz tak łatwo dał się wyrzucić nie tylko z mojego mieszkania, ale przede wszystkim z naszego wspólnego życia. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie walczył, nie tłumaczył, nie wyjaśniał. Miałam jedną odpowiedź – nie kochał mnie. A jednak chyba było inaczej. Dlaczego więc...? I dlaczego teraz to ja mam podjąć decyzję? Dlaczego nie naciska mocniej, nie przekonuje, nie prosi, nie przeprosza? Mąciło mi się w głowie i nie mogłam się zdobyć na jednoznaczną decyzję. Choć w sumie wiedziałam, czego chcę. Chciałam mieć Zamorskiego z powrotem w swoim życiu. Nawet z tą całą Agnieszką, która przecież niczemu nie była winna. Postanowiłam, że może jutro zadzwonię do niego i spróbuję ostatecznie z nim pogadać.

Tak, chciałam go z powrotem.

Na razie jednak wybrałam się do Złotych Tarasów; przeszłam Marszałkowską aż do Świętokrzyskiej, całej rozkopanej i ogrodzonej; budowa drugiej linii metra trwała już trzeci rok, warszawiacy przyzwyczailli się do płotów wzdłuż ulic i do wszystkich związanych z nimi niedogodności. Ze Świętokrzyskiej skręciłam w lewo na wysokości ulicy Bagno i przemykając między zielonymi płotami ogrodzenia, znalazłam się na placu Defilad. Następnie pomaszero瓦łam przez park, na Emilii Plater, przystając przed fontanną naprzeciwko wejścia do Pałacu Młodzieży – bo lubiłam fontanny – i już byłam przy swojej ulubionej galerii handlowej. Dzisiaj wolałam spacer, choć czasami wsiadałam na placu Bankowym w metro i przejeżdżałam jeden przystanek. Wychodziłam na Świętokrzyską i dalsza część trasy przebiegała bez zmian.

Tym razem jednak chciałam się przejść i teraz, po dość długim marszu, nie mogłam się doczekać kawy. I tych, kurczę, lodów czekoladowych, no trudno, serotonina chyba jest też w lodach, a w czekoladowych to już z pewnością. A serotoniny potrzebowałam teraz dużo, bo nastrój mi siadał.

Tym razem jednak nie poszłam do kawiarenki, w której dominowały lody, tylko wjechałam na wyższy poziom i skierowałam się do pijalni czekolady Wedla. Białe, miękkie, wygodne krzesła zachęcały, żeby przysiąść i odpocząć. Oczywiście przy filiżance czegoś, w czym tej serotoniny jest najwięcej.

Po drodze, gdy mijalam EMPiK, dostrzeglam wielki plakat: „Zapraszamy na wystawę obrazów Marka Cyglera. II poziom, galeria północna”. A więc robi się coraz bardziej popularny, pomyślałam. Postanowiłam, że pójdę na tę wystawę. Ale nie chciało mi się wracać, żeby sprawdzić, kiedy to będzie.

Coraz intensywniej marząc o dawce serotoniny, podeszłam do jednego ze stolików u Wedla i postawiłam na nim filiżankę gorącej czekolady. Usiadłam i wyjęłam z torebki dyktafon. Nie włączałam go jednak, bo ruch był minimalny i w zasadzie nic się nie działo, nie miałam do zanotowania żadnych obserwacji. Do Wedla weszły dwie panie, usiadły przy stoliku obok i rozpoczęły rozmowę o „tej głupiej Baśce”. Przez chwilę wydało mi się, że słucham opowieści o swoim życiu. On i ona, wielka miłość. Po dwóch latach on kocha inną i się wyprowadza. No tak, to niezupełnie podobne, teraz już wiem. Ale jak wyglądało? Identycznie.

Po chwili zafascynowało mnie podsumowanie rozmowy. Panie zgodnie doszły do wniosku, że „ta głupia Baśka” powinna udawać, że niczego nie dostrzega.

– I co jej, kochana, po tej całej ambicji? Została sama, bosa i goła – zabrzmiał głos pierwszej z nich.

– I bez faceta w łóżku – zachichotała druga. – Na dodatek bez jego pensji – dodała zjadliwie.

Taaak, nie musiałam notować takich rozmów, znam dobrze ich treść. Zdaje się, że dzisiejsza wyprawa nie zaowocuje żadnymi zapiskami, skonstatowałam, popijając czekoladę. Siedziałam tyłem do drzwi, nie widziałam więc, kto wchodzi. Usiadłam tak specjalnie, chciałam dobrze widzieć wewnątrz i ludzi przy stolikach. Już miałam zamiar się przesiąść, bo do tej pory nic się tutaj nie działo, gdy raptem drgnęłam. Przy stoliku obok usiadła jakaś kobieta, tak na oko w piątej dekadzie życia. Przed sobą postawiła filiżankę czekolady, a jakże, ale nie to mnie zainteresowało. Zobaczyłam, że owa pani wyciąga z torby książkę ze znajomą okładką. *Moja Wojenna miłość*, ha! Po chwili przy tym samym stoliku usiadł jeszcze jakiś pan i witając się z panią, niechętny zrzucił powieść ze stolika. Odruchowo wstałam z krzesła i schyliłam się, żeby podnieść książkę. Podnosząc się, z kolei ja potrąciłam kogoś, dość mocno, wydawało mi się, że w łokieć. I w tym momencie usłyszałam znajomy głos.

– Ale się rozbijasz, moja droga!

– Co ty tu robisz? – zapytałam, zwracając się w stronę głosu, który należał do mojego byłego męża. Janusz właśnie podnosił coś z podłogi.

Z dość głupią miną pokazał mi strzykawkę.

– Dziwne rzeczy płaczą ci się pod nogami. – Wyjął z teczki gazetę i zawinął w nią znalezisko. Rozejrzał się za najbliższym koszem na śmieci.

„Pani Justyno, proszę uważać. Może pani grozić niebezpieczeństwo” – zabrzmiało mi w uszach zdanie z rozmowy z komisarzem i profilerką. Strzykawka? Obok mnie? W pijalni czekolady?

I skąd tu nagle wziął się Janusz? Zrobiło mi się gorąco. Niemożliwe, żeby to on... Chyba nie chodzi o obraz Marka. Chociaż... gdyby się dowiedział o tamtej przygodzie w Ustce... Przypomniałam sobie, co mówiła ta profilerka: „Powody działania psychopaty są niewyobrażalne dla normalnego człowieka”.

Nie patrząc na mojego byłego, wyjęłam z torebki komórkę i wyszukałam numer Zawady.

– Panie komisarzu – szepnęłam, gdy się zgłosił. – Jestem w pijalni czekolady Wedla w Złoty Tarasach i stało się coś dziwnego. Chciałabym, żeby pan tu przyszedł. Nie

– odrzekłam na jego pytanie – po prostu nie mogę mówić głośniej, coś mi się stało z głosem.

– Co ci się stało z głosem i dlaczego dzwoniłaś do tego policjanta? – Zdumienie

w głosie Janusza można by chyba kroić nożem.

– A skąd ty się tu wzięłaś?

– Zachciało mi się popatrzeć na twoją miłą buzię. Wołałem nie dzwonić, bo się bałem, że nie zgodzisz się na spotkanie. Mówiłaś przecież, że sama się odezwiesz. Ale czekam i czekam... Podjechałem więc pod nasze... pod twoje mieszkanie, nie było cię tam. No to założyłem, że znajdę cię w twoim ukochanym miejscu. Wedel to drugie miejsce, do którego zajrzałem, najpierw byłem u Grycana.

– No, rzeczywiście znasz mnie – szepnęłam, bo głos w dalszym ciągu odmawiał mi posłuszeństwa. – I uganiaś się za mną. – Uśmiechnęłam się, myśląc, że podejrzwanie Janusza jest najgłupszym pomysłem, jaki kiedykolwiek przyszedł mi do głowy.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam policzka mojego byłego męża.

– A wiesz? – podjęłam decyzję. – Tu gdzieś jest wystawa Marka. Może pójdziemy?

Postać ukryta za sztucznym drzewkiem na zewnątrz obserwowała uważnie tę scenę, żałując, że się nie udało, a jeszcze bardziej, że nie potrafi czytać z ruchu warg. Ale to i tak niczego by już nie zmieniło...

Zakapturzona postać szybkim ruchem ściągnęła z siebie szary polar i wmieszała się w tłum bywalców galerii.

Justyna i Janusz niczego nie zauważyli.

Rozdział 54

Zawada schował ostrożnie strzykawkę, którą podał mu Janusz Zamorski. Z uwagą słuchał relacji Justyny.

– Tak naprawdę to niczego nie widziałam. Wstawałam z krzesła, chciałam podnieść tę książkę – zakończyła. – I wtedy wydało mi się, że kogoś potrąciłam albo że ktoś mnie potrącił. Prawie w tej samej chwili usłyszałam głos męża.

Nadkomisarz przeniósł spojrzenie na Zamorskiego, który siedział wpatrzony w byłą żonę, ale jakby spoglądał gdzieś w głąb, przez nią. Widział coś, co nie miało związku z obecną sytuacją.

– Panie Januszu? – Piotr chrząknął i zerknął na Justynę. Ona także nie spuszczała wzroku z eksmęża.

– Ja... aha... – ocknął się Zamorski. – To było jakoś tak, że Justyna podnosiła się z książką i wpadła na mnie, a wtedy cofnąłem się i chyba sam kogoś potrąciłem. Teraz przypominam sobie odgłos, jakby coś upadło na podłogę. Na tę strzykawkę to prawie nadepnąłem. Podniosłem ją odruchowo, będą na niej moje odciski palców. – Przypomniał sobie, z kim rozmawia. – Nie widziałem nikogo. Chociaż... – Zmarszczył czoło. – Tak, chyba kogoś widziałem. Obejrzałem się i zobaczyłem jakąś biegnącą postać. Ale niestety nie umiem jej opisać.

– Jej? – podchwycił komisarz.

– Jej, czyli tej postaci. – Zamorski znowu zmarszczył czoło. – Nie wiem, czy to była kobieta, czy mężczyzna. Chyba w szarej polarowej bluzie z kapturem.

– No cóż. – Piotr wstał od stolika. – To w istocie niedużo. Zbadamy tę strzykawkę. Powiadomię panią o rezultatach. Państwa – dodał, widząc, jak Justyna Sobolewska ścisła dłoń męża.

– Właśnie idziemy na wystawę Marka Cyglera – powiedziała zupełnie bez sensu. W dodatku informacja była nieprawdziwa, bo wystawa miała się odbyć dopiero za kilka dni, teraz tylko ją reklamowano.

Wlokąc się zakorkowanymi ulicami do laboratorium kryminalistyki, nadkomisarz miał czas, żeby przemyśleć parę spraw. Użycie strzykawki oznaczałoby kolejną zmianę sposobu działania mordercy, co jeszcze bardziej gmatwałoby śledztwo. Albo wiodło na kompletne manowce, bo jeśli założyć, że sprawca posługuje się także innymi narzędziami zbrodni, to dochodzenie należało rozszerzyć na wszystkie niewyjaśnione zabójstwa z ostatnich miesięcy, a nawet lat. Może chodziło mu właśnie o to, żeby skierować ich na fałszywe tory? Jednak przyczyną, motywem i osią sprawy jest Justyna Sobolewska, wokół niej należy szukać tropów. Tego był pewny.

Dziwnie zareagowała na pytanie o kogoś, kto w przeszłości mógł poczuć się odrzucony i skrzywdzony. Zaprzeczyła, ale Piotr nauczył się wychwytywać sygnały wahania i czuł teraz, że pisarka wyraźnie coś ukrywa. A ów tajemniczy obraz? Zawada bardzo chciał go wreszcie zobaczyć, bo wszyscy zainteresowani starali się umniejszać jego znaczenie. Ot, malowidło bez większej wartości, sentymentalna pamiątka. Więc dlaczego tak usilnie starają się wydrzeć go sobie z rąk? Justyna chowa go u koleżanki, która niemal natychmiast zostaje

zamordowana, a feralny obraz znika. Obraz może być z jakichś powodów ważny dla Justyny, jej męża i owego pojawiającego się tak nagle adoratora zabitej przyjaciółki, Krzysztofa. Oraz dla samego autora, Marka Cyglera. Czy na tyle ważny, by z jego powodu ginęli ludzie? Należy koniecznie go odzyskać i dokładnie mu się przyjrzeć! Na dodatek ten Cygler za często pojawia się w całej historii. Trzeba z nim pogadać. Niby on, Piotr, nie prowadzi już śledztwa, ale da się to zaaranżować na jakimś neutralnym gruncie.

Prowadząc samochód zatłoczonymi ulicami, nadkomisarz kontynuował swoje przemyślenia. Ludzie mający styczność z obrazem to ledwie wierzchołek góry lodowej. A czytelnicy? Wielbiciele książek albo udający takowych bywalcy spotkań z Sobolewską? Wtedy najłatwiej się zbliżyć do pisarki, nie czyniąc jej bezpośredniej krzywdy. Bo wiele wskazywało, że sprawca pragnął nękać, dręczyć i osaczać pisarkę, uczynić jej życie pasmem niepokoju. Więc wybierał sobie ofiary spośród zagorzałych czytelniczek jej powieści, cóż prostszego, niż nawiązać znajomość na wieczorne w bibliotece, odprowadzić upatrzoną osobę do domu i potem czekać na stosowną chwilę.

A krąg podejrzanych zamiast maleć, obejmował coraz więcej ludzi. Nawet Ewelina... Nieważne, co sam o tym myślał i że kompletnie nie miała motywu, ale Katusza skutecznie rzuciła cień na jej osobę i Piotr musiał uczciwie przyznać, że miała pewne podstawy. Tylko dlaczego zrobiła to za jego plecami i w tak wredny sposób ryła mu pod stopami?! Przecież chyba nie mogło chodzić o sprawy osobiste, rewanż za tamtą historię sprzed miesiąca? No owszem, mógł zapukać, zamiast od razu łądować się do pokoju szefa. Ale takie były zwyczaje; jeśli zebrało im się na flirty w robocie, powinni zamknąć zasuwę. Odwrócony tyłem Mulak nawet go nie zauważył, zajęty wkładaniem rąk pod bluzkę siedzącej na biurku Katuszy. Nie protestowała bynajmniej, a Piotr wycofał się w porę, zamykając ostrożnie drzwi.

Wreszcie dojechał na miejsce. Zaparkował i ruszył prosto do laboratorium. W drzwiach natknął się na doktora Olewińskiego.

– O, kogóż to moje oczy widzą? Stęskniłeś się za mną czy już rozeszły się wieści, że zatrudniliśmy młodą laborantkę o rudych włosach?

– Znajac pana doktora, laborantka jest już zajęta... Pracą oczywiście.

– Kto pracuje, nie grzeszy, pamiętaj o tym!

– Zapamiętam. – Piotr wyjął foliową torebkę ze strzykawką. – Słuchaj, to pilne, muszę wiedzieć, co w niej jest, czy są odciski palców i całą resztę.

– Pilne, pilne... – Olewiński mruknął zrzędlawie, przyglądając się pod światło zawartości torebki. – Zwykła, do domowych iniekcji. Można taką kupić w każdej aptece. Reszty dowiesz się za trzy dni.

– A wiesz... – Zawada wyjął z teczki podłużny kartonik – mam bilety na galę boksu, za tydzień na Torwarze. Nie będę mógł iść, szkoda, żeby się zmarnowały. No trudno, popytam w komendzie, ktoś się pewno skusi.

Olewiński ciężko westchnął i wyciągnął rękę.

– Wyniki będą jutro z rana.

Rozdział 55

Podkomisarz Katarzyna Karwowska czuła, że jest na fali. Była nieprzeciętnie ambitna, do tego umiała postępować bez skrupułów, choć mało kto by ją o to podejrzewał. Zamierzała zająć wysoko, a czy mogła się trafić lepsza okazja niż śledztwo, o którego rezultatach media będą trąbić miesiącami? Sama się zastanawiała, jakim cudem pismaki dotąd zostawiają ich w spokoju? Prawdopodobnie sprawa była zbyt świeża, ofiar nic nie łączyło ze sobą, więc żaden dziennikarz nie zwierzył sensacji. Ale w końcu zwierzą albo sama im w tym pomoże, a wtedy postara się znaleźć na pierwszym planie. Od początku wyśmienicie to rozgrywała, obstawiając kilka koni jednocześnie. Nadkomisarz Mulak nie okazał się zbyt pomocny, do łóżka to i owszem, wskoczyłby zwawo niczym żrebak, ale nawet nie próbował obiecywać protekcji, a dla samej przyjemności mogła sobie znaleźć kogoś lepszego. Pozwoliła na trochę i wykręciła się, sugerując, że ciąg dalszy mógłby nastąpić, gdyby naczelnik w jakiś wymierny sposób docenił jej osiągnięcia w pracy...

Z Piotrem to co innego, z nim dałoby się połączyć przyjemne z pożytecznym, ze wskazaniem na to pierwsze. Tyle że kobieca intuicja podpowiadała jej, żeby chwilowo nie wysyłać zbyt czytelnych sygnałów. Profilerka i nadkomisarz zachowywali się poprawnie, jednak Katusza dałaby głowę, że coś ukrywają. Mowa ciała i porozumiewawcze spojrzenia mówiły więcej, niż gdyby przyłapała ich na małym sam na sam. Nie zamierzała wchodzić w żadne intymne trójkąty, więc metodą odpowiedniego karmienia przełożonych wyselekcjonowanymi informacjami do tego stopnia wzmocniła swoją pozycję, że niemal wygryzła Piotra ze sprawy seryjnego mordercy. Tak naprawdę nie wierzyła w winę profilerki, ale rzucenie na nią podejrzewania było doskonałym pretekstem dla komendanta Matysiaka, by Katusza przejęła część sprawy. Mogła teraz prowadzić własne śledztwo, miała zapewnioną swobodę. Przeciek o poczynaniach Piotra w Trójmieście dotarł na właściwe biurko. W rezultacie Zawada miał iść na urlop, z rodzaju tych, z jakich się już często nie wraca do służby. Nadzór Mulaka nie spędzał Katuszy snu z powiek, w razie czego znała sposób na jego złe humory. Sukces śledztwa miał być jej zasługą, ewentualną porażką przełożeni naturalnie obciążą Zawadę i paru innych, ona pozostanie w cieniu. Wydawało się, że wszystko idzie według planu, tyle że Piotr nie położył uszu po sobie, dogadał się jakoś z Matysiakiem i wprawdzie niby nie prowadził śledztwa, jednak ciągle plątał jej się pod nogami i patrzył na ręce. Oficjalnie był na urlopie, tyle wiedziała; jeśli sama na coś wpadnie, to nie ma obowiązku go informować.

Katuszę gównem obchodziły małe układziki osobiste oraz układy na górze. Dzięki własnemu sprytowi trzymała w ręku najważniejsze nici śledztwa i zamierzała zgarnąć dla siebie całą pulę. Musi być tylko ostrożna i konsekwentna. Wystukała z pamięci numer, którego nigdzie nie zapisywała, podała miejsce oraz porę i przerwała połączenie.

Późnym popołudniem, po załatwieniu najpilniejszej papierkowej roboty, wyszła z komendy i skierowała się na postój taksówek. Młodzieniec za kierownicą na widok rudych włosów i biustu pasażerki zapałał chęcią nawiązania konwersacji i co chwilę odwracał głowę w jej stronę.

Katarzyna zgasiła go jednak w przedbiegach.

– Patrz, kurwa, na drogę! – Bez pytania opuściła szybę po swojej stronie. Było gorąco, a w samochodzie śmierdziało smarami i potem.

Nie odezwał się więcej, co zostało mu wynagrodzone napiwkami. Przynajmniej tak mógł

sądzić, ale prawdziwym powodem była niechęć Katuszy do przyjmowania bilonu z rąk faceta o paznokciach tak brudnych, jakby zdrapywał nimi błoto z karoserii auta. Czekał ją jeszcze dłuższy spacer, gdyż nie chciała, by taryfiarz zauważył, dokąd poszła. Skrzywienie zawodowe, nie zamierzała jednak uczynić fałszywego kroku. Minęła stadion Polonii, przy budynku mennicy skręciła w prawo i powędrowała w kierunku Starego Miasta. Zabytkowe kamieniczki stały przytulone do siebie niczym grupka ludzi na starej fotografii. Miejskie odgłosy docierały tu tak słabo, że słychać było kroki przechodniów. Nie doszła do Barbakanu; wśród knajpek na Freta była jej ulubiona.

Sączyła zimne piwo w kawiarnianym ogródku. Lubiała tam przysiąść, bo mieli solidne, długie drewniane stoły, a nie rachityczne stoliczki, kiwające się przy lada dotknięciu. Chodnikiem i brukowaną ulicą ciągnął anonimowy tłumek, ktoś czasem odwrócił głowę, jakby z żalem, że nie może się dosiąść, ktoś inny dawał się skusić pragnieniu.

Albo zwyczajnie nie miał co zrobić z resztą dnia.

– Można? – spytał niepotrzebnie kobiecy głos, jako że ława po drugiej stronie była pusta.

Mruknęła coś i sięgnęła po papierosa. Przy końcu stołu usiadły jakieś przystojniaki w marynarkach. Na szczęście nie pytali o pozwolenie.

Katusza wróciła myślami do początku tej znajomości. Zaczęło się kilka miesięcy temu od zdobycia pewnych informacji o przesłuchiwanym członku gangu. Katusza nawet nie czytała dokumentów, tylko je skopiowała. Wymagało to posłużenia się sprytem, a w jeszcze większym stopniu wdziękiem, ale się udało. Dwa dni później w prasie ukazał się obszerny artykuł o powiązaniach świata mafii i polityki, pełen rewelacji, od których zdrząły ściany kilku gabinetów. Dziennikarka z dnia na dzień znalazła się na topie; wychodziła z jednego studia telewizyjnego, by po godzinie ukazać się w kolejnym. Nie ujawniła źródeł informacji, zasłaniając się etyką dziennikarską, co dodatkowo rozpalało emocje. Katusza dostała swoją dółę, lecz naprawdę grała o całkiem inną stawkę. I wreszcie czuła, że jej dzień nadchodzi.

Kobieta stuknęła swoją szklanką w brzeg szklanki Katuszy.

– Niech się pani komisarz rozchmurzy! Naprawdę, gdyby nie ty, byłabym dziś w zupełnie innym miejscu. – Zmrużyła oczy i potrząsnęła głową; długie blond włosy rozsypały jej się wokół ramion. – Naprawdę to doceniam.

– Mam nadzieję, w końcu to ja bardziej ryzykuję.

Katarzyna Zet paroma łykami opróżniła szklankę. Zawołała kelnera. Kiedy wrócił z nowym piwem, powiedziała szeptem:

– Dawaj. Tylko żeby nikt nie widział.

Katusza wyjęła z torebki plik powielonych na ksero kartek. Były złożone na pół. Podawała je pod stołem dziennikarce, zabierając z powrotem tę z wierzchu ze swoimi odciskami. W zamian otrzymała niewielki pakiecik. Tak naprawdę to od niego wszystko się zaczęło. W szkole średniej popalała nieregularnie marihuanę, jak wielu rówieśników. Na studiach w Szczytnie bardziej ich pilnowali, ale od czego przepustki i urlopy. Stworzyli sobie zaufaną paczkę, po cichu organizowali imprezy z morzem alkoholu, ziołem, a czasem czymś mocniejszym. Katusza długo nie uważała się za uzależnioną, nawet wtedy gdy po studiach, kiedy stres i seksistowskie docinki stały się codziennością, musiała korzystać ze sposobu, który najlepiej pomagał. Była ostrożna jak alkoholik ukrywający latami swój nałóg, wiedziała, kiedy musi być czysta, paliła wtedy w ukryciu skręta, ułatwiającego przetrwanie. Mocniejsze prochy dawkowała sobie z umiarem. Ale źródła wysychały, a nie potrafiła już bez tego normalnie funkcjonować, pieniądze również stanowiły poważny problem. A Katarzyna Zet w jakiś sposób dowiedziała się o tym i złożyła jej propozycję na granicy szantażu. Którą

Katiusza przyjęła, bardziej udając, niż przeżywając rzeczywiste rozterki.

- Dowiedzieliście się czegoś nowego o tym seryjnym? – spytała Zet.
- Cierpliwości, sprawa jest rozwojowa – padła enigmatyczna odpowiedź.

W tej kwestii Katiusza była zdecydowana trzymać karty przy orderach, aż nadejdzie właściwy moment. Nie ufała pani dziennikarce na tyle, by dać jej coś konkretnego. Gdyby informacje przedwcześnie wyciekły do mediów, w komendzie zaczęłoby się wewnętrzne dochodzenie. A kiedy się szuka kozła ofiarnego, niższe stopnie nadają się do tego idealnie.

- Rzadko się ostatnio odzywasz. – Jej rozmówczyni nie wyglądała na specjalnie zawiedzioną. – Masz nowe źródelko, pewny towar?

Katiusza pojęła niewypowiedzianą groźbę.

- Chodzę na terapię, próbuję powoli odstawić.

Po wejściu do mieszkania zamknęła za sobą drzwi na wszystkie zamki i poszła prosto do kuchni. W lodówce był dżin. Nie cierpiała dżinu, był dla gości, zawsze go rozcieńczała tonikiem.

Ale nie tym razem. Napełniła jedną trzecią szklanki i uniosła ją do ust.

Bycie gliną ma swoją cenę, najgorszy wcale nie jest stres i oczekiwanie, kiedy jakiś bandzior okaże się szybszy. W miarę gdy rośnie liczba ludzi, którym zafundowało się wczasy na koszt państwa, coraz trudniej nie obawiać się, że ktoś z nich na ulicy może rozpoznać tego, kto go zamknął. Bo oni nie zapominają i mają czas. A jeśli na dodatek gliniarz zada się z niewłaściwymi ludźmi, sam wyklucza się daleko poza nawias. O ile w porę z nimi nie zerwie. Tej całej Zet wydaje się, że ma ją w garści. Dobrze, niech tak sądzi. Było sporo czasu, by pochodzić za panią dziennikarką, dowiedzieć się naprawdę ciekawych rzeczy o jej kontaktach, a nawet życiu osobistym. W swoim czasie zrozumie, jak wiele ma do stracenia, zadzierając z Katiuszą.

Połknęła jedną białą pastylkę z pakieciku od Katarzyny Zet. Po chwili połknęła drugą, popijając łykiem dżinu. Wzięła długi gorący prysznic.

Rozdział 56

Patrząc na Cyglera, Zawada coraz lepiej rozumiał, dlaczego kobiety tak na niego lecą. Malarz był wysoki, szczupły, proporcjonalnie zbudowany. Miał długie do ramion włosy, czarne jak węgiel i lekko kręcone. Szare oczy z zielonymi cętkami umiały się wwiercić aż do mózgu. Tak właśnie Piotr teraz się czuł – jakby to on był obiektem obserwacji, a nie obserwatorem. Do tego dołek w policzku, pogłębiający się przy uśmiechu, zarazem zaczepnym i zagadkowym. Taki facet, pomyślał komisarz, podoba się na pewno nie tylko kobietom. A zazdrość jest motywem starym jak świat.

Coraz więcej nici krzyżowało się w pobliżu malarza, choć ten przez większy czas śledztwa przewijał się jedynie gdzieś w tle. Zawada dawno przestał wierzyć w przypadki.

– Może od razu przejdę do rzeczy – zwrócił się do Cyglera. – Wie pan zapewne, że Małgorzata Słodka została zamordowana?

– Nie... to niemożliwe. – Piotr zanotował w pamięci, że malarz nie wypiera się znajomości z tą kobietą. I to zapewne głębszej niż przelotna, świadczyła o tym jego reakcja.

– Nie miałem pojęcia, dopiero wczoraj wróciłem z Barcelony.

– Pani Słodka zginęła trzy tygodnie temu, wtedy był pan w Warszawie, sprawdzałem. Ale nie rozmawiam z panem dlatego, że jest pan podejrzany. – Zawada mówił rzeczowym, niemal przyjacielskim tonem, rozglądając się jakby mimochodem po restauracji, w której się spotkali. Zauważył, że określenie „podejrzany” wywarło właściwe wrażenie. – Chciałem z panem porozmawiać o pańskim obrazie. Tym, który podarował pan Justynie Sobolewskiej.

– To był *Pejzaż nadmorski*, mam fotografię w swoim portfolio, można go obejrzeć na mojej stronie internetowej.

Zawada nawymyślał sobie w duchu od idiotów. Widział stronę Cyglera, oglądał nawet jego portfolio, niektóre obrazy bardzo mu się podobały, ale żadnego *Pejzażu nadmorskiego* nie kojarzył.

– Proszę mi opowiedzieć o tym obrazie. – Wyciągnął paczkę papierosów, spoglądając pytająco na swojego rozmówcę.

– Dziękuję, ja nie palę, ale nie przeszkadza mi dym, niech pan się truje, skoro pan chce. Malarz zamyślił się; Zawada miał wrażenie, że na twarzy Cyglera mignęło lekkie zmieszanie, jakby zaduma wyzierająca spod maski doskonale spełnionego artysty.

– Nie ma tu nic do opowiadania. – Tamten prędko wrócił do rzeczywistości. – Justyna miała imieniny, pomyślałem więc, że dam jej taki prezent. Moje stosunki z Zamorskimi zawsze były bardzo przyjacielskie. Justynę poznałem dopiero na ich ślubie, potem przez dłuższy czas byłem za granicą, więc się nie spotykaliśmy. Ale gdy już wróciłem do kraju, bywałem u nich dość często, dopóki się nie rozwiedli. Wtedy w zasadzie przestałem się z nimi widywać. Uprzedzając pana pytanie, wyjaśniam, że nie obraziłem się ani na Janusza, ani na Justynę. Po prostu nasze drogi się rozeszły, każdy miał swoje sprawy i tak jakoś wyszło – zakończył.

Piotrowi wydawało się jednak, że ten facet mógłby powiedzieć dużo więcej.

– Ale dlaczego pan pyta o ten obraz? I to w kontekście informacji o śmierci Małgorzaty?

– Bo, panie Marku, ten obraz zniknął z jej mieszkania. Najprawdopodobniej został zabrany przez mordercę.

Rozdział 57

Ewelina siedziała przed monitorem komputera. Piotr spał wykończony ostatnimi wydarzeniami, miała więc trochę czasu wyłącznie dla siebie. I dla swej dobrze ukrywanej przed światem tajemnicy. Tajemnica Eweliny była z gatunku tych, które nie do końca zasługują na to określenie, bardziej pasowało do niej słowo „sekret” lub po prostu „pasja”. Pisała książkę. Nie po coś lub dla kogoś, lecz z potrzeby utrwalenia swoich ulotnych myśli, a także przeżycia, choćby tylko w wyobraźni, czegoś więcej, niż oferowała codzienność. Wierzyła, że zapisane słowa nabierają znaczenia, nieomal mocy sprawczej, a przynajmniej pozwalają zrozumieć siebie lub innego człowieka na poziomie bliskości nieosiągalnym w realnym świecie. Niekiedy zalecała swoim podopiecznym – ludziom najczęściej zamkniętym w sobie i nieskorym do zwierzeń – by spróbowali przelać własne historie na papier. Tak jak umieją, jak sami je widzą. Zwykle patrzyli wtedy na nią z powątpiewaniem, wzruszali ramionami i uciekali wzrokiem. Nie nalegała, ale zdarzało się, że po jakimś czasie ten i ów przynosił na kolejne spotkanie plik zapisanych kartek. Dowiadywała się z nich o wiele więcej niż w trakcie wielogodzinnych sesji. Czasem nawet więcej, niżby pragnęła. Wynosiła te swoiste grypsy zza krat na zewnątrz, a wieczorem, w zaciszu swojego mieszkania, odnajdywała niespodziewaną wrażliwość i emocje pośród koślawych liter, z trudem poskładanych w słowa i zdania. Zdarzało jej się zapominać, wytworem jakich umysłów były owe zwierzenia, i nieodmiennie dziwiło ją, jak cienka i nieuchwytna jest granica dzieląca szaleństwo od tego, co uznaje się za normalne. Ale wiedziała też, że ludzkie losy nie zostały zapisane w gwiazdach. Bardzo trudno wskazać moment, konkretne wydarzenie łączące przyczynę i skutek. Jeśli prawdą jest, że trzepotanie skrzydełek motyla potrafi wywołać huragan, to jakie żywioły może wyzwolić krzywda doznana w dzieciństwie, nieodwzajemnione uczucie czy kłamstwo osoby, której się bezgranicznie ufało?

Kiedyś chłopak o wyglądzie nieśmiałego cherubinka i szczerym, budzącym zaufanie spojrzeniu, z wyrokiem dłuższym niż jego wiek metrykalny, podał jej na widzeniu dwie kartki. Były zapisane równiutkim pismem, bez skreśleń i błędów.

– To dla pani prezent na imieniny. Bo to dzisiaj, prawda? – Uśmiechał się tak uroczo, że aż miała ochotę go przytulić. – Prosiła pani, żeby spisywać swoje marzenia... Ale to będzie nasza tajemnica. Obieca mi pani?

– Tak, obiecuję. Nigdy nie powiem nikomu.

Uciekł wzrokiem, jakby się czegoś zawstydził. Ewelina zaczęła czytać, czując, jak w miarę lektury krew odpływa jej z twarzy.

Kiedy stąd wyjdę, poszukam sobie fajnej dziewczyny. Ale nie takiej zwyczajnej, której i książkę z bajki nie dogodzi. Znajdę taką, dla której nie będzie nic znaczyło, co robiłem wcześniej. Będę chodził tak długo ulicami, aż ją wypatrzę. Łatwo je znaleźć. Są młode, nie odwracają oczu, kiedy spojrzeć im w twarz. I nie żądają dużo. Akurat tyle, ile mogę im dać.

Miałem już niejedną, ale najlepiej pamiętam ostatnią.

Tkwiała w bramie teatru, wypatrując okazji jak pociągu, który zabiera w podróż życia.

– Zrobisz coś dla mnie?

Uciekła wzrokiem. Nie zadaje się takich pytań nowicjuszkom. Po coś tam przecież stała.

– Chciałbym pójść z tobą na randkę. Taką zwyczajną, za darmo. Wiesz, kawa i ciastko, może potem kino...

Grymas mógł oznaczać zdumienie albo odmowę. Jednak nie kazała mi spadać.

– A potem?

I po co pytała?! Chciała wszystko zepsuć?

– A co byś chciała?

– Noc w hotelu. – Rozpromieniła się jak dziewczynka z zapalkami. – Nigdy nie nocowałam w hotelu.

– Miało być za darmo, a pokój w hotelu...

– Do wieczora zarobię. Przyjdź wtedy, to gdzieś pójdziemy.

Miała śliczne, trochę zaczerwienione od chłodnego wiatru oczy.

– Czemu sama nie pójdziesz do hotelu?

– Sama się boję.

Zbliżyłem się i musnąłem końcami palców proste, opadające na ramiona włosy.

Leciuteńko przechyliła głowę ku mojej dłoni. Niczym ufny psiak. Nigdy nie miałem pieska, ale kiedyś sobie takiego znajdę.

– Nie dożyjesz do wieczora.

– Jak to...? – Cofnęła się o krok i przyparła plecami do brudnej ceglanej ściany.

Brzytwa jest dużo lepsza od noża. Przecina tętnice jak słomki i chyba jej użycie jest mniej bolesne. Nie wiem, będę musiał kiedyś sprawdzić na sobie.

Nie krzyczała. Krzyczą tylko stare doświadczone dziwki. Dlatego omijam je z daleka.

Chłopak o twarzy cherubinka i oczach dziecka następnej nocy przeciął sobie żyły. To był jego list pożegnalny. Ewelina zastanawiała się często, czy mogła uczynić cokolwiek, by mu pomóc? Może należało zareagować inaczej, obrócić wszystko w żart albo chociaż porozmawiać z nim dłużej?

A ona zgmiotła kartki i zanim zawołała strażnika, spytała, skąd wie, kiedy są jej imieniny.

Może pod wpływem tych lektur naszała ją myśl, by napisać jakąś własną historię. Własną nie oznaczało, że koniecznie prawdziwą. Jej podopieczni również często mijali się z prawdą w oddawanych jej zwierzeniach. Trochę z przyzwyczajenia, a po części dlatego, że ich „prawda” była po prostu spaczonym obrazem rzeczywistości. Takim, jaki sami chcieli widzieć. Ewelina siadała wieczorami do komputera i pisała. Początkowo były to niewielkie fragmenty; nierzadko odnosiła przedziwne wrażenie, że ktoś szepcze jej do ucha całe zdania, a gdy przymykała powieki, widziała ukazywane miejsca i osoby. Znajome, lecz nie do końca prawdziwe.

Niepostrzeżenie zaczęła we własnej świadomości żyć podwójnym życiem, tym realnym i tamtym drugim, nie mniej fascynującym, w którym nie istniało pojęcie tabu, więc pozwalała sobie na dużo więcej. Wciągało ją to głębiej i głębiej, bywały dni, że nie mogła się doczekać powrotu do domu, żeby włączyć komputer i przeistoczyć się w postać, która wydawała się coraz prawdziwsza, a zarazem coraz trudniejsza do okiełznania. Może pozwalała jej na zbyt wiele? Lecz komu miała pozwalać, jeśli nie tej drugiej, o której nikt nie miał się dowiedzieć, której istnienie można ukryć jednym kliknięciem.

Ewelina usiadła przed monitorem pierwszy raz, odkąd Piotr praktycznie u niej zamieszkał. Otworzyła plik z czymś, co powoli nabierało kształtów powieści. Pisanej nocami, dotąd zawsze w samotności. Czytała, zagryzając usta tak mocno, aż poczuła na języku słodki

smak krwi. On nie może się dowiedzieć, że miesza jej się w głowie, że czasami nie jest pewna, kim jest naprawdę...

Wtedy w sypialni rozległ się sygnał komórki Piotra.

Przez dłuższą chwilę telefon dzwonił uparcie, wibrując niczym trzmiel zamknięty w pudełku od zapalek.

– Zawada. – Usłyszała wreszcie, że odebrał. Nastąpiła przedłużająca się cisza i odpowiedź, której się spodziewała: – Już tam jadę.

Ewelina stanęła w progu sypialni. W świetle nocnej lampki zobaczyła, że Piotr już wciągał spodnie.

– Co się stało?

– Katusza miała wypadek. Leży w szpitalu na intensywnej terapii.

– Myślisz... – zawahała się, zanim zdołała wyartykułować pierwszą myśl, jaka jej przyszła do głowy – że to jego robota?

– Nie, raczej nie. – Przetarł dłońmi twarz. – To był wypadek samochodowy, a ona była pijana.

Rozdział 58

Zawada zaparkował przed Szpitalem MSWiA na Wołoskiej. Dochodziła ósma. Pokazał w rejestracji legitymację i został zaprowadzony przez jedną z pielęgniarek do gabinetu ordynatora oddziału ortopedycznego. Ze zdziwieniem przeczytał tabliczkę na drzwiach, bo Katusza miała leżeć na intensywnej terapii, ale pielęgniarka była już w środku, więc wszedł za nią.

– Nadkomisarz Zawada z Komendy Stołecznej.

– A witam, czekałem na pana. – Mężczyzna w średnim wieku o budzącym zaufaniem wyglądzie podniósł się zza biurka. – Władysław Maruda. Interesuje pana stan Katarzyny Karwowskiej?

– Zgadza się. Powiedziano mi, że jest na oddziale intensywnej terapii?

– Była, ale jej stan się poprawił. – Ordynator wskazał Piotrowi krzesło i sam usiadł, biorąc do ręki jakieś papiery. – Wstrząs mózgu, stłuczenia i zwichnięcie, nic poważnego w zasadzie, ale uszkodzona była pod wpływem alkoholu i innych substancji odurzających, co utrudniało diagnozę. Po wypadku zawsze mogą się pojawić komplikacje, nawet po jakimś czasie. Należało zastosować detoksykację, monitorując jednocześnie funkcje...

– Panie doktorze. – Nadkomisarz przerwał mu dość obcesowo. – Jaki jest jej stan, proszę powiedzieć, czy można z nią porozmawiać?

Ordynator zmarszczył brwi i spojrzał z niechęcią na Piotra.

– Aha, już byście chcieli ją przesłuchiwać? To wykluczone, panie komisarzu, pacjentka została przeniesiona do izolatki, może potrwać nawet kilka dni, nim jej stan pozwoli na kontakt z osobami z zewnątrz.

– Rozumiem. – Zawada ocenił intuicyjnie, że ordynator reprezentuje typ ludzi odpornych na presję i próby nacisku. Położył na biurku wizytówkę. – Proszę o telefon, kiedy będzie ją można odwiedzić.

– Oczywiście. Trafi pan do wyjścia czy zawołać pielęgniarkę?

– Nie ma potrzeby, poradzę sobie. – Ucisnął ordynatorowi rękę i opuścił gabinet.

Nie oglądając się, podążył w kierunku, z którego przyszedł. W połowie korytarza skręcił nagle, pchnął szklane drzwi i znalazł się w jakiejś szpitalnej odnodze, po której spacerowało kilku pacjentów w piżamach. Podeszedł do chłopaka w białym kitlu, markującego czyszczenie mopem posadzki. Machnął mu przed nosem legitymacją.

– Przepraszam, chyba zabłądziłem. Ordynator skierował mnie do pacjentki w izolacie, ale nie mogę trafić. Karwowska, przewieźli ją w nocy z intensywnej terapii. – Popatrzył z nadzieją na chłopaka. – Mógłby mi pan pomóc?

Salowy podrapał się w głowę.

– Panie, to kombinat, jednych przywożą, innych wywożą. – Wzruszył z powątpiewaniem ramionami. Ale widząc perspektywa nadprogramowej przerwy w pracy przeważyła, bo oparł mop o ścianę i powiedział: – Mogę się dowiedzieć u piguły. Pielęgniarek znaczy.

– Tylko dyskretnie, rozumie pan... – Piotr mrugnął porozumiewawczo. – O tym, że interesuje się nią policja, wie tylko ordynator.

– Spoko, panie kapitanie. – Chłopak poczuł się ważny i dokończył konspiracyjnym

szeptem: – Załatwię to w białych rękawiczkach.

Zawada przysiadł na krzeselku obok stolika ze szpitalnymi broszurami, starając się nie rzucać w oczy. Salowy wrócił po dobrym kwadransie z miną świadcząca o pełnym sukcesie tajnej misji. Poprowadził go długim korytarzem, a potem przeszklonym przejściem między pawilonami. Na koniec wskazał niczym niewyróżniające się drzwi pomalowane jasnozieloną farbą olejną. Nadkomisarz poczekał, aż chłopak się oddali, i nacisnął klamkę.

Pod ścianą stało łóżko, obok stelaż z kroplówką. Zmierzwione rude włosy Katuszy zasłaniały jej część twarzy, spod cienkiej kołdry wystawała ręka z wklutą igłą, do której skapywała przezroczystą rurką jakaś ciecz z woreczka na stelażu. Siedząca pod oknem pielęgniarka uniosła głowę znad jakiegoś kolorowego pisemka.

– Nadkomisarz Piotr Zawada z Komendy Stołecznej Policji – uprzedził jej pytanie i kolejny raz wyjął legitymację. Zauważył, że Katusza uniosła lekko powieki, ale nie uczyniła żadnego więcej ruchu. – Pani Karwowska jest naszą koleżanką, przyszedłem sprawdzić, jak się czuje.

– Już lepiej. Stan pacjentki się ustabilizował, jeśli wyniki badań będą dobre, to chyba zostanie przeniesiona na oddział ogólny. Ale musiałby pan porozmawiać z lekarzem prowadzącym.

– Rozmawiałem z ordynatorem, pozwolił mi trochę z nią posiedzieć, jeżeli pani nie będzie miała nic przeciwko temu. – Uśmiechnął się w swój najbardziej ujmujący sposób.

– Oczywiście. – Wstała, poprawiła pacjentce poduszkę i podeszła do drzwi. – Jak pan będzie wychodził, proszę dać znać, będę w dziewiętnastce.

Piotr podsunął krzesło do łóżka i położył rękę na dłoni Katuszy.

– Coś ty, kurwa, narobiła? – powiedział cicho łagodnym tonem, kontrastującym z treścią wypowiedzi. – Kaśka, co się stało? Mnie możesz powiedzieć.

– Kto... – Otworzyła szerzej powieki i obliznęła spierzchnięte usta. – Kto z naszych o tym wie?

– O wypadku? Dyżurny dzwonił.

– A o tym, co się działo wcześniej...?

– A co się działo wcześniej? – Odruchowo poszukał papierosów, ale prawie natychmiast się zreflektował i wyjął rękę z kieszeni.

Katusza odsunęła kołdrę, usiadła na łóżku i potrząsnęła głową jak ktoś odganiający resztki snu. Zakołysała się lekko, dotykając bosymi stopami podłogi.

– To nic, dobrze się czuję, mam tylko kaca – powiedziała, widząc, że Piotr chce ją podtrzymać. – Daj mi papierosa.

– Tu nie wolno palić.

– Naprawdę? – Wydęła usta. Nim zdążył zareagować, wyciągnęła sobie z przedramienia igłę z rurką od kroplówki. – I co mi zrobią, wlepią karę czy wyrzucą na zbity pysk?

Zerknął w stronę drzwi, wzruszył ramionami i podał jej papierosa. Drugiego wsunął sobie w usta. Razem podeszli do okna, Katusza uchyliła je na oścież.

– Cholerny świat, czy takie rzeczy muszą się zdarzać zawsze w najgorszym momencie?

– Zaciągnęła się chciwie. – A już myślałam, że wychodzę na prostą.

– Ale co się stało, do licha ciężkiego?

– To się stało, że jestem skończona. Będę miała szczęście, jeśli pozwolą mi odejść ze służby z uwagi na problemy psychiczne. Ale prędzej wywalą mnie dyscyplinarnie.

– Nie dramatyzuj. Co prawda spowodowałaś wypadek pod wpływem, ale...

– Mało o mnie wiesz, Piotrek – weszła mu w słowo. – Prowadzenie po pijaku to mój

najmniejszy problem.

- Nie tylko po pijaku.
- A więc już wiesz?
- Zrobili ci analizę krwi, to rutynowa sprawa. Co ci odbiło, żeby w takim stanie siadać za kółkiem? Chciałaś się zabić?!

Zamiast odpowiedzi zaciągnęła się tylko nerwowo.

- Myślałem w pierwszej chwili, że to on. Że nasz psychopata w jakiś sposób cię dopadł – powiedział szczerze, chcąc ją sprowokować do dalszych zwierzeń. Czuł, że jeśli teraz odpuści, później nie dowie się już niczego.

– Sama bym wołała, żeby to było takie proste. Dobrze, powiem ci, bo w końcu co za różnica? Lepiej, żebyś się dowiedział ode mnie niż... – Nie dokończyła myśli. Odwróciła się do okna, jakby wołała, żeby nie widział jej oczu. – Jakiś czas temu spotkałam dziennikarkę, która wiedziała o mnie to i owo. Powiedziała, że byłaby niezwykle zobowiązana – tak to ładnie ujęła – za kilka informacji. Ten jeden jedyny raz, a potem zapominamy o wszystkim. Nie groziła mi nawet, raczej...

Piotr zacisnął zęby, słuchając dalszego ciągu. Wiedział, że takie rzeczy wciąż się zdarzały, i w głębi duszy rozumiał, że Katusza nie miała wyboru. Najłatwiej ferować wyroki, stojąc z boku, rozważając abstrakcyjne problemy dobra i zła, lecz kiedy trzeba zmierzyć się z nimi samemu, nagle przestają być czarno-białe.

- Długo brałaś? Nie było nic po tobie widać...
- Myślisz, że ja jedna? Zejdz na ziemię, ile razy wydawało ci się, że ten czy tamten dziwnie się zachowuje, ma oczy jak szparki i wszystko mu leci z rąk? Ale tłumaczyłeś to sobie przemęczeniem, stresującą służbą albo zakrapianą imprezką po robocie.

Miała rację. Tak to już było, że póki ktoś nie przekroczył granicy, pewnych rzeczy po prostu się nie dostrzegało. Tak było wygodniej. Nie odzywał się, czekał, aż sama dokończy.

- Łudziłam się, że jakoś powoli sama się z tym uporam i przestanę brać. Naiwniaczka ze mnie, co?

- Jakoś sobie poradzimy, pogadam z Matysiak...
- Drzwi otworzyły się gwałtownie, do izolatki wszedł ordynator Maruda.
- Co pan tu robi, kto panu pozwolił tu przebywać?!
- Przepraszam, panie ordynatorze – w głosie Zawady nie było cienia skruchy
- pacjentka opuszcza natychmiast szpital. Na własną odpowiedzialność. Proszę wysłać kogoś po jej ubranie.

– Co pan sobie wyobraża, że pomacha legitymacją i wszyscy są na pana usługi?! To ja decyduję, kiedy pacjent opuszcza szpital!

- Ja chyba też mam coś do powiedzenia – wtrąciła Katusza. – Jestem wdzięczna za wszystko, ale wyjdę z tym panem. Z pańską zgodą lub bez.

Ordynator wezwał lekarza prowadzącego i we dwójkę starali się przekonać ją, by została na oddziale. Przynajmniej dopóki nie zrobią kolejnych badań. Zawada domyślał się, że bardziej chodzi o urażoną dumę ordynatora niż o względy medyczne, ponieważ w dzisiejszych czasach szpitale raczej robią wszystko, by pozbyć się pacjentów, oddalając tym samym widmo przedwczesnego wyczerpania przyznanego przez NFZ limitu badań. Jednak uparta pacjentka postawiła na swoim, podpisała stosowne oświadczenie i po półgodzinie opuściła placówkę.

Wsiedli do samochodu. Piotr ruszył, ale nagle uświadomił sobie, że nie bardzo wie, gdzie jechać. Znał wprawdzie adres Katuszy, lecz pomyślał, żeby zostawiać ją samą w takich okolicznościach i w tym stanie psychicznym, wydał mu się najgorszy z możliwych.

- Dobrze, że nie zginęła – powiedziała, zaglądając do torebki. Wyjęła papierosy.

- Jeszcze tego mi brakowało, żebym straciła klucze i dokumenty.
 - Skontaktuję się z chłopakami z drogówki. Jeśli Matysiak kupi naszą wersję i otworzy sprawę próby nakłonienia funkcjonariuszki do przestępstwa – myślał głośno Piotr – może uda się trochę pozamiatać.
 - Naszą wersję? To mamy jakąś?
 - Źle się wyraziłem. Pogadam ze starym, on nie jest idiotą, nie będę mu sprzedawał bajek dla niedorozwiniętych umysłowo. Jak go znam, to najpierw będzie ci chciał łeb urwać, ale kiedy ochłonie...

Katiusza nie słuchała, jej myśli powędrowały w zupełnie inne rejony. Zapaliła trzeciego już papierosa. Cały jej misterny plan zrobienia szybkiej kariery posypał się jak domek z kart. Ale na co w końcu liczyła, że nikt się nie zorientuje? Że zdoła intrygami wywalczyć sobie pozycję w świecie zdominowanym przez mężczyzn? Niewiele brakowało. Przynajmniej nie wskoczyła żadnemu do łóżka. A teraz jest na łasce jednego z nich, który do końca nie wie, jak nieciekawie mu się przysłużyła.

- Piotrek, zostaw mnie, zostaw to tak, jak jest. Chcesz być lojalny, ale nawet nie wiesz, że sprzedawałam cię za garstkę srebrników.
- Wiem. Widziałem, co się działo wokół mnie, a tylko ty wiedziałaś wystarczająco wiele, żeby to spowodować. Tyle że, wbrew pozorom, wyświadczyłaś mi przysługę.
- Wątpię. – Nie bardzo rozumiała sens jego słów. Czyżby chodziło o Ewelinę? – Nie miałam złych intencji, tylko... no, jak się raz zacznie nieczysto pogrywać, to potem coraz trudniej się z tego wyplątać.
- Kaśka, sam miałem ochotę ci przypierdolić, ale dostałaś za swoje. Więc skończmy temat. Było, minęło.

Milczała parę minut. Potem odetchnęła głęboko jak pływak wynurzający się spod wody.

- Dokąd właściwie jedziemy? – Rozpoznała nowoczesną, choć trochę chaotyczną zabudowę Ursynowa. Efekt ten wynikał z nieopanowanej chęci deweloperów, by upchnąć jak największą liczbę mieszkań w okolicy linii metra. W rezultacie powstała kolejna warszawska sypialnia, w której problemem stawało się nie tylko odszukanie numeru ulicy, ale też wyjście na spacer bez obawy, że wpadnie się pod wyskakujący skądś nagle samochód. – Ja mieszkam...

- Jedziemy do mnie.
- Po jaką cholere?
- Nie powinnaś być teraz sama. Elżbieta wyjechała na parę dni, w domu jest tylko moja córka. – Zbył jej protest machnięciem ręki. – Albo odwożę cię z powrotem do szpitala, wybieraj.

Drzwi otworzyła im Magda. Jeśli zdziwiła się na widok towarzyszek ojca, niczego nie dała po sobie poznać. Rozsądna dziewczyna, pomyślał, jednak bardzo prędko przyszło mu zweryfikować ten pogląd. Na sofie przed telewizorem siedział młodzieniec o długich włosach, z bródką i kolczykiem w uchu. Czuł się w nie swoim mieszkaniu nad wyraz swobodnie. Poza wyglądem Piotra natychmiast usposobił nieprzychylnie do nieznanego drobny na pozór fakt. Młodzieniec miał na nogach jego kapcie!

Ostentacyjnie zignorował wyciągniętą rękę chłopaka, co zresztą na tamtym nie zrobiło specjalnego wrażenia. Wyekspediował Katiuszę do łazienki, żeby zmyła z siebie szpitalne zapachy i doprowadził ją do ładu. Następnie wyciągnął córkę do kuchni.

- Magda, kto to, u licha, jest?
- Mogłabym ci zadać to samo pytanie.
- Ale ja zapytałam pierwszy.

- Fakt. Chcesz kawy?
- Kiwnął głową. Córka nalała wody do ekspresu, odmierzyła precyzyjnie dwie miarki, zawahała się i z podejrzanym skupionym wyrazem twarzy dodała trzecią. – Lucjan jest moim kolegą.
- Tylko kolegą?
- Widząc jego grymas, nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.
- Rany, czekałam tylko, kiedy zapytasz, czy nie jestem w ciąży!
- Piotr chrząknął, odwrócił wzrok, a wreszcie znalazł ratunek w paczce papierosów. Stawiając popielniczkę na kuchennym blacie, omal nie stracił szklanki.
- A jesteś? – Mrugnął łobuzersko, starając się obrócić wszystko w żart.
- Pomyślał, że córka od dawna jest dorosła, a on wciąż nie potrafi bez skrępowania poruszać niektórych tematów, i ta refleksja wywołała cień rumieńca na jego policzkach. No ładnie, zaprawiony w boju stary gliniarz, a za progiem własnego mieszkania zmienia się w tatuśka? – No dobra, więc któż to jest?
- Stary kumpel z liceum. Zajmuje się wszystkim i niczym, trochę pokrecony, ale nieszkodliwy. Wpadłam na niego przypadkiem w centrum handlowym, zajrzał pogadać o starych znajomych, i tyle.
- Dobrze się u nas czuje – mruknął Piotr, mając na myśli swoje kapcie na nogach młodzieńca.
- Ale przynajmniej nie bierze prysznic – Magda odbiła piłeczkę.
- To nie tak, jak myślisz. – Starannie zgasił papierosa, celebrując tę prostą czynność.
- Słuchaj, sprawa jest poważna. To policjantka, ma trochę kłopotów i nie może być sama przez jakiś czas.
- Przez jakiś czas...? A jeśli mama wróci wcześniej?
- To jej powiesz, że to nie tak, jak myśli. – Popatrzyli sobie głęboko w oczy. Jak dwoje dorosłych, którzy nie muszą niczego przed sobą ukrywać ani tym bardziej udawać. – Masz rację, zadzwonię do niej i sam to wyjaśnię.
- Znasz mamę, cokolwiek powiesz, i tak zinterpretuje wszystko po swojemu. – Między wierszami pobrzmiwało niezadane głośno pytanie.
- Jego córka nie była dzieckiem i zasługiwała na szczerłość.
- Myślę, że obydwój z mamą jesteśmy zdecydowani zakończyć ten etap. To nie będzie miłe ani łatwe dla nikogo, zwłaszcza dla ciebie.
- Magda nalała kawy do szklanek.
- Masz kogoś?
- Tak.

*

Katiusza stała przed lustrem w cudzej łazience. Czowała się obco we własnej skórze, jakby od wczorajszego dnia stała się kimś innym i nie była pewna, czy potrafi to udźwignąć. Już nie uważała, że ma kontrolę nad własnym życiem, panuje nad nim, a perspektywy są coraz lepsze. Nagle wszystko runęło niczym trafione przez piorun drzewo. Inna sprawa, że to drzewo było spróchniałe od wewnątrz, zwałiłoby się prędzej lub później. Kim teraz jest? Kobieta z przeszłością, która będzie się za nią wlokła jak uwalany błotem tren panny młodej. Ładne porównanie, nie ma co, tyle że panna młoda odczepi tren i pójdzie w tany, a ona...

Spojrzała na leżącą obok pralki torebkę. To nie jest najlepsze wyjście, lecz w tym momencie nie widziała innego. Wyjęła pakiecik otrzymany od dziennikarki. Będzie ostrożna jak zawsze, weźmie pół tabletki, co pomoże przetrwać do wieczora. Może jeszcze nie wszystko

stracone, może jest szansa. Piotr wiedział o niej wiele, ale nie wszystko.
Nikt nie wiedział wszystkiego.

Natychmiast po wyjściu z domu Piotr zatelefonował do żony. Obiecał to córce, a bał się, że jeśli nie zadzwoni teraz, to potem znajdzie sobie dziesiątki wymówek, by odłożyć rozmowę na później. Elżbieta odebrała po wielu sygnałach, gdy już myślał, że odezwie się poczta głosowa. Była rozkojarzona i jakaś mało komunikatywna; bez komentarzy przyjęła wiadomość, że w ich mieszkaniu przebywa obca osoba, i Piotr odniósł wrażenie, że chciała jak najszybciej zakończyć rozmowę. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy to dobry znak, czy wręcz przeciwnie, ale i tak wolał to od podejrzliwych pytań i nieopanowanego potoku wymówek.

Wrócił pod wieczór, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać. Obawy okazały się płonne, zastał obydwie panie w jak najlepszej komitywie, gawędzące przy butelce wina i tacy ze słodyczami. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego obecność nawet trochę im przeszkadza. Czyżby kobietom po przejściach łatwiej było dogadać się ze sobą niż z facetami?

Nie zaprzątał sobie tym jednak głowy, wytłumaczył się mętnie i pojechał do Eweliny. Po drodze zastanowił się, jak dużo jej powiedzieć o Katuszy i czy w ogóle poruszać ten temat. Jak zwykle nie rozstrzygnął definitywnie problemu, ponieważ obydwie możliwości wydały mu się, ostrożnie mówiąc, ryzykowne. Panie ledwie się tolerowały, nie miał pojęcia, jak Ewelina potraktuje jego troskliwość wobec... rywalki? No nie, nie rywalki! Ale jak ją o tym przekonać?! Niby jest sposób. I to nawet bardzo przyjemny.

Rozdział 59

Gdy usłyszałam dzwonek, aż drgnęłam. Zdziwiłam się, bo nikogo nie oczekiwałam i nikt się nie zaanonsował przez domofon. Może to pani Basia, administratorka, pomyślałam. Zaraz, czy to nie dzisiaj miała spisywać stan liczników wody? Wyjrzałam przez wizjer i odskoczyłam do tyłu. Za drzwiami stał Marek Cygler, trzymając jakiś podłużny pakunek, oparty o but. Obraz?

Dzwonek zadzwieczał ponownie. Rzuciłam spłoszone spojrzenie za siebie, w pokoju był, co tu mówić, niezły bałagan. A co tam, machnęłam ręką. To nie wizyta sanepidu, uśmiechnęłam się i energicznie odsunęłam zasuwę, by otworzyć drzwi.

– Co tu robisz? – spytałam niemądrze.

– Wpuścisz mnie? – Cygler wyciągnął rękę zza pleców i podsunął mi pod nos duży bukiet kremowych róż.

Cofnęłam się o kilka kroków, pozwoliłam mu wejść i starannie zamknęłam drzwi na zasuwę.

A jeśli to on? – pomyślałam i natychmiast roześmiałam się w głos.

– Wpadam w paranoję – wyjaśniłam w odpowiedzi na nieme zapytanie w oczach gościa. – Mniejsza o to, ciebie to nie dotyczy. – Wchodź, proszę, kopę lat. Ale co tu robisz? – ponowiłam pytanie, bo byłam autentycznie ciekawa odpowiedzi.

Nie widziałam Cyglera od momentu rozvodu. Nie, wróc, spotkaliśmy się raz przypadkiem na Mazowieckiej, gdzie Marek robił zakupy malarskie. Przechodziłam tamtędy na plac Powstańców Warszawy, do oddziału PKO BP, gdzie miałam konto i czasami coś trzeba tam było załatwiać. Poszliśmy wtedy na kawę do jakiejś kawiarenki na Świętokrzyskiej, nawet nie pamiętałam jakiej – ciągle otwierały się (i zamykały) nowe.

Marek nawet próbował wtedy umówić się ze mną, chyba do kina, ale zadra w sercu po rozwodzie promieniście rozproszająca ból, powodując niechęć do wszystkich facetów. A szczególnie do tego jednego, przyjaciela Cyglera. Pożaliłam się wtedy trochę Markowi, popłakując mu w rękaw. Potem szanowny pan malarz dzwonił do mnie kilka razy, zawsze z zaproszeniami na jakąś wystawę lub inne tego typu wydarzenie, ale nigdy nie poszłam.

Teraz stał przede mną, wręczając mi te róże, jakby wiedział, że właśnie kremowe lubię najbardziej.

– Co tam masz? Co to za paczka?

Nie odpowiedział, poszłam więc do pokoju po wazon i litościwie uwolniłam Marka od bukietu.

– Czego się napijesz?

– A co proponujesz?

– Kawę, herbatę, białe wino i koniak – odparłam i już otwierałam barek, niemal na pewno wiedząc, co on wybierze. I nie pomyliłam się, poprosił o wino. Jakbym nie pamiętała... Przecież wtedy, w Ustce, piliśmy wyłącznie australijski biały riesling. Dzisiaj nie miałam rieslinga, ale białe wino to białe wino. Według mnie.

Chciałam ustawić wszystko na stole, ale najpierw zerknęłam na pakunek, dość duży, który Marek rozwijał z papieru. Kiedy zobaczyłam, co to jest, kieliszki wypadły mi z rąk. To był „nasz” nadmorski pejzaż. Plaża, wydmy, słońce i niewyraźna postać kobieca.

– Skąd to masz? – Złapałam go za koszulę. – Skąd to masz?! – wykrzyczałam.

– To bardzo dziwne. Znalazłem go dziś rano pod drzwiami, na klatce schodowej. Stał sobie oparty o ścianę, owinięty w gazety. Cud, że nikt go nie ukradł. – Cygler wstał, przyniósł z kuchni śmietniczkę i zmiotkę, posprzątał zbite szkło i wyciągnął z barku dwa inne kieliszki, które szczerze napełnił winem. Podniosłam bezwiednie kieliszek i wychyliłam go jednym haustem, a potem podsunęłam Markowi z niemą prośbą o ponowne napełnienie.

– Ten obraz... – wyjaśniłam – ten obraz wisiał u Małgosi. I zniknął po zabójstwie.
– Rozpląkałam się. – Więc musiał przynieść go do ciebie morderca. Tylko po co? Dlaczego?
– Popatrzyłam na niego i zadrżałam. A jeśli to on? – wróciła natrętna myśl, teraz całkiem już prawdopodobna. Tylko po co? Dlaczego? Nie umiałam znaleźć odpowiedzi.

Marek już był przy mnie i tulił w objęciach.

– Mój Boże, ty drżysz. Boisz się mnie? Pomyślałaś, że to ja? – Spojrzał na mnie z niedowierzaniem i złością. – Jak mogłaś?

Opowiedział mi o swojej rozmowie z komisarzem policji. Okazało się, że wiedział, że obraz został skradziony – choć nie miał pojęcia, dlaczego znalazł się w mieszkaniu Małgorzaty.

– Pomyślałem, że chętnie odzyskałabyś ten obraz – powiedział, napełniając znowu mój kieliszek. Sam nie wypił jeszcze swojej pierwszej porcji, umoczył tylko usta. Powiedział, że przyjechał samochodem i miał jeszcze jechać do galerii na Mokotowie, nie chciał więc pić.

– I wytłumacz mi, proszę, dlaczego oddałaś go Małgosi?

– Ach, nieważne – mruknęłam, nie chcąc mówić nic złego o Januszu. Nie teraz, kiedy wszystkie nieporozumienia między nami zaczęły się wyjaśniać.

– Dziękuję ci za obraz. Powiesz go? – Wskazałam ręką ścianę nad biurkiem.

– Popatrz, gwóźdź po nim został w ścianie, jakby wiedział, że obraz tu wróci.

– Teraz muszę już uciekać, jestem umówiony w galerii. Ale może pójdziemy któregoś dnia na lody? – spytał, schodząc ze stołka. Obraz wisiał równiutko i prezentował się pięknie.

Zamknęłam dokładnie drzwi za Cyglerem i oparłam się o nie plecami. Wciąż się trzęsłam wewnątrz i wciąż kołatało mi się po głowie pytanie: Czy to on? A jeśli on, to dlaczego?

Podeszłam do stołu i nalałam sobie kolejny kieliszek wina. Urznę się, pomyślałam i zaczęłam chichotać. O, nawet już się urznęłam, stwierdziłam.

Wybrałam z kontaktów numer komisarza Zawady.

– Chi, chi, już mam pana w „ulubionych” – chichotałam, nie mogąc się uspokoić.

– Dzień dobry, pani Justyno. – W głosie policjanta dało się słyszeć lekkie zdumienie.

– Cieszę się, że przynajmniej pani wesoło. Mam nadzieję, że nie stało się nic niepokojącego.

– Właśnie nie wiem. – Chichot przeszedł w krótki szloch. – Może najlepiej niech pan przyjedzie, dobrze?

– Jeszcze raz, pani Justyno – poprosił Zawada. Rozmowa nieco się rwała, bo w dalszym ciągu byłam wesolutka, co już teraz, jak widziałam, wydało się komisarzowi całkiem zrozumiałe. Butelka okazała się prawie pusta. Nie zrażając się odmową gościa, sama dolewałam sobie wina.

– Zaraz, tylko zrobię jeszcze jedno zdjęcie. Chociaż to będę mieć, skoro mi zabieracie obraz.

– Przecież go oddamy, ma pani moje słowo.

– Słowo policjanta? – Uśmiechnęłam się, podnosząc brwi. – No dobrze, żartuję. Ale

już wszystko panu powiedziałam. Przyszedł, dał mi kwiaty, o, tam stoją. – Skinęłam ręką.

– Potem powiesił obraz i poszedł. Spieszył się do galerii.

Zawada zdjął obraz, owinął go w papier, który wypatrzył w rogu pokoju, i napisał krótkie pokwitowanie.

– Oddamy go jak najprędzej – obiecał i wyszedł z drogocennym pakunkiem pod pachą.

Pojechał prosto do laboratorium. Teoretycznie był na urlopie, ale wiedziało o tym zaledwie parę osób, toteż nikomu nie przyszło do głowy zakwestionować jego prawo do wydawania poleceń i pobytu w komendzie. Tym bardziej że sytuacje, gdy policjanci byli ściągani z urlopów, zdarzały się nągminnie. Mulak też nie będzie się czepiał, nawet jeśli się dowie, że jego podwładny węszy wokół śledztwa, bo miał świadomość, że Matysiak zlecił Zawadzie jakies nie do końca formalne zadanie.

– Przyniósł? Tak po prostu? – dopytywała się Ewelina.

– POWIEDZIAŁ, że ktoś mu go podrzucił. – Piotr zaakcentował pierwsze słowo.

– Obraz, jak się zapewne domyślasz, jest już u doktora Olewińskiego, ale wątpię, żeby były tam jakieś inne odciski palców poza należącymi do Sobolewskiej i Cyglera.

– I twoimi – dorzuciła.

– I moimi – zgodził się Zawada. – Mam nadzieję, że twoich tam nie będzie – dodał i ugryzł się w język, wściekły na siebie za to, co powiedział.

– Co miałeś na myśli? – Jeśli Piotr łudził się, że profilerka nie zauważy, co mu się wymknęło, to właśnie się przekonał, że się myli.

Nie wiedział, co powiedzieć, żeby nie drażyła tematu, więc zaczął ją całować, co dosyć dobrze mu wychodziło. Na tyle dobrze, że zajęli się czymś innym.

Rozdział 60

Obudziłam się z koszmarnym bólem głowy. Nie miałam mdłości, nie kręciło mi się w głowie, tylko ta głowa mnie bolała. Mam półkaca, pomyślałam, śmiejąc się z nowego określenia.

– Muszę to zapisać, wykorzystam w którejś książce – powiedziałam głośno. Mówienie na głos do siebie zdarzało mi się coraz częściej. Z początku było to irytujące, a później nawet polubiłam taką połowiczną dyskusję. I często się nie zgadzałam sama ze sobą. Ale tym razem uznałam pomysł za dobry, podeszłam więc do biurka, gdzie leżał dyktafon i podręczny notes. Wzięłam notes do ręki i nagle spojrzałam na znowu pusty gwóźdź nad biurkiem.

– Nie nawisiał się tu długo – obwieściłam gwoździowi.

Poszłam do kuchni, zrobiłam śniadanie – nie miałam na nic ochoty, więc zjadłam tylko dwie kromki chleba z dżemem brzoskwiniowym. Dżem mogłabym jeść codziennie, rzecz w tym jednak, że go sobie odmawiałam, bo – no, cóż – według mnie za dużo ważyć. Według mnie, bo według niektórych, całkiem, całkiem.

Jedząc ten chleb z dżemem, przeglądałam zdjęcia w telefonie.

– Dobrze, że chociaż sfotografowałam ten obraz – oznajmiłam kanapce. – Mogę sobie popatrzeć.

I nagle drgnęłam. Coś z tym obrazem było nie tak. Czegoś tu brakowało. Czegoś ważnego. Co to było? Co to było? I już wiedziałam – przypomniało mi się, że nad postacią kobiecą unosiła się mewa. Dobrze ją pamiętałam. Na zdjęciu jednak mewy nie było. Czy to możliwe, żebym nie objęła jej aparatem? Przyjrzałam się jeszcze raz fotografii. Nie, chyba to niemożliwe. Na niebie widać było obłoczki, więc ptak – jeśli był – także znalazłby się na zdjęciu.

Musiałam mieć pewność.

– Panie komisarzu... – zatelefonowałam do Zawady i, bez żadnego powitania, spytałam: – Czy na obrazie jest mewa?

– Nie pamiętam, obraz jest już w laboratorium – usłyszałam jakiś szelest – ale sprawdzam właśnie na zdjęciach, bo zrobiłem je do akt. Nie widzę tu żadnej mewy.

– To ważne – nalegałam. – Czy mógłby pan sprawdzić na oryginale? Bo może zdjęcie jej nie objęło? Nad głową postaci na wydmach.

– Jak pamiętam, pani też robiła zdjęcia obrazu, telefonem. Rozumiem, że na pani zdjęciach nie ma mewy, a powinna tam być. Dobrze, pójdę do laboratorium.

I okazało się, że na obrazie mewy nie ma. Wykluczono też możliwość wymazania ptaka w miejscu, o którym mówiłam.

– Czyli – oznajmiłam komisarzowi coś, co on sam też już pojął – ten obraz to duplikat. Na dodatek całkowicie niekompletny.

Rozdział 61

Cygler patrzył na komisarza, a jemu się wydawało, że malarz spogląda nie na niego, tylko przez niego, na wskroś, widząc coś tam z przeszłości.

– Panie Marku... – spróbował przywołać go z powrotem. – Rozmawiamy o pańskim obrazie.

– Tak, obraz, wiem. – Cygler drgnął. – No dobrze, przyznam się. Ale mam prośbę. Treść tej rozmowy nie trafi do uszu Justyny Sobolewskiej, zgoda? Namalowałem drugi obraz. Ona swego czasu przywiązywała wielką wagę do tego płótna. Bo...

I opowiedział Zawadzie o przygodzie w Ustce. Po powrocie Justyna stwierdziła, że dobrze jej z mężem i ten ustecki epizod nic dla niej nie znaczy.

– Potraktowała mnie jak facet, który chciał splewić kobietę. Cóż miałem robić? Staralem się zapomnieć o wszystkim, podarowałem jej ten obraz, żeby na niego nie patrzeć każdego dnia. Miałem wrażenie, że bardzo go polubiła. Wisiał zawsze nad jej biurkiem i przynajmniej wiedziałem, że codziennie o mnie myśli, patrząc na te wydmy.

Cygler zamyślił się i wyciągnął rękę w stronę paczki papierosów, którą Piotr wyjął i położył na stoliku. Nie chciał przerywać rozmowy, nie chciał rozpraszać swego rozmówcy, który musiałby przerwać swoją historię i pójść gdzieś po popielniczkę lub coś w tym rodzaju. A teraz właśnie malarz sam przerwał i wziął papierosa z paczki.

– W zasadzie nie palę, zdarza mi się to bardzo rzadko, na ogół przy wódce. Ale teraz jakoś... – Wstał i rzeczywiście zniknął w drugim pokoju, skąd po chwili wrócił z małą salaterką, do której strzepywał popiół. Palił i nic nie mówił, chyba znowu był w Ustce.

Piotr także zapalił i również nic nie mówił. Rozmyślał o swoich problemach z kobietami. Ewelina, Katusza, no i przecież Elżbieta.

– Kurwa, ale się zaplątałem – wyrwało mu się na głos i tym stwierdzeniem przywrócił Cyglera do rzeczywistości.

– Co? – spytał niezbyt przytomnie malarz. – A, tak, obraz... Powiedziałem panu prawdę. I tak byście wszystko wyciągnęli z Justyny. Gdyby nie brak tego ptaka na duplikacie, stałbym się głównym podejrzanym, prawda?

Zanim Zawada zdążył otworzyć usta, malarz roześmiał się i spuentował sytuację:

– Chyba jestem pierwszym człowiekiem, który dostaje alibi od mewy.

Rozdział 62

Maks Baron siedział przed ekranem komputera w kawiarence internetowej, tym razem w Złoty Tarasach. Coś tu załatwiał, wcale nie miał zamiaru kontaktować się z pisarką, poza tym wiedział, że najprawdopodobniej nie ma jej teraz w domu. Ale pewnie ma Internet w telefonie, pomyślał i nie mógł już sobie odmówić tej drobnej satysfakcji.

KLIK

„Wszystko zmierza ku końcowi, wiesz? Odpisz, jeśli możesz, bo chcę wiedzieć, czy czujesz moją radość. Chcę ją z kimś dzielić, rozumiesz to, prawda?”

Nie odpisuje, nie ma komunikatu, że treść wiadomości została wyświetlona. Mniejsza o to, zresztą to już teraz mało ważne.

Maks jednak nie odszedł jeszcze od komputera, zastanawiając się, czy nie wyjawić autorce swojej tożsamości. W końcu uznał, że jeśli sama się nie domyśla, to na razie trudno. Opowie jej o tym kiedyś; opowie jej wszystko później, teraz najważniejsze, że już tyle za nim i że...

KLIK

Rozdział 63

Nadkomisarz wyszedł z Pałacu Mostowskich i patrzył na Ogród Krasieńskich. Myślał o wycinaniu drzew w parku, usunięto ich ponad trzysta, choć podobno zostały wycięte tylko te chore i zaniedbane. Spotkało się to z protestami mieszkańców. Zawada nie wiedział, co ma o tym sądzić, z jednej strony rozumiał konieczność takich działań, z drugiej miał sentyment do drzew, bez względu na to, czy zasłaniały osie widokowe, czy cokolwiek innego. Lubił patrzeć na tę zieleń, taki widok go uspokajał.

Przymusowy urlop przeciągał się i choć nikt tego nie mówił wprost, nadkomisarz miał wrażenie, że jego powrót do służby stoi pod coraz większym znakiem zapytania. Bywał w komendzie, aby zajrzeć do akt albo po prostu przypomnieć innym o swoim istnieniu. Nie odebrano mu uprawnień ani przepustki, ale cóż z tego, jeśli przez cały czas miał poczucie, że przełożeni odetchnęliby z ulgą, gdyby odszedł na własną prośbę. Wyświadczyłby uprzejmość tym, którzy kryli jego gdańskie wyczyny, bardziej zresztą w obawie o własne tyłki niż o jego.

Z Katuszą wyjaśnili sobie to i owo, oboje jednak czuli, że ich relacje nigdy nie wrócą do poprzedniego stanu. Piotr użył paru kontaktów, odwołując się do wcześniej wyświadczonych przysług, by z protokołu dotyczącego jej wypadku zniknęły wyniki badania krwi. Nie uczynił tego wyłącznie z poczucia zawodowej solidarności czy jakiegoś odruchu serca, lecz także z obawy przed tym, co może jej strzelić do głowy, gdyby została dyscyplinarnie zwolniona ze służby. W końcu wiedziała o jego sprawach więcej niż powinna i już raz nie zawahała się zrobić użytku z tej wiedzy.

Pierwsze krople deszczu spadły, gdy zbliżał się do samochodu. Włączył wycieraczki i ruszył ulicami zaczynającymi się korkować przed popołudniowym szczytem. Nie znosił obecnego stanu zawieszenia, gdy nawet sam przed sobą musiał udawać, że robi coś pożytecznego. Ta swoista kwarantanna ciążyła mu coraz mocniej, wprawdzie obowiązek pilnowania Eweliny traktował sumiennie, bo nie uważał grożącego jej niebezpieczeństwa wyłącznie za fantazję, z każdym dniem jednak był coraz mocniej przekonany, że bardziej przydałby się gdzie indziej. Można ją było otoczyć mniej rzucającą się w oczy opieką, a teraz nawet ona zorientowała się prędko, co w trawie piszczy. Kobiety lubią, gdy poświęca się im dużo uwagi, ale policjanci nie cierpią na nadmiar wolnego czasu, więc po kilku dniach zaczęły się niewygodne pytania. Wykręcił się półprawdą o komplikacjach związanych z wydarzeniami w Trójmieście, na szczęście nie drążyła tematu. Nie mógł towarzyszyć jej nieustannie, więc w ciągu dnia obserwację przejmował jeden z oddanych mu do dyspozycji przez Matysiaka wywiadowców. Ich raporty nie zawierały niczego interesującego, Zawada był coraz bardziej przekonany, że sprawca wytypował już sobie inny cel i nie zaryzykuje ataku na profilerkę. Zareagowali na jego posunięcie tak, jak sobie zakładał, więc będzie chciał po raz kolejny udowodnić, że to on rozdaje karty w tej grze. Było kwestią czasu, kiedy Matysiak dojdzie do podobnych wniosków i wycofa przydzieloną Ewelinie ochronę. Ale skoro morderca już raz zbliżył się do niej, uczyni to ponownie, kiedy uzna, że zapomnieli o takiej możliwości...

Zaparkował na Wilczej i nie wysiadając z samochodu, zastanowił się chwilę nad resztą dnia. Rano wspomniiał Ewelinie, że posiedzi dłużej w komendzie nad dokumentami, wieczorem zaś ma do obgadania z córką sprawę jej dalszych studiów, więc dzisiaj nie zajrzy. Naprawdę chciał wreszcie porozmawiać z Elżbietą. Zbyt długo z tym zwlekał, wynajdując dziesiątki powodów, dla których sprawy osobiste należało odłożyć na później.

Ale to nie mogło trwać wiecznie, czekanie, aż sprawy rozwiążą się same, było nawet wygodne, nie czuł się jednak dobrze, wchodząc coraz głębiej w nowy związek, gdy stary trwał w zawieszaniu. Jednak z upływem dnia postanowienie porozmawiania z żoną napełniało go coraz większą niechęcią, zdecydowanie wolałby, żeby to Elżbieta zaczęła temat ich przyszłości albo przynajmniej dała odczuć, że nie tylko on zaangażował się gdzie indziej. To by ułatwiło tak wiele spraw.

Dlatego przyjechał na Wilczą, zamiast wracać prosto do domu.

Wystukał numer pilnującego Eweliny wywiadowcy. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Właśnie miałem dzwonić. Wyszła z uczelni, jedzie autobusem w kierunku śródmieścia.

Czyli w stronę domu.

– Działo się coś nietypowego? Widziałeś kogoś z listy? – Zawada miał na myśli dostarczone wywiadowcom fotografie z danymi personalnymi osób, które były powiązane ze sprawą. To pytanie było właściwie zbędne, bo wywiadowca natychmiast by go poinformował o każdym podejrzanym zdarzeniu, zadał je bardziej z nawyku niż z rzeczywistej potrzeby.

– Nie – padła lakoniczna odpowiedź. Kontaktując się przez telefon, nie używali stopni służbowych ani bezpośrednich odniesień do obiektu inwigilacji, a same rozmowy ograniczali do minimum.

– W porządku, przejmuję ją – powiedział, podejmując prędką decyzję. Rozmowa z żoną znów się odwlecze. – Jesteś wolny.

Wysiadł z samochodu i paląc papierosa, zatrzymał się przed witryną Cafe Pineska. Ewelina dała mu klucze od mieszkania, lecz nie lubił przebywać tam pod jej nieobecność; czuł, że i tak trochę zanadto rozpanoszył się w jej życiu. Tyle że deszcz, który na chwilę ustał, znów zaczął padać. Nadkomisarz wzruszył ramionami. Nie będzie robić z siebie amanta wystającego pod domem ukochanej. Skierował się ku wejściu do kamienicy.

W komplecie kluczy miał ten od skrzynki na listy. Zajrzał do niej odruchowo, jednak na widok garści ulotek i koperty natychmiast zamknął drzwiczki, nie dotykając niczego. Nawet gdyby Ewelina nie zarzuciła mu tego głośno, nie zamierzał tak bezpardonowo naruszać jej prywatności.

W mieszkaniu poszedł prosto do kuchni, nastawił wodę na kawę i uchylił okno. Uśmiechnął się na myśl o niespodziance, jaką będzie dla Eweliny jego wizyta. Zajrzał do lodówki. No tak, nie spodziewała się go dzisiaj, więc kolacja nie zapowiada się wykwintnie. No to pójdą do jakiejś pobliskiej knajpki, przynajmniej nie będzie zmywania i całej tej odbierającej apetyt krzątany.

Minęło pół godziny. Piotr wylał do zlewu wystygłą kawę, ale nie stawiał już czajnika na gazie. Ewelina pewnie poszła na jakieś babskie zakupy albo usiadła sobie w Pinesce nad ciastkiem i rozmyśla. No tak, jej sytuacja też nie jest prosta. Ulokowała uczucia w zonatym mężczyźnie, dla którego mogła przecież być tylko chwilową przygodą. Prawie u niej zamieszkał, niepostrzeżenie przybywało jego rzeczy, sąsiedzi zaczęli mówić mu dzień dobry i pewnie nikt nie żywił złudzeń, że to nie brat chwilowo przebywa u samotnej lokatorki. W zamian nie otrzymała niczego prócz jego prawie codziennej obecności. Piotr był zdecydowany to zmienić, ale wciąż odkładał nieuniknioną rozmowę z Elżbietą. Nic jednak nie wskazywało, aby to ona miała pierwsza wystąpić z inicjatywą.

Ocknął się z zamyślenia, gdy uświadomił sobie, że od co najmniej godziny tkwi w fotelu przed wyłączonym telewizorem. Chyba nawet dłużej, bo w kryształowej popielniczce

było już kilka niedopałków, a Ewelina nigdy nie zapomniała o opróżnieniu i umyciu jej przed wyjściem z domu. Czemu jeszcze nie wróciła? Wybierając numer jej komórki, pomyślał, że głupio postąpił, zwalniając wywiadowcę. I nie uprzedzając jej o zmianie planów na wieczór. Niby nie było szczególnego powodu do niepokoju, jednak nadkomisarz, wsłuchany w długie sygnały telefonu, zakończone komunikatem o niedostępności abonenta, nie potrafił odpędzić myśli, że coś zawałił. Osłabiona monotonią ostatnich dni czujność zawiodła do tego stopnia, że sam zaczął bagatelizować grożące Ewelinie niebezpieczeństwo. A psychopaci potrafią być niewiarygodnie cierpliwi.

Był jakoś podskórnie przekonany, że nie mówiła mu wszystkiego, jakby uważała, że przyzwyczajony do operowania twardymi faktami gliniarz nie będzie umiał nadażyć za wnioskami psychologa. Albo je skwituje wzruszeniem ramion. Miałyby nawet trochę racji, gdyż w głębi duszy uważał psychologię za dziedzinę z pogranicza paramedycyny, opartą na wciąż zmieniających się teoriach. Nawet tworzone przez Ewelinę portrety psychologiczne nigdy nie prowadziły bezpośrednio do sprawcy przestępstwa, pozwalały raczej wejść w jego skórę i zacząć myśleć podobnie. To i tak dużo.

Wrócił myślami do relacji Eweliny o tym, co się zdarzyło w bibliotece, i tajemniczym prześladowcy. Sama już nie była pewna... albo tylko tak twierdziła. Umiała sobie wyobrazić meandry, jakimi podążają chore umysły, lecz z trudem przychodziło jej dopasowanie tego do wydarzeń w realnym świecie. Nadkomisarz zaczął się obawiać, że wpadła na trop, chwyciła nić wiodącą do wyjścia z labiryntu, tylko nie bardzo potrafiła samodzielnie za nią podążać.

Znów wybrał jej numer. Z tym samym skutkiem.

Poderwał się z fotela, przeszedł do drzwi wejściowych i zasunął łańcuch. Wolał, żeby Ewelina nie nakryła go na tym, co zamierzał zrobić.

Wysunął szufladę komody. Papierowe łódeczki leżały tak, jak je zapamiętał. Czemu je składałaś, jakimi ścieżkami podążały twoje myśli? Próbowalaś wniknąć w umysł mordercy, ale czy to w ogóle możliwe? Piotr włączył komputer. Nie był zabezpieczony hasłem, lecz i tak nie bardzo potrafił się zorientować w gąszczu ikonki na pulpicie. Kliknął na chybił trafił kilka folderów, jednak nie znalazł nic, co byłoby związane ze śledztwem. Z poczuciem winy i zażenowania odnalazł w historii przeglądania pocztę, ta jednak wymagała wpisania hasła. Wklepał jej imię, datę urodzenia, potem jeszcze kilka słów kojarzących mu się z Ewelina, ale prędko dał sobie spokój. Jeśli doszła do czegoś, na pewno nie obwieszczała tego nikomu w sieci. Kiedy wyłączał komputer, zorientował się, że za oknami poszarzało.

Zdjął łańcuch z drzwi i zapalił lampę w pokoju. Coraz większy niepokój o Ewelinę sprawiał, że Piotr zaczynał czuć się w jej mieszkaniu jak zwierzę w klatce. Poszedłby jej szukać, gdyby miał cień pomysłu, gdzie może ją znaleźć. To niemożliwe, żeby sama odkryła, kim jest morderca. Lecz jeśli tak jej się wydawało, mogła uczynić coś nieprzemysłanego. Ale chyba nie wyłączyłaby telefonu? I chyba jemu pierwszemu powiedziała o swych domysłach?

Dyskutowali często o śledztwie, sprawca zdawał się konsekwentnie do czegoś zmierzać, a wszystko wskazywało, że ostatecznym celem jest Justyna Sobolewska. Tyle że tak łatwo byłoby ją zabić gdzieś na ulicy albo zwabić w ustronne miejsce. Na co mu tyle ofiar po drodze? Bo jest psychopatą i napawa się cudzym cierpieniem? Tak, to możliwe. Ale jego ofiary nie cierpiały w szczególny sposób, w dodatku psychopatyczni mordercy rzadko zmieniają sposób działania, a śmierć Małgorzaty nie pasowała do schematu, usiłowanie zabójstwa Justyny również. Pistolet, szal i wreszcie strzykawka – żaden maniak nie zmienia do tego

stopnia swoich metod. Wybieranie ofiar z kręgu wielbicieli i znajomych pisarki też było dziwne, bo choć szaleńcy kierują się jakąś własną logiką, to seryjni mordercy prawie nigdy nie ograniczają się do nękania jednej konkretnej osoby. Chyba że ten morderca miał motyw, który od samego początku im umykał.

Nadkomisarz zapatrzył się w jakiś odległy punkt, słupek popiołu z tłącego się papierosa upadł na dywan, ale Piotr nawet tego nie zauważył. Wczoraj Ewelina wspomniała o czymś, co zbagatelizował jako kolejną teorię bez podstaw i głębszego uzasadnienia. Że morderca może mieć całkiem przyziemny motyw, na który nie wpadli, wyprowadzeni w pole jego bezsensownymi wydawałoby się zbrodniami. A który ukazałby się jak na dłoni, gdyby sprawca od razu popełnił ten jeden jedyny czyn, na jakim naprawdę mu zależało. Czyli zamordował Justynę Sobolewską. Prawie mu się udało z tą strzykawką, tylko przypadek sprawił, że ocalała. Uratował ją były mąż, który znienacka objawił się w tej kawiarni...

Na strzykawce znaleźli tylko odciski Zamorskiego, co dawało się łatwo wytłumaczyć. Lecz niekoniecznie w sposób, który przyjęli za prawdziwy. Nie miał powodów, by pragnąć śmierci byłej małżonki? Rzeczywiście, tak to wyglądało. Lecz gdyby pójść tropem sugestii Eweliny, nie dopatrzyli się motywu, ponieważ w ogóle go nie szukali!

Piotr odszukał w pamięci telefonu numer pisarki i wcisnął zielony przycisk.

– Halo, tak?

– Tu Zawada, może pani rozmawiać? – spytał, słysząc w tle odgłosy komunikacji miejskiej.

– Pan komisarz? Jadę tramwajem, chyba zaraz rozładuje mi się bateria w telefonie, ale proszę mówić.

– Przepraszam, jeśli pytanie wyda się pani dziwne albo nie na miejscu, mógłbym to sprawdzić innymi kanałami, ale zależy mi na czasie. Czy dysponuje pani jakimś większym majątkiem?

– To zależy, co pan rozumie przez takie określenie... – Zamilkła na dłuższą chwilę, Zawada słyszał ludzkie głosy i górujący nad nimi komunikat o trasie tramwaju. – Mieszkanie własnościowe, działka na Mazurach i...

– Czy zadysponowała pani w jakiś sposób majątkiem na wypadek śmierci?

Tym razem na odpowiedź przyszło mu czekać jeszcze dłużej. Gdyby nie dźwięki w słuchawce, pomyślałby, że jego rozmówczyni się rozłączyła albo bateria siadła jej na dobre.

– Przypuszczam, że nie pytałby pan bez powodu?

– To prawda – odparł, niczego nie wyjaśniając.

– Zapisałam wszystko w testamencie mężowi. To był jego pomysł, ja nie widziałam potrzeby sformalizowania tego w taki sposób. I tak dziedziczył wszystko, przynajmniej do momentu rozwodu...

– Czy po rozejściu się z mężem zmieniła pani testament?

– Nie, nie miałam głowy... Co pan sugeruje?!

– Powinniśmy się spotkać w miarę szybko, wszystko pani wyjaśnię. – Wiedział, że zasiał niepokój, lecz nie zamierzał jej uspokajać. Dla jej własnego dobra. – Najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Nie rozumiem. Czy to nie w tej sprawie chce się ze mną zobaczyć pana koleżanka? Umówiliśmy się w Złotyach Tarasach.

– Katusza? – Ze zdziwienia użył jej poufałego przezwiska, ale poprawił się natychmiast: – Podkomisarz Katarzyna Karwowska?

– Nie, ta druga...

Połączenie zostało przerwane.

Ewelina postanowiła więc samodzielnie sprawdzić swoją teorię, że mogli błędnie interpretować motywy sprawcy. Dobrze, nie będzie jej przeszkadzał, zwłaszcza że kobieta o niebo prędzej otworzy się przed drugą kobietą niż przed nim. Najważniejsze, że Ewelina jest bezpieczna, niepotrzebnie się niepokoił – pomyślał. Jednak niepokój nie mijał.

Więc to Janusz Zamorski, kto by przypuszczał...? Jeszcze do wczoraj nikomu to nie przyszło do głowy.

A jeśli się myli, jeżeli wyciągnęła pochopne wnioski z paru poszlak, które można rozmaicie interpretować? Trzeba sprawdzić próbki z miejsc zbrodni pod kątem obecności DNA męża Justyny. Byłego męża. Lecz nawet to nie będzie rozstrzygające, przecież miał prawo bywać na spotkaniach z nią i mógł się otrzeć o którąś z ofiar. Dobry adwokat skutecznie podważy materiał dowodowy, jeśli nie złapią Zamorskiego na gorącym uczynku. Po epizodzie ze strzykawką Justyna powinna dostać ogon, gdyż istniała szansa odkrycia sprawcy, choć Zawada osobiście bardzo w to wątpił. Nawet psychopata wie, kiedy się przycziąć, poczekać na dogodny moment. Albo zaryzykować w poczuciu panowania nad sytuacją...

Wyjął telefon i wybrał numer Mulaka.

– Cześć, mam jedno pytanie – zaczął bez wstępów. – Czy Sobolewska jest pod obserwacją?

– Skąd to pytanie? – Mulakowi najwyraźniej nie spodobała się jego obcesowość, mimo że byli sobie równi stopniem. – Stało się coś?

– Jeszcze nie, ale musimy pogadać, bo wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, co jest motywem naszego seryjnego.

– Możesz się wyrażać jaśniej?

– Nie przez telefon. Teraz tylko powiedz, co z ochroną Sobolewskiej? To ważne.

– Prowadzimy ograniczoną obserwację, wie o tym i współpracuje.

– Ograniczoną?

– Nie wytrzasnę z rękawa dodatkowych ludzi, pilnujemy jej poza domem.

W mieszkaniu są dobre zamki, uprzedza nas o każdej wizycie, a domokrażcom ma nie otwierać.

– Możesz skontaktować mnie z jej obstawą?

– Po jaką cholere?

– Bo jeśli się nie mylę, potrafię opisać im wygląd sprawcy.

Takiego komunikatu Mulak nie mógł zignorować.

– Kto? – padło nieuchronne pytanie.

– Zamorski.

Piotr niemal słyszał trybiki obracające się w głowie naczelnika.

– Czekaj, oddzwonię.

Telefon odezwał się po kilku minutach.

– Wróciła do domu o szesnastej. Poinformowała wywiadowcę, że nie będzie już dziś wychodziła, więc zostawił ją do rana.

– Jest w Żółtych Tarasach, nie wiem dokładnie, w którym miejscu. Jadę tam.

Zawada sprawdził kaburę z bronią i wyszedł z mieszkania. W samochodzie kolejny raz wybrał numer Eweliny i ruszył, zanim włączyła się poczta głosowa. Po dziesięciu minutach zaparkował przy Emilii Plater i nie troszcząc się o opłatę w parkometrze, szybkim krokiem

pomaszerował ku wejściu do galerii. Wjechał ruchomymi schodami na najwyższy poziom i rozglądając się uważnie wśród podążających we wszystkich kierunkach ludzi, dotarł do pijalni czekolady Wedla. Nie kryjąc się, przeszedł między stolikami. Pudło, żadnej z kobiet tam nie było.

Zjechał na poziom główny. W krzyżujących się alejkach mieściły się dziesiątki markowych sklepów, między którymi rozlokowało się sporo cukierni i restauracyjek. Zawada bez większego przekonania przechodził od jednej wystawy do drugiej, zaglądał przez szyby, zdając sobie doskonale sprawę, że zagrożenie jest niewielkie, w tak przepelnionym miejscu. Zanadto się przejął nieobecnością Eweliny i jej teoriami. A obie panie wcale nie musiały akurat siedzieć przy kawie, całkiem prawdopodobne, że korzystając z okazji, najpierw zrobiły sobie spacer po tutejszych butikach. Już zamierzał wyjść na papierosa, kiedy przed jedną z wystaw spostrzegł znajomą postać.

Janusz Zamorski tkwił obok sztucznego drzewka przed kafejką, której wystrój przypominał sen stylisty lubującego się w odcieniach czerwieni i seledynu. Mężczyzna wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy wejść do środka, lecz Piotr widział, że tamten uważnie lustruje wnętrze. Wreszcie ruszył do wejścia.

Zawada zbliżył się tam, gdzie jeszcze przed chwilą był Zamorski. Justyna Sobolewska siedziała na sofie pod ścianą, na stoliku stały dwie filiżanki i talerzyki z napoczętymi ciastkami. Szukając wzrokiem Eweliny, zauważył, że pisarka spogląda z pewnym zniecierpliwieniem w kierunku wąskiego korytarzyka w rogu pomieszczenia. Jej były mąż zatrzymał się przy bufecie, tymczasem pisarka zagadnęła kelnerkę i uniosła się z sofy. Po chwili zniknęła w korytarzyku, gdzie, jak przypuszczał Piotr, znajdowała się toaleta.

Zamorski niczego nie zamówił, z ręką w kieszeni marynarki przeszedł obok opuszczonego przez kobiety stolika. Zawada nie czekał dłużej, niemal biegiem wpadł do środka, potrącił wstającego od stolika gościa i w paru krokach znalazł się za plecami podejrzanego. Tamten coś wyczuł, zaczął wyciągać rękę z kieszeni, kiedy Piotr bez uprzedzenia powalił go i przygniótł kolanem do ziemi.

– Nie ruszaj się!

Jęk Zamorskiego zmieszał się z krzykami gości, kiedy kajdanki zatrzasnęły się na jego wykręconych do tyłu rękach. Obrócił głowę, na ile mógł, i popatrzył pełnymi lęku oczyma na napastnika.

– Co się stało, ja nie...

W tym momencie zza zamkniętych drzwi w korytarzyku dobiegł huk, od którego zatrzęsły się ściany. Zawada zamarł, bo doskonale znał ten dźwięk i nie mógł go z niczym pomylić.

Tak brzmi oddany w ciasnym pomieszczeniu strzał z broni palnej.

Huk się nie powtórzył. Piotr był już na nogach, kiedy drzwi uchyliły się powoli. Pojawiła się w nich Katusza z pistoletem w dłoni. Przez moment obserwowała skutego kajdankami byłego męża Justyny, potem uniosła wzrok.

– No, Piotruś, już po wszystkim. Kto by pomyślał...

Rozdział 64

Korytarz więziennego szpitala zdawał się ciągnąć w nieskończoność, wrażenie to potęgowały umieszczone co kilkadziesiąt kroków kraty, przed którymi należało się zatrzymać i czekać, aż strażnik ze zgrzytem przekręci klucz. Zawadzie przyszło do głowy, że specjalnie nie oliwią zamków i zawiasów, żeby nikt nie zapominał, dokąd trafił i jak trudno byłoby opuścić to miejsce niepostrzeżenie. Tyle że w przeciwieństwie do zwykłych szpitali tutejsi pacjenci pragnęli zwykle przedłużyć pobyt, jak to tylko było możliwe. Posuwali się do niepojętych dla ludzi z zewnątrz samookaleczeń, nieodwracalnie rujnujących zdrowie, a często kończących się śmiercią, gdy pomoc nie nadeszła w porę. Powód był zawsze ten sam. Warunki pobytu w więziennych szpitalach są o niebo lepsze niż w zakładach karnych. I zawsze było to jakieś złamanie monotonii wieloletniego wyroku.

Dotarli wreszcie do pokrytych łuszczącą się farbą drzwi izolatki, strażnik zajrzał przez wizjer, użył kolejnego klucza i odsunął rygiel. W środku stało tylko jedno metalowe łóżko i szafka. Przykryta kocem w kolorze brudnej zieleni postać miała zamknięte oczy i oddychała spokojnie. Z ustawionego pod ścianą krzesła podniosła się kobieta, która na pewno nie była pielęgniarką.

Pielęgniarki nie noszą mundurów i broni przy boku.

– Nadkomisarz Zawada z Komendy Stołecznej. – Piotr nie pofatygował się, by wyjąć legitymację. Samo pojawienie się w obecności strażnika świadczyło, że jest tym, za kogo się podaje. – Proszę zostawić nas samych, mam zgodę naczelnika.

To już nie było prawdą, ale Piotr zakładał, że funkcjonariuszka nie zakwestionuje słów dużo wyższego stopniem policjanta. Może też liczył w głębi duszy, że tak jednak uczyni, co pozwoli mu uniknąć rozmowy, której bał się co najmniej tak samo, jak jej pragnął.

Ani strażnik, ani uzbrojona funkcjonariuszka nie zakwestionowali jego prawa do pozostania sam na sam z leżącą na łóżku osobą. Przeczekał odgłos zamykanych drzwi i trafiającego na swoje miejsce rygla. Nie poruszył się, gdy klapka judasza uniosła się na moment i opadła.

– Jak się czujesz?

Postać na łóżku obróciła głowę i spojrzała na niego przez szparki zapuchniętych powiek.

– Przeżyję, jeśli o to pytasz. – Głos Eweliny dobiegał jakby z daleka, Piotr nie poznałby go, gdyby rozległ się w ciemności. Poruszyła się tak, że pod kocem napięły się pasy, którymi przymocowano jej ręce i nogi do ramy łóżka. – Rozepniesz mi to? Chociaż na chwilę.

– Wiesz, że nie mogę.

– Wiem. – Jej mięśnie zwiotczały, przymknęła powieki. – Ale przynajmniej spróbowałam.

– Nie pierwszy raz.

– Tak, nie pierwszy. I znów się nie udało.

Piotr zabrał spod ściany krzesło i usiadł obok łóżka. Był tak blisko Eweliny, że mógłby dotknąć jej białych policzków i pozlepianych potem włosów. Na pewno nie chciała, żeby ktoś oglądał ją w takim stanie, ale nie mogła już o tym decydować. Ani o wielu innych sprawach.

– Powiesz mi, jak do tego doszło?

– Odkąd jestem przytomna, wciąż każą mi odpowiadać na pytania, a ja przecież jestem tak mało ważna. Nawet nie pamiętam wszystkiego... – Na korytarzu rozległy się kroki; milczała, póki nie ucichły. – A oni w kółko to samo, jakby chcieli przyłapać mnie na czymś; udowodnić, że kłamię, bo sami wiedzą lepiej. Pytają o sprawy najmniej ważne, detale bez znaczenia. Kiedy zaczęła pani planować... Jak pani typowała ofiary... Skąd pani wzięła pistolet z tłumikiem, musi pani sobie przypomnieć, w którym miejscu wrzuciła go do rzeki... Muszę? Bo co, jak sobie nie przypomnę, to mnie uniewinnią i wypuszczą? Przysłali psychiatrę, żeby ocenił moją poczytalność w chwili popełniania przestępstwa, śmiechu warte, nie sądzisz?

– Nie wiem. – Zawada czuł się zagubiony. Tyle razy przesłuchiwał podejrzanych, a teraz nie wiedział nawet, jak sformułować pytanie, na które pragnął dostać odpowiedź. Prawdziwą. O ile w ogóle taka istniała, bo nawet prawda może być inna dla każdego.

Miał ochotę zapalić, ale papierosy zostały w samochodzie.

– Nie wiem, czy to śmiechu warte – powtórzył – nie jestem psychologiem.

– Cała psychologia jest najzwyczajszą szarlatanerią. Od początku tak zwani specjaliści usiłują sklasyfikować choroby umysłowe, lecz nie osiągnęli niczego poza nadaniem im ładnie brzmiących nazw. Nie chciałbyś wiedzieć, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami zakładów psychiatrycznych. Nikt tego nie chce, bo musieliby się przyznać, że nie potrafią pomóc chorym. Tam nie obowiązuje przykazanie, żeby przede wszystkim nie szkodzić, lekarz ma władzę, o jakiej nie śnili najwięksi dyktatorzy świata. Ale wszyscy dają się nabierać uczonym wywodom psychologów, jakby żywiąc nadzieję, że wtedy znajdą się po właściwej stronie lustra. Ludzie najbardziej boją się zwariować, zapominając, że i tak tego nie zauważą, bo wariat nie dostrzega niczego nienormalnego we własnym zachowaniu.

Piotr nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że Ewelina świadomie zbacza w rejony, gdzie tracił grunt pod nogami. Pewnie spodziewała się jego wizyty.

Poruszyła ramionami, jakby pragnęła się przekonać, że krępujące ręce pasy nie poluzowały się choć odrobinę.

– A teraz przysłali ciebie, bo mają nadzieję, że dowiesz się czegoś, czego nie powiem nikomu innemu?

– Jest coś takiego?

– Jeśli nawet, to skąd będziesz wiedział, że nie kłamię?

– Masz rację, tego nie będę pewien. – Pokiwał głową do swoich myśli. – Ale nikt mnie nie przysłał. Nie wiedzą nawet, że tu jestem.

Ewelina obserwowała przez wólpóprzymknięte powieki zakratowane okno. Można było przez nie dostrzec sąsiedni budynek i kawałek zachmurzonego nieba w górze. Zawada wiedział, że dalej jest wysoki mur z betonu zwieńczony drutem kolczastym. Więźniowie roili sobie, że ze szpitala więziennego łatwiej uciec, lecz tak naprawdę bardzo rzadko się to udawało. Pospolity przestępca mógł próbować zbiec z aresztu albo konwoju, ale tym najgroźniejszym pozostawało tylko marzyć o wolności albo liczyć na pomoc kogoś z zewnątrz.

– Ewelina, dlaczego...? – zapytał. – To coś między nami było tylko grą? Zaczęłaś ją, żeby być bliżej śledztwa i w odpowiednim momencie gmatwać wszystko...

– Nie! Nie przypuszczałam, że tak się to skończy.

– Rzuciłaś podejrzenie na Zamorskiego i prawie ci się udało.

– To „prawie” robi różnicę.

– Więc dlaczego?

Milczała, jakby nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Piotr bał się, że nie usłyszy już od niej ani słowa, a w każdej chwili mógł się pojawić strażnik, oznajmiając koniec wizyty.

Pozostawało mu zagrać jedyną kartą, jaką posiadał, choć sam nie miał pewności, czy nie jest

falszywa.

– W tej sprawie od samego początku błędziśmy we mgle. Seria bezsensownych zabójstw, nawet kiedy okazały się powiązane z osobą znanej pisarki, wydawała się dziełem psychopaty. Tak byłoby zresztą najlepiej dla wszystkich. Dawałoby to jakąś tam wymówkę policji, dlaczego śledztwo toczy się tak opieszale, bo wszyscy zdają sobie sprawę, że szaleńcy potrafią być niewiarygodnie przebiegli i nieprzewidywalni. Tym większy budzą lęk i tym większa jest ulga, kiedy wreszcie zostaną złapani. Więc szukaliśmy seryjnego zabójcy, gdzie tylko się dało, nie dopuszczając nawet myśli, że najciemniej jest pod latarnią. To, że zmienił metodę działania, powinno pchnąć sprawę na nowe tory, ale komuś ciągle brakowało wyobraźni, żeby odgadnąć prawdziwy motyw. Nawet dzisiaj, chociaż sprawa jest praktycznie zamknięta, tylko trzy osoby wiedzą, co naprawdę się wydarzyło.

Boże, jak mu się chciało zapalić. Czuł, że jest blisko, Ewelina nie przerywała, wydawało się, że przyjmuje jego monolog obojętnie. Dopiero przy jego ostatnich słowach usta jej drgnęły.

– Trzy?

– My wiemy.

– To dwie osoby...

Nie zapytała, czego się domyślił ani w jaki sposób. Piotr był pewien tylko jednego. Że ona pierwsza nie wyjawia nazwiska człowieka, który tak długo krył się w cieniu. Zrobił to więc sam, zdając sobie sprawę, że jeśli się myli, drugiej szansy nie dostanie.

– Cygler.

Pokręciła wolno głową, jakby pragnęła zaprzeczyć. Nie dał jej na to czasu.

– Justyna Sobolewska była jego pierwszą i jedyną miłością, nigdy nie pogodził się z odrzuceniem. Ciągle wierzył, że zdarzy się coś, co znowu ich zbliży, że to jest zapisane gdzieś w gwiazdach i tylko trzeba być wtedy obok. Przez całe lata trzymał się w cieniu, ale zawsze na tyle blisko, by nie stracić jej z oczu. Nie wiem, czy wówczas był już szalony, nie mając rolę to oceniać, ale pewnie tak. Kiedy rozpadło się jej małżeństwo, wyobrażał sobie, że teraz już nie stanie mu na przeszkodzie. A ona wciąż, jak to tylko kobieta potrafi, unikała jasnych deklaracji. Nie był głupi, owszem, szalony tak, ale nie głupi, więc rozumiał, że Justyna wciąż myśli o Januszu i nie potrafi ostatecznie przekreślić wspólnie przeżytych lat. Wtedy zaczął mordować. Sądziłam, że psychopata pragnie osaczyć Justynę Sobolewską, zamienić każdy jej dzień w piekło i w końcu odebrać życie. Cygler chciał, żebyśmy właśnie tak myśleli, lecz jego prawdziwym celem miał być Zamorski. A po jego śmierci mieliśmy sądzić, że to zabójstwo jest tylko kolejnym elementem planu seryjnego mordercy, a nie tym, do czego od początku dążył. Bo wtedy dawny przyjaciel stałby się jedynym człowiekiem, u którego Justyna mogłaby znaleźć oparcie. Był blisko, bardzo blisko. – Ewelina leżała z przymkniętymi powiekami. Piotr miał ochotę dotknąć jej policzka, wyciągał już rękę, ale wtedy otworzyła oczy. – Nie przewidział tylko, że w śledztwie weźmie udział kobieta, która zna go na tyle dobrze, by poskładać drobne poszlaki w całość. Łódzki z papieru, obraz z nadmorskim pejzażem oraz to, że seryjny morderca nie czerpie przyjemności z cierpienia swoich ofiar. Zorientowała się, co to oznacza, prędzej niż policja. Przypadek, jaki nie miał właściwie prawa się zdarzyć, ale się zdarzył i... Wtedy wzięła sprawy we własne ręce.

Ewelina spytała tak cicho, że bardziej odczytał pytanie z ruchów jej spierzchniętych ust, niż je usłyszał:

– Kiedy się domyśliłeś?

Trafił. Przychodząc tutaj, nie wątpił, że odkrył prawdę, ale Ewelina umiała zwieść go tyle razy, że nie ufał już nawet twardym faktom.

– Domyśliłem się o wiele za późno, przynajmniej dla Małgorzaty Słodkiej. Kiedy

Katiusza cię postrzeliła, jeszcze niczego nie rozumiałem. Próbowałem szukać innych wyjaśnień, wyobrazić sobie jakiś monstrualny zbieg okoliczności albo czyjeś celowe działanie, mimo że zostałeś złapana ze strzykawką w rękę, a w torebce miałaś fiolkę z trucizną. I dobrze widziałem, że to nie Zamorski ci ją podrzucił.

- To było głupie, ale mogło się udać.
- Mogło? – Miał ochotę automatycznie zaprzeczyć, wierny wpajanej wszystkim stróżom prawa zasadzie, że nie istnieje coś takiego jak zbrodnia doskonała. Ale stwierdzenie Eweliny nie odnosiło się do sfery praktyki śledczej, było raczej wypowiedzianym głośno pragnieniem. – Tak. Naprawdę niewiele brakowało. I co wtedy?
- Wtedy już wszystko byłoby inaczej.
- Myślisz, że on by się kiedykolwiek z tym pogodził? Że by ci wybaczył?
- Nie wiem – odparła dziwnie zubożniałym tonem. – To miało pójść na konto jej męża. Miał czysto materialny motyw, cóż prostszego?
- Dziwne, że pojawił się w Złoty Tarasach akurat wtedy, gdy umówiłaś się z Justyną.
- To było akurat bardzo proste. Zadzwoiłam do niego z automatu, podając się za dziennikarkę.

Piotr cofnął się myślami do momentu, gdy tamtego dnia późną nocą wrócił do jej mieszkania. Powinien był oddać klucze ekipie dochodzeniowej, ale nie zrobił tego. Wtedy ciągle jeszcze tak niewiele rozumiał. Włączył komputer Eweliny, jednak i tym razem nie potrafił odgadnąć hasła do poczty ani zabezpieczonych plików. Zaczął zaglądać do szuflad. Za parę godzin jego koledzy mieli dokładnie przeszukać mieszkanie, chciał być pierwszy. Nie pomyślał, żeby pozbierać swoje rzeczy z łazienki i sypialni, aby tamci się nie zorientowali, jak blisko był z Ewelina. To nie miało już znaczenia.

W kasetce na szafce w przedpokoju znalazł klucz niepasujący do żadnego zamka, wyglądał, jakby służył do otwierania kłódki. Piotr szedł do piwnicy, bardziej żeby zrobić cokolwiek niż z nadzieją na znalezienie tam czegoś interesującego. Odszukał właściwą komórkę, klucz rzeczywiście pasował do starej kłódki. Piwnica Eweliny była prawie pusta, jeśli nie liczyć opartego o ścianę z cegieł płaskiego pakunku w szarym papierze. Jeszcze zanim go rozwinął, wiedział, co znajdzie w środku. Na obrazie z nadmorskim pejzażem dostrzegł mewę unoszącą się nad zarysem kobiecej postaci.

Nad ranem zadzwonił do Justyny Sobolewskiej. Była ciągle w szoku, może dlatego zgodziła się, by do niej przyjechał, i opowiedziała mu wreszcie prawdziwą historię powstania tego nieszczęsnego obrazu, który to zniknął, to pojawiał się w nie do końca jasnych okolicznościach. A może po prostu bardzo chciała komuś się zwierzyć. Piotr nie powiedział jej, że zna już tę historię z relacji Cyglera, nie chciał. Zaczęło docierać do niego, że pozornie niezwiązana ze sprawą sfera najintymniejszych przeżyć osób przewijających się w śledztwie była kluczem do odgadnięcia motywu sprawy. Czyli Eweliny? Nie, mimo że był przy jej ujęciu, to się nie trzymało kupy, kompletnie nie pasowało do niczego! Chyba że desperacko kryła prawdziwego sprawcę. Rzuciła podejrzenie na Zamorskiego, więc musiał to być ktoś inny.

Ktoś, kogo zdecydowała się chronić nawet za cenę życia. Cudzego, choć nie zawahała się położyć na szali własnego losu.

- Jak to się zaczęło, Cygler malował ciebie?

– Kiedyś... Poznaliśmy się na imprezie w akademiku. Zabrał mnie do pracowni, a rano... Potem powiedział, że chce mnie namalować. Mówił jeszcze wiele innych rzeczy, wierzyłam, bo chciałam uwierzyć. Niemal zawałam studia, bo chciał, żebym przychodziła rano, kiedy jest odpowiednie światło, a sesje ciągnęły się długo. Miał zwyczaj, kiedy coś mu nie szło, składać papierowe łódeczki. Na zawsze je z nim skojarzyłam.

– Dziwne więc, że Justyna tego nie skojarzyła.

– Może przy niej zawsze mu szło?

Nie skomentował brzmiącego w jej głosie sarkazmu.

– Marek wychował się w domu dziecka, prawie nikomu o tym nie mówił, ale musiało go to jakoś ukształtować. Rówieśnicy potrafią być okrutni, trzeba wywalczyć sobie pozycję i umieć jej bronić. Zawsze był draniem, ale miał w sobie coś takiego, że kobieta czuła się przy nim, jakby była jedyna na całym świecie. Jakby urodziła się wyłącznie po to, żeby z nim być, oddychać tym samym powietrzem.

– I to wystarczyło? – Ciągłe nie potrafił pojąć siły jej uczucia. – Warte było tylu niewinnych ofiar?

Jej wzrok powędrował w stronę zakratowanego okna. Cisza przedłużała się, Piotr był już niemal pewien, że niczego więcej nie usłyszy, gdy niespodziewanie zaczęła mówić. Głos Eweliny brzmiał głucho, jakby przemawiał przez nią ktoś inny, głęboko ukryty na dnie jej umysłu:

– Nie masz pojęcia, co to znaczy, gdy twój świat rozsypuje się nagle niczym zdmuchnięty wiatrem domek z kart. Pierwszy raz poczułam się tak wtedy, gdy wrócił znad morza taki odmieniony, promienny. Przywiózł obraz... Nie musiał nic mówić, kobieta zawsze pozna, kiedy mężczyzna myśli o innej. Byłam gotowa znieść wszystko, zostać z nim i cieszyć się każdą spędzoną razem minutą. Ale on już nie należał do mnie, dał mi to odczuć tak dobitnie, jak to tylko możliwe. Trochę trwało, zanim się otrząsnęłam. Wróciłam na studia, wyszłam za męża, wydawało się, że wszystko sobie poukładałam, że przeszłość to zaledwie wspomnienie bez znaczenia. Oszukiwałam się, pewnie nie ja jedna. Marek chyba lubił świadomość, że ktoś za nim tęskni i jest gotów przybiec na jedno skinienie palcem, bo nie dawał mi o sobie zapomnieć. Czasem przysłał kartkę z kilkoma słowami, to znów zaproszenie na wernisaż albo coś w tym guście. Jakby mało mu było wielbicielek i nie mógł znieść nawet myśli, że ktoś mógłby go wyrzucić z pamięci. Łudziłam się, że ten czas, kiedy byłam gotowa podpalić świat dla niego, już bezpowrotnie minął. Kiedy w aktach sprawy natknęłam się na te papierowe łódeczki, nie uwierzyłam w swoje przeczucia, ale prędko świat uciekł mi spod nóg. I zupełnie nie potrafiłam dać sobie z tym rady.

– A ja tak naprawdę nigdy się nie liczyłem? – Piotr przypomniał sobie wszystkie razem spędzone noce.

– Klin klinem, miałam nadzieję, że przy tobie zapomnę o nim. Wmówiłam ci, że śledzi mnie psychopata, nie tylko dlatego, żeby przygotować sobie grunt pod wrobienie w te zbrodnie Zamorskiego. Nie chciałam cię okłamywać, udawać, że mi dobrze, kiedy nie było. Bo było wspaniale. Tyle że...

– Nie byłem nim.

– To nie twoja wina, może gdybym poznała cię wcześniej, zanim Marek... – Widział, że odpłynęła myślami gdzieś bardzo daleko, gdzie prócz niej nikt nie miał wstępu. – Ale przynajmniej byłam bliżej śledztwa. A kiedy się raz zabije, potem już nie ma odwrotu.

– Katusza cię podejrzewała.

– To była spora komplikacja. Ale ty wierzyłeś mi do końca. Nie zasłużyłam na to ani na ciebie. To nie miało prawa dobrze się skończyć.

– Wybrałaś Małgorzatę, myśląc, że Marek jest w Barcelonie, więc to zabójstwo oczyści

go z jakichkolwiek podejrzeń. Nie wiedziałaś, że opóźnił wyjazd do Hiszpanii. No i zostawiłaś odcisk palca na łódeczce...

– Trudno nie popełnić błędu, kiedy się zamierza uczynić coś takiego drugiemu człowiekowi. Działałam jak automat. Wytarłam swoje odciski, okręcik z papieru składałam w rękawiczkach, ale zdjęłam je przed wyjściem i wtedy musiałam go bezwiednie dotknąć. Wierz mi lub nie, po wyjściu od niej niewiele brakowało, żebym rzuciła się pod pociąg, kiedy dotarło do mnie, co zrobiłam.

Żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Lecz Ewelina nie oczekiwała komentarza.

– Biegli weryfikują moją poczytalność. Ciekawe, do jakich wniosków dojdą. To nawet zabawne, czego się doszukają w mojej głowie... Bawię się czasem z nimi w kotka i myszkę, kiedy sądzą, że już mnie przejrzeni, urywam grę albo zaczynam dawać odpowiedzi kompletnie rozbijające im koncepcję.

– Wykonują tylko swoją pracę.

– Podobnie jak ja jeszcze całkiem niedawno – powiedziała obojętnie, błędząc gdzieś myślami. Wreszcie zadała pytanie, którego się spodziewał: – A co z nim? – Wiedział, że pyta o Cyglera. – Czy on...

– Nikt nie wpadł jeszcze na jego rolę, może to się nigdy nie stanie. Brak dowodów.

– Naprawdę nikt cię nie przysłał, nie przekażesz dalej tego, co ci mówię?

– Naprawdę.

– Dlaczego to robisz...? Dla mnie?

– Sprawa już mnie nie dotyczy. Odchodzę ze służby, to już postanowione.

Właściwie nie odpowiedział na jej pytanie, ale go nie powtórzyła.

Domyślał się, co dzieje się teraz w głowie Eweliny. Mimo wszystko osiągnęła swój cel.

Justyna znów zejdzie się z mężem, a Marek nic już nie może zrobić, gdyż zostałby zdemaskowany. A jeśli Ewelina umiejętnie wszystko rozegra, to badający ją psychiatrzy orzekną niepoczytalność i nie otrzyma dużego wyroku za zabójstwo Małgorzaty. Kiedy wyjdzie na wolność, Marek będzie należał tylko do niej. Zabiorą tajemnicę do grobu.

Zawada odstawił krzesło pod ścianę. Będąc już pod drzwiami, odwrócił głowę.

– Odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie?

– Jeśli będę umiała.

– Wtedy, w kawiarni, gdy Zamorski znalazł na ziemi strzykawkę, miała zginąć Justyna czy jej były mąż?

– Naprawdę musisz wiedzieć, które z nas trzymało strzykawkę? To jakaś różnica?

– Właściwie nie.

W drzwiach nie było od środka klamki. Uderzył w nie parę razy otwartą dłonią.

Oddał przepustkę wartownikowi i wyszedł za bramę. Papieros smakował jak tłące się trociny. Podeszedł do nieoznakowanego samochodu, otworzył drzwiczki i usiadł obok kierowcy. Wyjął spod marynarki nadajnik wielkości papierosnicy i oddał siedzącemu z tyłu Matysiakowi.

– Więc miałaś rację, słyszałem wszystko. Ładnie to rozegrałeś. – Szef nie wyglądał jednak na szczególnie uradowanego. Będzie musiał od nowa napisać końcowy raport ze śledztwa, co oznaczało przyznanie się do wielu błędów po drodze. Znacznie lepiej wyglądałby jeden sprawca, ujęty w wyniku normalnych działań operacyjnych. – No to go mamy.

– I tak byście doszli do niego.

– Pewnie tak, ale bez tego jej wyznania mielibyśmy tyle dziur w materiale, że mógłby

do końca iść w zaparte. Cygler był piekielnie ostrożny, praktycznie nie zostawił na miejscach zbrodni żadnych konkretnych dowodów, jedynie te okręciki. Trudno przewidzieć wynik procesu poszlakowego, zwłaszcza gdy oskarżonego stać na najlepsze papugi.

– To nadal będzie proces poszlakowy.

– Niekoniecznie. Teraz są podstawy, by przeszukać jego mieszkanie, pewnie coś znajdziemy. I coś mi mówi, że nasz artysta załamie się, wysłuchawszy tego nagrania. – Stuknął dłonią w oparcie siedzenia kierowcy. – Jedziemy!

Zawada uchylił szybę po swojej stronie i zapalił kolejnego papierosa. Czuł się podle, choć zrobił tylko to, co musiał, żeby sprawca nie pozostał bezkarny. Niedługo do Eweliny dotrze, że została oszukana przez jedyne go człowieka, któremu do końca zaufała. Nie mógł postąpić inaczej, był to winien kobietom, które zginęły, nie wiedząc nawet dlaczego.

Powinna to przewidzieć, w końcu jest dobrym psychologiem.

*

Postawiłam kropkę i napisałam słowo „koniec”. Kolejna książka gotowa. Teraz tylko muszę ją przeczytać od początku, zwracając uwagę na różne niedociągnięcia – powtarzające się słowa, literówki, chronologię wydarzeń. Zwyczajna praca.

A jutro kolejne spotkanie z czytelnikami. Może tym razem mniej będzie pytań, skąd pani czerpie pomysły? Z życia, kochani, z życia.

I – czasami – z nadsyłanych pamiętników...

Aha, jeszcze jedno. Maks Baron – z pewnością sami odgadliście, kto nim był w rzeczywistości.